

500

mitów

o

religiach

JOHN MORREALL
TAMARA SONN

50

mitów o religiach

**JOHN MORREALL
TAMARA SONN**

Przełożył Piotr J. Szwajcer

Wydawnictwo CiS
Stare Groszki 2015

Copyright © 2015 by JOHN MORREALL i TAMARA SONN
Copyright © 2015 for this edition by Wydawnictwo CiS

Projekt okładki: Studio Gonzo & Co.

Przekład: Piotr J. Sz wajcer
Konsultacja naukowa: Grzegorz Rawski

Korekta: Joanna Rzepa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach do przetwarzania danych, przesyłanie drogą elektroniczną (przewodowo i bezprzewodowo), odtwarzanie w jakiegokolwiek formie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłączeniem, pisemnym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wydanie I
Stare Groszki 2015

Adres redakcji:
Wydawnictwo CiS
Opoczyńska 2A/5
02-526 Warszawa
e-mail: CiS@CiS.pl
www.cis.pl

ISBN 978-83-61710-19-6
ISBN e-book 978-83-61710-62-2

Skład wersji elektronicznej: Aleksandra Łapińska
[Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

SPIS TREŚCI

[I. Wprowadzenie: mity i fałszywa wiara](#)

[II. Ogólne mity o religiach](#)

[III. Mity o judaizmie, żydach i żydowskim Piśmie Świętym](#)

[IV. Mity o chrześcijaństwie, chrześcijanach i chrześcijańskim piśmie świętym](#)

[V. Mity o islamie, muzułmanach i Koranie](#)

[VI. Mity o innych tradycjach religijnych półkuli zachodniej](#)

[VII. Mity o tradycjach religijnych Dalekiego Wschodu](#)

[VIII. Mity o niewierzących](#)

[Bibliografia](#)

[Przypisy](#)

I. WPROWADZENIE: MITY I FAŁSZYWA WIARA

Mam wrażenie, że [ludzie kwestionujący religijne narracje] mogliby zastosować taktykę zbliżoną do tej, jaką posługuje się wielu współczesnych żydów. Muszą oni radzić sobie z licznymi biblijnymi narracjami, których wiarygodność im samym wydaje się wielce wątpliwa, jak choćby stworzenie świata w sześć dni czy opowieść o Jonaszu żyjącym w brzuchu wielkiej ryby. Otóż my rozróżniamy lewopółkulowe narracje (te, które mają związek z realną rzeczywistością i faktami) od prawopółkulowych — te mają jedynie głosić jakąś prawdę. Ich przekaz pozostaje prawdziwy, nawet jeśli cała opowieść jest kompletnie zmyślona.

Rabin Harold Kushner (2013)

DWA ZNACZENIA SŁOWA „MIT”

Inspiracją dla naszej książki była wydana w roku 2010 (też przez wydawnictwo Wiley Blackwell, a w 2011 w Polsce przez Wydawnictwo CiS — przyp. red.) głośna książka *50 wielkich mitów psychologii popularnej* Scotta O. Lilienfelda, Stevena Jay Lynna, Johna Ruscio i Barry’ego L. Beyersteina. Jej autorzy uznają za „mit” dowolne powszechnie podzielane przekonanie, które nie ma uzasadnienia empirycznego. Część mitów, o których tu mówimy, można zdefiniować podobnie, jak choćby przekonanie, że to Mojżesz jest autorem pierwszych pięciu ksiąg Biblii albo że Jezus urodził się 25 grudnia w stajence w Betlejem. To bez wątpienia są twierdzenia fałszywe. Omawiamy jednak także liczne „mity”, które zaliczamy do tej kategorii z innych względów — otóż są one dla nas mitami, bowiem stoją w sprzeczności z tym, co w istocie głosi religia, do której odnoszą się ci, którzy w nie wierzą. I tak na przykład niektórzy muzułmanie uważają (podobnie jak bardzo wielu niemuzułmanów), że Prorok zagwarantował każdemu zamachowcy-samobójcy prywatne 72 dziewice w niebie. Tymczasem Koran bardzo jednoznacznie potępia i samobójstwo, i terroryzm, które uznaje za grzechy. Z kolei liczni chrześcijanie wierzą, że szatan i jego diabelskie sługi zadają ludziom męczarnie w piekle, mimo że wiara ta jest sprzeczna z magisterium głównych Kościołów chrześcijańskich. Tego typu przekonania nazywamy zatem mitami, choć w zasadzie bardziej pasowałoby do nich nieużywane już we współczesnej angielszczyźnie określenie „misbelief”, którym określano niegdyś — głównie zresztą w kontekście religijnym — twierdzenia błędne lub fałszywe, a na pewno niezgodne z ortodoksją („fałszywa wiara” byłaby mylącym określeniem, stąd propozycja neologizmu „wiarstwo” — przyp. tłum.).

Jest też inne znaczenie pojęcia „mit”, o którym musimy tu wspomnieć, odgrywa ono bowiem istotną rolę w religioznawstwie (i kulturoznawstwie). Kiedy zatem religioznawcy mówią o „mitach”, mają zwykle na myśli przekazywane ustnie lub na piśmie tradycje wyjaśniające i tłumaczące kluczowe aspekty ludzkiej egzystencji — skąd się tu wzięliśmy, po co żyjemy, kim są nasi bohaterowie i co czyni ich tak wyjątkowymi, wreszcie — jak żyć... Klasycznym przykładem takiej narracji jest znajdująca się w Księdze Rodzaju opowieść o Adamie i Ewie, ich nieposłuszeństwie okazanym Bogu (poprzez zjedzenie owocu z drzewa poznania dobra i zła) i karze, jaka ich za to spotkała (wygnanie z raju). W takich historiach o pochodzeniu zła i licznych podobnych opowieściach bardzo często występują siły nadprzyrodzone i cudowne zjawiska, niemniej wielu ludzi w nie wierzy, uznając je za prawdziwe opisy autentycznych zdarzeń — prawdziwe w dokładnie takim samym sensie jak relacja z wypadku drogowego lub diagnoza medyczna. Według części naukowców natomiast, takich mitów nie wolno

oceniać przy użyciu współczesnych kryteriów wierności faktom, historyczności czy nawet naukowego prawdopodobieństwa, choćby dlatego że powstały na długo przed wynalezieniem przez człowieka takich wyznaczników i odnoszą się do zdarzeń albo z głębokiej prehistorii, albo (czasem) z odległej przyszłości, czyli obszarów niedostępnych ani historii (i naukom społecznym), ani naukom ścisłym. Ludzie jednak kultywują takie tradycje i są przywiązani do swych opowieści („mitów”), bowiem pomagają im one zrozumieć, kim są, i odpowiedzieć na podstawowe egzystencjalne pytania — o sens życia, pochodzenie zła, o to, komu można ufać i co ich czeka... Słuchając opowieści takich jak ta o Adamie, Ewie i ogrodach Edenu, mają oni czasem poczucie kontaktu z „wyższą” rzeczywistością, ze światem transcendencji, którego nie ograniczają wymogi i prawa codzienności. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że mity tego typu stanowią istotny składnik wielu systemów religijnych i wraz z wiarą są przekazywane, dlatego wielu naukowców uważa wręcz, że stanowią one kluczowy komponent wierzeń religijnych. Dobrym przykładem może być mit stworzenia religii Abrahamowych, według których to jeden potężny wszechmocny osobowy Bóg stworzył Ziemię (i wszystko inne) w ciągu zaledwie kilku dni i zadbał o to, by znalazło się na niej wszystko, co niezbędne do życia dla jego ulubionych i wybranych stworzeń — istot ludzkich. Takie opowieści faktycznie mogą dać tym, którzy w nie uwierzą, swoistą pewność, że świat jest taki, jaki powinien być, i że jest ktoś, kto się o nich troszczy i do kogo nawet w najtrudniejszej sytuacji można się zwrócić.

Z takiej perspektywy istotnie religijne mity można, acz w szczególny sposób, uznać za prawdziwe, tworzą bowiem kontekst społeczny oraz gwarantują ciągłość oraz poczucie komfortu społecznościom, które je dzielają; są prawdziwe dla tych, którzy w nie wierzą. Salustiusz, rzymski historyk z I wieku p.n.e., coś takiego zapewne miał na myśli, gdy pisał: „Mity to coś, co nigdy się nie zdarzyło, ale dzieje się ciągle” (Sallustius 1996). Joseph Campbell, jeden z najwybitniejszych dwudziestowiecznych badaczy mitów i mitologii, nazwał je „łonem, które przygotowuje ludzkość na życie i śmierć” (1969, 12). Wendy Doniger (1998) z University of Chicago pisze o nich jako o wyobrazeniowej ekspresji uniwersalnych ludzkich doświadczeń i twierdzi, że to one umożliwiają w istocie międzykulturową komunikację. Brytyjska uczona Karen Armstrong (2005, 4) podkreśla z kolei sakralny aspekt mitów, które, jak pisze, odnoszą się do „innego planu, który funkcjonuje obok naszego świata, lecz zarazem w pewnym stopniu wspiera jego istnienie. Wiara w taką niewidzialną, ale potężniejszą od naszej rzeczywistość, czasem zwaną światem bogów, to główny element mitologii”. Dla naukowców wyznających podobne poglądy mity są zatem mniej więcej tym samym, czym dla Pabla Picassa jest sztuka — „to kłamstwo, które pozwala nam poznać prawdę” (Borofsky 1923).

Taka romantyczna wizja mitów ma jednak wielu poważnych przeciwników w świecie naukowym. Bruce Lincoln z University of Chicago pisze na przykład, że mity to po prostu „*ideologia* w formie opowieści” (2000, 147) i jak w przypadku każdej ideologii ich rolą jest przede wszystkim budowanie tożsamości grupowej i odróżnienie „ich” od „nas”, a także legitymizacja struktury społecznej. Trzeba jednak podkreślić, że Lincoln zajmował się przede wszystkim mitami, które budowały i wzmacniały ekskluzywną tożsamość społeczną określonych grup, głównie poprzez dehumanizację i poniżanie innych. Takie właśnie narracje, jak twierdzi, stały się źródłem europejskiego antysemityzmu. W tym przypadku nie chodziło więc raczej o transcendentną, równoległą rzeczywistość i *sacrum*; omawiane przez Lincolna chrześcijańskie mity miały bardzo konkretne — i nader często wręcz tragiczne — czysto praktyczne implikacje.

Autorzy tacy jak Christopher Hitchens, Sam Harris czy Richard Dawkins również są zwolennikami bardziej krytycznego podejścia do mitów religijnych. Zwracają uwagę choćby na to, że zbyt wielu ludzi nie potrafi w istocie odróżnić „szczególnej” i „sakralnej” prawdy, jaką skrywać mają owe mitologiczne opowieści, od „zwykłej” prawdy choćby informacji prasowych i że zbyt często spotykamy ludzi, dla

których transcendentny mit jest równie prawdziwy, jak realna, empiryczna rzeczywistość. Nie widzą oni potrzeby weryfikacji zasłyszanych „prawd”, bowiem ślepo je akceptują na mocy bezdyskusyjnego autorytetu jaki przyznają tym, którzy je głoszą. Taka ślepa wiara bez dowodów może powodować poważne problemy w naszej prawdziwej rzeczywistości. Weźmy choćby mit kreacji, czyli historię stworzenia. To oczywiście ważna rzecz, poszukiwanie pewności, że ludzkie życie ma sens i cel, ale czymś zupełnie innym jest literalne odczytywanie i bezwarunkowa akceptacja mitów stworzenia zawartych w świętych księgach, traktowanie ich jako opisu rzeczywistości i uznawanie na tej podstawie, że nauka (choćby teoria ewolucji), która dowodzi, że prawdziwa historia świata i życia jest zupełnie inna, musi zostać odrzucona, stanowi bowiem formę ataku na najwyższe, niepodważalne autorytety. Tymczasem tak właśnie się dzieje — z badań Gallupa przeprowadzonych w roku 2012 wynika, że 46 procent Amerykanów wierzy, że Księga Rodzaju daje prawdziwy opis stworzenia świata. To o dwa procent więcej niż w roku 1982 i nie ma raczej wątpliwości, że za ten wzrost odpowiada skłonność amerykańskich szkół do wprowadzania do programów nauczania kreacjonizmu jako alternatywnej (lub, co gorsza, jedynej) teorii powstawania gatunków. Jak doniósł w roku 2013 „The New York Times”, z badań przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych wśród ponad dziewięciuset nauczycieli biologii wynika, że w prawie 13 procent szkół różne wersje kreacjonizmu prezentowane są uczniom jako „wiarygodna naukowa alternatywa dla darwinowskiej teorii ewolucji” (Rich 2013) i to pomimo jednoznacznego wyroku amerykańskiego Sądu Najwyższego, który zakazał takich praktyk (Edwards v. Aguillard, 482 US 578 [1987]). Nie jest to zresztą problem tylko amerykański — szerzenie się kreacjonizmu w Europie skłoniło Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy (ZPRE) do uchwalenia w roku 2007 specjalnej rezolucji ostro sprzeciwiającej się próbom przedstawiania go jako teorii naukowej. Członkowie Zgromadzenia ostrzegali, że kwestionowanie teorii ewolucji i odrzucanie jej na rzecz kompletnie naukowo nieuzasadnionych partykularnych przekonań religijnych różnych, nawet dominujących wspólnot, zagraża nauce i przyszłości badań nad najważniejszymi wyzwaniami, z jakimi musi mierzyć się ludzkość. To z kolei może prowadzić do szerzenia się epidemii i katastrof ekologicznych.

Oczywiście uznajemy i szanujemy prawo ludzi (również naukowców) do traktowania religijnych mitów jako opowieści przekazujących prawdy transcendentalne, a tym samym niejako niepodlegających rygorom nauki i metodologii naukowej, ale na użytek naszej książki zdecydowaliśmy się na inne i bardziej, by tak rzec, sceptyczne podejście. Za mity będziemy więc uznawać powszechnie podzielane przekonania, które nie znajdują oparcia w świadectwach historycznych (ani danych naukowych). Przedmiotem naszego zainteresowania będą głównie wielkie tradycje religijne Zachodu — judaizm, chrześcijaństwo i islam — ale zajmiemy się też mitami innych religii naszego kręgu kulturowego, jak również pokutującymi na Zachodzie mitami o religiach Wschodu. Zdecydowaliśmy się też omówić z nich dotyczących ludzi, którzy nie wyznają żadnej religii — ateistów i agnostyków.

SKĄD BIORĄ SIĘ MITY

Wiele rzeczy predestynuje nas — istoty ludzkie — do tworzenia (i przekazywania) mitów takich, jakie opisujemy w tej książce. Osiem czynników wydaje nam się szczególnie wartych uwagi. Po pierwsze zatem bardzo pochlebia nam — i stanowi zarazem istotny element samowiedzy — przekonanie, które wyraził już Arystoteles: jesteśmy zwierzętami *racjonalnymi*, co oznacza, że nieustannie próbujemy zrozumieć otaczający nas świat i nadać sens własnym doświadczeniom. Chcemy też wiedzieć, dlaczego niektórzy ludzie są naszymi przyjaciółmi, a inni wrogami, jak odnieść sukces i dlaczego nam

się to nie udaje, oraz całe mnóstwo innych rzeczy.

Starając się pojąć świat, poszukujemy podobieństw między tym, co dzieje się dziś, a tym, co zdarzyło się w przeszłości. Budujemy powiązania między nowymi doświadczeniami a tym, co już znamy, i tak tworzymy kategorie (poznawcze) obejmujące grupy zjawisk o zbliżonych atrybutach — na tej zasadzie nowo poznaną osobę postrzegamy jako „studenta” lub „muzułmanina”. Takie kategoryzowanie w naturalny i nieuchronny sposób wiąże się też ze skłonnością do uogólnień; tworzymy generalizacje obejmujące wszystkich członków określonej grupy (kategorii) na podstawie cech, które — tak przynajmniej często się zdarza — posiadają tylko niektórzy jej członkowie. Jeśli z jakąś osobą mieliśmy negatywne doświadczenia, może to prowadzić do powstawania czy też umacniania się negatywnych stereotypów dotyczących całej grupy, którą ta jednostka dla nas reprezentuje.

Jesteśmy jednak zwierzętami nie tylko racjonalnymi, ale również *społecznymi*, i jest to kolejny czynnik warunkujący powstawanie (oraz rozpowszechnianie) mitów. Rodzimy się, a na pewno wychowujemy w grupach — rodzina i grupa pierwotna (społeczność) są dla nas pierwszym źródłem bezpieczeństwa. Musimy zatem posiadać po pierwsze umiejętność identyfikowania własnej grupy, a po drugie wiedzę o tym, jak żyć z nią w harmonii (i jak odróżnić tych, którzy do niej nie należą, czyli mogą stanowić dla nas zagrożenie). Środowiskiem społecznym wczesnych ludzi były hordy, z czasem tworzące większe grupy (do dziś istnieje wiele społeczności plemiennych). Warunkiem sprawnego funkcjonowania w takiej wspólnocie była wiedza o wszystkich jej członkach — kto jest kim, z kim jest spokrewniony, czy nastawiony jest do ciebie przyjaźnie, czy wrogo. Zgodnie z jedną z teorii wyjaśniających fenomen relatywnie szybkiej ewolucji ludzkiego mózgu na przestrzeni ostatnich trzech milionów lat, głównym czynnikiem były właśnie wymogi życia społecznego. Gdy nasi przodkowie zeszli już z drzew na afrykańskiej sawannie, musieli zacząć radzić sobie z coraz większą ilością informacji dotyczących rosnącej liczby (pra)ludzi. To właśnie dlatego dziś w dalszym ciągu w zapamiętywanie i rozpoznawanie twarzy zaangażowanych jest tak wiele obszarów mózgu. I analogiczny mechanizm sprawia, że istnieje tak wiele mitów służących identyfikacji własnej zbiorowości oraz odróżnieniu jej od innych.

Żeby radzić sobie w grupie trzeba też wiedzieć, kto co robi (z kim i komu), a taką wiedzę czerpiemy nie tylko z bezpośrednich obserwacji, lecz również z rozmów z innymi ludźmi — w tym z rozmów o nieobecnych. To trzeci element naszych mitotwórczych skłonności: jesteśmy *plotkującymi* zwierzętami.

Czynnik czwarty to taki, że jesteśmy też zwierzętami *moralnymi*. Myśląc i rozmawiając o innych zwracamy uwagę przede wszystkim na to, czy są oni uczciwi, szczerzy, odważni, lojalni... albo że tacy nie są. Opowieści, które tworzymy o własnej grupie, zwykle koncentrują się wokół jej dobrych cech. Historie dotyczące innych to najczęściej narracje ostrzegające, by im nie ufać. Jak się wkrótce przekonamy, istnieje bardzo niewiele mitów, które przedstawiają inne religie w pozytywnym świetle.

Piąty element tej mitotwórczej składanki to nasze upodobanie do narracji — jesteśmy zwierzętami *snującymi opowieści*. Jak świat długi i szeroki, od dziesiątków tysięcy lat (pewnie odkąd pojawił się język) ludzie wymyślali i opowiadali sobie historie. Tak tłumaczyli sobie świat, upamiętniali bohaterów, przekazywali dzieciom nauki moralne; wreszcie w ten sposób zapewniali sobie i reszcie rozrywkę (realizując przy okazji całe mnóstwo innych celów). Nadal zresztą przechowujemy wiedzę o innych głównie w formie opowieści, a trzeba pamiętać, że przed wynalezieniem pisma, czyli zaledwie kilka tysięcy lat temu, takie narracje były jedynym sposobem na utrwalenie jakichkolwiek informacji, bez pisma zaś obywaliśmy się przez 98 procent całej historii naszego gatunku. Trudno więc się dziwić, że wciąż uwielbiamy tworzyć i opowiadać dobre historie. I lubimy też ich słuchać.

Jesteśmy w dodatku nie tylko zamiłowanymi opowiadaczami (i słuchaczami), ale też

opowiadaczami *obdarzonymi twórczą wyobraźnią*. To kolejny, szósty już czynnik warunkujący naszą skłonność do tworzenia mitów. Zdarzają się oczywiście opowieści prawdziwe, ale to raczej nie autentyczność i wierność faktom decydują o ich atrakcyjności. Ludzie tak kochają dobre narracje, że już bardzo dawno zaczęli tworzyć coś, co dziś nazwalibyśmy (literacką) fikcją (albo literaturą piękną). Jak pokazał Walter Ong (1982) w głośnej pracy o kulturach oralnych, im bardziej kreatywna jest opowieść, tym większa szansa, że zostanie zapamiętana. Tak więc jeśli snujemy historię o jakimś naszym przodku chcąc, by pamięć o jego odwadze i czynach nie zanikła, stwierdzenie, iż posiadał on wręcz nadludzkie przymioty sprawi, że szanse naszej opowieści (czyli również i naszego przodka) na przetrwanie w pamięci przyszłych pokoleń znacząco wzrosną. Z tych samych względów jeśli czujemy się zagrożeni przez kogoś, warto wyolbrzymić jego zło i nadać mu nadludzki — lub nieludzki — wymiar.

Kwestia herosów, których należy podziwiać, i nikczemników, których trzeba się lękać, ściśle wiąże się z siódmym elementem naszej wyliczanki — tworzymy mity również dlatego, że jesteśmy zwierzętami *emocjonalnymi*. Jeśli jakaś historyjka ma przyciągnąć uwagę słuchaczy oraz zostać zapamiętana i przekazana dalej, najlepiej, by budziła emocje — podziw dla bohaterów, lęk, pożądanie, szacunek, dumę z własnej grupy i oczywiście nienawiść do „obcych”. Niektórzy skarżą się dziś na zalew seksu i przemocy w mediach, zapominając najwyraźniej, że seks i przemoc od zawsze były centralnym elementem ludzkich opowieści, od Biblii i starożytnych Greków poczynając. Przypomnijmy dla przykładu choćby opowieść z rozdziału 11. 2 Księgi Samuela o tym, jak to król Dawid najpierw uwiódł i zapłodnił Batszebę, a potem zadbał, by jej mąż został zabity w najbliższej bitwie. U Sofoklesa dla odmiany Edyp najpierw zabija własnego ojca, a potem żeni się z matką. Wystarczy? Wyjaśnienie jest proste — ten sam obszar mózgu, który zaangażowany jest w przetwarzanie emocji (układ limbiczny) odpowiada również za przejście informacji z pamięci krótko- do długotrwałej. Bezpośrednie doświadczenie jakiegoś budzącego silne emocje zdarzenia to zwykle najlepszy sposób, by zapadło nam ono w (długoterminową) pamięć, ale dobra emocjonalna opowieść jest prawdopodobnie niewiele mniej skuteczna.

Mity pozwalają nadać znaczenie nie tylko temu, czego doświadczamy (i o czym myślimy), ale również naszym działaniom — to one, przynajmniej czasem, uzasadniają je. Kiedy jedna grupa prześladowuje inną, negatywne mity na jej temat są doskonałym usprawiedliwieniem takich działań — wszak to „oni” zatruwają nasze studnie, porywają nasze dzieci (i przerabiają je na macę), oddają cześć diabłu, uprawiają czarną magię... Mity o żydach, muzułmanach i niewierzących, które będziemy omawiać dalej, w olbrzymiej większości są tworem ich wrogów. Zaczęliśmy to wyliczenie konstytutywnych cech naszego gatunku, które czynią z niego społeczność mitotwórczą, od Arystotelesa i jego twierdzenia, że człowiek jest istotą racjonalną. Zakończmy je zatem — to ósmy i dalece nie tak pochlebny dla *Homo sapiens* element naszej układanki — przypomnieniem (za Zygmuntem Freudem tym razem), że jesteśmy również zwierzętami z nieprzepartą skłonnością *do racjonalizacji*, która jednak z *ratio*, czyli rozumem, ma niewiele wspólnego.

Żyjąc w społeczeństwach przesyconych nauką i technologią, możemy wyobrażać sobie, że wyrosliśmy już ponad mity, ale godzina poświęcona na lekturę dowolnego tabloidu, surfowanie po sieci albo oglądanie telewizji szybko uleczy nas z takich mrzonek i przekonamy się, że w dalszym ciągu posiadamy wszystkie osiem cech, o których mówiliśmy, a nasze mity wciąż mają się doskonale. Ludzie nadal są plotkarzami myślącymi w kategoriach etnicznych oraz religijnych stereotypów i niezmiennie uwielbiają ciekawe opowieści, które budzą podziw dla herosów, lęk, pożądanie, dumę (ze swoich) i uprzedzenia (do obcych). Mimo że nie żyjemy już w plemionach, trybalizm pozostaje naszym wyznaniem, przebrany w szatki przywiązania do narodowych armii i reprezentacji sportowych. Kult

bohaterów funkcjonuje nie tylko w wojsku i w sporcie, celebrycy go też show-business w muzyce oraz w filmach. Wciąż plenią się wokół ksenofobia i rasizm, o czym świadczą chociażby powszechność postaw antysemitycznych oraz islamofobia zakrawająca o paranoję.

Dzięki nowym technologiom i mediom elektronicznym kolportowanie stało się łatwiejsze i szybsze. Pojawiły się też całkiem nowe ich kategorie zwane „miejskimi legendami” („miejskimi mitami”), ale szczęśliwie są też ludzie, którym chce się z nimi walczyć. Efekty ich demaskatorskiej działalności można znaleźć w Internecie (zresztą nie tylko — Discovery Channel emituje seryjny program „Pogromcy mitów”, w którym prowadzący za pomocą nieskomplikowanych eksperymentów naukowych udowadniają absurdalność różnych krążących w sieci opowieści, na przykład o tym, że zrzucona z Empire State Building jednocentówka może zabić człowieka). Warto zauważyć, że wiele tych współczesnych mitów bezpośrednio wiąże się z kwestiami religijnymi — wielką karierę zrobiły na przykład w sieci opowieści o geologu, który, przeprowadzając wiercenia na Syberii, dowiercił się do piekła, o Projekcie „Drugie Przyjście” (próba odtworzenia DNA Jezusa na podstawie próbek pobranych z zachowanych relikwii), czy wreszcie o tym, że niektóre linie lotnicze nie powierzają jednocześnie funkcji pierwszego i drugiego pilota chrześcijanom (bo gdyby obu jednocześnie dostało wniebowzięcia, samolot by spadł). Miłośników takich historii odsyłamy do witryny snopes.com (albo do „Pogromców Mitów”), sami bowiem chcemy zająć się bliżej nieco poważniejszymi (groźniejszymi, chciałoby się powiedzieć w niektórych przypadkach) i powszechniejszymi mitami, które wciąż krążą w naszym świecie. Z grubsza obszar naszych zainteresowań można podzielić na cztery ogólne kategorie:

- Powszechne fałszywe przekonania o religii (i religiach).
- Przekonania o pochodzeniu różnych systemów religijnych sfalsyfikowane przez badania historyczne.
- Przekonania funkcjonujące wewnątrz konkretnych systemów wierzeń niezgodne z oficjalną doktryną danego wyznania.
- Fałszywe twierdzenia na temat wierzeń i praktyk różnych wspólnot religijnych akceptowane przez ludzi innych wyznań.

II. OGÓLNE MITY O RELIGIACH

- Wszystkie społeczeństwa mają religie
- Religia odnosi się do sfery duchowej
- Religia mówi o nadprzyrodzonym
- Religia to kwestia wiary i ufności
- Kult i modlitwa to kluczowy element religii
- Wyznanie to sprawa prywatna
- Nauka ostatecznie zastąpi religię
- Religia prowadzi do przemocy

WPROWADZENIE

Większość ludzi sądzi, że całkiem dobrze wie, czym jest religia. Większość tej większości wyrosła w określonej tradycji religijnej i tę właśnie tradycję uznaje za ogólny model tego, czym religia jest. Gdy stykają się z innym wyznaniem, wyszukują przede wszystkim (często powierzchownie) podobieństwa do własnego, a znalazłszy je, uznają to za potwierdzenie swych „religioznawczych” kompetencji. Innymi słowy — własna religia jest dla ludzi modelem, a może raczej stereotypem wszystkich innych. Problem w tym, że religii było w historii naszego gatunku bardzo wiele, a nawet dziś, jak podaje *World Christian Encyclopedia* (Barrett et al., 2001, vi), jest ich ponad dziesięć tysięcy (może przypomnijmy na wszelki wypadek, że czterdzieści parę tysięcy denominacji chrześcijańskich encyklopedia ta zalicza do jednej religii!) i bardzo się one od siebie różnią.

Na przykład Grecki Kościół Prawosławny i Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (mormoni) to Kościoły jednej religii — chrześcijaństwa — ale różniące się rozumieniem tego, co ich Bóg objawił ludziom, kim był Jezus, co dzieje się po śmierci i w jeszcze wielu innych kwestiach doktrynalnych. Spośród monoteistycznych tradycji Zachodu zwanych religiami Abrahamowymi — judaizmu, chrześcijaństwa i islamu — pierwsza nie uznaje Jezusa za mesjasza, druga uważa, że był mesjaszem i Bogiem jednocześnie, trzecia natomiast akceptuje jego mesjanizm (i nawet ideę powtórnego przyjścia), ale zdecydowanie nie uważa go za Boga. Jeszcze większe rozbieżności dostrzeżemy, gdy porównamy monoteistyczne religie Zachodu z hinduizmem i buddyzmem. W tradycjach Zachodu czas jest liniowy — Wszechświat ma początek i kiedyś się skończy, nic nie zdarza się dwa razy. Wielkie tradycje Wschodu uznają, że czas jest cykliczny — świat istniał zawsze i miliony razy był niszczone i kształtowany na nowo. Również każdy człowiek urodził się, żył i umarł niezliczoną liczbę razy, przechodząc proces reinkarnacji.

Tradycje Wschodu i Zachodu różnią się też tym, co uznają za ostateczną rzeczywistość. W judaizmie, chrześcijaństwie oraz islamie jest nią Bóg — stwórca świata, jego król i sędzia. To on rządzi Wszechświatem i on nadał mu przykazania, on osądzi każdego człowieka po śmierci (na podstawie tego, jak bardzo przestrzegał jego przykazań) i on go ukarze lub nagrodzi. W hinduizmie natomiast tą ostateczną rzeczywistością jest *brahman*, coś niezależnego od jakichkolwiek bogów. Jak

czytamy w Upaniszadach, najstarszych pismach hinduizmu, *brahman* jest tożsamy z *atmanem*, czyli jaźnią (umysłem), tak więc to indywidualna świadomość każdego człowieka jest ostateczną rzeczywistością. Buddyzm widzi to wszystko jeszcze inaczej — jego założyciel, Siddhartha Gautama, nie mówił nic o bogach, a jednocześnie odrzucił istnienie brahmana i atmana. Budda nauczał, że wszystko nieustannie się zmienia i żadna substancja nie istnieje wiecznie. Nawet kiedy człowiek myśli o samym sobie — o tym rdzeniu „ja”, które trwa dzień po dniu i rok po roku — to w istocie pada ofiarą złudzenia. Dla buddystów ostateczną rzeczywistością nie jest ani Bóg, ani brahman, ale stan umysłu, który nazywają nirwaną. To stan błogiej nieświadomości; błogiej ze względu na tę kompletną nieświadomość niczego. Coś na zasadzie snu bez snów. Kiedy człowiek osiąga nirwanę, uczą buddyjscy mistrzowie, przestaje być przywiązany do iluzji cierpienia i powtórnych narodzin czy też wiary w to, że jest trwającym bytem-substancją. Podczas gdy celem życia dla większości monoteistów (zaratusztrian, żydów, chrześcijan, muzułmanów, wyznawców bahaizmu) jest dostać się do nieba i być z Bogiem, buddyści dążą do osiągnięcia nirwany. Można powiedzieć, że jeśli monoteiści chcą, by ich pragnienia zostały spełnione, ludzie Wschodu dążą do nirwany, która oznacza ich anihilację. Buddyści posługują się w tym kontekście przypowieścią o świecy — jeżeli porównamy pragnienia do płomienia świecy, nirwana jest zgaszeniem tego płomienia.

Hinduizm pod pewnym względem bliższy jest zachodnim religiom, bo przynajmniej uznaje istnienie bogów, tyle że dalece nie jest to jeden Bóg tradycji monoteistycznych. Bóstw jest bowiem w tym wyznaniu 330 milionów. Liczby tej nie należy jednak traktować dosłownie, poza tym według tej religii to nie one stworzyły świat, nie one nim rządzą i nie interesuje ich żaden sąd ostateczny, dlatego też nie nagradzają ani nie karzą wiernych niebem albo piekłem.

Wizja życia po śmierci to kolejny element, który różni tradycje Zachodu i Wschodu. Religie naszego kręgu kulturowego zakładają, że człowiek żyje tylko raz, a żyje po to, by spełniać wolę bożą — czcić Boga i być mu posłusznym. Nieposłuszeństwo Bogu to grzech, który może on wybaczyć (lub nie). Po śmierci każdy zostaje osądzony i Bóg karze go lub nagradza w zaświatach — w ten sposób trafiamy do nieba lub piekła (przynajmniej według większości wyznań) i od tej pory albo na zawsze jesteśmy z Bogiem, albo na wieczność zostajemy przezeń odtrąceni. Wielkim Problemem życia jest więc oddzielenie od Boga (przez grzech), a Wielkim Rozwiązaniem zjednoczenie z nim — według chrześcijan na przykład poprzez pokutę i zbawienie. W hinduizmie oraz buddyzmie natomiast nie ma żadnych bożych przykazań, które decydowałyby o moralności — tworzy ją w tych tradycjach wbudowana w świat *karma*; naturalna sprawiedliwość. Dobre uczynki mają dobre skutki, złe prowadzą do zła. Żaden bóg nie jest potrzebny, by je osądzać, karać i nagradzać. Po śmierci natomiast czeka człowieka nie piekło albo niebo tylko reinkarnacja i kolejne życie.

Jak więc widać (a wskazaliśmy tu tylko kilka z poważnych rozbieżności), założenie, że wszystkie religie są podobne, jest wielce problematyczne. Tradycje, które nazywamy religiami, różnią się nie tylko w kwestiach światopoglądowych i w tym, co według nich jest prawdą, ale również zakresem „zainteresowań” — tym, jakie aspekty życia obejmują. Niektóre z tych wierzeń istotnie można scharakteryzować wskazując na przekonanie o istnieniu nadprzyrodzonej rzeczywistości oraz powiązane z nim rytuały i system wartości; dla innych tradycji jednak domeną religii jest całe życie jednostki oraz relacje społeczne — w tym prawo, zasady rządzenia, a nawet medycyna. Właśnie uświadomiwszy sobie te różnice, wielki dziewiętnastowieczny niemiecki uczyony Max Müller, uznawany za twórcę współczesnego religioznawstwa (*Religionswissenschaft*, *Religious Studies*), ostrzegał przed pokusą uogólnień. „Kto zna jedną religię — pisał — nie zna żadnej”.

W poniższym rozdziale postaramy się omówić kilka najczęściej spotykanych mitów (fałszywych przekonań) o naturze religii, z których większość wynika właśnie z przyrodzonej ludzkiej skłonności

do tworzenia uogólnień i ulegania stereotypom oraz przenoszenia ich na zupełnie inny kontekst kulturowy.

WSZYSTKIE SPOŁECZEŃSTWA MAJĄ RELIGIĘ

Różne religie opierają się na różnych zestawach wierzeń, ale religię w jakiejś postaci można odnaleźć we wszystkich ludzkich społecznościach.

Ashley Crossman

Pojęcie „religie świata” weszło do powszechnego obiegu po obradach (pierwszego) Parlamentu Religii Świata, które odbyły się w Chicago w roku 1893. Skład owego „parlamentu” trudno uznać za reprezentatywny. Jak łatwo się domyślić, zdecydowanie dominowali w nim chrześcijanie, w miarę liczna była też grupa żydowska, natomiast już islam reprezentowany był tylko przez jednego wyznawcę (*nota bene* Amerykanina). Bardzo zróżnicowana tradycja religijna Indii także miała jednego przedstawiciela, podczas gdy w obradach uczestniczyło trzech mistrzów znacznie bardziej zhomogenizowanego buddyźmu. Nieobecne były lokalne religie obu Ameryk, Afryki, Australii i Oceanii. Trudno się zatem dziwić, że od czasu ukonstytuowania się owego Parlamentu przyjęto, że religie świata to judaizm, chrześcijaństwo, islam, hinduizm, buddyzm, konfucjanizm i taoizm. W podręcznikach i opracowaniach z zakresu religioznawstwa czasem nazywa się je „wielką siódmką” i to właśnie te religie uznaje się za „modelowe”, na podstawie których tworzone są liczne generalizacje.

Taki wybór spotyka się współcześnie z coraz większymi oporami ze strony naukowców. Część z nich kwestionuje na przykład sam skład „wielkiej siódmki”, wskazując, że w żadnym wypadku nie można tych akurat wyznań uznać za „religie świata”. Nie pozwala na to chociażby liczba ich wyznawców — przykładowo, shintoistów i sikhów jest wielokrotnie więcej niż żydów. Odpada też argument, że w tym gronie powinien znaleźć się judaizm, bo to z niego wyrosły dwa najliczniejsze wyznania współczesnego świata, czyli chrześcijaństwo oraz islam. Gdyby bowiem brać pod uwagę takie „genetyczne” kryterium, w gronie wyróżnionych musiałby znaleźć się też zoroastryzm, którego wpływ na wszystkie trzy religie tzw. Abrahamowe jest bezdyskusyjny. Również kryterium geograficzne się nie sprawdza — można spotkać się z twierdzeniem, że parlament zamierzał „uhonorować” religie wyznawane w różnych częściach świata, ale w takim razie dlaczego w siódmce znalazły się i konfucjanizm, i taoizm.

Ważniejsze jednak, że określenie „religie świata” zawiera w sobie ukryte założenie, że wszystkie społeczeństwa wykształciły coś na kształt religii, podobnie jak każde z nich posługuje się (bardzo często własnym) językiem. (Müller, pisząc, że „kto zna jedną [religię], nie zna żadnej”, zaczerpnął tę frazę właśnie z językoznawstwa). Takie spojrzenie na religię może istotnie sprawia, że ludzie stają się bardziej tolerancyjni wobec innych wyznań, co jednak w niczym nie przeszkadza, by równocześnie uznawali, że spośród wszystkich światowych religii ta, którą praktykują, jest najlepsza i najprawdziwsza (a raczej jedyna prawdziwa — czemu trudno się dziwić, bo gdyby nie była, dlaczego właśnie ją mieliby wyznawać).

W każdym razie warto wiedzieć, że dla współczesnych uczonych twierdzenie, że inne kultury są odpowiednikiem tego, czym jest religia w naszej własnej kulturze, jest co najmniej dyskusyjne. Wątpliwości budzi chociażby fakt, iż teza, że wszystkie społeczeństwa mają jakąś religię, wymaga przyjęcia założenia, że zawsze da się odróżnić te aspekty życia, które kategoryzujemy jako „religijne”, od tych, których do tej kategorii nie włączamy. Innymi słowy, że są takie sfery życia, które niejako z definicji są „niereligijne”. W rzeczywistości jednak taki podział nawet dziś powszechnie nie występuje, a praktycznie nigdzie nie mieliśmy z nim do czynienia przed rokiem z grubsza 1500.

W wielu językach nie ma zresztą słowa „religia” (nie pojawia się ono też w Biblii ani w Koranie), a znamy sporo przykładów ludów (na przykład liczne plemiona indiańskie w Ameryce), które w ogóle nie uznają, by ich wiara mogła być czymś oddzielnym od codziennego życia.

Wśród historyków dość powszechnie panuje dziś zgoda, że określenie „religia” pojawiło się w Europie na przełomie XV i XVI wieku i służyło rozdzieleniu domen władzy kościelnej oraz świeckiej. *Religia* miała być przeciwieństwem *polityki*, którą uprawiali cesarze i królowie, chcieli oni jednak mieć w swojej domenie władzę nie mniejszą niż we własnej posiadał papież i jego biskupi. Żeby stworzyć państwa (zwłaszcza państwa narodowe) monarchowie musieli mieć monopol na legalne użycie siły i przemocy (co jest jednym z wyznaczników nowoczesnego państwa), a to wymagało, by przywódcy religijni zrezygnowali ze swoich ambicji do zwierzchnictwa militarnego i tworzenia własnych armii, jakie przejawiali choćby w dobie krucjat. Z czasem królowie i cesarze zaczęli domagać się pełnej kontroli nad wszystkimi sprawami „tego świata”, nad sferą świecką (łacińskie *saeculum*, czyli wiek, odnosiło się do zwykłego czasu). Chcieli sami tworzyć i egzekwować prawa, pobierać podatki, regulować zasady prowadzenia handlu, a nie tylko prowadzić wojny. Oznaczało to, że zaczęli oczekiwać od władz kościelnych, że będą się one trzymać z dala od polityki, a swą aktywność ograniczą do spraw „innego” świata, do spraw wiecznych. Odtąd Kościoły miały interpretować Pismo, dbać o doktrynę wiary i o rytuały. To były obszary święte (czy uświęcone) w chrześcijaństwie i tym właśnie miała stać się *religia*.

Słowo „religia” nie było w początkach XVI wieku neologizmem, tyle że łacińskie *religio*, używane już w starożytności i w średniowieczu, miało zupełnie inne znaczenie — odnosiło się do wypełniania powinności społecznych wszelakiego typu — wobec Boga, ale też wobec rodziny, bliźnich czy rządzących. *Religio* było zatem cnotą we wszystkich obszarach życia. Kiedy około roku 1200 słowo to weszło do angielszczyzny, nabrało już innego znaczenia. Jak można się dowiedzieć z *Oxford English Dictionary*, angielskie *religion* oznaczało wówczas „życie regulowane ślubami zakonnymi”. Angielscy chrześcijanie pisali zatem wtedy o różnych „religiach” benedyktyńskich mnichów i franciszkańskich zakonników lub dominikanów (Cavanaugh 2009, 64). Z czasem dopiero przeewoluowało ono do znaczenia, które nadajemy mu dzisiaj — to te aspekty życia, nad którymi zwierzchność ma Kościół.

Żeby wzmocnić własną władzę, cesarze, królowie i książęta zaczęli tworzyć specjalne prawa i traktaty, jak choćby słynny Pokój Augsburski z 1555 roku, który wprowadził do Europy regułę *Cuius regio, eius religio* — czyja władza, tego religia. Rzecz jasna próby odebrania Kościołom panowania nad życiem doczesnym nigdy nie zakończyły się pełnym sukcesem i instytucje te zachowały zwierzchność polityczną jeszcze przez długie stulecia. Rzymski papież był władcą absolutnym Państwa Papieskiego do roku 1870 i posiadał pełną kontrolę nad sporą częścią Półwyspu Apenińskiego, do dziś zresztą jest on głową państwa Watykan. Niemniej od czasów odrodzenia i reformacji w Europie ukonstytuowało się już rozróżnienie między religią a polityką.

Gdy europejscy chrześcijanie rozpoczęli podbój kolonialny Afryki i Azji, zabrali ze sobą swój język i jego kategorie zaczęli stosować do społeczeństw, które tam zastali. Wtedy właśnie stworzyli takie pojęcia jak „hinduizm”, „buddyzm”, „konfucjanizm” czy „taoizm”. Skategoryzowali wierzenia i filozofie, z którymi się zetknęli (te wielkie i tysiące pomniejszych), jako odrębne gatunki należące do rodzaju *religia*, na tej samej zasadzie co klasyfikujemy zwierzęta — lwy (*Panthera leo*) i tygrysy (*Panthera tigris*) należą do rodzaju *Panthera*. Jak zwrócił uwagę w roku 1962 w przełomowej pracy *The Meaning and End of Religion* Wilfred Cantwell Smith, przeniesienie europejskich koncepcji religii w zupełnie inne otoczenie kulturowe kompletnie zniekształciło to, co żyjący tam ludzie istotnie robili, myśleli oraz mówili. Zanim Brytyjczycy podbili Indie, mieszkańcy tego subkontynentu nie znali pojęcia „religia” i nie wiedzieli też, że są „hinduistami”. Słowa „hindu” i „hinduizm” pojawiły się dopiero w XIX wieku.

Wcześniej Hindusi identyfikowali się poprzez wiele różnych kryteriów — pochodzenie, rodzinę, zawód, położenie społeczne, zapewne również przez święte pisma, do których odwoływali się w codziennym życiu, a także bóstwa oraz bogów, którym oddawali cześć i na których opiekę liczyli w różnych aktywnościach. Te różne tożsamości były jednak powiązane i każda z nich była integralną częścią życia, nie istniała natomiast żadna wyodrębniona sfera, którą ktokolwiek nazywałby „religią”. Zróżnicowane tradycje nie były też nigdy wcześniej określane jednym wspólnym terminem — jako „hinduizm” — ani nie doszukiwano się łączących te religie elementów, takich jak wspólny założyciel, kredo, teologia czy zasady organizacji. Być może najsilniejszą wspólną charakterystyką mieszkańców tych ziem (poza tym, że wszyscy wywodzili się z Półwyspu Indyjskiego, stąd zresztą słowo „Hindus” i jego pochodne, takie jak „hinduista”) było to, iż nie byli oni żydami, chrześcijanami ani muzułmanami. Zresztą sam termin „hinduizm” według części historyków pojawił się w obiegu oficjalnym dopiero w roku 1871, gdy brytyjska administracja kolonialna zdecydowała się przeprowadzić na subkontynencie pierwszy spis powszechny, w którym pytano też o wyznanie.

Również „buddyzm” jest czysto europejskim wynalazkiem — to pojedyncze pojęcie, które w istocie ma oddawać to, co setki milionów ludzi robiły przez dwa i pół tysiąca lat, co więcej, z góry zakładając, że jest to „religia”. Tymczasem Siddhartha Gautama, zwany później Buddą — Oświeconym, niekwestionowany „założyciel” buddyzmu, nie mówił nic o Bogu (ani bogach), duszy, piekle, niebie, zbawieniu, ani zdecydowanej większości innych rzeczy, które w tradycji Zachodu w naturalny sposób kojarzą się z religią. Jego nauki koncentrowały się przede wszystkim na wszechobecności cierpienia oraz na tym, jak go unikać. Bardzo podobne pytania nurtowały część myślicieli starożytnej Grecji, tyle że ich nazywamy filozofami, a ich nauk nie określamy mianem „religii”. Zresztą dziś na niektórych uniwersytetach buddyzm wykładany jest właśnie na wydziałach filozofii, a metody opracowane przez Buddę są klasyfikowane jako „psychologia samopomocy”. Nic w tym dziwnego, bowiem rdzeń jego przekazu był właśnie psychologiczny. Podstawę nauk Buddy tworzą Cztery Szlachetne Prawdy, które bywają czasem streszczane następująco:

- Życie jest pełne cierpienia.
- Źródłem cierpienia jest pragnienie.
- Można uniknąć cierpienia, rezygnując z pragnień.
- Jak to osiągnąć, ukazuje Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Podobnie jednak jak Cztery Szlachetne Prawdy, tak i Ośmioraka (Ośmioaspektowa, Ośmiokrotna, Ośmiostopniowa... — pojęcie to bywa różnie przekładane; przyp. tłum.) Ścieżka nie mówi nic o świecie nadprzyrodzonym. Te osiem „aspektów” to: właściwy pogląd, właściwe postanowienie, właściwa mowa, właściwe działanie, właściwy żywot, właściwe dążenie, właściwe skupienie, właściwa medytacja. Ludzie powinni starannie przemyśleć swoje cele, nastawić umysł na ich osiągnięcie, podporządkować temu swe słowa i czyny, wybrać właściwą ścieżkę kariery i trzymać się jej, a wreszcie być skoncentrowani na obranych celach i unikać pokus, które odciągają ich od wybranej drogi. I to właśnie Europejczycy nazwali religią.

„Konfucjanizm” również często uznawany jest dziś za filozofię, a nie za religię, i nic dziwnego, bowiem głównym przedmiotem jego zainteresowania są relacje społeczne i zasady rządzenia. Zresztą aż do przejścia władzy w Chinach przez komunistów kandydaci na rządowe posady w Kraju Środka musieli zdawać egzamin z konfucjanizmu. Twórca tej doktryny, podobnie jak Budda, nie zajmował się żadnymi nadprzyrodzonymi bytami, stanami i relacjami, takimi jak bogowie, dusze bądź życie wieczne. Dzieło Konfucjusza było usystematyzowaniem obecnych wcześniej w chińskiej kulturze poglądów na stosunki międzyludzkie (w tym z rodzicami) i relacje między władzą a poddanymi — to one były dla niego podstawą wielkiego systemu obejmującego cały kosmos — a jego nauki mówiły

przede wszystkim o tym, jak w życiu osiągnąć równowagę i harmonię z Wszechświatem. Znajdziemy zatem u niego wiele rozważań o edukacji, pracy, sztuce, sposobie rządzenia, ale ani słowa o duszy... To jednak nie stanowiło najmniejszej przeszkody dla chrześcijańskich misjonarzy, a potem europejskich uczonych, by stworzyć kategorię „konfucjanizm” i przyjąć, że to kolejny gatunek należący do rodzaju *religia*.

Na podobnej zasadzie wielka liczba innych tradycyjnych chińskich idei i praktyk została wrzucona do wspólnego worka z etykietką „taoizm” i uznana za kolejną „religię”. Nikomu nie przeszkadzało najwyraźniej to, że sami Chińczycy zwykle nie określają się jako albo konfucjaniści, albo taoiści, bowiem realizują na co dzień różne elementy obu tych tradycji i praktykują rytuały każdej z nich, czasem zresztą równoległe z elementami buddyzmu. Z tego względu część badaczy posługuje się dla określenia tego współistnienia w Chinach konfucjanizmu, taoizmu i buddyzmu określeniem „trzy nauki” (*San Jiao*), aby podkreślić fakt, iż wspólnie dają one receptę na osiągnięcie harmonii i szczęśliwego życia.

Jak więc widzimy, pojęcie *religia* jest stosunkowo nowe i w znacznym stopniu zostało stworzone po to, by pomóc europejskim monarchom odróżnić tę władzę, jaka im jest należna, od władzy, jaką mają mieć Kościoły. Tyle że taki podział świata na sferę *sacrum* i *profanum*, na to, co religijne i co świeckie, nie jest uniwersalny. W wielu kulturach nic takiego się nie wytworzyło. Dlatego właśnie „religia” nie jest powszechnikiem ludzkich społeczności — w odróżnieniu od „języka” i „posługiwania się narzędziami”. Te można istotnie wskazać we wszystkich znanych ludzkich społecznościach — religia nie ma takich odpowiedników ani w każdej epoce (w czasie), ani w każdej kulturze (w przestrzeni). W tej sytuacji zupełnie zrozumiałe jest, że naukowcom nie udało się jak dotąd stworzyć niekontrowersyjnej definicji, która faktycznie obejmowałaby przynajmniej chrześcijaństwo, judaizm, islam, hinduizm, buddyzm, konfucjanizm i taoizm (nie wspominając już o ponad dziesięciu tysiącach innych „religii”, bo, na co zwróciliśmy już uwagę, mniej więcej tyle się ich dziś wyróżnia). Jeszcze w XIX wieku próbowano określać religię jako więź z Bogiem (lub bogami), tyle że przy takiej definicji poza kategorię wypadają na przykład buddyzm therawada, konfucjanizm, taoizm oraz wiele innych tradycji niepostulujących istnienia bogów. Buddyzm therawada zaś, nie przypadkiem zwany Doktryną Starszych, to najstarsza postać buddyzmu i jednocześnie najbliższa oryginalnym naukom samego Buddy. W tej wersji buddyzmu bogowie nie występują, acz istotnie pojawili się już w odmianach późniejszych, takich jak buddyzm mahajana. Jeszcze bardziej mgliste definicje religii, jakie formułowano, odwołujące się z kolei do ich związku z „transcendencją”, też się nie sprawdziły i to z podobnych powodów. Buddyzm therawada nie mówi nic o rzeczach „nie z tego świata”, tak samo zresztą konfucjanizm. Na analogiczne problemy napotykamy zresztą i w naszym kręgu kulturowym — starożytni Grecy bez wątplenia mieli swoich bogów, ale nie były to raczej istoty, które uznać by można za transcendentne — Zeus i Hera mieli fizyczne ciała mężczyzny oraz kobiety i zamieszkiwali bardzo materialną górę Olimp.

Próby stworzenia sensownej i rzeczywiście inkluzywnej definicji religii były też podejmowane później. Bardzo znany religioznawca Ninian Smart (1999) zidentyfikował na przykład siedem definicyjnych aspektów religii, uznając za kluczowe jej elementy: tożsamość społeczną (grupową), etykę, rytuały, mity, doktrynę, doznania emocjonalne oraz święte (sakralne) obiekty i miejsca. Nieco wcześniej zmarły w 1965 roku teolog Paul Tillich próbował w inny sposób wykroczyć poza definicje kultów skażone zachodnim monoteizmem, analizując religię jaką tę sferę, która dla ludzi jest kwestią „troski ostatecznej” (*ultimate concern*). Wielu badaczy usiłowało rozwijać tę koncepcję, ale w tym przypadku okazało się, że taka definicja jest zdecydowanie za szeroka — są ludzie, dla których ową „troską ostateczną” jest sztuka, muzyka, bogactwo, a nawet piłka nożna, a raczej niewielu

religioznawców życzyliby sobie, by te domeny ludzkiej aktywności stały się przedmiotem zainteresowania ich dyscypliny. Część naukowców w tej sytuacji w ogóle zrezygnowała z posługiwania się terminem „religia”. Wielu z nich zdecydowało się na ten krok pod wpływem prac wielkiego pioniera dwudziestowiecznego religioznawstwa Wilfreda Cantwella Smitha, który zwrócił uwagę, że samo pojęcie „religia” to konstrukt czysto zachodniej proveniencji, który redukuje całe spektrum ludzkich doświadczeń do „systemu obrządków i wierzeń” (Smith 1962, 29).

Ta niejednoznaczność i płynność pojęcia „religia” sprawiła, że dziś naukowcy posługują się nim z dużą ostrożnością, często zresztą — zwłaszcza pisząc o innych wyznaniach niż chrześcijaństwo — zastępując je określeniem „tradycja”. Niektórzy poszli nawet o krok dalej i proponują w ogóle odrzucenie kategorii identyfikujących konkretne wyznania na korzyść typologii opartej o „typ religijności” i „typ niereligijności”. Zamiast rozróżniać ludzi jako żydów, chrześcijan czy muzułmanów, sugerują wyznawcy tej szkoły, lepiej wiedzieć, czy są oni dogmatykami lub fundamentalistami, czy raczej sceptykami. U podłoża tej propozycji leży hipoteza, że fundamentaliści religijni (obojętnie, czy spod znaku krzyża, czy półksiężyca) mogą mieć ze sobą znacznie więcej wspólnego niż ze swoimi sceptycznie (lub przynajmniej „bardziej liberalnie”) nastawionymi nominalnymi współwyznawcami. To interesująca koncepcja, jednak raczej trudno liczyć na to, by zyskała powszechną akceptację, choćby z racji tego, jak istotne mogą być psychologiczne i społeczne konsekwencje tożsamości religijnej. Niemniej takie podejście również ukazuje, jak dalece złożoną kategorią pojęciową jest „religia”.

RELIGIA ODNOŚCI SIĘ DO SFERY DUCHOWEJ

Kocham cię, gdy bijesz pokłony w swoim meczecie, klęczysz w swoim kościele czy odprawiasz modły w swojej świątyni. Bo ty i ja jesteśmy synami jednej religii, a tą religią jest duch.

Khalil Gibran

Religia odnosi się do sfery duchowej — to pogląd powszechny i blisko powiązany z przekonaniem, że religię zawsze można oddzielić od innych sfer życia. Jak już wiemy, to założenie sprawdza się w przypadku niektórych kultów, ale na pewno nie wszystkich i nawet nie wobec większości. Określenie „duchowe” w naturalny sposób przenosi nas do sfery ducha, czyli tego, co niematerialne. Potwierdzają to zresztą jego słownikowe definicje. Jeśli tak, to taka postulowana „duchowość” religii oznaczałaby, że jej domena, jak również nauki i obiekt kultu, wiążą się ściśle ze sferą tego, co „niematerialne”. O tym właśnie mówi nasz mit.

Dla współczesnych chrześcijan taki podział jest całkiem zrozumiały i doskonale koresponduje ze znanym im z kościelnego nauczania rozróżnieniem na materialne ciało i niematerialną duszę. Chrześcijańscy kapłani w końcu nie przypadkiem często twierdzą, że ich zadaniem jest troska o zbawienie dusz, bo tylko ta niematerialna część człowieka jest dla nich ważna i to właśnie ona, gdy opuści już ziemską powłokę, spędzi wieczność w piekle lub niebie. Ten podział na materialne ciało i niematerialną duszę ma w zachodnim chrześcijaństwie korzenie głównie średniowieczne, choć teologowie, którzy nadali mu nowy wymiar, tacy jak Augustyn z Hippony czy Tomasz z Akwinu, pozostawali pod wpływem filozofii greckiej, zwłaszcza Platona, który uważał, że to właśnie dusza (a nie ciało) jest ośrodkiem świadomości i tożsamości. Ten pogląd z czasem stał się podstawą *dualizmu*, czyli przekonania, zgodnie z którym poza materialnym ciałem, które podlega zmianom i stanowi element tego świata, istnieje też niematerialny element człowieczeństwa (duch, dusza *etc.*), decydujący o naszej unikalnej tożsamości. W odróżnieniu od materialnego ciała, uczył Platon, dusza jest nieśmiertelna. Średniowieczni teologowie poszli o krok dalej i taki „duchowy” (niematerialny) status

przypisali też chrześcijańskiemu Bogu, aniołom i diabłom.

Przyjąwszy rozróżnienie duchowe/materialne, chrześcijanie mogli mówić o „życiu duchowym” (i „życiu wiecznym”) jako czymś kompletnie odrębnym od „życia doczesnego” (materialnego). „Duchowość” i „uduchowienie” stały się określeniem porządku innego niż rzeczywistość tego świata. W wielu tradycjach jednak taki podział na duchowe/materialne faktycznie nie występuje. Liczne religie obu Ameryk i kontynentu afrykańskiego, w tym animizm, opierają się na założeniu, że wszystko, co istnieje, ma własną „duszę” („ducha”) — również drzewa i skały. W tych wierzeniach nie istnieje żadna „duchowa” rzeczywistość odrębna od materialnej.

Również tradycyjne chińskie religie w niewielkim jedynie stopniu odwołują się do „duchowości”. Przez dwa i pół tysiąca lat taoizm i konfucjanizm uczyły ludzi, na jakiej zasadzie zorganizowany jest Wszechświat, jak powinny być urządzone społeczeństwo i rodzina oraz w jaki sposób ludzie mają odnosić się do siebie; żadna duchowość ani dusza nie były im do tego potrzebne. Kluczowym pojęciem taoizmu jest Tao, czyli „Droga”. Tao jest procesem/zjawiskiem naturalnym, a „Drogą” człowiek powinien podążać. Taoizm oferuje całościową, holistyczną wizję świata i nie czyni żadnego radykalnego rozróżnienia między materialnym a niematerialnym. Podobnie konfucjanizm — nauki Konfucjusza to propozycja systemu etycznego, zgodnie z którym ludzie powinni się szanować oraz troszczyć się o siebie nawzajem. Najwyższą cnotą w taoizmie jest *wu-wei*: życie zgodne z Tao („Drogą” kosmosu). I w taoizmie, i w konfucjanizmie Tao jest wszechobecne, przenika całą rzeczywistość i jest we wszystkim, co nas otacza — nie tworzy żadnej odrębnej, niematerialnej rzeczywistości.

Zresztą taka odrębność i niematerialność sfery duchowej nie jest oczywista nawet w najstarszych księgach Biblii. Przyjrzyjmy się choćby temu, jak Stary Testament, czyli hebrajska Biblia, opisuje Boga. Zgodnie z Księgą Rodzaju Stwórca jest bez wątpienia mężczyzną; dzieło stworzenia zabrało mu sześć dni, a siódmego postanowił odpocząć:

Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą. A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił. (Rdz 2,7–8)

Jak czytamy, potem, kiedy Adam i Ewa zjedli owoc z zakazanego drzewa:

Gdy zaś mężczyzna i jego żona usłyszeli kroki Pana Boga przechadzającego się po ogrodzie, w porze kiedy był powiew wiatru, skryli się przed Panem Bogiem wśród drzew ogrodu. Pan Bóg zawołał na mężczyznę i zapytał go: „Gdzie jesteś?”. (Rdz 3,8–9)

Trudno uznać, by był to opis „duchowego” (ergo — niematerialnego) Boga. Wszak niematerialny Bóg nie mógłby ulepić człowieka z prochu, dmuchnąć mu w nos („tchnąć życie”), zasadzić drzew ani przechadzać się po ogrodzie przy chłodnej bryzie. Zresztą w Księdze Rodzaju jest powiedziane wprost: „Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam” (Rdz 1,26), i takie czysto fizyczne opisy Boga znajdujemy rozsiane w całej Biblii. W Księdze Wyjścia (33) Bóg mówi Mojżeszowi, że nie zobaczy jego twarzy, ale ujrzy go z tyłu; zapowiada też, że położy na nim rękę. W Księdze Psalmów (18,8) czytamy, że Bóg „zapłonął gniewem”, wskutek czego „uniósł się dym z Jego nozdrzy, a z Jego ust — pochłaniający ogień”, a gdy do tego Stwórca jeszcze „zstąpił z niebios”, „wypuścił strzały” i „cisnął błyskawice”, zdecydowanie pomogło to Izraelitom wygrać bitwę z Amorytami. Niebo — miejsce, w którym zamieszkuje biblijny Bóg — to dokładnie to samo niebo, które widzimy nad nami, a nie żadna odrębna i oddzielna przestrzeń. Bardzo często opisywane jest jako miasto, w którym Bóg zasiada na tronie, otoczony przez swoich dworzan — anioły (Ps 103,19–21; Hi 1,6). Izajasz prosi Boga: „Spojrzyj z nieba i patrz z Twej stolicy, świętej i wspaniałej!” (Iz 63,15). Bóg jest E_1 ‘Elyo_n, „Najwyższym”, bo żyje w najwyższym miejscu. Stąd, z góry, najłatwiej mu oglądać, jak radzą sobie stworzeni przezeń ludzie: „Pan patrzy z nieba, widzi wszystkich synów ludzkich. Spogląda z miejsca,

gdzie przebywa, na wszystkich mieszkańców ziemi” (Ps 33,13–14). Nawet jednak przebywając w niebie, może robić różne rzeczy dla ludzi — na przykład zesłać ogień na ołtarz (1 Krn 21,26; 2 Krn 7,1).

Skoro w hebrajskiej (czyli również chrześcijańskiej) Biblii Bóg nie jest opisany jako istota niematerialna, nic dziwnego, że jego aniołowie (jakoż i diabły) również posiadają materialne ciała. Trzech bożych posłańców, którzy odwiedzili Abrahama (Rdz 18–19), na zmianę nazywanych jest „mężami” i „aniołami”. Gdy Bóg wysłał swoje anioły do Lota do Sodomy, ci przyjmują zaproszenie na posiłek. A gdy już „[...] posilili się [...] mieszkający w Sodomie mężczyźni, młodzi i starzy, ze wszystkich stron miasta, otoczyli dom, wywołali Lota i rzekli do niego: «Gdzie tu są ci ludzie, którzy przyszli do ciebie tego wieczoru? Wyprowadź ich do nas, abyśmy mogli z nimi poswawolić!»” (Rdz 19,1–5). Zatem musiały to być istoty zdecydowanie cielesne (materialne), a nie „duchowe”.

W Nowym Testamencie też można znaleźć kilka takich miejsc, które wskazują, że anioły i ludzi (mężczyzn oczywiście) trudno jest od siebie odróżnić. We wszystkich czterech ewangeliach czytamy, że gdy Maria Magdalena i inne kobiety udały się rankiem do grobu, usłyszały tam, że ich Pan zmartwychwstał. Tyle że u Mateusza powiedział im to „anioł Pański [który] zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg” (Mt 28,2–3), u Marka usłyszały tę nowinę od „młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w białą szatę” (Mk 16,5), u Łukasza zaś było to już „dwóch mężczyzn w lśniących szatach” (Łk 24,4), którzy jednak przez Jana opisani zostali jako „dwóch aniołów w bieli” (J 20,12). Podobnie jak anioły, tak i diabły („złe duchy”) przedstawione są w Biblii — również w Nowym Testamencie — jako istoty fizyczne, a przynajmniej mające czysto fizyczną lokalizację. Łukasz opisuje, że kiedy Jezus egzorcyzmował opętanego, „złe duchy wyszły z człowieka i weszły w świnię, a trzoda ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora i utonęła” (Łk 8,33). Były zatem w konkretnym miejscu (osobie) i mogły przenieść się gdzie indziej, z człowieka do świni.

Poza Bogiem, aniołami i duchami, którym od pewnego momentu chrześcijańscy teologowie zaczęli przypisywać czysto duchową egzystencję, takim duchowym, a na pewno nie materialnym bytem stała się też dla nich dusza. Ta idea również nie jest jednak w pełni zgodna z tym, co czytamy w Biblii. Dusza to coś, co czyni żywym. W hebrajskim określa się ją słowem *nefesh* lub *ruah*, w grece to *spire* i *pneuma*. Te słowa oznaczają też wiatr, oddech, ruch powietrza. Jak pamiętamy, Bóg ożywił Adama tym, że „tchnął w jego nozdrza tchnienie życia” (Rdz 2,7). Jeśli ten opis traktujemy dosłownie, musimy przyjąć, że dusza na pewno jest czymś znacznie bardziej ulotnym niż ciało i kości, niemniej wciąż musi być czymś materialnym.

Wracając zaś do mitu, którym się tu zajmujemy. Jak już wiemy, nie tylko istnieje bardzo wiele — zapewne tysiące — systemów religijnych, które w ogóle nie interesują się bytami i obiektami „duchowymi” (w sensie niematerialnymi), ale nawet jedna z tych religii, które dziś kładą największy nacisk na duchowość i odcinają się na wszelkie sposoby od materializmu — chrześcijaństwo — u swych początków Bogu, aniołom i duszy nadawała materialne atrybuty.

RELIGIA MÓWI O NADPRZYRODZONYM

Religia: wiara w Boga, w bóstwa, w siły nadprzyrodzone [...]

Słownik języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego

Wielu ludzi sądzi — i tak mogą też przeczytać w słownikach — że religia „z definicji” odnosi się do sfery „nadprzyrodzonej” bytów i zjawisk takich jak Bóg (bogowie), cuda, diabły i anioły. Skoro coś jest NADprzyrodzone (czyli NADnaturalne), musi być „powyżej” naturalnego; musi być od niego lepsze

(w języku angielskim widać to od razu — nadprzyrodzone (nadmaturalne) to *supernatural*; przyp. tłum.). Świat naturalny objaśniają nam fizyka, chemia i biologia, działają w nim prawo ciężenia i prawa zachowania energii — świata nadmaturalnego takie ograniczenia nie dotyczą. Tu nauka nie ma nic do powiedzenia. Ludzie zresztą często wyjaśniają, że wiara przemawia do nich tak mocno właśnie dlatego, że nauka nie może wyjaśnić *wszystkiego*. Poza tym „naturalnym” światem, który może i potrafi opisać nauka, musi zatem istnieć jakiś inny i to w niego właśnie wierzą. Można usłyszeć na przykład, że cuda zdarzają się wtedy, gdy Bóg decyduje się złamać któreś z praw nauki po to, by ukazać swoją moc i/lub spełnić czyjeś modlitwy.

Taki opis pasuje całkiem dobrze do wielu współczesnych wersji chrześcijaństwa, judaizmu i islamu, ale już nie do tysięcy innych religii, i to zarówno historycznych, jak współczesnych. Nie do końca zresztą nawet koresponduje z tym, czym były religie Abrahamowe przed narodzinami współczesnej nauki, a więc przed przełomem XVII i XVIII wieku. W każdym razie twierdzenie, że religia *musi* wiązać się przede wszystkim z „nadprzyrodzoną” rzeczywistością, jest co najmniej nieprecyzyjne.

Zacznijmy może od tego, że spośród około dziesięciu tysięcy znanych dziś religii większość nie czyni rozróżnienia między naturalnym a nadprzyrodzonym (nadmaturalnym), a w wielu językach nie ma nawet słowa, które byłoby odpowiednikiem naszego „naturalny”. U licznych ludów i plemion Afryki, Australii i obu Ameryk rośliny, zwierzęta i ludzie są takim samym elementem świata jak czarownice, bogowie, duchy i upiory. Nie istnieje tam „nauka”, która zajmowałaby się wyjaśnianiem „zjawisk naturalnych” i nie ma żadnej „nadmaturalnej” rzeczywistości, której taka nauka nie byłaby w stanie wyjaśnić. Bogowie, jak również duchy i upiory, mogą oczywiście dysponować jakimiś „nadludzkimi”, niedostępnymi ludziom umiejętnościami i mocami — albo umiejętnościami i mocami znacznie przekraczającymi ludzkie — ale to nie czyni z nich mieszkańców nadprzyrodzonego świata; świata innego niż ten, w którym żyją rośliny, zwierzęta i ludzie. Choćby w animizmie (a takie religie były niegdyś powszechne i mają wciąż na świecie setki tysięcy wyznawców) przyjmuje się, że wszystko, co istnieje — również skały i rzeki — ma „duszę”. W takich religiach nie ma podziału na rzeczywistość „naturalną” i nadprzyrodzoną.

W wielkich religiach Indii i Chin rozdzielenie między naturalnym a nadprzyrodzonym również rzadko występuje, a przynajmniej przybiera zupełnie inny kształt niż w religiach Zachodu. W hinduizmie na przykład szczególny, „święty” status ma krowa, a Hanuman, małpa, jest jedenastym awatarem boga Sziwy i głównym bohaterem religijnego eposu *Ramajana*. Czy krowa lub Hanuman (małpa) to dla hinduisty istoty nadprzyrodzone — takie pytanie po prostu nie ma sensu. Również centralne pojęcie i wierzenie hinduizmu, czyli reinkarnacja (powtórne narodziny), nie jest żadnym nadprzyrodzonym zjawiskiem dla wyznawców tej religii. To po prostu coś, co zawsze dzieje się z człowiekiem po śmierci.

Siddhartha Gautama, czyli człowiek, który został Buddą (Oświeconym), nie nauczał o duchach, bogach ani jakichkolwiek „nadprzyrodzonych” istotach. Jak już wiemy, jego Cztery Szlachetne Prawdy mówią o tym, jak wieść dobre życie, a Ośmioraka Ścieżka ukazuje, jak ludzie powinni myśleć i działać, by osiągnąć zamierzone cele: właściwy pogląd, właściwe postanowienie, właściwa mowa, właściwe działanie, właściwy żywot, właściwe dążenie, właściwe skupienie, właściwa medytacja. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, podobnie jak w trzech podstawowych cnotach, które buddyści w sobie kultywują: *maitri* (uczucie przyjaźni do wszystkich stworzeń), *ahinsa* (nieszkodzeniu nikomu) i *karuna* (współczucie). Podobnie jak hinduiści wierzą oni w reinkarnację, ale dla nich też nie jest ona żadnym zdarzeniem nadprzyrodzonym. Nirwanę — stan wyzwalający z cierpienia i z konieczności powtórnych narodzin — człowiek osiąga żyjąc zgodnie z Ośmioraką Ścieżką i praktykując buddyjskie cnoty. Znow nic nadprzyrodzonego. Żadnych cudów.

Rdzenne tradycje Chin, konfucjanizm i taoizm, również zajmują się tym, jak powinniśmy żyć na tym świecie. Konfucjanizm jest w znacznym stopniu po prostu systemem etycznym, którego rdzeń stanowi przekonanie, że ludzie powinni szanować się nawzajem i troszczyć się o siebie. Najważniejszą cnotą dla taoistów jest *wu-wei*, życie zgodnie z „Drogą” (Tao) świata, a nie uleganie zachciankom i żądom. Tyle że i w taoizmie, i w konfucjanizmie „Droga” jest tym, jak rzeczy się dzieją — na tym świecie, a nie na jakimś innym „nad” lub „pod”. Duchy przodków też żyją pośród nas, dzielimy z nimi jeden świat, te same góry i te same rzeki. One — tak samo jak my — są częścią naturalnego porządku rzeczy.

Jeśli przyjrzymy się kultom, które nie są już praktykowane — religiom starożytnej Grecji, Rzymu czy wikingów — spotkamy w nich oczywiście obdarzonych nadzwyczajnymi mocami bogów takich jak Zeus, Wenus czy Thor. Musimy jednak pamiętać, że oni również byli częścią tego samego świata, który zamieszkiwali ludzie, a nie jakiejś innej nadnaturalnej rzeczywistości. Choćby greccy bogowie — mieszkali na górze Olimp, ale dość często z niej schodzili, by odwiedzać ludzi.

Zresztą w językach europejskich (i w naszej kulturze) określenie „nadprzyrodzony” w tym znaczeniu, jakie nadajemy mu dzisiaj (nadnaturalny, czyli „przypisywany działaniu innych sił niż prawa natury”, jak wyjaśnia Słownik Języka Polskiego), funkcjonuje od stosunkowo niedawna. Taki sens mógł pojawić się dopiero wtedy, gdy u zarania rewolucji naukowej uczeni doszli do wniosku, że istnieje coś takiego jak prawa natury i że naturę, czyli przyrodę, można badać metodami naukowymi, gdyż podlega ona działaniu prawideł, które można poznać. Od tego czasu „nadprzyrodzone” (i „nadnaturalne”) stało się wszystko to, co działaniu owych praw nie podlega — Bóg, anioły, diabły, duchy i upiory...

RELIGIA TO KWESTIA WIARY I UFNOŚCI

Osadź rozum mocno na jego siedzisku i pod jego osąd oddawaj każdy fakt, każdą opinię. Śmiało kwestionuj nawet istnienie Boga, albowiem, jeśli jakkolwiek Bóg istnieje, bardziej cenić sobie musi hołd rozumowi niż ślepego lęku.

Thomas Jefferson

W wielu językach określenia „wiara” i „religia” używane są wymiennie, nawet w opracowaniach o charakterze naukowym. Jednym z najpopularniejszych wprowadzeń do religii jest w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii książka Roberta Ellwooda i Barbary McGraw *Many Peoples, Many Faiths* (w roku 2013 ukazało się już 10. wydanie!). Równie wysoko ceniona praca Johna Bowkera (2006) nosi tytuł *World Religions: The Great Faiths Explored and Explained*, a takie przykłady można by długo mnożyć. W języku angielskim sytuacja jest szczególnie złożona, bo wiara to „faith”, ale również „belief”. Słowo to występuje zaś jeszcze w wielu zupełnie innych, niereligijnych kontekstach („belief” to ogólnie przekonania, na przykład polityczne czy ekonomiczne — przyp. tłum.). Mamy więc dwa, a w zasadzie nawet trzy określenia — religia i wiara; *religion*, *faith* i *belief* — traktowane niemal jak synonimy. To jednak błąd, czyli w naszym rozumieniu mit. Wiara to pojęcie niejednoznaczne, a religii nie da się zredukować do wiary ani tym bardziej do systemu przekonań.

Jeden z pionierów nowoczesnego religioznawstwa, zmarły w roku 2000 Wilfred Cantwell Smith, znaczącą część swoich badań poświęcił rozróżnieniu między wiarą-ufnością (*faith*) a wiarą-zawierzeniem (*belief*). W czasach biblijnych, twierdzi Smith, wiara oznaczała zaufanie i pewność (angielskie *faith*, czyli wiara, i *confidence* (zaufanie, pewność) mają wspólny łaciński źródłosłów — *fideo*), zwłaszcza wyrażane w relacjach o wymiarze transcendentnym. Niezależnie od postaci owej transcendencji, pisze Smith, taka wiara może być manifestowana w różnych formach — w tym

poprzez rytuały, sztukę, przykazania etyczne i przywiązanie do określonej wspólnoty. Inną z potencjalnych form jej wyrazu jest też tworzenie racjonalnych wyjaśnień i doktryn. Takie zachowania były „charakterystyczne szczególnie dla chrześcijan” (Smith 1998, 39). Wiara-zawierzenie z kolei, przynajmniej we współczesnym znaczeniu, oznacza akceptację (na poziomie intelektualnym) określonych przekonań, mimo że nie ma żadnych empirycznych świadectw je potwierdzających. To znaczenie jednak, jak zauważa Smith, nie występuje ani w Biblii, ani w Koranie. Tam mamy do czynienia ze znaczeniem, jak je nazywa, przednowożytnym. Przetrwało ono jeszcze w niemieckim *belieben* (pokrewnym angielskiemu *belief*), które oznacza „cenić”, „być lojalnym”, a przede wszystkim „kochać” (*ibid.*, 41). W tym rozumieniu wierzyć w Boga to nie tylko akceptować jego istnienie, ale również oddać życie na jego służbę — to wiara z góry niejako i bezwarunkowo uznająca istnienie swojego obiektu. Rzeczywiście w biblijnym kontekście kwestionowanie istnienia Boga jest po prostu niewyobrażalne. Wybór, jaki mają ludzie, to jedynie wybór między tym, czy żyć zgodnie z wolą bożą (tak jak ktoś sobie ją wyobraża), czy sprzeciwiać się jej. Co zarazem oznacza, warto zwrócić uwagę, że wiara w takim przednowożytnym rozumieniu może wyrażać się jedynie poprzez działanie i nie sposób jej zredukować do przyjmowania zbioru twierdzeń. Takie pojmowanie wiary jako uznawania określonych sądów za prawdziwe zaczęło stawać się charakterystyczne dla chrześcijaństwa w tych czasach, gdy religia ta przestała być wyznaniem dobrowolnie przyjmowanym przez ludzi zainspirowanych swoimi nauczycielami, a stała się warunkiem korzystania z pełni praw obywatela imperium rzymskiego. Efektem tej polityzacji chrześcijaństwa, twierdzi Smith, stało się to, że za kryterium identyfikacji pełnoprawnych członków społeczeństwa przyjęto fakt akceptacji przez nich zbioru określonych twierdzeń. Podwaliny takiego właśnie rozumienia „wiary” jako definicyjnego warunku bycia chrześcijaninem położył cesarz Konstantyn, wydając edykt oficjalnie uznający rolę chrześcijaństwa w imperium rzymskim. Legalizując tę religię, która przez wcześniejszych cesarzy była tępiona lub co najwyżej traktowana jako dysydencka sekta, zapewnił on sobie lojalność rosnącej rzeszy wyznawców, zwłaszcza że włączył niektórych jej przywódców do własnej administracji, a co więcej, zaczął wspierać biskupów finansowo i przekazał rzymskie bazyliki na kościoły.

Celem Konstantyna było ponowne zjednoczenie i umocnienie słabnącego cesarstwa, które w tym czasie zaczęło się już rozpadać na autonomiczne regiony — wyniesieni i obdarzeni przywilejami chrześcijanie, obecni już praktycznie we wszystkich regionach, mogli pomóc w realizacji cesarskich planów. Wkrótce jednak okazało się, że nie będzie to takie proste, bowiem sami chrześcijanie byli bardzo podzieleni — różniły ich kwestie tak zasadnicze jak to, kim faktycznie był Jezus i czego dokonał. Niektórzy uznawali go na przykład za Syna Bożego, równego we wszystkim Ojcu, inni zaś wyraźnie podkreślali jego podległość. A takich rozbieżności było wiele... W każdym razie Konstantyn życzył sobie, by szybko one zniknęły. Oczekiwał od chrześcijan, że ujednoczą swój system wierzeń, bo tylko w ten sposób chrześcijaństwo stanie się jedną religią i ideologią, która pomoże mu zjednoczyć imperium. Dlatego w 325 roku wezwał przywódców chrześcijan na sobór do Nicei i zalecił im stworzenie zestawu nauk, które zaakceptować mają wszyscy wyznawcy wciąż młodej religii. Nie było to, jak się szybko okazało, łatwe zadanie. Sobór w Nicei nie wystarczył i konieczne były jeszcze kolejne, na których największe autorytety Kościoła długo spierały się o to, co ma znaleźć się w obowiązującym wszystkich wiernych credo — deklaracji rozpoczynającej się od słowa „wierzę” (czyli po łacinie *credo* właśnie). Najgorętsze spory dotyczyły (stosunkowo świeżej daty) idei Trójcy Świętej, zgodnie z którą chrześcijański Bóg jest jeden w trzech osobach — Ojca, Syna i Ducha Świętego. Wspólne rozwiązanie udało się wypracować dopiero na kolejnym soborze w Konstantynopolu (381) i wkrótce stało się ono oficjalnym stanowiskiem cesarstwa, co znalazło wyraz choćby w opublikowanym na początku V wieku Kodeksie Teodozjańskim. Każdy mieszkaniec imperium musiał więc odtąd wierzyć w Trójcę Świętą,

a tych, którzy tego nie czynili, cesarski edykt nazywał „szalonymi głupcami” i przestrzegał, że „przyłgnie do nich sromotne miano heretyków [...] i będą cierpieć po pierwsze za sprawą boskiego potępienia, a po drugie za sprawą kar, jakie zgodnie z wolą bożą wymierzy im nasza władza” (za: Bettenson 1943, 31). Nie minęło kilka lat i pierwsi heretycy — Pryscylian, biskup hiszpańskiej Avili i sześciu jego uczniów — zapłacili głową za „herezję”. Zostali straceni nie dlatego, że uczynili cokolwiek złego, przeciwnie — ścięto im głowy, bo nie wierzyli w to, w co odtąd trzeba było wierzyć. To dość ponura analogia do prześladowań, jakim poddawani byli chrześcijanie w przedchrześcijańskim Rzymie. Ale cóż — gdy jakaś religia staje się ideologią legitymizującą władzę polityczną, ci, którzy nie uznają jej nauk, muszą cierpieć.

Bezwarunkowa akceptacja dla wszystkich twierdzeń zawartych w określonym *credo* stała się odtąd jedną z definicyjnych cech chrześcijaństwa. Spory o naturę Ducha Świętego — który zaczął być opisywany przez teologów jako jedna z trzech „osób” wspólnie będących jednym Bogiem — stały się przyczyną pierwszego wielkiego rozpadu chrześcijaństwa na wschodnie (prawosławie) i zachodnie (katolicyzm) w roku 1054. Z kolei reformacja i rozpad zachodniego chrześcijaństwa na katolicyzm i liczne denominacje protestanckie w XVI wieku były konsekwencją różnicy teologicznych opinii co do znaczenia i wagi wiary oraz dobrych uczynków. Formuła ukuta przez protestantów — tylko wiara (*sola fide*) — wyrażała ich przekonanie, że to wiara właśnie, a nie uczynki, jest gwarancją zbawienia. I to wiara wyrażana oraz rozumiana właściwie. W tych — czysto europejskich — sporach szukać należy, jak twierdzi Smith, źródła naszego zrównania przekonań (*belief*) z wiarą (*faith*) i zarazem redukcji religii do „wiary” oraz „systemu przekonań”. Tyle że chrześcijaństwo jest pod tym względem wyjątkiem! Jak zauważa Smith żadna inna z religii świata — ani judaizm, ani islam, ani hinduizm, buddyzm, taoizm czy konfucjanizm — nie określa się sama jako „system przekonań”.

Jak zatem niechrześcijańskie religie same się określają? Judaizm oraz islam — dwie najbliższe chrześcijaństwu — identyfikują członków własnej społeczności na podstawie tego, czy przestrzegają oni boskiego prawa; odpowiednio Tory i szariatu. Kładą zatem nacisk bardziej na *ortopraksję*, czyli właściwe działanie, niż na *ortodoksję*, czyli wyznawanie prawd zgodnych z ustaloną doktryną.

Jeśli przeniesiemy się dalej na południe lub na wschód, dostrzeżemy, że myślenie o religiach w kategoriach systemów wierzeń staje się jeszcze bardziej błędne. W hinduizmie na przykład bogów są tysiące — 330 milionów, jak czasem można przeczytać. Niektórzy wyznawcy tej religii czczą jednego z nich — Sziwę lub Wisznu, na przykład. Inni również uczestniczą w kulcie któregoś (bądź kilku) z „większych” bogów, ale o pomoc i opiekę w konkretnych sprawach zwracają się do tych pomniejszych. Są też hinduiści, którzy pozostają wierni starożytnej tradycji, i dla nich najważniejszy jest brahman, czyli „Ostateczna Rzeczywistość”, a zatem coś, co jest niejako ponad wszelkimi bogami. Szczególny kult, jakim ktoś otacza wybranego jednego lub kilku bogów hinduskiego panteonu, nie oznacza, że osoba ta kwestionuje istnienie pozostałych. Nie ma też w hinduizmie żadnych „wyznań wiary” — oficjalnych wykładni doktryny porównywalnych z zestawem „prawd” o Jezusie Chrystusie zawartym w chrześcijańskim *credo*.

Buddyzm, podobnie jak hinduizm, jest religią bardzo pluralistyczną — akceptuje wiele światopoglądów i bardzo różne style życia. Siddhartha Gautama, jego założyciel, nie mówił nic o żadnym bogu czy bogach. Dla niego ważne było przede wszystkim to, jak człowiek może wyzwolić się od cierpienia. Pisaliśmy już wcześniej o podstawowych cnotach buddyzmu i Ośmiorakiej Ścieżce (właściwy pogląd, właściwe postanowienie, właściwa mowa, właściwe działanie, właściwy żywot, właściwe dążenie, właściwe skupienie, właściwa medytacja). Siddhartha jest dziś czczony jako Budda (Oświecony) nie dlatego, że był bogiem albo że objawił ludziom boskie prawdy. Jest Buddą, bo jego nauki przez długie wieki pomagały poradzić sobie z cierpieniem i osiągnąć szczęście milionom ludzi.

Ani Ośmioraka Ścieżka, ani podstawowe cnoty nie są doktrynami, które trzeba przyjąć „na wiarę” i bezwarunkowo zaakceptować — to w zasadzie techniki, które w oczach wielu ludzi czynią ich życia lepszymi.

Również konfucjanizm (podobnie jak buddyzm) zajmuje się ludzkimi sprawami, a nie bogami. Konfucjusz, który dorastał w burzliwych czasach wojen i niepokoїв społecznych, pytał głównie o to, jak w społeczeństwie można przywrócić harmonię dawno minionych stuleci. On również nie twierdził, że recepty, jakie przedstawia, pochodzą z boskiej inspiracji czy objawienia, ani nie głosił, że należy je bezwzględnie zaakceptować, są bowiem jedyną i absolutną prawdą, w którą trzeba zawierzyć. Szukał ich raczej w starych chińskich księgach, gdzie, jak uznał, odnalazł mądrość, która niegdyś pomagała ludziom żyć w pokoju. Stąd recepty, jakie zalecał — musimy odnosić się do siebie z szacunkiem, a dzieci winne są posłuszeństwem rodzicom. Konfucjanizm szybko rozprzestrzenił się w Chinach i stał się tradycją o najsilniejszych wpływach, ale tych pozostałych wcale nie wyparł, bowiem świetnie z nimi współegzystował.

Taoizm narodził się niemal w tych samych czasach i w tym samym regionie świata, tyle że oferował zupełnie inną perspektywę. Dla niego ważne były (i są) nie tyle relacje i kontakty społeczne, co naturalny porządek Wszechświata, jego wzorce i rytm, zgodnie z którymi powinien żyć człowiek. *Wu-wei*, najważniejsza cnota taoizmu, to Droga. Podążanie za światem, a nie narzucanie mu swoich pragnień i prawd.

Ani w Chinach (przynajmniej przez większą część ich skomplikowanej historii), ani w Indiach nigdy nie było żadnego cesarza, cara czy papieża, który mówiłby ludziom, w co mają wierzyć. I dzięki temu nie było tam też heretyków. Do dziś najróżniejsze tradycje współistnieją nie tylko w obrębie jednej, najmniejszej wioski, ale nawet w jednym człowieku. Są świątynie, w których obok siebie modlą się buddyjscy mnisi i mistrzowie tao. Są ludzie, którzy w życiu codziennym kierują się zasadami konfucjanizmu, biorą ślub w taoistycznej świątyni i praktykują buddyjską medytację. Nadal żywe są też kultury bóstw domowych i wioskowych, starsze i od buddyzmu, i od taoizmu.

Tak więc, jakkolwiek religie Indii i Chin obejmują też pewien komponent wierzeń, to dalece nie jest on dla nich kluczowy. Te tradycje nacisk kładą przede wszystkim na praktykę i działanie, co oznacza, że określenie „wiarą” jest w ich przypadku stanowczo niewystarczające, o ile nie wręcz nieadekwatne. W sumie z podobnych względów jest ono również mylące w przypadku judaizmu oraz islamu.

KULT I MODLITWA TO KLUCZOWY ELEMENT RELIGII

Istoty ludzkie są z natury istotami, które muszą kogoś czcić. Kult to nie jest coś, czemu się oddajemy lub co robimy; on określa, kim jesteśmy. Nie można dzielić ludzi na tych, którzy oddają komuś religijną cześć lub nie. Wszyscy to czynimy — różnimy się tylko tym, kogo (lub co) czcimy.

Paul David Tripp

W latach 50. XX wieku, u szczytu zimnej wojny, w Stanach Zjednoczonych zapanował powszechny lęk przed komunizmem, za którego kluczowy wyróżnik uznany został oficjalnie ateizm. By ów lęk zwalczyć, American Advertising Council przy pełnym poparciu prezydenta Eisenhowera rozpoczęła ogólnonarodową kampanię na rzecz religii, na którą składały się między innymi reklamy prasowe i tysiące rozstawionych przy głównych drogach billboardów ukazujących portrety szczęśliwych rodzin z podpisem: „Modlimy się razem w tym tygodniu” (Spring 2011, 94). Kampania wyraźnie odzwierciedlała to, czym w powszechnym odczuciu Amerykanów jest religia — jest ona tożsama z modlitwą, kultem, oddaniem wyższej istocie. Analogiczne rozumienie religii można zresztą znaleźć również w opracowaniach o charakterze niemal naukowym, jak choćby w popularnej książce Mary

Pope Osborne (1996) *One World, Many Religions: The Ways We Worship*. Wyraża je też język — kościoły, świątynie i synagogi często nazywa się „domami modlitwy”, a (amerykańskie) Kościoły tworzą nawet „centra modlitwy”.

W monoteistycznych religiach Zachodu, czyli tych, których podstawą jest wiara w jednego Boga, takie skojarzenie religii z kultem i modlitwą jest w pełni zrozumiałe. Judaizm, a później chrześcijaństwo oraz islam rozwinęły się w tych regionach, gdzie dominowały potężne królestwa rządzone przez absolutnych władców. Egipcami faraonowie władali w III tysiącleciu p.n.e., dalej na wschód już w następnym tysiącleciu rozpościerało się imperium babilońskie, rozkwitające pod rządami takich władców jak Hammurabi czy Nabuchodonozor. Izraelici, gdy osiedlili się w Kanaanie, też chcieli być „jak inne narody”, co oznaczało, że pragnęli, by rządzili nimi nie plemienna starszyzna czy sędziowie, jak to było do tej pory, ale królowie (1 Sm 8,20) (Samuel, ostatni z sędziów, ostrzegał Żydów, że to marny pomysł; ale to już zupełnie inna opowieść). Ponieważ to Bóg był najwyższym władcą Żydów, było zupełnie naturalne, by widzieć w nim również króla, a może raczej Króla Królów, jak tytułowali się potężni starożytni władcy. Żydzi mówili też o swoim Bogu „Pan” (Adonai) — tak wyrażano się o wielkich właścicielach ziemskich. W Biblii czytamy zatem o Bogu zasiadającym na tronie i o jego niebiańskim dworze. Królowie, faraonowie i imperatorzy zarządzali swoimi ziemskimi domenami, natomiast żydowski Jahwe był władcą całego świata. To dlatego wiele żydowskich modlitw zaczyna się od słów: „Baruch Ata Adonai, Elocheinu Melech ha-Olam” („Błogosławiony [jesteś] Ty Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata”). A ponieważ inni królowie zdobywali swoje władztwa zbrojnie, także i żydowski Bóg opisywany był jako „Pan Zastępów” (czyli wojsk), który prowadzi swój lud — Żydów — przeciw obcym (por. np.: 1 Sm 17,45).

Jezus, wywodząc się z Żydów, przejął z ich (i swojej) religii ideę Boga-króla, choć władającego królestwem „nie z tego świata” (J 18,36), a nie ziemskimi dobrami. Niemniej celem modłów nadal pozostawało ustanowienie królestwa Bożego, czyli państwa rządzonego przez Boga. W modlitwie, której Jezus nauczał swoich uczniów, nie przypadkiem znajdujemy słowa: „Niech przyjdzie królestwo Twoje; niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie” (Mt 6,10). Kiedy zaś chrześcijanie doszli już do porozumienia, że Jezus jest Bogiem, zaczęli w nim widzieć również patriarchę i władcę. W dawnej chrześcijańskiej ikonografii bardzo często można znaleźć wizerunki Chrystusa-Pantokratora, a to określenie pochodzące z greckiego „Wszechwładca”, „Pan wszystkiego”. W średniowieczu ta idea tak wrosła w powszechną świadomość, że do dzisiaj istnieje wiele kościołów pod wezwaniem „Chrystusa Króla”, a określenie „Pan nasz” jest wręcz wszechobecne.

Gdy w VII wieku rodził się islam, jego celem również było ustanowienie Królestwa Bożego na ziemi. Samo słowo „islam” oznacza poddanie — właśnie władzy Boga. W otwierającej Koran surze, którą co dzień włączają do swoich modlitw wszyscy muzułmanie, czytamy:

W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!
Chwała Bogu, Panu światów,
Miłosiernemu, Litościwemu,
Królowi Dnia Sądu.

Jak widzimy, w przypadku monoteistycznych religii Abrahamowych (które w tym szerokim kontekście możemy nazywać religiami Zachodu) bardzo łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie tak łatwo utożsamiają religię z kultem i modlitwą. W tych tradycjach kult istotnie jest formą najwyższego szacunku i najgłębszego oddania — to więcej, niż jacykolwiek poddani mogą publicznie okazywać nawet najpotężniejszemu władcy. Ten szczególny stosunek „poddania” znajduje zresztą swój czysto fizyczny wyraz w postawie przybieranej tak podczas modlitwy, jak i w obecności świeckiego władcy — ludzie

okazują cześć i podporządkowanie, kłaniając się głęboko i padając na klęczki lub wręcz na twarz. Taka postawa i inne związane z kultem formy aktywności i zachowania mają sygnalizować z jednej strony potęgę władcy, z drugiej zaś małość, a wręcz nicość tego, który cześć oddaje — tak można interpretować również pokutę i post. O obecności czysto świeckiego modelu podporządkowania władzy w religiach monoteistycznych świadczy też choćby powszechność wyrażania wdzięczności za „dary”, jakie człowiek otrzymał od Boga, próśb wnoszonych o kolejne dary i „łaski”, często bardzo konkretnych, a czasem nawet okazywanie specyficznej wzajemności poprzez cenne dary.

Niemniej, jakkolwiek istnieje bardzo silny związek między religią a kultem i modlitwą w judaizmie, chrześcijaństwie oraz islamie, w wielu innych „wielkich” religiach na pewno nie jest on istotny, a przynajmniej nie aż tak. Posłużmy się może trzema przykładami — buddyzmem therawada (Azja Południowa i Południowo-Wschodnia), taoizmem i konfucjanizmem (Chiny). Wszystkie te trzy tradycje są o setki lat starsze od chrześcijaństwa i w żadnej z nich nie występuje jakikolwiek Bóg-Stwórca, którego trzeba by było czcić, dziękować mu za coś albo prosić o wybaczenie (lub inne szczególne przywileje).

Therawada, jak się przyjmuje, to postać buddyzmu najbliższa oryginalnym naukom Buddy. Jak już wiemy, jej sednem jest unikanie cierpienia i osiągnięcie równowagi w życiu, do czego prowadzi się wyrzeczenie się pragnień i pożądania. Czasem mówi się w tym kontekście o „nieprzywiązywaniu się”. Nie ma w tej religii „Boga w niebiesiech”, którego należy jakoś specjalnie czcić, a celem wiernych jest osiągnięcie nirwany — błogosławionego stanu tych, których nie dręczą pragnienia.

Konfucjusz, doświadczywszy na własnej skórze udręk „Epoki Walczących Królestw”, pragnął nade wszystko przywrócenia ładu społecznego i społeczeństwa opartego na zasadach sprawiedliwości, szacunku i uznawania dobra wspólnego. To z tej perspektywy przyglądał się rządcom dawnych władców i w nich właśnie poszukiwał moralnego wzorca, bowiem, jak uznał, moralny władca będzie przykładem dla swoich poddanych. Cnoty, które uznawał za kluczowe, to humanitaryzm, sprawiedliwość, dobre wychowanie, wiedza i prawość. Wywiódł je z pięciu relacji międzyludzkich, które uznał za podstawowe — najważniejsza to związek ojciec-syn, następnie kolejno władca-poddany, starszy i młodszy brat, mąż i żona oraz przyjaciele. Dobry syn kieruje się przede wszystkim *xiao* — to szacunek dla rodziców i troska o nich, które przenoszą się też na inne relacje społeczne. Te reguły współżycia społecznego mają przyświecać wszystkim, również władcom. W odróżnieniu od Buddy Konfucjusz uwzględnił już w swoim systemie bogów, ale nie byli oni suwerennymi panami życia swoich wyznawców ani też przedmiotem jakiegś szczególnej uwagi. Wobec bóstw, uczył Konfucjusz, tak samo jak w życiu społecznym człowiek powinien kierować się regułami *xiao*.

Taoizm to druga z wielkich tradycji Chin. Inaczej jednak niż konfucjanizm, ta religia od początku bardzo podejrzliwie odnosiła się do władców, rządów i w ogóle struktur społecznych. Jej rdzeniem nie jest żaden bóg ani społeczeństwo, ale *Tao*, Droga, która jest regułą rządzącą wszystkim co jest i co się dzieje. Jak też już wiemy, taoistyczne *wu-wei* to nie relacja z bogiem, ale proste życie, podążanie drogą. Ważne są w Tao współczucie i stosunek do drugiego człowieka. Bogowie też są w tej tradycji obecni, ale tu również, podobnie jak w konfucjanizmie, nie są bytami nadrzędnymi, którym należą się bezwzględna cześć i absolutne posłuszeństwo. Tak jak człowiek są częścią kosmosu i tak jak nim, rządzi nimi Tao.

To wszystko sprawia, że buddyjskie, konfucjańskie i taoistyczne świątynie nie są — w odróżnieniu od żydowskich synagog, chrześcijańskich kościołów i muzułmańskich meczetów — „domami modlitwy” ani w zasadzie nawet ośrodkami kultu. W świątyniach buddyjskich (therawady) znaleźć można relikwie i wizerunki Buddy oraz jego największych uczniów. Wierni czasem zostawiają w nich dary wotywnne, ale to przede wszystkim miejsca medytacji i nauczania. Świątynie taoistyczne pełnią

funkcje religijno-społeczne — tu odbywają się na przykład śluby i pogrzeby. Konfucjusz z kolei (podobnie jak Budda w therawadzie) nie jest uznawany za boga (ani za proroka żadnego z bogów), jakkolwiek można spotkać się z jego świątyniami i choć zdarza się, że wierni składają tam dary, to chodzi w nich raczej o okazanie szacunku i uhonorowanie nauk mistrza, a nie jego osoby.

WYZNANIE TO SPRAWA PRYWATNA

Wierzę, że wyznanie prezydenta jest jego prywatną sprawą. Ani on nie narzuca swojego wyznania narodowi, ani naród nie narzuca konkretnego wyznania jemu jako warunku pełnienia przezeń tego zaszczytnego urzędu.

John F. Kennedy

Europejczycy i Amerykanie bardzo często czynią dziś rozróżnienie między religią a innymi sferami życia. Religia mówi o świętości, jak pisał pionier socjologii Émile Durkheim (1995), czyli jest czymś zupełnie innym niż polityka, interesy czy sport. Religia to sfera *sacrum*, reszta to rzeczy świeckie. Wielu ludzi uznaje jednak to rozgraniczenie za jeszcze niewystarczające i idzie dalej — religia (wyznanie) to nie dość, że sfera *sacrum*; to również kwestia czysto osobista — relacja między jednostką a Bogiem. Ponad sto lat temu harwardzki filozof i jeden z pierwszych badaczy religii William James napisał, że religia to „uczucia, działania i doświadczenia samotnej jednostki w sytuacji, gdy człowiek ten pozostaje we własnym odczuciu w relacji z boskością” (2008, 31).

Idea religii jako kwestii prywatnej i osobistej znajduje odzwierciedlenie we współczesnej koncepcji oddzielenia religii od polityki. To jednak relatywnie nowy wynalazek. Nawet w pierwszych latach istnienia Stanów Zjednoczonych poszczególne stany uznawały prymat różnych destynacji chrześcijańskich i dyskryminowały członków innych Kościołów. Dopiero „Ojcowie Założyciele” i Thomas Jefferson (trzeci prezydent) uznali, że nowe władze stanów oraz rząd federalny powinni zmienić tę sytuację. Virginia, stan, z którego pochodził Jefferson, przyznawał wtedy szczególne przywileje anglikanom i na różne sposoby dyskryminował wyznawców innych chrześcijańskich denominacji. W roku 1786 Jefferson doprowadził do uchwalenia przez władze stanowe Virginia Statute of Religious Freedom (Statutu Wirginii na rzecz wolności religijnej), w którym znalazła się między innymi następująca deklaracja:

[Nikt] nie może być zmuszany do przyłączenia się do lub wspierania jakiegokolwiek kultu lub wyznania, nie wolno też nikogo przymuszać ani powstrzymywać, nękać ani też karać na ciele lub majątku ani w jakikolwiek inny sposób z powodu przekonań religijnych. Każdy ma prawo wyznawać swoją religię i bronić jej i w żaden sposób nie może to ani ograniczyć jego praw, ani przydać mu dodatkowych, ani w ogóle wpłynąć na jego prawa obywatelskie.

Kilka lat później, kiedy powstawała Konstytucja Stanów Zjednoczonych, idee te znalazły wyraz w 1. poprawce, która głosi, że „Kongres nie ustanowi ustaw wprowadzających religię lub zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych [...]”. W liście do grupy baptystów ze stanu Connecticut, którzy wyrażali obawy co do możliwości ustanowienia oficjalnej religii w swoim stanie, prezydent Jefferson w pełni poparł prezentowany przez nich pogląd, że „religia to kwestia wyłącznie między człowiekiem a jego Bogiem i nikt nie musi się przed nikim opowiadać ze swojej wiary” (Padover 1943, 518–519). To głównie za sprawą 1. poprawki Stany Zjednoczone stały się później modelowym rozwiązaniem rozdziału Kościoła i państwa, a mimo to wątek wyznaniowy powracał tam jeszcze wielokrotnie, choćby w kampanii prezydenckiej Johna F. Kennedy’ego w roku 1960. Kennedy był katolikiem (pierwszym z szansami na elekcję), a w społeczeństwie amerykańskim bardzo powszechne były wówczas antykatolickie uprzedzenia — ludzie uważali, że katolików obowiązuje posłuszeństwo wobec Watykanu i że członek tej denominacji nie będzie w stanie zagwarantować rozdziału Kościoła

i państwa. Nieskrywaną wrogość wobec katolików okazywało wiele grup i organizacji, w tym bardzo silny jeszcze Ku Klux Klan. Rozpuszczano na przykład pogłoski, że Kennedy będzie realizował politykę papieża i federalne środki na edukację przekaże wyłącznie placówkom katolickim. Dlatego właśnie 12 września 1960 roku zdecydował się on wystąpić na Greater Houston Ministerial Association, gdzie wygłosił ważne i wielokrotnie cytowane później przemówienie, którego fragment posłużył jako motto do naszego omówienia tego mitu: „Wierzę, że wyznanie prezydenta jest jego prywatną sprawą. Ani on nie narzuca swojego wyznania narodowi, ani naród nie narzuca konkretnego wyznania jemu jako warunku pełnienia przezeń tego zaszczytnego urzędu”. Z tej deklaracji jasno wynika, że Kennedy chciał, by przekonania religijne polityka (i każdego człowieka zapewne) traktować jako sprawę *stricte* prywatną, podobnie jak preferencje co do określonego typu muzyki albo literatury. Ktoś może chcieć opowiadać o swoich gustach artystycznych innym, ale nie wolno do tego nikogo zmuszać.

Twierdzenie, że religia to sprawa prywatna jest mylące, bowiem wynika z pomieszania dwóch porządków. Z jednej strony mamy bowiem wolność wyznania — prawo człowieka do wyznawania dowolnej religii lub niewyznawania żadnej — z drugiej natomiast naturę religii. Wolność wyznania to wartość bardzo wysoko ceniona, zwłaszcza we współczesnym demokratycznym świecie. Tyle że ze stwierdzenia, że każdy ma prawo wybrać sobie taką religię, jaką chce, w najmniejszym stopniu nie wynika, że same religie, między którymi można wybierać, to „sprawy prywatne”. W pewnym sensie nie ma nic równie społecznego jak religia. Wybitny dwudziestowieczny religioznawca Ninian Smart (1999) zidentyfikował siedem aspektów, które uznał za dla niej kluczowe. Są to: tożsamość społeczna, etyka, rytuały, mity, doktryna, doświadczenia emocjonalne oraz obiekty i miejsca uznawane za sakralne. Jak łatwo zauważyć, sześć z nich ściśle wiąże się ze sferą społeczną — tożsamość społeczna wynikająca z przynależności religijnej określa miejsce jednostki w grupie, etyka odnosi się do tego, jak traktować innych, rytuały można oczywiście odprawiać na osobności, ale to raczej aktywność społeczna, mity (odwołujemy się w tym miejscu do naukowej analizy funkcji mitologii) są międzypokoleniowo transferowane wewnątrz zbiorowości, za treść doktryny (oficjalnego nauczania) odpowiadają przywódcy religijni, którzy muszą cieszyć się autorytetem społecznym, żeby ich głos był słyszalny. Również sakralny charakter określonych obiektów i miejsc jest przedmiotem społecznej negocjacji.

Jak już wiemy, w Biblii hebrajskiej (w Starym Testamencie) nie ma rozróżnienia między religią a innymi sferami życia. Ba, nie występuje tam nawet słowo „religia”. Prawo Mojżeszowe obejmowało prawo cywilne, karne i religijne, a Bóg Izraela we wszystkich tych kwestiach komunikował się ze swoim ludem („narodem wybranym”) poprzez powoływanych przez siebie przedstawicieli zwanych prorokami. Chrześcijaństwo również narodziło się jako ruch społeczny — w końcu Jezus mówił o Królestwie Bożym na ziemi, które nastanie, a wtedy wszyscy będą żyli tak, jak Bóg tego od nich chce. Kiedy chrześcijaństwo stało się oficjalną religią imperium rzymskiego w IV wieku, wymiar społeczny tego wyznania stał się jeszcze wyraźniejszy. Dziś wielu chrześcijan chce wierzyć, że sednem i rdzeniem ich religii jest akceptacja Jezusa Chrystusa — Zbawiciela. Osobista akceptacja. Trudno jednak nie zauważyć tego, że podczas gdy sam Jezus — przynajmniej według Mateusza (rozdz. 25) — mówił o Sądzie Ostatecznym, kryterium decydującym o tym, jaki wyrok czeka człowieka, nie był osobisty stosunek do niego jako do Zbawiciela, ale to, czy człowiek ów dzielił się z potrzebującymi ubraniami, pożywieniem, schronieniem, towarzystwem... To znów relacje społeczne.

Jeśli wykroczymy poza monoteizmy zachodniej hemisfery, społeczny aspekt religii stanie się jeszcze wyraźniejszy. Spójrzmy choćby na konfucjanizm, wielką tradycję, która na tysiąclecia zdominowała Chiny — nauki Konfucjusza to wprost zbiór reguł mówiących o tym, w jaki sposób stworzyć dobre społeczeństwo i jak nim rządzić.

Wielu Amerykanów, podobnie jak Thomas Jefferson i inni twórcy amerykańskiej konstytucji, ma

świadomość, jak często ludzie wykorzystywali i nadal wykorzystują różne religie dla własnych korzyści i stąd właśnie wzięła się 1. poprawka. Ale jej obecność nie oznacza, że religia stała się sprawą prywatną — przeciwnie, jest ona konieczna właśnie ze względu na społeczny aspekt wszystkich, a zwłaszcza teistycznych religii.

Ten społeczny wymiar religii każe zakwestionować — nie odmawiając oczywiście nikomu wolnej woli — sens tak często w Stanach Zjednoczonych powtarzanej deklaracji, że wyznanie kandydata na urząd prezydenta to jego sprawa. To po prostu nieprawda, o czym Amerykanie mogli przekonać się choćby w czasie prawyborów w roku 2012, gdy jeden z republikańskich kandydatów, Rick Santorum, uczynił ze swej katolickiej moralności ważny element programu wyborczego. Właśnie kierując się magisterium Kościoła katolickiego, Santorum twierdził, że należy uchwalić kolejną poprawkę do amerykańskiej konstytucji zakazującą przerywania ciąży i zawierania małżeństw homoseksualnych, oraz że orzeczenie Sądu Najwyższego z 1965 roku, zgodnie z którym gwarantowane przez konstytucję prawo do prywatności obejmuje też prawo do używania środków antykoncepcyjnych, było błędne. Pan Santorum zapewne wierzył, słusznie zresztą, że takie poglądy przysporzą mu głosów wielu konserwatywnych chrześcijan. Z drugiej jednak strony sprawiły one, że ludzie, którzy ich nie podzielali, nie opowiedzieli się za nim. W każdym razie poglądy religijne kandydata nie są jego prywatną sprawą — nawet, a może zwłaszcza w ustrojach demokratycznych.

NAUKA OSTATECZNIE ZASTĄPI RELIGIĘ

Naukowcy i intelektualiści zaczynają dostrzegać wreszcie, że konflikt między religią a nauką jest grą o sumie zerowej [...] Nie ma po prostu żadnych sensownych powodów, by wierzyć (przynajmniej w religijne dogmaty, które głoszą największe religie) i naukowcy nie mogą już dłużej chować głowy w piasek. Trzeba o tym mówić otwarcie, tak by dotarło to do wszystkich.

Sam Harris (2005)

Ostatnich kilka stuleci przyniosło niewyobrażalne wręcz zmiany w funkcjonowaniu społeczeństw (zwłaszcza na Zachodzie), które w dużym stopniu są efektem narodzin i burzliwego rozwoju nowożytnej nauki — fizyki, chemii, biologii, ale również nauk społecznych: psychologii i socjologii. To nauka umożliwiła rewolucję przemysłową, która dała nam koleje i samochody, autostrady i samoloty, satelity i loty w kosmos, sztuczne tworzywa, elektronikę, komputery i wszystkie technologiczne cuda, bez których nie wyobrażamy sobie współczesnego świata.

Warto spytać zatem, jaki wpływ mają nauka i technologia na tradycyjne religie. Jedną z popularnych wciąż odpowiedzi na to pytanie narodziła się w połowie XIX wieku. Wtedy to twórca nowożytnej socjologii August Comte, a potem Karol Marks, Zygmunt Freud i wielu innych socjologów, filozofów i psychologów uznało, że religia zaczyna stanowić przeżytek, narodziła się bowiem na bardzo wczesnym etapie rozwoju naszej rasy, czyli wtedy, gdy ludzie praktycznie nie dysponowali żadną sensowną wiedzą ani o sobie samych, ani o tym, jak działa fizyczny świat. Wskutek tej ignorancji nie potrafili myśleć logicznie i łatwo ulegali wszelkiego typu przesądom — posługiwali się więc magią (a potem religią), wierząc, że to zapewni im obfite żniwa, powodzenie w łowach i uwolni ich od chorób. W miarę jednak jak zaczęli się oni dowiadywać więcej o własnym organizmie i umyśle oraz prawach rządzących funkcjonowaniem Wszechświata, religia zaczęła im być coraz mniej potrzebna. Tak przynajmniej można przeczytać u wielu dziewiętnastowiecznych autorów, którzy argumentowali, że tak musi być, bo przecież ludzie kiedyś myśleli, że piorun to znak bożego gniewu, a nauka pokazała, że to tylko wyładowanie elektryczne; dawniej wszyscy wierzyli, że zaraza to kara, jaką Bóg wymierza ludziom, a teraz już wiedzą, że choroby powodują wirusy i bakterie i tak dalej. W największym skrócie

— nauka odczarowała świat i wyposażała ludzi w narzędzia, które pozwalają identyfikować i rozwiązywać problemy. Bez potrzeby sięgania po magię i religię.

W tej sytuacji Comte, Marks, Freud i dziesiątki innych myślicieli uznało, że dalszy rozwój nauki i technologii doprowadzi do tego, że ludzie nauczą się rozumieć i kontrolować otaczający ich świat bez odwoływania się do mocy nadprzyrodzonych oraz bogów. Nie będzie już zatem miejsca dla religii, która w naturalny sposób obumrze. Ten pogląd dobrze ilustruje powiedzenie przypisywane (choć nie wiadomo, czy słusznie) Bertrandowi Russelowi — „Religia to pozostałość po dzieciństwie naszego intelektu. Zacznie znikać, gdy rozum i nauka staną się naszymi przewodnikami po świecie”.

W ostatnich latach wielu prominentnych ateistów zaczęło przemawiać w podobnym tonie — choćby Daniel Dennett, Sam Harris (cytowany wyżej), Richard Dawkins i Christopher Hitchens. Dennett w książce *Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne* (2007) pisze, że religia dawała niegdyś ludziom bezpieczne poczucie kontroli nad światem; bezpieczeństwo to opierało się jednak na fałszywych przesłankach — wierze w bogów i duchy — było zatem złudzeniem. Religia, konkluduje Dennett, jest przejawem myślenia życzeniowego i powinna zostać zastąpiona przez naukę. Amerykański neuronaukowiec Sam Harris podobne poglądy wyraził w wielu swoich książkach (m.in. *Koniec wiary: religia, terror i przyszłość rozumu* (2004) i *List do chrześcijańskiego narodu* (2008)). Jak pisze, problem nie tylko w tym, że dawni ludzie fałszywie rozumieli świat, lecz w tym, iż te fałszywe przekonania stały się źródłem różnych barbarzyńskich obyczajów, takich jak na przykład składanie ofiar z dzieci. Tę praktykę, co pokazuje Biblia, akceptowali też starożytni Żydzi, bo w końcu czym innym było ofiarowanie przez Abrahama syna Bogu. Musimy zastąpić religię nauką, czytamy u Harrisa, nie tylko po to, by lepiej rozumieć świat, ale też by lepiej traktować innych ludzi. Już sam tytuł najgłośniejszej książki brytyjskiego biologa ewolucyjnego Richarda Dawkinsa — *Bóg urojony* (2006) — wskazuje, że naukowiec ten w pełni zgadza się z powyższymi wnioskami. Jak przekonuje Dawkins, wyjaśnienia narodzin Wszechświata i życia, jakie dają teoria Wielkiego Wybuchu i teoria ewolucji, są o wiele bardziej wiarygodne (i racjonalne) niż te proponowane przez religie. Z kolei zastępowanie racjonalnych wyjaśnień religijnymi mitami pozbawia ludzi poznawczych narzędzi, dzięki którym mogliby wieść niezależne i szczęśliwe życie. Dawkins idzie nawet dalej, pisząc w swojej książce, że wychowywanie dzieci w poczuciu winy i lęku przed karą za (niepopelnione) grzechy jest formą molestowania. Ten wątek bardzo mocno eksponuje też Christopher Hitchens, autor jednej z najsilniej atakujących religie książek ostatnich lat — *Bóg nie jest wielki. Jak religia zatruwa wszystko* (2007). Harris poświęca cały rozdział (16) wyjaśnieniu, dlaczego uważa, że uczenie dzieci religii jest formą molestowania. Religia, jak pisze, jest „agresywna, nieracjonalna, nietolerancyjna, promuje rasizm i trybalizm, głosi pochwałę ignorancji, tępi wolność badań, prowadzi do dyskryminacji kobiet i przymusu wobec dzieci” (2007, 56).

Gdybyśmy wszystkie te argumenty mieli traktować poważnie, moglibyśmy oczekiwać, że w miarę jak nauka coraz pełniej będzie tłumaczyć świat — a tak się dzieje — religia będzie zanikać. I rzeczywiście, jeszcze pół wieku temu niektórzy naukowcy uważali, że do roku 2000 Europa i Ameryka Północna niemal kompletnie się zsekularyzują, bo ludzie będą gremialnie odchodzić od swoich Kościołów — miejsce przekonań religijnych zajmie światopogląd naukowy, a źródłem wartości i norm społecznych będą odkrycia naukowe, nie zaś święte pisma. Tego typu nadzieje — i obawy — wyrażali nie tylko ateści, ale również wielu myślicieli religijnych. Ich głośną egzemplifikację stanowił na przykład bestseller roku 1965, *The Secular City* profesora Harveya Coxa z Harvard Divinity School.

Takie sekularyzacyjne prognozy rzeczywiście spełniają się w Europie Zachodniej i Północnej ostatnich czterech dekad. O Szwecji na przykład mówi się, że jest dziś najmniej religijnym krajem świata, a przecież jeszcze pod koniec XIX wieku działał tu państwowy Kościół, do

którego przynależność była obligatoryjna. Dopiero w XX wieku zaczęło dochodzić do stopniowego rozdziału instytucji państwowych i kościelnych i jakkolwiek dziś większość Szwedów nadal jest członkami państwowego Kościoła, to jest to przynależność czysto formalna — w zasadzie ich religijność ogranicza się do tego, że rejestrują w nim chrzciny, śluby i pogrzeby; niemal 95 procent Szwedów odpowiada, że w świątyni pojawia się „rzadko lub nigdy” (sam szwedzki Kościół liczbę autentycznych i regularnie uczestniczących w nabożeństwach wiernych szacuje na jakieś dwa procent populacji), 15 procent deklaruje wiarę w osobowego Boga, a 19 procent wierzy w życie po śmierci.

Z diametralnie odmienną sytuacją mamy do czynienia w Stanach Zjednoczonych. Tu również nauka i technologia rozwijają się burzliwie, ale życie religijne chyba jeszcze bardziej. Na znaczeniu zyskują zwłaszcza Kościoły protestanckie (tzw. ewangelikalne) — Evangelical Free Church of America miał w roku 2000 sześć razy więcej wiernych niż w 1960, Kościół Boga w Chrystusie urósł w tym czasie trzynastokrotnie! W roku 1970 w Stanach działało około pięćdziesięciu „megakościołów” (tak nazywa się kościoły, w których na cotygodniowych nabożeństwach pojawia się ponad dwa tysiące osób), dziś jest ich ponad tysiąc trzysta. Największy — Lakewood Church w Houston (w stanie Teksas) — co niedziela gości 45 tysięcy ludzi. Dziś to właśnie Stany Zjednoczone są najbardziej religijnym ze wszystkich państw rozwiniętych. Według danych narodowego spisu powszechnego ponad trzy czwarte Amerykanów identyfikuje się jako chrześcijanie, większość deklaruje, że religia odgrywa „bardzo ważną” rolę w ich życiu (to wyjątek wśród krajów wysoko uprzemysłowionych), a ponad jedna trzecia (36 procent, jak wynika z badań przeprowadzonych w roku 2012 przez Pew Forum on Religion and Public Life) twierdzi, że bywa w swoim kościele co najmniej raz w tygodniu.

Jak ludzie — i to uczeni specjaliści — mogli się tak mylić, sądząc, że religia wkracza w fazę schyłkową. Jak mogli uważać, że w miarę postępów nauki i technologii społeczeństwa będą nieuchronnie stawać się mniej religijne? Cóż, wydaje się, że za takim myśleniem kryją się dwa kluczowe błędy w postrzeganiu roli i znaczenia religii dla i wśród ludzi. Po pierwsze nie należy zakładać, że jeśli wyjaśniają oni jakieś zjawiska odwołując się do Boga, to automatycznie zakładają, że ów Bóg jest ich bezpośrednim sprawcą i/lub przyczyną, na takiej zasadzie, na jakiej, powiedzmy, jeżeli zawodnik kopnie mocno piłkę, ta polecą wysoko i daleko. To prawda, że zanim naukowcy wykazali, że za wiele chorób odpowiadają dostrzegalne tylko przez mikroskop mikroorganizmy, zdecydowana większość wierzących sądziła, że zsyła je Bóg. Tyle że nie jest prawdą, by za sprawą odkrycia bakterii tacy ludzie wyeliminowali Boga ze swoich poglądów na choroby. Nie — nauka nie zmienia ludzi w ateistów, ci bowiem nadal uznają, że tak czy inaczej to Bóg jest ostateczną przyczyną wszystkich zdarzeń (również zakażeń bakteryjnych i infekcji wirusowych). Pozostał on zatem trwałą częścią ich systemu przekonań, który wystarczyło tylko poszerzyć o dodatkowe elementy — chorobotwórcze mikroorganizmy, które są *bezpośrednią* (ale tylko bezpośrednią) przyczyną choroby. Nauka nie przeszkadza zatem ludziom wierzącym uznawać Boga za stwórcę wszystkiego i za tego, który podtrzymuje świat w istnieniu, a czasem bezpośrednio ingeruje w jego dzieje. Stał się on po prostu dla nich *ostateczną* przyczyną i wyjaśnieniem; również tego, że bakterie wywołują u ludzi choroby. To właśnie dzięki temu miliony osób odbierają naukowe wykształcenie i nie tracą wiary. I dzięki temu też bez problemów niektórzy godzą zanoszenie modłów o uzdrowienie z wiedzą, że bezpośrednią przyczyną problemów zdrowotnych jest infekcja czy zakażenie. Proszą Boga o pomoc, widzą w nim bowiem ostateczną przyczynę wszystkiego — bakterii i wirusów również.

Kolejna fałszywa przesłanka, która pozwalała formułować tezę, że rozwój nauki będzie odbywał się kosztem religii, to błędne rozumienie funkcji tej ostatniej. Otóż nie jest tak, by jej społeczną rolą było przede wszystkim wyjaśnianie świata. To też, ale dalece nie tylko. Jak już pisaliśmy wyżej, Ninian Smart wskazał siedem kluczowych aspektów religii: tożsamość społeczna, etyka, rytuały, mity,

doktryna, doświadczenia emocjonalne oraz obiekty i miejsca uznawane za sakralne. Łatwo zauważyć, że z tej siódemki jedynie mity i doktryna odnoszą się bezpośrednio do objaśniania świata. Dla bardzo licznego grona wierzących pozostałe pięć aspektów może być znacznie ważniejsze. Ludzie doskonale mogą ignorować wyjaśnienia oferowane im przez ich wyznania, ale pozostawać przy swojej wierze ze względu na tożsamość społeczną, jaką ta im zapewnia, poczucie przynależności, zasady moralne, rytuały i tradycje *etc.* Zdarzają się nawet osoby duchowne, które tak czynią. Rabin Mordechaj Kaplan przez ponad pięćdziesiąt lat wykładał na nowojorskim Jewish Theological Seminary i nauczał tam podstaw stworzonej przez siebie „ateistycznej religii” — rekonstrukcjonistycznego judaizmu. Jego uczeń Richard L. Rubenstein (również rabin) w głośnej książce *After Auschwitz: History, Theology, and Contemporary Judaism* (1992) wprost zanegował istnienie Boga. Anglikańscy biskupi John Robinson (autor bestselleru *Honest to God* (1963)) i John Shelby Spong, autor *A New Christianity for a New World* (2002), są *de facto* ateistami, którzy wprost kwestionują wiele chrześcijańskich dogmatów, ale obaj pozostali w stanie duchownym, bo cenią wiele innych — poza dogmatami — elementów tej tradycji.

W każdym razie twierdzenia o pochodzeniu i naturze Wszechświata nie są kluczowym, a na pewno nie jedynym celem religii. Jak zresztą przekonaliśmy się w Rozdziale 1., większość religii nie wymaga tego, by traktować ich mity jako naukową prawdę. Między innymi i z tych powodów religie, które towarzyszą nam od czasów niepamiętnych, pozostaną z nami jeszcze na bardzo, bardzo długo. Niewykluczone, że do samego końca.

RELIGIA PROWADZI DO PRZEMOCY

Jest w nas coś [...] co sprawia, że kusi nas zło. Wydaje mi się, że dość łatwo wyjaśnić, co to. Jesteśmy naczelnymi, wysoko rozwiniętymi, ale nadal prymatami. Różnimy się od szympansov o jakieś pół chromosomu, ale tę różnicę bardzo wyraźnie widać. Widać ją choćby w olbrzymiej liczbie religii, jakie stworzyliśmy, by znaleźć tysiące powodów do kłócenia się z innymi naczelnymi i usprawiedliwić te kłótnie. Jeżeli cokolwiek ma dowiedzieć, że to Bóg jest dziełem człowieka, a nie człowiek — Boga, to właśnie religie wymyślone przez nasz quasi-szympansi gatunek i zło, jakie czynimy sobie w ich imię.

Christopher Hitchens

Od lat już praktycznie co dzień w wiadomościach słyszymy o kolejnych aktach terroru i przemocy motywowanych religią. Ataki islamskich terrorystów w Stanach Zjednoczonych (11 września 2001) i w Wielkiej Brytanii (7 lipca 2005) to najbardziej spektakularne przykłady, ale wcale nie najbardziej krwawe. Walki, jakie wybuchły na początku lat 90. XX wieku po rozpadzie Jugosławii między prawosławnymi Serbami, Chorwatami (głównie katolicy) i Bośniakami (muzułmanie), pociągnęły za sobą ponad dwieście tysięcy ofiar. Historia Europy przepełniona jest zresztą konfliktami na tle religijnym. Wojna trzydziestoletnia (1618–1648) między katolikami a protestantami była jednym z najbardziej krwawych konfliktów w dziejach — według różnych szacunków kosztowała ona życie od 15 do 30 procent populacji niemieckich państw, na terenie których toczyły się walki; zginęła ponad połowa mężczyzn. W Irlandii katolicy i anglikanie walczyli ze sobą praktycznie przez cały XIX i XX wiek i nawet dziś konflikt nie wygasł do końca.

Zresztą zachodnie monoteizmy wcale nie mają monopolu na przemoc. Nawet buddyzm, o którym tak często mówi się jako o religii pokoju i współczucia, ma swoje ciemne karty. Sri Lanka, wyspiarski kraj położony na południe od Indii, ma „ochronę i wzmacnianie buddyzmu” wpisane do swojej konstytucji — buddystów istotnie jest tu większość, ale na wyspach żyje też duża tamilska mniejszość, Tamilowie zaś są hinduistami. Kiedy w latach 80. XX wieku zaczęli domagać się niepodległości, rząd rozpoczął prześladowania tej grupy etnicznej, które buddyjska większość w pełni poparła. Wybuchła wojna domowa, która pociągnęła za sobą od osiemdziesięciu do stu tysięcy ofiar. Prześladowania

innowierców na Cejlonie nie są w dziejach buddyzmu izolowanym przypadkiem, co pokazali Michael Jerryson i Mark Juergensmeyer w książce *Buddhist Warfare* (2010). Trudno się zatem dziwić, że na podstawie takiej ciągnącej się przez tysiąclecia i przez kontynenty listy ofiar niektórzy przynajmniej obserwatorzy dochodzą do wniosku, że skłonność do przemocy jest po prostu wpisana w religię — przynależność do określonego Kościoła sprawia, że ludzie żywią negatywne emocje wobec innowierców i zachowują się w stosunku do nich agresywnie. Liczne przykłady motywowanej religijnie przemocy można znaleźć w książce Hitchensa *Bóg nie jest wielki*. Autor poświęca im nawet odrębny rozdział zatytułowany bez ogródek *Religia zabija*. Wspomina w nim, jak w roku 2001 uczestniczył w panelu naukowym i jeden z dyskutantów, komentator religijny, zaproponował mu „podchwytliwy” eksperyment myślowy. „Wyobraź sobie — poprosił — że znajdujesz się w obcym mieście. Zapada noc, ty idziesz ulicą i nagle widzisz, że w twoją stronę zmierza spora grupa mężczyzn. Czy nie poczułbyś się bezpieczniej, gdybyś wiedział, że ci mężczyźni wracają właśnie ze spotkania modlitewnego?”. „Zdecydowanie nie!” — bez wahania odpowiedział Hitchens:

Wybermy na przykład literę „B”. Miałem podobne doświadczenia w Belfaście, Bejrucie, Bombaju, Belgradzie, w Betlejem i w Bagdadzie. We wszystkich tych miejscach — i mówię to z absolutną pewnością, daję słowo — poczułbym się zdecydowanie BARDZIEJ zagrożony, gdybym miał pewność, że zbliżający się do mnie o zmroku mężczyźni właśnie wyszli ze swojego kościoła czy meczetu. (2007b: 18)

Nie tylko ateści jak Hitchens, ale również wielu wierzących — w tym nawet duchowni różnych wyznań — zgadza się z tym, że religia jest nieuchronnie powiązana z przemocą. Charles Kimball, naukowiec i pastor Kościoła Południowych Baptistów (Southern Baptist) rozpoczyna wręcz swoją książkę *When Religion Becomes Evil* (2002, 1) od słów: „To dość banalne spostrzeżenie, ale niemniej prawdziwe — więcej wybuchło wojen, więcej ludzi zostało zabitych i więcej zła popełniono (i wciąż się popełnia) za sprawą religii niż z winy jakichkolwiek innych instytucjonalnych sił działających w ludzkiej historii”. Jak wyjaśnia, religia ewokuje przemoc niejako ze swej natury. Z definicji jest „absolutystyczna” — operuje czarno-białą wizją świata i wykluczeniem (dobro–zło, my–oni...). Podobne poglądy można znaleźć u Richarda E. Wentza, pastora Zjednoczonego Kościoła Chrystusa i autora książki *Why People Do Bad Things in the Name of Religion* (1993), czy u Martina Marty’ego, luterańskiego duchownego i profesora University of Chicago. „Kiedy jakaś grupa uznaje się za wybraną przez Boga, tworzy się ostra granica między nią a pozostałymi grupami. Wróg zostaje zidentyfikowany i przemoc staje się całkiem prawdopodobna” (Marty 2000, 28). Listę naukowców — religioznawców, socjologów, politologów i historyków — którzy pisali o historycznych i ponadkulturowych aspektach religijnie motywowanej przemocy, można by ciągnąć jeszcze bardzo długo. Jak podsumowuje ten wątek Mark Juergensmeyer (2000, XI) w książce *Terror in the Mind of God: The Global Rise of Religious Violence*: „Religia powiązana jest z przemocą praktycznie wszędzie”.

Nie negując rzetelności i naukowych kompetencji cytowanych wyżej badaczy, zastanówmy się jednak, czy rzeczywiście jest to uprawniony wniosek. Oczywiście nie sposób podważyć faktu, że w toku ludzkiej historii we wszystkich społeczeństwach i kulturach miliony ludzi angażowały się w zabijanie milionów innych osób. To fakt. Tyle że z jego stwierdzenia nie wynika jeszcze, że coś, co nazywamy „religią”, winne jest całej tej przemocy, a nie na przykład „polityka”, „tożsamość etniczna” oraz „konflikty klasowe”. Aby dowieść „winy” religii, musielibyśmy jednoznacznie wskazać, czym różni się od wyżej wymienionych czynników i dodatkowo uzasadnić, że za przemoc odpowiada wyłącznie ona. Problem w tym, że praktycznie żaden z badaczy oskarżających religię o „całe zło” dotychczas takiej próby nie podjął — a przynajmniej u żadnego z nich nie znajdziemy definicji „religii”, która pozwala na precyzyjne odróżnienie jej od innych sfer ludzkiej aktywności (i innych aspektów ludzkiej

tożsamości), zwłaszcza od polityki. Bez takiej ostrej definicji zaś nie bardzo wiadomo, o czym w ogóle rozmawiamy.

To dość zrozumiały problem, bo jak pamiętamy, trudno jest podać definicję pojęcia „religia”. Nie może ona chociażby obejmować dość oczywistej, wydawałoby się, właściwości, jaką jest wiara w Boga, znane są bowiem — omawialiśmy wyżej przykłady — religie, które o Bogu ani o bogach nic nie mówią. Z tych samych względów nie wolno w takiej potencjalnej definicji odwoływać się do kategorii transcendencji lub porządku nadprzyrodzonego (nadmaturalnego). Marty, którego już przywoływaliśmy wyżej, próbuje w swojej książce poradzić sobie z problemami definicyjnymi, wymieniając pięć właściwości, które, jak twierdzi, pozwalają sprecyzować zakres znaczeniowy pojęcia „religia”. Te „pięć cech, pozwalających określić granice zastosowań terminu”, to: „zainteresowanie kwestiami ostatecznymi”, „budowanie poczucia wspólnoty”, „odwołanie do mitów i symboli”, „znaczenie rytuałów i ceremonii” oraz „wymaganie od zwolenników określonych zachowań” (Marty 2000, 10–14). Kłopot w tym, że analogiczne właściwości można wskazać w systemach ideologicznych i światopoglądach zdecydowanie niebędących religiami, a zwłaszcza w ideologiach politycznych takich jak choćby marksizm czy nacjonalizm. Marty zresztą dostrzega, że poglądy polityczne również spełniają wymienione przez niego kryteria. Widać to zresztą bardzo wyraźnie, gdy szczegółowo przyjrzymy się przykładom przywoływanym zwykle wtedy, gdy mowa o wojnach o genezie religijnej. Weźmy choćby wojnę trzydziestoletnią (1618–1648), która była w istocie tylko jednym z epizodów fali przemocy, jaka ogarnęła Europę po reformacji. Te „wojny religijne” wybuchły po rozpadzie Kościoła katolickiego, od którego zaczęły odłączać się (a potem dzielić) kolejne wspólnoty — luteranie, kalwiniści, hugenoci i wiele innych, łącznie określanych mianem protestantów. Znaczenie czynnika religijnego w narastających konfliktach jest oczywiście bezdyskusyjne, ale wcale nie mniejszą rolę odgrywały też czynniki zupełnie innej natury — polityczne, gospodarcze, a nawet społeczne, co przekonująco ukazał William Cavanaugh w *The Myth of Religious Violence* (2009). We Francji na przykład większość hugenotów (protestanci) nie walczyła z katolikami w obronie swej wiary, moralności i obrządków (a przynajmniej nie przede wszystkim), lecz by chronić własne interesy zagrożone przez (katolickiego) króla, który, dążąc do wzmocnienia własnej władzy, próbował odebrać szlachcie część przywilejów. W tej walce wielokrotnie katolicy i protestanci arystokraci wchodzili w sojusze — tak było na przykład w roku 1573, gdy dowódcą hugenockich sił walczących z katolickim królem został katolik, książę de Bouillon (Cavanaugh 2009, 144). Opór szlachty i arystokracji przed absolutystycznymi dążeniami monarchii rozpoczął się zresztą we Francji jeszcze przed reformacją, tyle że wtedy katolickiej monarchii przeciwstawiali się wyłącznie katolicy poddani, a z czasem dopiero dołączyła do nich protestancka szlachta i arystokracja, niegodząca się z zepsuciem kleru (we Francji, nawiasem mwiąc, problem ten był szczególnie palący — od 1516 roku to król miał prawo mianować biskupów i opatów i bez skrupułów rozdzielał te stanowiska własnym stronnikom, często ludziom bez żadnego doświadczenia w pełnieniu funkcji kościelnych. Na przykład kardynał de Tournon był równocześnie administratorem kilku diecezji, biskupem kolejnych, odpowiadał za finanse korony i kilkukrotnie dowodził jej wojskami, a do tego król dodał mu tytuł opata wielu klasztorów (Cavanaugh 2009, 167)).

Gdyby zresztą wojny, które w XVII wieku spustoszyły całą Europę, istotnie były „wojnami religijnymi”, nie walczyliby w nich ze sobą ludzie tego samego wyznania, a sojusze nie byłyby ponadreligijne. Tymczasem jedno i drugie było normą — katolicka Francja zawarła przymierze z islamskim Imperium Otomańskim skierowane przeciw Karolowi V, cesarzowi Świętego Imperium Rzymskiego Narodu Niemieckiego (oczywiście katolikowi). Większość cesarskiej armii tworzyły wojska zaciężne, z których usług korzystali też inni władcy, a ponieważ służyło w nich wielu

protestantów, zdarzało się, że na polu bitwy toczonej przez katolickich monarchów to protestanci zabijali innych protestantów. Kluczowy dla przebiegu wojny trzydziestoletniej, zwłaszcza w jej drugiej fazie, był konflikt między dwiema (arcy)katolickimi dynastiami — Bourbonami i Habsburgami. Kardynał Richelieu zdecydował wtedy, że (katolicka) Francja przystąpi do wojny z (katolickim) Świętym Imperium Ferdynanda II po stronie (luteranckiej) Szwecji. W roku 1635 Francja wypowiedziała wojnę Hiszpanii — te dwa katolickie kraje toczyły ją potem niemal przez ćwierćwiecze. Parę lat później luterancka Szwecja zaatakowała luterancką Danię, której z odsieczą przybyły wojska katolickiego cesarza Ferdynanda III. Cavanaugh podaje jeszcze wiele innych przykładów, gdy o tym, kto z kim walczy, decydowały czynniki zupełnie inne niż różnice religijne. Źródła konfliktów, jak pisze, nie można poszukiwać w religii, a na pewno nie wyłącznie w niej, bo nie da się rozdzielić czynników religijnych od politycznych, gospodarczych i społecznych (Cavanaugh 2009, 177). Sama nazwa — „wojny religijne” — jest myląca, jak twierdzi, bowiem w istocie były to „wojny religijne, polityczne, gospodarcze i społeczne”.

Jeśli przyjrzymy się bliżej przykładom innych konfliktów przywoływanych zwykle dla uzasadnienia tezy o religijnej genezie przemocy, odkrywamy, że i w pozostałych przypadkach rodzą się poważne wątpliwości co do formułowania tak jednoznacznych sądów. Nie chodzi oczywiście o to, że czynniki religijne nie odgrywały w nich żadnej roli, ale po prostu były tak mocno splątane z różnicami politycznymi, ekonomicznymi i z konfliktami o podłożu społecznym, że nie można całej winy za przemoc zrzucić na religię. Wojna domowa w Sri Lance toczyła się między stanowiącymi większość Syngalezami a Tamilami. Różnice etniczne miały w niej nie mniejsze znaczenie niż podziały religijne (każda z tych etni ma zresztą własne mniejszości religijne — wśród Syngalezów większość stanowią buddyści, ale są też chrześcijanie; Tamilowie to głównie hinduiści, ale z dość liczną mniejszością muzułmańską i chrześcijańską).

W konflikcie między katolikami a anglikanami w Irlandii też nie chodzi raczej o rozbieżności teologiczne i odmienność rytuałów czy moralności (w tych sferach różnice są minimalne). Sami anglikanie w Irlandii (nie tylko zresztą tam) czasem określają się jako anglikatolicy (by zaznaczyć odrębność od rzymskich katolików). Wrogość między tymi dwiema społecznościami ma podłoże polityczne, gospodarcze i społeczne, a przede wszystkim historyczne — podbój Irlandii przez Anglię rozpoczął się w XII wieku, a anglikanizm zaczął być z czasem postrzegany jako kolejna forma angielskiej dominacji nad Irlandią Północną, gdzie przez wieki katolicyzm pozostał religią biedoty i oporu.

Krwawe walki w Bośni również miały podłoże przede wszystkim polityczne. Ten kraj powstał po rozpadzie Jugosławii na ziemiach zamieszkiwanych przez trzy skonfliktowane narody — prawosławnych Serbów, Chorwatów, z których większość jest katolikami, i Bośniaków, głównie wyznania muzułmańskiego. Po śmierci sprawującego dyktatorską władzę w komunistycznej Jugosławii Tito w tym federacyjnym państwie zaczął narastać chaos i tendencje odśrodkowe. Wykorzystał je pod koniec lat 80. nowy przywódca, Slobodan Milošević, który odwołał się do serbskiego nacjonalizmu, by zdobyć popularność i wzmocnić władzę. To on, pod pretekstem konieczności ochrony serbskiej mniejszości (Serbowie stanowili około 12 procent ludności Chorwacji), podjął w roku 1991 decyzję o ataku na Chorwację. Armia serbska zaczęła oblegać Vukovar, a po zdobyciu miasta żołnierze rozstrzelali wielu jego obrońców i pochowali ich w masowych grobach. Eskalacja konfliktu w byłej Jugosławii nastąpiła w roku 1992, kiedy to po uznaniu niepodległości Bośni przez Stany Zjednoczone i Unię Europejską Milošević ogłosił, że również w tym kraju serbska mniejszość (niemal jedna trzecia mieszkańców) wymaga jego „obrony”. Oddziały serbskie ruszyły na Sarajewo, stolicę Bośni, a serbscy snajperzy zaczęli siać popłoch na ulicach tego miasta. Od ich kul

padły tysiące niewinnych ludzi, w tym ponad trzy i pół tysiąca dzieci. Opór muzułmanów nie był bardzo silny, co tylko zachęciło Serbów (regularną armię i oddziały miejscowe) do rozpoczęcia „czystek etnicznych”, jak sami je nazywali. Mężczyzn i chłopców wywożono i zabijano, kobiety masowo gwałcono. Nim ostatecznie do akcji wkroczyło NATO (i amerykańskie lotnictwo), ofiarą czystek padły dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi. Tylko w Srebrenicy Serbowie zabili ponad osiem tysięcy mężczyzn i chłopców; była to największa zbrodnia wojenna w Europie od zakończenia II wojny światowej, według części prawników nosząca znamiona ludobójstwa. Niemniej również i w tym przypadku źródła przemocy tkwiły nie w konflikcie na tle wyznaniowym, ale w czysto politycznym dążeniu Serbów do utrzymania swojej dominacji w regionie i do powiększenia terytorium własnego państwa. Warto też dodać, że sam Milosević, nim zaczął grać na serbskim nacjonalizmie i wygrywać przy okazji konflikty na tle religijnym, był przykładowym komunistycznym aparaczką i o religii nigdy się nie zajął.

Nieco inaczej wygląda problem w przypadku terrorystycznych ataków muzułmańskich zamachowców-samobójców z 11 września i późniejszych. Ich sprawcy sami wprost deklarowali swoje czysto religijne motywacje, głosząc dżihad, czyli „świętą wojnę”. Uznali za swój „moralny obowiązek” zabijanie Amerykanów (i Brytyjczyków) w zemście między innymi za to, że ci „sprofanowali” miejsce narodzin ich religii, Arabię Saudyjską, rozlokowując tam swoje wojska podczas I wojny w Zatoce. Na tym zresztą zbrodnie Amerykanów i całego Zachodu się nie kończą — to, jak słyszymy od dżihadystów, „słudzy Szatana”, imperialiści, którzy chcą przejąć ziemie muzułmanów i zniszczyć islam. Mamy zatem do czynienia z jednoznacznie religijną motywacją przemocy. Nawet jednak i w tym przypadku sytuacja nie jest aż tak jednoznaczna — islamscy terroryści nie czynią rozróżnienia między religią a polityką (bo w ich interpretacji islamu ono nie występuje), jest to zatem przemoc na równi „religijna” jak „polityczna”. Poza tym wielu duchownych islamskich potępia terroryzm i nie akceptuje takiego odczytania islamu, za jakim opowiadają się zwolennicy świętej wojny. Jak się przekonamy w Rozdziale 5., z Koranu można wyczytać też, że terror i samobójstwo są grzechem. W każdym razie nawet w przypadku islamskiego terroryzmu sprowadzanie przemocy wyłącznie do motywacji religijnych wydaje się nadmiernym uproszczeniem — także i tu mamy do czynienia ze splotem czynników politycznych oraz religijnych.

III. MITY O JUDAIZMIE, ŻYDACH I ŻYDOWSKIM PIŚMIE ŚWIĘTYM

- Starożytni Izraelici wierzyli w jednego Boga
- Autorem pierwszych pięciu ksiąg Biblii jest Mojżesz
- Biblia zakazuje jedzenia wieprzowiny ze względów zdrowotnych
- Księgi Rodzaju nie da się pogodzić z teorią ewolucji
- Żydzi wciąż wierzą, że są Narodem Wybranym, któremu Bóg obiecał szczególne przywileje
- Żydzi zabili Jezusa
- Mord rytualny — żydzi używają chrześcijańskiej krwi w swoich rytuałach
- Protokoły mędrców Syjonu — przywódcy żydowski zawiazali spisek, by przejąć władzę nad światem

WPROWADZENIE

Popularne mity, jak je tu nazywamy, o żydach (i Żydach) oraz o judaizmie, z których kilka opisujemy w tym rozdziale, można pogrupować w trzy kategorie. Część to twierdzenia długo uznawane za prawdziwe (również przez samych Żydów), które dopiero badania naukowe pozwoliły zakwestionować — tak było na przykład z przypisywaniem autorstwa Pięcioksięgu Mojżeszowi. Inne to przekonania, co do których sensowności można się spierać, wszystko bowiem zależy od przyjętej interpretacji — tu ilustracją niech będzie twierdzenie, że wierzący muszą wybierać między historią stworzenia opisaną w Księdze Rodzaju a naukowym opisem tego procesu, jaki daje teoria ewolucji. To jeden z przykładów wskazujących na różne konsekwencje odczytywania świętych pism dosłownie, jako zapisu faktycznych zdarzeń, a ich metaforycznej interpretacji jako zapisu prawd metafizycznych (cokolwiek by to miało znaczyć). Większość przykładów, które poniżej omawiamy, należy jednak do kategorii ksenofobicznych i rasistowskich stereotypów (pisaliśmy o tym szerzej we wstępie do Rozdziału 1.), tworzonych i kolportowanych przez ludzi owładniętych niechęcią, lękiem, a nawet pogardą wobec wszystkich, którzy nie należą do tej samej grupy co oni.

STAROŻYTNI IZRAELICI WIERZYLI W JEDNEGO BOGA

Starożytni Izraelici chcieli mieć własny kraj, w którym mogliby czcić własnego Boga. W basenie Morza Śródziemnego większość ludzi wierzyła wtedy w wielu bogów — bogów śmierci, słońca, deszczu... Lud Izraela wierzył w jednego Boga — w Jahwe.

Mediterranean Kingdoms (online)

Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie (ale również między innymi bahaici) wywodzą swoje religie od starożytnego patriarchy Abrahama, który żył na przełomie XIX i XVIII wieku p.n.e. i z którym Bóg zawarł szczególne przymierze, dodatkowo wzmocnione i pogłębione, gdy tenże Bóg przekazał Mojżeszowi Prawo (dziesięć przykazań) na górze Synaj (co miało się zdarzyć około roku 1450 p.n.e.).

Przymierze to związało monoteistów — ludzi wierzących w tylko jednego Boga — już na zawsze. Otoczony i podbijany przez ludy oraz imperia czczące wielu bogów, naród Izraela pozostał odtąd wierny tylko jednemu Bogu, który go sobie wybrał: Jahwe.

Badania prowadzone nad Biblią w ciągu ostatnich dwustu lat pozwoliły jednak pokazać, że obraz ten nie odpowiada prawdzie i powstał po roku 621 p.n.e., kiedy to król Jozjasz zakazał w Jerozolimie oddawania boskiej czci jakimkolwiek bogom poza Jahwe. Dowody na to, że tak się istotnie stało, pochodzą głównie z dwóch źródeł — pierwsze to hebrajska Biblia, drugie — prace archeologiczne. W Biblii, w 2 Księdze Królewskiej (23,4–7), czytamy:

Następnie król wydał rozkaz arcykapłanowi Chilkiaszowi, kapłanom drugiego rzędu oraz strażnikom progów, aby usunęły ze świątyni Pańskiej wszystkie przedmioty sporządzone dla Baala, Aszery i całego wojska niebieskiego. Kazał je spalić na zewnątrz Jerozolimy, na polach nad Cedronem, a popiół z nich zanieść do Betel. Zniósł kapłanów pogańskich, których ustanowili królowie judzcy i którzy składali ofiary kadzielne na wyżynach, w miastach Judy i w okolicach Jerozolimy, oraz tych, którzy składali ofiary kadzielne Baalowi, słońcu, księżycowi, gwiazdozbiorom i całemu wojsku niebieskiemu. Usunął Aszerę ze świątyni Pańskiej, na zewnątrz Jerozolimy do doliny Cedronu i spalił ją w dolinie Cedronu, starł na popiół i rzucił popiół jej na groby pospolitego ludu. Zburzył domy osób uprawiających nierząd sakralny w świątyni Pańskiej, gdzie kobiety przędy zastony dla Aszery.

„Świątynia Pańska” to wybudowana przez Salomona Świątynia Jerozolimska. Kim zaś są Baal, Aszera i „całe wojska niebieskie”? Baal to bóg płodności, często przedstawiany jako młodzieniec ze skrzydłami, Aszera to z kolei bogini płodności — ukazywana zwykle jako kobieta wyrastająca z pnia drzewa. „Wojska niebieskie” to wielka grupa boskich istot, które, jak powszechnie wierzone, zamieszkiwały niebo.

Dalszy ciąg tej historii znajdziemy w tym samym rozdziale 2 Księgi Królewskiej w wersetach 13–20, skąd dowiadujemy się, że Jozjasz kazał zniszczyć przybytki innych religii także poza Jerozolimą:

Nadto król splugawił wyżyny, które stały naprzeciw Jerozolimy, na południe od Góry Oliwnej, i które Salomon, król izraelski, zbudował dla Asztarty — ohydy Sydończyków, dla Kemosza — ohydy Moabitów, i dla Milkoma — obrzydliwości Ammonitów. Połamał stele i wyciął aszery, a miejsca ich zarzucił kośćmi ludzkimi. Nawet ołtarz będący w Betel — wyżynę utworzoną przez Jeroboama, syna Nebata, który doprowadził Izraela do grzechu — zburzył również ten ołtarz i wyżynę, potłukł jej kamienie, starł na proch [...] Wszystkich zaś kapłanów wyżyn, którzy tam byli, zabił nad ołtarzami i palił kości ludzkie na nich. Następnie wrócił do Jerozolimy.

Jak zatem widzimy, król Jozjasz nie tylko zniszczył świątynie, które Salomon — król Izraela — kazał wystawić bogom Sydończyków, Moabitów i Ammonitów, ale kazał też zabić sprawujących w nich posługę kapłanów. Ktoś więc musiał wyznawać kult Asztarte, Kemosza i Milkoma, a te ziemie zamieszkiwali niemal wyłącznie Żydzi. Nie jest zatem tak, by od czasów Abrahama naród żydowski uznawał za boga jedynie Jahwe.

„Wojska niebieskie” — czyli bogowie zamieszkujący niebiosa — pojawiają się zresztą i w innych miejscach w Biblii. W Psalmie 82 znajdujemy na przykład opis narady bogów, na której Jahwe krytykuje swoich „kolegów” za to, że bronią złych ludzi, zamiast pomagać tym, którzy na tę pomoc zasługują:

Bóg powstaje w zgromadzeniu bogów,
pośrodku bogów sąd odbywa:
„Dokądże będziecie sądzić niegodziwie
i trzymać stronę występnych?
Ujmijcie się za sierotą i uciśnionym,
wymierzcie sprawiedliwość nieszczęśliwemu i ubogiemu!
Uwolnijcie uciśnionego i nędzarza,
wyrwijcie go z ręki występnych!
Lecz oni nie pojmują i nie rozumieją,
błąkają się w ciemnościach:
cała ziemia chwieje się w posadach.

Ja rzekłem: Jesteście bogami
i wszyscy — synami Najwyższego [...]
Lecz wy pomrzecie jak ludzie,
jak jeden mąż, książęta, poupadacie”.

Dwaj najczęściej wymieniani w Biblii konkurenci Jahwe to Baal i Aszera. W 1 Księdze Królewskiej (rozdział 18) można znaleźć dowody, że ich kultury były bardzo silne w Izraelu w IX w. p.n.e. Prorok Eliaszk oskarża tam króla Achaba, że „nie ja dręcę Izraela, ale właśnie ty i ród twego ojca waszym porzucaniem przykazań Pańskich, a ponadto ty poszedłeś za Baalami” (1 Kr 18,18) i żąda od izraelskiego króla, by ten pozwolił mu się zmierzyć z prorokami innych bogów oraz wykazać wyższość Jahwe:

„Więc zaraz wydaj rozkaz, aby zgromadzić przy mnie całego Izraela na górze Karmel, a także czterystu pięćdziesięciu proroków Baala oraz czterystu proroków Aszery, stołowników Izebel”. Achab rozesał polecenie wszystkim Izraelitom i zgromadził proroków na górze Karmel. Wówczas Eliaszk zbliżył się do całego ludu i rzekł: „Dopókiż będziecie chwiać się na obie strony? Jeżeli Jahwe jest [prawdziwym] Bogiem, to Jemu służcie, a jeżeli Baal, to służcie jemu!” Na to nie odpowiedzieli mu ani słowa. Wtedy Eliaszk przemówił do ludu: „Tylko ja sam ocalałem jako prorok Pański, proroków zaś Baala jest czterystu pięćdziesięciu. Wobec tego niech nam dadzą dwa młode cielce. Oni niech wybiorą sobie jednego cielca i porąbią go oraz niech go umieszczą na drwach, ale ognia niech nie podkładają! Ja zaś oprawię drugiego cielca oraz umieszczę na drwach i też ognia nie podłożę. Potem wy będziecie wzywać imienia waszego boga, a następnie ja będę wzywać imienia Pana, aby okazało się, że ten Bóg, który odpowie ogniem, jest [naprawdę] Bogiem”. Cały lud, odpowiadając na to, zawołał: „Dobry pomysł!”. (1 Kr 18,19–24)

Gdy prorocy Baala ustawili ołtarz i wezwali swego Boga, by rozpałił ogień, nic się nie stało. „Kiedy zaś nastąpiło południe, Eliaszk szydził z nich, mówiąc: «Wołajcie głośniej, bo to bóg! Więc może zamysłony albo jest zajęty, albo udaje się w drogę. Może on śpi, więc niech się obudzi!»” (1 Kr 18,27). Ale wystarczyło, że sam zaczął modlić się do Jahwe:

A wówczas spadł ogień od Pana „z nieba” i strawił żertwę i drwa oraz kamienie i muł, jako też pochłonał wodę z rowu. Cały lud to ujrzał i upadł na twarz, a potem rzekł: „Naprawdę Jahwe jest Bogiem! Naprawdę Pan jest Bogiem!” Eliaszk zaś im rozkazał: „Chwytajcie proroków Baala! Niech nikt z nich nie ujdzie!” Zaraz więc ich schwytali. Eliaszk zaś sprowadził ich do potoku Kiszon i tam ich wytracił. (1 Kr 18,38–40)

Jak łatwo policzyć, sama Biblia mówi o tym, że w IX wieku p.n.e. w Jerozolimie i jej okolicach działało osmiuset pięćdziesięciu „proroków” Baala i Aszery. Nawet jeśli każdy z nich zgromadził wokół siebie zaledwie kilkunastu wyznawców, to i tak Żydów nieuczestniczących w kulcie Jahwe było więcej niż dziesięć tysięcy.

Te biblijne przekazy potwierdzają wykopaliska archeologiczne. Znaleziono na przykład bardzo wiele rzeźbionych figurek Aszery, nawet o setki lat poprzedzających czasy panowania Jozjasza. W trakcie prac wykopaliskowych na Pustyni Synaj prowadzonych przez naukowców z Uniwersytetu Telawińskiego w latach 1975–1976 udało się odkopać ruiny gospody z VIII wieku p.n.e. z dobrze zachowanymi rysunkami i inskrypcjami na ścianach. Jedna z najbardziej intrygujących brzmiała: „Jahwe i jego Aszera”. Spór o to, czy jest to prawidłowy przekład, wciąż się toczy, niemniej jednak jeśli jest, oznaczałoby to, że dla jej autora Aszera była towarzyszką lub boską małżonką Jahwe.

Podobnych dysput toczy się jeszcze wiele, co w niczym nie zmienia faktu, że w świetle odkryć współczesnej nauki możemy z całą pewnością stwierdzić, iż monoteizm w starożytnym Izraelu nie zaczął się wraz z Abrahamem ani nawet z Mojżeszem. Rozwinał się stulecia później i został — środkami politycznymi — narzucony ludziom zamieszkującym te ziemie, którzy wcześniej wierzyli w istnienie wielu bogów. Bernhard Lang (1981), jeden z wybitniejszych specjalistów od Starego Testamentu, tak podsumowuje stan naszej wiedzy:

Przez cztery i pół stulecia (lata ok. 1020–586 p.n.e.), w którym to okresie istniało jedno lub dwa królestwa Izraela, w regionie tym

dominowały religie politeistyczne, praktycznie nieodróżnialne od tych, jakie wyznawali mieszkańcy sąsiadujących krain. Oczywiście istniały pewne różnice między Ammonitami, Moabitami, Edomitami, Tyrianami *etc.*, ale religie wszystkich tych ludów można zaliczyć do tej samej kategorii bliskowschodnich politeizmów i traktować jako odmienne, lokalne warianty jednej religii. Izraelici [...] czcili swoich własnych, domowych bogów, którzy dbali o ich zdrowie i rodziny. Równocześnie wierzyli w Jahwe i innych lokalnych i ponadlokalnych bogów, od których zależały pokój i sukces na wojnie. Byli też i inni bogowie, o przypisanych szczególnych funkcjach i realizujący inne potrzeby — takie jak dobra pogoda, deszcz, płodność *etc.*

Każdy, kto kiedykolwiek przeczytał Biblię, pamięta zresztą pewnie opowieść o tym, jak Mojżesz, gdy zszedł z Góry Synaj, zastał swój lud oddający cześć Złotemu Cielcowi (Wj 32,1–35). Ta historyjka to kolejny dowód na to, że Izraelici na pewno nie „od zawsze” byli monoteistami. To zresztą również ważny problem teologiczny — biblijni prorocy wielokrotnie musieli napominać swoich słuchaczy, że jest tylko jeden Bóg i jemu mają być posłuszni.

Świadectwa archeologiczne na równi ze starotestamentowymi opowieściami potwierdzają, że droga Żydów do monoteizmu była długa i złożona.

AUTOREM PIERWSZYCH PIĘCIU KSIĄG BIBLIJ JEST MOJŻESZ

Nie tylko sama zawartość potwierdza, że to Mojżesz napisał pierwsze pięć ksiąg Biblii, ale również inne księgi Starego Testamentu w tym upewniają.

josh.org

Pisma, które z czasem złożyły się na Biblię hebrajską (czyli chrześcijański Stary Testament), zaczęły powstawać mniej więcej dwa i pół tysiąca lat temu. Pierwsze pięć ksiąg Biblii (Księgi Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczb i Powtórzonego Prawa) w judaizmie nazywanych jest Torą (lub „naukami”), ponieważ zawierają sam rdzeń nauk tej religii. Chrześcijanie mówią o nich Pięcioksiąg, ale posługują się też zaczerpniętym bezpośrednio z greki określeniem Pentateuch (od „pięć” „ksiąg/zwojów”). Główną postacią tych ksiąg (prócz pierwszej) — jak i całego mozaizmu — jest oczywiście Mojżesz. W Księdze Wyjścia czytamy, jak wyprowadził swój lud z egipskiej niewoli i przywiódł do Ziemi Obiecanej w Kanaanie, a potem na Górze Synaj osobiście spotkał Boga, od którego otrzymał kamienne tablice ze spisaniem na nich Prawem, którym Żydzi mieli się odtąd kierować po wsze czasy. Ucieczka z Egiptu i przekazanie Prawa Mojżeszowi na Górze Synaj to dwa wydarzenia konstytuujące niejako judaizm. Księga Kapłańska to spis zasad (praw) szczegółowo opisujących, jak należy składać Bogu ofiary i odprawiać inne rytuały, jakie jedzenie można jeść, co jest „czyste” (koszer), a co nieczyste, a także praktycznie wszystkie inne sfery życia. Niemal każde z tych praw zaczyna się od słów: „Pan tak powiedział do Mojżesza”. Tak jak w Księdze Wyjścia, to Mojżesz jest pośrednikiem między Bogiem a ludem Izraela i on przekazuje mu jego słowa. W Księdze Liczb to nadal on jest postacią centralną. Przez czterdzieści lat prowadzi lud Izraela (tak zwani byli Żydzi, ale określenie to nie wywodzi się od nazwy kraju, tylko od imienia ich legendarnego przywódcy plemiennego, który zmienił je z Jakub na Izrael) przez pustynię do Ziemi Obiecanej. W Księdze Powtórzonego Prawa z kolei znajdziemy przemowy, jakie wygłosił Mojżesz do Izraelitów (to kolejne określenie Żydów), nim przekroczyli rzekę Jordan i weszli wreszcie do Ziemi Obiecanej.

Ponieważ Mojżesz jest tak ważną postacią dla Tory/Pięcioksięgu, Prawo, jakie przekazał mu Bóg, zwie się Prawem Mojżeszowym, a same księgi nazywano czasem Księgami Mojżesza. Można to oczywiście odczytać jako „Księgi o Mojżeszu”, ale pojawiła się też inna interpretacja tej nazwy, znacznie mocniejsza — otóż przez długie wieki żydzi i chrześcijanie uważali (a część żywi to przekonanie do dzisiaj), że Mojżesz jest *autorem* Pięcioksięgu. Już w tak zwanym babilońskim Talmudzie (około roku 600 p.n.e.) czytamy, że sam Bóg podyktował Mojżeszowi te pięć ksiąg

i jakkolwiek w samej Biblii nic takiego nie ma, to tak judaizm, jak i później chrześcijaństwo słowa te potraktowały poważnie i do dziś w owe bosko-mojżeszowe autorstwo wierzą miliony ludzi. Przykład pierwszy z brzegu. W popularnym opracowaniu P.N. Benware'a *Survey of the Old Testament* (1993, 27) czytamy: „Autorem Księgi Rodzaju i całego Pentateuchu jest Mojżesz [...] Te pięć „ksiąg praw” zostało spisanych przez niego osobiście, za wyjątkiem fragmentów Księgi Powtórzonego Prawa, w których czytamy o śmierci Mojżesza (Pwt 34)”.

Ten wyjątek u Benware'a nie jest przypadkowy. Baruch Spinoza już w siedemnastym wieku zwrócił uwagę na to, iż rozdział 34 Księgi Powtórzonego Prawa opisuje pogrzeb tego, który miał być jej autorem. Sprawdźmy zresztą:

Tam, w krainie Moabu, według postanowienia Pana, umarł Mojżesz, sługa Pański. I pochowano go w dolinie krainy Moabu naprzeciw Bet-Peor, a nikt nie zna jego grobu aż po dziś dzień. W chwili śmierci miał Mojżesz sto dwadzieścia lat, a wzrok jego nie był przyćmiony i siły go nie opuściły. Izraelici oplakiwali Mojżesza na stepach Moabu przez trzydzieści dni. Potem skończyły się dni żałoby po Mojżeszcu. [...] Nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza, który by poznał Pana twarzą w twarz. (Pwt 34,5–8.10)

Jak mógł Mojżesz wiedzieć, ile dni trwała po nim żałoba? Spinoza zasadnie uznał, że raczej nie mógł. Można wymienić jeszcze wiele innych argumentów przemawiających jednoznacznie przeciw autorstwu Mojżesza. Sam Spinoza zresztą znalazł już ich sporo, w tym:

1. Werset 10 z 34 rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa (cytowany wyżej) mówi, że „Nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza”. Tylko ktoś żyjący wiele lat później mógł napisać takie słowa, bowiem kolejni prorocy, których w ogóle można by z Mojżeszem porównać, pojawili się w Izraelu stulecia po jego śmierci.
2. Wiele nazw geograficznych pojawiających się w Pięcioksięgu w czasach Mojżesza jeszcze nie istniało. Na przykład w Księdze Rodzaju (14,14) czytamy, że „Abram [...] rozpoczął pościg aż do Dan”. To miejsce nie było jednak nazywane Dan aż do czasów Jonatana, wnuka Mojżesza (Sdz 18,29). Znow więc ktoś, kto był autorem 14 wersetu z 14 rozdziału Księgi Rodzaju, musiał żyć dziesiątki lat po Mojżeszcu.
3. W Księdze Rodzaju (22,14) góra, gdzie Abraham ma poświęcić swojego syna Izaaka w ofierze Bogu, nazywana jest „Górą Boga” („Pan widzi”). Ta nazwa nie była używana przed wybudowaniem pierwszej Świątyni, co nastąpiło setki lat po śmierci Mojżesza.
4. Również w Księdze Rodzaju (36,31) czytamy: „Oto królowie, którzy panowali w kraju Edom, zanim Izraelici mieli króla”. Autor tych słów musiał żyć przynajmniej po Saulu, pierwszym królu Izraela, który rządził na przełomie XI i X w. p.n.e.
5. Abraham według Księgi Rodzaju (12,6) przemierzał krainę Kanaan i, jak czytamy, „A w kraju tym mieszkali wówczas Kananejczycy”. Można z tego wnosić, że w czasach autora Kananejczyków już tam nie było. Za czasów Mojżesza jednak, nim Izraelici podbili ten obszar, uznawszy go za swoją „Ziemie Obiecaną”, krainę Kanaan zamieszkiwali Kananejczycy. On by więc tak nie napisał.
6. Autor we wszystkich pięciu księgach mówi o Mojżeszcu w trzeciej osobie („Mojżesz rozmawiał z Bogiem”, „Pan przemówił do Mojżesza” *etc.*), za wyjątkiem tych fragmentów, gdzie cytowane są jego słowa, i wtedy oczywiście jest to relacja pierwszoosobowa — na przykład w Księdze Powtórzonego Prawa: „I Pan mi powiedział [...]” (2,2), „i rzekł do mnie Pan” (2,17). Gdyby to sam Mojżesz opisywał swoje czyny, zapewne wszędzie mówiłby o sobie w pierwszej osobie.

Na podstawie takich argumentów Spinoza jednoznacznie stwierdził: „Wszystko, co tu zostało powiedziane, czyni jasnym jak słońce, że Pięcioksiąg nie mógł zostać napisany przez Mojżesza, ale przez kogoś, kto żył stulecia po nim”. (Choć oczywiście różne Kościoły zaakceptowały ten fakt w różnym czasie — Kościół katolicki jeszcze na początku XX wieku oficjalnie uznawał kwestionowanie

autorstwa Mojżesza za herezję).

W każdym razie rzetelne badania nad Biblią, które rozpoczęły się w XIX wieku, obejmujące analizę słownictwa (choćby tego, jak nazywany jest Bóg), stylistyki i różnych teologii, potwierdziły intuicję Spinozy, tyle że zgodnie z powszechnie dziś przyjętym poglądem Pięcioksiąg nie jest dziełem jednego autora, ale kilku. Ceniony niemiecki uczony Julius Wellhausen przedstawił w roku 1885 tak zwaną hipotezę źródeł, zgodnie z którą na pierwsze pięć ksiąg Biblii złożyły się teksty co najmniej czterech autorów żyjących w różnych czasach i w różnych częściach Palestyny. Tych autorów identyfikuje się obecnie za pomocą inicjałów J, E, D i P. J (od „Jahwista”) pisał o Bogu — którego imię jest „niewymawialne” — YHWH (my to zapisujemy „Jahwe”, a czasami również „Jehowa”), E (Elohista) posługiwał się imieniem Elohim, D (tzw. źródło deuteronomiczne) to autor Księgi Powtórzonego Prawa, P zaś to najmłodsze „źródło kapłańskie”. Hipoteza Wellhausena nadal jest dyskutowana i rozwijana — z czasem obok J, E, D i P pojawił się też R, czyli redaktor (ktoś przecież musiał zebrać wcześniejsze tradycje w całość i je zredagować).

Rzecz jasna w tych badaniach nie chodzi ani o obrażanie uczuć ludzi wierzących, ani o pomniejszanie znaczenia Mojżesza. Nikt nie kwestionuje, że to kluczowa postać judaizmu — człowiek, który, jak głosi święta księga tej religii (i chrześcijaństwa), wyprowadził Żydów z egipskiej niewoli i na Górze Synaj rozmawiał z Bogiem, gdzie otrzymał od niego przykazania. Przydawanie mu do tych niekwestionowanych przecież zasług autorstwa Pięcioksięgu jest w pełni zrozumiałe w kategoriach psychologicznych, jednak uważna lektura Biblii dowodzi, że to pogląd w sposób oczywisty błędny — księgi te musiały powstać stulecia po czasach Mojżesza.

BIBLIA ZAKAZUJE JEDZENIA WIEPRZOWINY ZE WZGLĘDÓW ZDROWOTNYCH

Bóg wie, co dla nas najlepsze, dlatego już w czasach biblijnych świnia uznana została za zwierzę nieczyste [...] Jednym z głównych powodów jest to, że świnia zeżre wszystko. Śmiecie, odpadki [...] a nawet własne martwe młode. Świnia potrafi też zjeść inne chore lub zakażone zwierzę. To padlinożerca.

Pastor Joel Osteen

W hebrajskiej Biblii — która jedynie minimalnie różni się od chrześcijańskiego Nowego Testamentu — odnaleźć można setki reguł bardzo precyzyjnie porządkujących co można, a czego nie można robić. Chyba najlepiej znane są te, które mówią o „czystych” i „nieczystych” zwierzętach, znajdujące się w Księdze Kapłańskiej i Księdze Powtórzonego Prawa. „Czyste” zwierzęta — na przykład krowy i owce — wolno zjadać. Nieczystych — w tym świń i homarów — pod żadnym pozorem nie. Są „obrzydlistwem”, czyli jedzeniem zabronionym — niekoszernym (tak samo niekoszerne (trefne) jest mięso „czystych” zwierząt, o ile zostały zabite w niewłaściwy sposób).

Cytowany wyżej pastor Osteen, komentując te biblijne zakazy, popełnia jednak dość typowy błąd, próbuje bowiem znaleźć współcześnie zrozumiałe uzasadnienie dla bardzo starożytnych obyczajów. Według niego określone gatunki są „nieczyste”, bo żyją w „zepsuciu i odpadkach”, a Bóg zakazał spożywania ich mięsa, gdyż po nim człowiek może się rozchorować. Podczas jednego z transmitowanych w telewizji kazań Osteen tak wyjaśniał cały problem swojemu audytorium: „Sami pomyślcie, czy lepiej jeść zwierzę, które żywi się odpadkami, czy takie, które nigdy nie tknie padliny i je tylko świeżą trawę”. Podobnie pastor Osteen uzasadniał zakaz spożywania owoców morza — homary czy krewetki też są „nieczyste”, bo żyją na morskim dnie i jedzą odpady oraz wydzieliny innych zwierząt.

Dziś rzeczywiście zwracamy wielką uwagę na czystość spożywanych pokarmów, bojąc się zarazków,

które mogą nam szkodzić, ale wiedza o mikroorganizmach narodziła się dopiero w XVII wieku, a związek między zarazkami (i „nieczystością”) a chorobami odkryto dopiero dwieście lat później. Czy zatem autorzy Biblii, nie dysponując nawet podstawową wiedzą z zakresu higieny, mogli podejrzewać, że mięso „nieczystych” zwierząt może być niezdrowe, na przykład stanowić źródło pasożytów lub w inny sposób powodować choroby? Takie pomysły pojawiały się oczywiście na długo przed pastorem Osteenem. Mary Douglas, amerykańska antropolożka, która zajmowała się tym problemem, odkryła prekursorów tej idei już w I połowie XIX wieku. S.H. Kellog tak pisał wówczas w wydanej w Londynie *The Expositors's Bible*:

Niewykluczone, że główna zasada praw zamieszczonych w tym rozdziale [w Księdze Kapłańskiej] to kwestie higieny i zdrowia [...] Problem pasożytów i chorób zakaźnych, tak mocno eksponowany przez współczesną patologię, najwyraźniej nader mocno zaprzętał też umysł Mojżesza i to on właśnie zdecydował o kształcie wprowadzonych przez niego reguł higieny. (za: Douglas 2002, 31)

Jakkolwiek racjonalnie takie uzasadnienia biblijnych nakazów i zakazów mogłyby brzmieć, jak pokazuje Douglas, po pierwsze są one anachronizmem, po drugie zaś łatwo wskazać znacznie lepsze wyjaśnienie, niekłócające się przy tym z całym biblijnym kontekstem. Przede wszystkim w Biblii jasno określone są kryteria (niemające nic wspólnego ani z zarazkami, ani pasożytami) decydujące o tym, jakie zwierzę jest „czyste”. W przypadku zwierząt lądowych są to rozdzielone kopyta i przeżuwanie pokarmu:

Następnie Pan powiedział do Mojżesza i Aarona: „Tak mówcie do Izraelitów: Oto zwierzęta, które będziecie jeść spośród wszystkich zwierząt, które są na ziemi: Będziecie jedli każde zwierzę czworonożne, które ma rozdzielone kopyta, to jest racice, i które przeżuwa. Ale [następujących zwierząt], mających rozdzielone kopyta i przeżuwających nie będziecie jedli: wielbłąd, ponieważ przeżuwa, ale nie ma rozdzielonego kopyta — będzie dla was nieczysty; świstak, ponieważ przeżuwa, ale nie ma rozdzielonego kopyta — będzie dla was nieczysty; zając, ponieważ przeżuwa, ale nie ma rozdzielonego kopyta — będzie dla was nieczysty; wieprz, ponieważ ma rozdzielone kopyta, ale nie przeżuwa — będzie dla was nieczysty. Nie będziecie jedli ich mięsa ani dotykali ich padliny — są one dla was nieczyste”. (Kpł 11,1–8; por. Pwt 14,3–8)

Inne wymogi „czystości” muszą spełniać zwierzęta wodne:

Będziecie jedli następujące istoty wodne: wszystkie istoty wodne, w morzach i rzekach, które mają płetwy i łuski, będziecie jedli. Ale każda istota wodna, która nie ma płetw albo łusek w morzach i rzekach spośród wszystkiego, co się roi w wodzie, i spośród wszystkich zwierząt wodnych, będzie dla was obrzydliwością. (Kpł 11,9–10; por. Pwt 14,9–10)

To oznacza, że łosoś czy tuńczyk jest akceptowalny, ale takich stworzeń jak krewetki, homary albo małże już spożywać nie wolno, nie mają bowiem ani łusek, ani płetw.

Jak więc widać, hebrajska Biblia (czyli i chrześcijańskie Pismo Święte) uznaje niektóre zwierzęta za nieczyste nie dlatego, że jedzenie ich mięsa może być groźne dla zdrowia, ale z tego powodu, że nie spełniają one pewnych arbitralnie przyjętych kryteriów bycia zwierzęciem (odpowiednio lądowym lub wodnym). Świnie są „nieczyste” z tych samych powodów, co króliki albo wielbłądy; spełniają tylko jedno z dwóch biblijnych kryteriów bycia zwierzęciem lądowym. Homary i małże nie są z kolei czystym zwierzęciem wodnym, bo nie mają płetw ani łusek.

Dlaczego jednak autorzy Biblii takie właśnie znaczenie nadali słowu „czystość”? Douglas, starając się znaleźć odpowiedź na to pytanie, zwraca uwagę, że biblijny Bóg, wskazując swym wyznawcom, które zwierzęta uznaje za „czyste”, nieustannie powtarza też: „Bądźcie więc świętymi, bo Ja jestem święty!” (Kpł 11,43–45; 19,1–2).

Nakazy i zakazy każdorazowo poprzedzone są takim wezwaniem do świętości, należy więc przyjąć, że to ono ma je wyjaśniać. Czyli dla autorów Biblii musiał istnieć oczywisty kontrast między świętością a obrzydzeniem, które miały wywoływać zakazane potrawy. (Douglas 2002, 51–52)

W jaki sposób jednak „świętość” może odnosić się do zwierząt? Jak tłumaczy Douglas, wyjaśnia to

źródłosłów używanego w tym biblijnym kontekście słowa „święty”, które wywodzi się od „oddzielny”. To, co jest święte, jest też różne i oddzielne od wszystkiego, a jako oddzielne musi być też kompletną całością, czyli posiadać wszystkie cechy umożliwiające jego identyfikację. Biblijny Bóg jest świętością najwyższą — jest doskonały (jedynie on) i zarazem jest jedyny, doskonale oddzielony od wszystkiego, co istnieje. Żadna żywa istota oczywiście nie może być tak oddzielona i tak doskonała, ale zwierzęta również mogą być „bliżej” świętości. Mogą być doskonalsze, gdy posiadają te cechy, które powinny posiadać, a nie dysponują innymi.

Ten wymóg kompletności — jako warunku czystości/świętości — widać zresztą wyraźnie w kolejnych rozdziałach Księgi Kapłańskiej, choćby tam, gdzie czytamy, że każde zwierzę przeznaczone na ofiarę dla boga, a również kapłan dokonujący tej ofiary, muszą być doskonałe i nieskazitelne (nie przypadkiem w Kościele katolickim nadal inwalida nie może zostać wyświęcony na księdza):

Ktokolwiek z potomków twoich według ich przyszłych pokoleń będzie miał jakąś skazę, nie będzie mógł się zbliżyć, aby ofiarować pokarm swego Boga. Żaden człowiek, który ma skazę, nie może się zbliżyć — ani niewidomy, ani chromy, ani mający zniekształconą twarz, ani kaleka, ani ten, który ma złamaną nogę albo rękę, ani garbaty, ani niedorozwinięty, ani ten, kto ma bielmo na oku, ani chory na świerzb, ani okryty liszajami, ani ten, kto ma zgniecione jądra. (Kpł 21,17–20)

Wszystko, co czyni człowieka — lub zwierzę — mniej doskonałym przedstawicielem swego gatunku, pozbawia go kontaktu ze świętością. Czyni go „niekompletnym”. Nie tylko zresztą jakiś konkretny brak. Również fakt, że coś nie jest „doskonałe” w znaczeniu jednorodności. Wszelkie „mieszanki” również są niedoskonałe, a więc nieczyste. Wprost mówi o tym Księga Kapłańska: „Nie będziesz łączył dwóch gatunków bydła. Nie będziesz obsiewał pola dwoma rodzajami ziarna. Nie będziesz nosił ubrania utkanego z dwóch rodzajów nici” (Kpł 19,19). Te wszystkie reguły do dziś są przestrzegane w ortodoksyjnym judaizmie — gminy wyznaczają na przykład specjalnego przedstawiciela, który sprawdza, czy tkaniny, z których szyte są ubrania wiernych, nie są *trefne*, czyli nie są na przykład utkane z mieszanki lnu i wełny.

Wracając zaś do „nieczystych” zwierząt, czyli tych, których mięsa jeść nie wolno. Jak pisze Douglas, uzasadnienie biblijnych zakazów jest dość oczywiste. Przede wszystkim ludzie też mają dążyć do świętości, a zatem jeść tylko to, co „czyste”. Mogą więc jeść mięso wyłącznie tych zwierząt, które są „doskonałymi” reprezentantami swojego gatunku i rodzaju, a nie mieszaniną różnych cech. Starożytni Izraelici byli rolnikami i pasterzami, a więc takim „wzorcem” lądowych zwierząt były dla nich te, które wypasali — owce, kozy i bydło. Te gatunki istotnie mają i podzielone kopyta, i przeżuwają pokarm. Autorzy Biblii uznali je zatem za swoisty wzorzec — coś, co nie spełnia tych dwóch kryteriów (na przykład świnie), nie jest „całkowite” (czyli święte), a więc jest nieczyste. Podobnie ze stworzeniami wodnymi. Paradygmatycznymi stały się te, z którymi prymitywne plemiona stykały się najczęściej, czyli ryby. Rybę łatwo odróżnić, bo ma płetwy i łuski. Tego warunku nie spełniają małże, o homarach już nie mówiąc (nie dość, że nie mają płetw ani łusek, to jeszcze poruszają się niemal jak zwierzęta lądowe. Nie ma mowy, by uznać je za „czyste”...).

W każdym razie nie ma żadnych wątpliwości, że to nie względy zdrowotne ani obawa przed chorobami odzwierzęcymi oraz pasożytami kierowały autorami Biblii, gdy dekretowali, co człowiek jeść może, a czego mu nie wolno.

KSIĘGA RODZAJU JEST NIE DO POGODZENIA Z TEORIĄ EWOLUCJI

Może istotnie nie ma żadnych świadectw kopalnych potwierdzających, że dinozaury żyły w tym samym czasie, co ludzie. Niemniej [w Biblii] jest

bardzo jasno napisane, że tak właśnie było.

Mark Looy, rzecznik Creation Museum w Petersburgu, stan Kentucky (za: Slack, 2007)

Już od ponad stu lat grupy chrześcijańskich fundamentalistów, głównie wywodzących się z amerykańskich Kościołów ewangelikalnych, głoszą, że chrześcijanie muszą odrzucić teorię ewolucji, jest ona bowiem sprzeczna z tym, co o powstawaniu gatunków (roślin i zwierząt) mówi Biblia — w Piśmie jasno jest wszak powiedziane, że Bóg stworzył wszystkie organizmy w ciągu kilku dni. Wszystkie, jak podkreślają przeciwnicy ewolucjonizmu, jakie kiedykolwiek istniały — i współczesne, i te, które już wymarły, w tym na przykład dinozaury.

Ekspozycja Creation Museum (Muzeum Stworzenia) w Petersburgu ukazuje ludzi i dinozaury żyjących razem, a na „zrekonstruowanej” tam Arce Noego znajdziemy też triceratopsa i stegozaura. Personel muzeum wyjaśnia ich obecność tym, że jakkolwiek Księga Rodzaju nie wymienia dinozaurów, ich istnienie potwierdzają wykopaliska. A skoro istniały, to musiały żyć w tych samych czasach co ludzie, Pismo bowiem jednoznacznie stwierdza, że „wszelkie stworzenie” powstało na samym początku i w tym samym czasie; wszystkie gatunki zostały stworzone „jednego dnia”. Wszystkie rośliny i zwierzęta powstały w pierwszych sześciu dniach istnienia Wszechświata i żaden gatunek nie pojawił się już później. Zatem — oto kreacjonistyczna argumentacja — biolodzy myślą się, sądząc, że ptaki wyewoluowały z dinozaurów, a ludzie z małp, i że procesy te trwały miliony lat.

Chrześcijańscy fundamentaliści negujący ewolucję przyznają, że nie mogą udowodnić, iż historia stworzenia opisana w Biblii jest prawdziwa, ale, jak twierdzą, ewolucji też nie da się dowieść. Obie te narracje trzeba przyjmować „na wiarę”, a to oznacza, że mamy wybór: wierzyć w słowo Boże, bo tym w końcu jest Biblia, czy w to, co wymyślił pan Darwin, a później powtarzali po nim inni naukowcy. Innymi słowy — czy mamy zaufać Bogu, który stworzył cały Wszechświat, czy ludziom. Wybór — przynajmniej dla ludzi religijnych — jest oczywisty.

Tego typu rozwinięta argumentacja po raz pierwszy pojawiła się wśród amerykańskich chrześcijan pod koniec XIX wieku, a otwarty sprzeciw wobec ewolucjonizmu stał się wyróżnikiem Kościołów określających się jako fundamentalistyczne. Pojęcie „fundamentalizm” weszło do powszechnego obiegu po publikacji (w latach 1910–1915) dwunastotomowego opracowania *The Fundamentals*, przygotowanego przez Bible Institute z Los Angeles. Dzieło to, bardzo szeroko kolportowane wśród duchownych i nauczycieli różnych protestanckich denominacji, stanowić miało obronę fundamentalistycznej interpretacji Biblii przed nasilającymi się atakami ze strony licznych wrogów „prawdziwej wiary” — liberalizmu i ateizmu (i oczywiście najstarszego wroga, czyli katolicyzmu). W 1919 roku pastor Kościoła baptystów William Bell Riley powołał do życia Światowe Chrześcijańskie Stowarzyszenie Fundamentalistyczne (World's Christian Fundamentals Association), a kluczowym przesłaniem tej grupy Kościołów stała się konieczność dosłownego odczytywania Pisma Świętego. Dosłownego — czyli takiego, które każdy biblijny werset uznaje za przekaz prawdziwy, również w historycznym i naukowym sensie. Jeżeli zatem w Biblii czytamy, że świat powstał w sześć dni, to tak właśnie było naprawdę, a więc teoria ewolucji jest po prostu fałszywa.

Pod koniec lat 20. XX wieku amerykańscy fundamentaliści przystąpili do otwartej walki z ewolucjonizmem, wprowadzając — poprzez legislatury stanowe, w których mieli większość — zakazy nauczania tej teorii w szkołach publicznych. W roku 1925 odbył się słynny proces Scope'a („małpi proces”), w wyniku którego nauczyciel jednej ze szkół średnich w Tennessee został skazany na grzywnę w wysokości stu dolarów właśnie za włączenie teorii ewolucji do programu nauczania biologii. Warto dodać, że jednym z oskarżycieli był William Jennings Bryan, uznawany za jednego z najwybitniejszych amerykańskich mówców, trzykrotny kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta i sekretarz stanu w gabinecie prezydenta Wilsona.

Dziś, po upływie niemal stu lat, argumenty fundamentalistów — oraz teza o fałszywości teorii ewolucji jako niezgodnej z przekazem Biblii — nadal są przekonujące dla niemal połowy Amerykanów. W badaniach przeprowadzonych przez Instytut Gallupa w roku 2012, 46 procent respondentów w pełni zgadzało się z twierdzeniem: „Bóg stworzył człowieka w z grubsza takiej postaci, jaką mamy dziś, około dziesięciu tysięcy lat temu”¹. Amerykańscy fundamentaliści nadal nie ufają ludziom, którzy akceptują teorię ewolucji, nic więc dziwnego, że wielu polityków walczących o głosy tego elektoratu otwarcie się od ewolucjonizmu odcina. Spośród republikańskich kandydatów ubiegających się o nominację w partyjnych prawyborach w roku 2012 tylko Mitt Romney i Jon Huntsman zadeklarowali, że akceptują teorię ewolucji, zresztą Huntsman, umieszczając to oświadczenie na Twitterze, poprzedził je słowami: „Możecie uważać mnie za wariata, ale...”. Dla odmiany Rick Perry, gubernator Teksasu, jasno i wielokrotnie deklarował, że teoria ewolucji to „tylko jakaś tam teoria...”, którą on zdecydowanie odrzuca. Podobne poglądy głosi Ron Paul, inny republikański kandydat (na kandydata) — co ciekawe, lekarz z wykształcenia. Newt Gingrich, spiker Kongresu i lider Republikanów, w licznych wystąpieniach napominał, że Stany Zjednoczone są krajem o chrześcijańskich korzeniach i kreacjonizm — idea, że to Bóg stworzył cały świat i wszystkich jego mieszkańców w sześć dni — powinien znaleźć należne mu miejsce w amerykańskich szkołach. Takie przykłady można by mnożyć — kongresman Michael Bachman i (były już) senator Rick Santorum wzywali, by odrzucić w edukacji ewolucjonizm, a w jego miejsce wprowadzić „Teorię Inteligentnego Projektu”, jedną z wersji kreacjonizmu, która za pomocą pseudonaukowych argumentów próbuje dowieść, że złożoność świata jest tak wielka, iż nie mógł on wyłonić się w toku ewolucji i niezbędna jest obecność Projektanta (w domyśle — Boga).

Nawet jeszcze przed Darwinem uczeni studiujący Pismo Święte dostrzegli, że biblijna opowieść o powstaniu świata dalece nie jest tak prosta, jak sądzi wielu chrześcijan. Na przykład przebieg stworzenia opisany w rozdziale 2 Księgi Rodzaju odbiega od tego, co znajdujemy w rozdziale 1, tu bowiem — a nie jest to wcale jedyna różnica — Bóg stworzył *najpierw* człowieka, a dopiero potem drzewa. Nagromadzenie takich niezgodności sprawiło, że XIX-wieczni bibliści wysunęli hipotezę, że 1 i 2 rozdział Księgi Rodzaju napisali dwaj różni autorzy żyjący w różnych czasach, dziś w zasadzie powszechnie akceptowaną przez biblistów. Za sprawą tego typu sprzeczności dosłowne odczytywanie tekstu Biblii przy zachowaniu reguł logicznego myślenia jest po prostu niemożliwe. Jak można wyjaśnić, że pierwszy człowiek został stworzony jednocześnie *po* drzewach i *przed* nimi? Albo czym ma być „sklepienie”, nazwane przez Boga „niebem”, którym rozdzielił on „jedne wody od drugich” (Rdz 1,6–8) — to w sposób oczywisty odniesienie do starożytnej wizji świata, zgodnie z którą płaska ziemia rozciąga się pod „sklepieniem niebieskim”. Nawet krótki lot samolotem wystarcza, by się przekonać, że żadnego sklepienia nie ma, ale fundamentaliści i tak wiedzą, że ono tam jest.

Jeszcze trudniejszemu wyzwaniu musi sprostać zwolennik dosłownego odczytywania Biblii poproszony o wyjaśnienie, co to znaczy, że Bóg stworzył Słońce, Księżyc i gwiazdy „czwartego dnia” (Rdz 1,14–19) — jak odróżnić dzień, skoro nie ma Słońca? We wcześniejszych wersetach czytamy, co prawda, że Bóg oddzielił światło od ciemności i „nazwał [...] światłość dniem, a ciemność nazwał nocą” (Rdz 1,3–5), ale znów nie wiadomo, skąd brało się światło przez pierwsze trzy dni, zanim jeszcze do dzieła stworzenia dodane zostało Słońce.

Kolejny problem to opisy Boga w Biblii, z których dość wyraźnie wylania się postać o zdecydowanie ludzkich cechach. Obdarzona, co prawda, nieporównywalnie większą mocą niż człowiek, ale w jakimś sensie do niego podobna, a na pewno mająca fizyczny kształt i określone — choć wielkie — możliwości, bo z jakiego powodu w przeciwnym wypadku Bóg chciałby siódmego dnia odpocząć „po całej swej pracy, którą wykonał stwarzając” (Rdz 2,3). Taki sposób jego przedstawiania sprzeczny jest

z wiarą w Boga nieograniczonego żadną formą materialną, wszechmocnego i doskonałego. Przy dosłownym odczytywaniu Biblii stwórca jawi się jako istota fizyczna, zdolna odczuwać zmęczenie i potrzebująca odpoczynku.

Czysto antropomorficzny obraz Boga obecny jest zresztą w Biblii nie tylko przy opisie dzieła stworzenia. Takim widzimy stwórcę również w kontaktach z pierwszymi ludźmi, Adamem i Ewą:

Gdy zaś mężczyzna i jego żona usłyszeli kroki Pana Boga przechadzającego się po ogrodzie, w porze kiedy był powiew wiatru, skryli się przed Panem Bogiem wśród drzew ogrodu. Pan Bóg zawołał na mężczyznę i zapytał go: „Gdzie jesteś?”. (Rdz 3,8–9)

Jeśli chcemy odczytywać te wersety dosłownie, trudno uniknąć choćby pytania o to, jak Bóg wygląda i jakiego jest wzrostu — czy takiego jak ludzie, czy raczej, jak słyszeliśmy u Monty Pythona, jest „absolutnie wielki”? Jeszcze bardziej kłopotliwe pytanie łączy się z boską wiedzą, a raczej niewiedzą. Praktycznie wszyscy monoteiści (zaratusztrianie, żydzi, chrześcijanie, muzułmanie, bahaiści...) uznają Boga za istotę wszechwiedzącą. Jak zatem mógł on nie wiedzieć, gdzie są Adam i Ewa — bo przecież chyba ich nie podpuszczał?

Trudno się zatem dziwić, że zwłaszcza w ciągu ostatnich dwustu lat wielu badaczy Biblii próbowało jakoś poradzić sobie z problemem dosłownej interpretacji tej księgi, a przede wszystkim literalnego odczytywania biblijnej opowieści o stworzeniu. Wielu z nich rozstrzygnęło ten problem uznając, że wyjaśnienie kryje się w fakcie, iż starożytność nie znała ani współczesnych metod i technik badania i pisania o historii, ani współczesnej nauki, a zatem — o czym wspomnieliśmy już we Wstępie — biblijne opowieści nie stanowią realnego opisu faktycznych zdarzeń ani nie zawierają twierdzeń naukowych. Co oczywiście nie oznacza, że nie są one prawdziwe w innym, „głębszym” sensie. Taką prawdą jest również stwierdzenie, że świat — i w ogóle wszystko, co istnieje — zostały stworzone przez Boga. Wystarczy uświadomić sobie, że Pismo nie musi wyjaśniać precyzyjnie, jak przebiegał akt kreacji. Wtedy człowiek bez problemu może już z jednej strony zaakceptować naukowe dowody na powolne ewolucyjne zmiany, które przez miliony lat prowadziły do powstawania gatunków, z drugiej zaś nadal wierzyć w nauczanie Biblii, że bez Boga nic by nie istniało.

Taką postawę przyjmują obecnie wyznawcy wielu religii. W judaizmie na przykład, jakkolwiek część ortodoksyjnych rabinów nadal odrzuca teorię ewolucji i nakazuje, by Księgę Rodzaju traktować jako naukowy i historyczny opis realnych zdarzeń, to większość twierdzi raczej, że opis ten mówi o tym, co działo się przed rozpoczęciem stopniowej, ewolucyjnej zmiany żywych organizmów, albo wręcz że te ewolucyjne przemiany, których zachodzenie udowodniła nauka, stanowią część szerszego boskiego dzieła i planu stworzenia. W tym ujęciu Bóg jest źródłem i stwórcą, a ewolucja narzędziem, jakim posłużył się dla realizacji swych zamiarów. Taka wizja wylania się na przykład z książki Geralda Schroedera *Genesis and the Big Bang: The Discovery of Harmony Between Modern Science and the Bible* (1991). Obecnie zresztą już chyba większość tak konserwatywnych rabinów, jak i przedstawicieli judaizmu reformowanego w dość podobnym tonie z jednej strony akcentuje boskie pochodzenie świata, z drugiej jednak wspiera naukowe badania i próby wyjaśniania tego, jak owo stworzone przez Boga życie ewoluowało. Rabin Michael Schwab (2005) wyraża to jasno: „Judaizm, a zwłaszcza konserwatywny judaizm, uważa kreację za celowy proces kierowany przez Boga [...] To, co dla Darwina jest losowe, my uznajemy za cudowną i naturalną realizację pięknego i głębokiego Bożego planu”. Tak więc, jak pisze Schwab, zamiast odczytywać i rozumieć Księgę Rodzaju dosłownie, jako podręcznik do historii i nauki, wystarczy uznać biblijny opis za alegorię i wtedy nie trzeba już odrzucać naukowych odkryć. Podobne głosy da się słyszeć ze strony wielu wyznawców reformowanego judaizmu, którzy twierdzą, że dobór naturalny doskonale można pogodzić z ideą boskiego przewodnictwa światu i jego sprawczej mocy.

Judaizm jest w o tyle specyficznej sytuacji, że religia ta nie ma żadnego oficjalnego i ujednoliconego credo ani przywódcy czy ciała, które orzekałoby, co jest jeszcze judaizmem, a co już herezją. Niemniej nie ulega raczej wątpliwości, że większość cieszących się autentycznym autorytetem przywódców i duchownych tej religii skłania się dziś ku opinii, że nie ma sprzeczności między teorią ewolucji a przekazem biblijnym.

W katolicyzmie sytuacja przedstawia się inaczej, gdyż tu już mamy określone źródła autorytetu. Są nim na przykład encykliki papieskie. I jak się okazuje Kościół rzymskokatolicki prezentuje obecnie w kwestii ewolucji stanowisko zbliżone do judaizmu. W encyklice *Humani generis* (nr 29), wydanej przez papieża Piusa XII w roku 1950, omówione zostało stanowisko Kościoła katolickiego wobec wielu zagadnień współczesnej myśli i nauki, w tym również teorii ewolucji. Jak można się z niej dowiedzieć, papież (czyli Kościół) uważa, że nie ma w owej teorii nic, co byłoby wprost sprzeczne z doktryną katolicką. Kościół nie zakazuje więc badania ewolucji, zaleca jedynie szczególną ostrożność:

Nie zakazuje więc kościelny Nauczycielski Urząd, by teoria ewolucjonizmu, o ile bada, czy ciało pierwszego człowieka powstało z istniejącej poprzednio, żywej materii — że bowiem dusze stwarzane są bezpośrednio przez Boga, tego niewątpliwie uczy nas katolicka wiara — stała się przedmiotem dociekań i dyskusji uczonych obydwu obozów, zgodnie z obecnym stanem nauk ludzkich i świętej teologicznej wiedzy. Te dyskusje jednak powinny być tak prowadzone, żeby racje obydwu stron, tak zwolenników, jak przeciwników ewolucjonizmu, roztrząsane były i oceniane poważnie, z miarą i umiarkowaniem, a nadto, żeby obie strony gotowe były poddać się sądowi Kościoła, któremu Chrystus zlecił obowiązek zarówno autentycznego wykładania Pisma, jak i strzeżenia dogmatów wiary. Są jednak tacy, co niestety tej swobody dyskusji nierozważnie i zbyt śmiało nadużywają, przemawiając takim tonem, jakby dotychczasowe odkrycia i oparte na nich rozumowania dawały już zupełną pewność, że ciało ludzkie w swym pierwszym początku wyszło z istniejącej uprzednio i żywej materii, i jakby źródła Bożego objawienia niczego nie zawierały, co w tej zwłaszcza kwestii jak największej domaga się ostrożności i umiarkowania.

Pod koniec XX wieku papież Jan Paweł II poszedł jeszcze dalej. Przywołując encyklikę Piusa IX, stwierdził:

Dzisiaj, prawie pół wieku po publikacji encykliki, nowe zdobycze nauki każą nam uznać, że teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą. Zwraca uwagę fakt, że teoria ta zyskiwała stopniowo coraz większe uznanie naukowców w związku z kolejnymi odkryciami dokonywanymi w różnych dziedzinach nauki. Zbieżność wyników niezależnych badań — bynajmniej nie zamierzona i nie prowokowana — sama w sobie stanowi znaczący argument na poparcie tej teorii.

Amerykański Kościół prezbiteriański już w 1969 roku wydał oświadczenie w sprawie teorii ewolucji, w którym stwierdzał: „Ani Pismo, ani nasze Wyznanie Wiary, ani nasz Katechizm nie uczą, że stworzenie człowieka było natychmiastowym, bezpośrednim i jednorazowym aktem Boga, co wykluczałoby możliwość ewolucji jako teorii naukowej”. W dalszych częściach cytowanego oświadczenia czytamy, że jakkolwiek prezbiterianie mogą interpretować takie frazy Pisma jak „sześć dni”, „z prochu ziemi” czy „z żebra Adama” dosłownie, to takie odczytanie nie jest wiążące dla wszystkich wiernych. Dalej, powołując się na autorytet Jana Kalwina, stwierdza ono, że „Biblia nie jest księgą naukową”. I wreszcie: „Uznajemy zatem, że nie ma sprzeczności między teorią ewolucji a Biblią [...]”.

Również Kościół episkopalny wydał w tej sprawie specjalne oświadczenie — *Catechism of Creation* (Church of England 2005) — w którym przypominał, że nie zajmuje żadnego oficjalnego i obowiązującego wiernych stanowiska w kwestii teorii ewolucji, jakkolwiek „duchowni i uczeni odwołujący się tak do katolickich, jak ewangelikalnych tradycji anglikanizmu akceptują ewolucjonizm już od czasów Darwina. Rezolucja przyjęta przez Ogólne Zgromadzenie (General Convention) Kościoła w roku 1982 jednoznacznie stwierdza, że Bóg dysponuje mocą stwarzania świata w dowolny sposób, również poprzez ewolucję”. Potem autorzy *Katechizmu* dodają jeszcze, że „Biblia, w tym także Księga Rodzaju, nie jest podyktowanym przez Boga podręcznikiem naukowym” oraz że jakkolwiek ewolucjonizm to „sieć teorii”, „znajdują one silne poparcie w obserwacjach i eksperymentach” (których

opis można znaleźć w dokumencie!). Owe teorie nie stoją w sprzeczności z Pismem, choćby dlatego, że biblijny opis stworzenia mówi o tym, że człowiek otrzymał od Boga szczególny dar „bezwarunkowej miłości i współczucia, rozumu i wyobraźni, zdolności moralnych i etycznych, a także wolność i kreatywność”, nie precyzuje natomiast, w jaki sposób Bóg nas takimi stworzył. Tym boskim narzędziem może być ewolucja.

Dwa lata temu specjalne oświadczenie w sprawie ewolucji wydał też Zjednoczony Kościół Metodystów (United Methodist Church 2012). Już na samym wstępie czytamy tam: „Uznajemy naukę za właściwy sposób interpretacji boskiego świata natury”. Dalej jego autorzy, wskazując na konieczność oddzielenia argumentów teologicznych od naukowych, stwierdzają: „Uznajemy, że naukowe opisy ewolucji kosmologicznej, geologicznej i biologicznej nie pozostają w konflikcie z teologią”. Co więcej, Kościół metodystów uważa, że „nauka poszerza nasze rozumienie świata natury, a dzięki temu lepiej pojmujemy tajemnicę Bożych dzieł i słów”.

Rzecz jasna w obrębie zachodniego monoteizmu istnieje nadal wiele wspólnot, które stanowczo pozostają przy przekonaniu, że biblijna opowieść o stworzeniu wyklucza akceptację teorii ewolucji — poza częścią ortodoksyjnego judaizmu to niektóre Kościoły chrześcijańskie (m.in. Lutheran Church-Missouri Synod i Southern Baptist Convention (Południowa Konwencja Baptystów) w Stanach Zjednoczonych) i bardziej konserwatywne odłamy islamu. Trzeba jednak przyznać, że takie fundamentalistyczne stanowisko nie znajduje wsparcia ani wśród największych (przynajmniej mainstreamowych) autorytetów judaizmu i chrześcijaństwa, ani nawet wśród bardziej liberalnie nastawionych teologów muzułmańskich.

ŻYDZI WIERZĄ, ŻE SĄ NARODEM WYBRANYM, KTÓREMU BÓG OBIECAŁ SZCZEGÓLNE PRZYWILEJE

Zaledwie kilka żydowskich wierzeń jest przedmiotem tylu nieporozumień co doktryna „narodu wybranego”.

The Jewish Theological Seminary of America (1988)

Ideę Żydów jako ludu wybranego można uznać za centralny element żydowskiej tradycji i judaizmu, ale nader często jest ona błędnie interpretowana i przedstawiana. Na przykład wielu chrześcijan i to przez długie wieki sądziło, że oznaczać to ma, iż żydzi wierzą, że tylko oni otrzymali od Boga prawdziwe objawienie i że dzięki temu wyłącznie oni dostąpią życia wiecznego w królestwie, które nadejdzie. Tę wiarę wykorzystali chrześcijańscy teolodzy — Orygenes już w III wieku pisał, że skoro żydzi odrzucili Chrystusa jako mesjasza, to teraz przymierze z Bogiem obejmuje tylko chrześcijan. Podobne poglądy znaleźć też można między innymi u Marcina Lutera — to chrześcijanie stali się ludem wybranym i to oni dzierżą teraz klucz do królestwa niebieskiego.

Koncepcja narodu wybranego bywała też (i bywa) interpretowana w sposób znacznie bardziej spolityzowany — w tym odczytaniu ma ona głosić, że żydzi wierzą, iż to sam Bóg dał im prawo do ziem, na których rozciąga się państwo Izrael, i że nakazał im też zniszczyć wszystkich, którzy im tego prawa odmawiają.

O tym, że żydzi są narodem wybranym, dowiadujemy się wprost z Biblii — „Bo wy jesteście ludem poświęconym Panu, Bogu swemu: was wybrał Pan, byście się stali ludem będącym Jego wyłączną własnością spośród wszystkich narodów, które są na ziemi”, czytamy w Księdze Powtórzonego Prawa (14,2), a w Księdze Amosa znajdujemy słowa samego Boga, skierowane wprost do Izraelitów: „Jedynie was znałem ze wszystkich narodów na ziemi [...]” (Am 3,2).

Tyle że zgodnie z najbardziej autorytatywnymi wykładniami judaizmu słów tych absolutnie nie

wolno interpretować tak, jakoby miało z nich wynikać, że tylko żydzi zasługują na nagrodę w postaci życia wiecznego. Przeciwnie — tu chodzi o szczególną odpowiedzialność, jaka spoczywa na tym ludzie (na tej religii) i cenę, jaką może zapłacić za zawód sprawiony Bogu. Stąd właśnie cytowany powyżej werset z Księgi Amosa kończy się groźnie brzmiącą zapowiedzią: „Dlatego was nawiedzę karą za wszystkie wasze winy”. Zgodnie z tradycją żydzi istotnie zostali wybrani przez Boga, im bowiem przekazał Prawo. To Tora uczy, jak być dobrym człowiekiem, i wypełnianie nakazów Prawa stało się odtąd ich — i to wyłącznie ich — obowiązkiem. Inni ludzie, goje, nie muszą kierować się Prawem, ale to nie znaczy, że nie mają szansy na życie wieczne. Talmud, księga tworzona przez żydowskich mędrców przez stulecia, jasno mówi, że wszyscy prawi ludzie mają przed sobą życie wieczne. Żydzi, by dostąpić tej nagrody, muszą przestrzegać Prawa, nie-żydzi pójdą do nieba, jeśli dobrze i uczciwie przeżyli swoje życie.

Sednem przymierza z Bogiem jest zatem w judaizmie przestrzeganie Prawa. A co z Ziemią Obiecaną? W pierwszej księdze hebrajskiej (i chrześcijańskiej) Biblii Bóg przyrzeka Abrahamowi: „[...] Potomstwu twemu daję ten kraj, od Rzeki Egipskiej aż do rzeki wielkiej, rzeki Eufrat” (Rdz 15,18). Wymienia co prawda ludy zamieszkujące na razie te ziemie, ale zapewnia Abrahama, że „Sprawię, że będziesz niezmiernie płodny, tak że staniesz się ojcem narodów i pochodzić będą od ciebie królowie. Przymierze moje, które zawieram pomiędzy Mną a tobą oraz twoim potomstwem, będzie trwało z pokolenia w pokolenie jako przymierze wieczne, abym był Bogiem twoim, a potem twego potomstwa. I oddaję tobie i twym przyszłym potomkom kraj, w którym przebywasz, cały kraj Kanaan, jako własność na wieki, i będę ich Bogiem” (Rdz 17,5–8). Wiele pokoleń później Mojżesz wywiódł Żydów z egipskiej niewoli i poprowadził ich do ziemi, która była im obiecana. Bóg nie złamał swego przyrzeczenia, wyjaśnił nawet szczegółowo, jak swój kraj mają podbić:

Jeśli podejdziesz pod miasto, by z nim prowadzić wojnę, [najpierw] ofiarujesz mu pokój, a ono ci odpowie pokojowo i bramy ci otworzy, niech cały lud, który się w nim znajduje, zejdzie do rzędu robotników pracujących przymusowo, i będą ci służyli. Jeśli ci nie odpowie pokojowo i zaczniesz z tobą wojować, oblegniesz je. Skoro ci je Pan, Bóg twój, odda w ręce — wszystkich mężczyzn wytniesz ostrzem miecza. Tylko kobiety, dzieci, trzody i wszystko, co jest w mieście, cały łup zabierzesz i będziesz korzystał z łupu twoich wrogów, których ci dał Pan, Bóg twój. Tak postąpisz ze wszystkimi miastami daleko od ciebie położonymi, nie będącymi własnością pobliskich narodów. Tylko w miastach należących do narodów, które ci daje Pan, twój Bóg, jako dziedzictwo, niczego nie zostawisz przy życiu. (Pwt 20,10–16)

Jak pokazał Robert Eisen (2011), nawet sami żydzi interpretowali owe słowa różnie. Część komentatorów Tory uznawała, że należy te wersety odczytywać jako „próbę usprawiedliwienia win i rozstrzygnięcie moralnych dylematów, jakie wzbudzić musiał podbój Kanaanu” i zwracała przede wszystkim uwagę na to, iż mowa tu o tym, by starać się unikać śmierci niewinnych ludzi, najpierw oferując pokój. Autorzy obu najbardziej znanych midrasz (Wielkiego Midraszu i Midraszu Tanchuma) w swoich komentarzach do Tory przypominają nawet, że „tym, którzy opuścili swoje ziemie dobrowolnie, Izraelici oddali inne krainy” (Eisen 2011, 91), a zabili tylko tych, którzy nie chcieli odejść w pokoju. W każdym razie rabinackie komentarze i interpretacje Tory konsekwentnie odcinają się od próby odczytywania powyższych słów jako polecenia bezlitosnej rzezi wszystkich rdzennych mieszkańców Kanaanu albo też kładą nacisk na to, iż sformułowany w nich nakaz bezwzględnego podboju dotyczył jedynie określonego miejsca i czasu. Szerzej — przyrzeczenie Ziemi Obiecanej ani nie nakłada na żydów obowiązku zabijania kogokolwiek, kto żyje w swoim kraju, ani tym bardziej nie daje im takiego prawa.

W naszych czasach problem Ziemi Obiecanej jeszcze bardziej się pokomplikował, bowiem mimo bardzo intensywnych badań archeologicznych nie udało się znaleźć żadnych świadectw, że do takiego podboju istotnie kiedyś doszło. Większość historyków uważa obecnie, że przodkowie Izraelitów *byli*

Kananejczykami i po prostu zamieszkiwali ten kraj a nie zdobyli go siłą, tyle że w miarę nasilania się różnic religijnych zaczęli się postrzegać jako lud etnicznie odrębny od autochtonów. Zgodnie z tą hipotezą wszystkie opowieści o tym, jak to Izraelici wyróżnili Kananejczyków, miały służyć w znacznym stopniu temu, by zapobiec małżeństwom Żydów z wyznającymi politeizm sąsiadami.

Trudno jednak zaprzeczyć, że biblijne opowieści o podboju Ziemi Obiecanej odegrały istotną rolę w rozwoju ideologii syjonistycznej i pośrednio także w narodzinach Izraela w 1948 roku, choć bez wątpienia nie mniej ważna była zupełnie zrozumiała chęć Żydów do stworzenia własnego państwa, w którym mogliby schronić się przed antysemityzmem. Wygnania Palestyńczyków z granic Izraela nie należy zatem traktować jako próby realizacji bożych nakazów z Księgi Powtórzonego Prawa, a przynajmniej nie wyłącznie. To raczej tragiczne skutki antysemityzmu i Holokaustu. Wydaje się, że tak obecnie zaczynają myśleć nawet sami Żydzi — przynajmniej amerykańscy. Według badań przeprowadzonych w roku 2013 przez Paw Reasearch Center (2013, 87) tylko 40 procent amerykańskich Żydów wierzy, że to Bóg dał Hebrajczykom Izrael (choć 75 procent wyznawców judaizmu czuje się z tym państwem silnie emocjonalnie związanych), a 61 procent uważa, że możliwa jest pokojowa koegzystencja między Izraelem a niepodległym państwem palestyńskim.

ŻYDZI ZABILI JEZUSA

Żydzi zabili Jezusa. Nic tego nie zmieni. I nigdy tego nie żałowali.

www.jewskilledjesus.com

To przekonanie jest bardzo mocno zakorzenione w chrześcijańskiej teologii i od II wieku stanowi uzasadnienie antysemityzmu. Zwłaszcza po tym, gdy sobory zwoływane między czwartym a siódmym wiekiem uznały, że Jezus był Bogiem, oskarżenie Żydów, że są winni jego śmierci, nabrało szczególnej wagi — Żydzi zabili Jezusa, Jezus był Bogiem, a więc Żydzi zabili Boga. Czy istnieje w ogóle gorsza zbrodnia niż „bogobójstwo”?! W greckim Kościele prawosławnym i w Kościołach katolickich obrządku bizantyjskiego do dziś w liturgii wielkoczwartkowej mowa jest o „zabójcach Boga, żyjącym w bezprawiu narodzie żydowskim”, a do roku 1959 oficjalna (rzymsko)katolicka liturgia wielkopiątkowa (w Wielki Piątek upamiętniana jest śmierć Chrystusa na krzyżu) obejmowała modlitwę „za wiarołomnych Żydów”, zawierającą słowa: „Aby Bóg i Pan nasz zdarł zasłonę z ich serc, żeby i oni poznali Jezusa Chrystusa, Pana naszego”.

Te modlitwy odzwierciedlają to, co można przeczytać w Nowym Testamencie. W ewangeliach jest mowa o tym, że żydowscy przywódcy oskarżyli Jezusa o bluźnierstwo, za takie bowiem uznali fakt, że uważał się za Syna Bożego. Dla kapłanów była to największa zbrodnia, zasługująca na karę śmierci (Mt 26,63–65; Łk 22,70–71; J 19,7). Żydzi zaprowadzili Jezusa do rzymskiego prefekta Poncjusza Piłata, ale ten nie znalazł podstaw, by go skazać. Wtedy kapłani wskazali mu zebrany pod pałacem tłum krzyczący: „Ukrzyżuj go!”. Według Ewangelii Mateusza tłum nie tylko krzyczał, ale przyjął też na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć, której żądał. W tej sytuacji Piłat, obawiając się zamieszek, nie bardzo miał wyjście. Wydał wyrok, którego domagali się żydzi, ale potem wziął miskę z wodą, obmył w niej ręce i powiedział: „Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz». A cały lud zawołał: «Krew Jego na nas i na dzieci nasze»” (Mt 27,24–25). Wtedy rzymski prefekt ułaskawił Barabasa (innego więźnia, który miał być tego dnia stracony), a Jezusa kazał ubiczować i ukrzyżować. Wskazanie na Żydów jako na morderców Chrystusa pojawia się w Biblii po raz pierwszy u Pawła. W 1 Liście do Tesaloniczan, pisanym w połowie I w. n.e., „apostoł pogan” mówi jasno: „Żydzi zabili Pana Jezusa i proroków, i nas także prześladowali. A nie podobają się oni Bogu i sprzeciwiają się wszystkim

ludziom” (1 Tes 2,15). Również autorzy wczesnochrześcijańskich pism, które powstały w późniejszych wiekach, nie mieli w tej kwestii żadnych wątpliwości. Żyjący w II wieku Justyn Męczennik jest autorem *Dialogu z żydem Tryfonem*. W rozdziale 16 tego dzieła wyjaśnia swemu rozmówcy, dlaczego Świątynia została zburzona, a sami żydzi nie mogą wejść do Jerozolimy: „Dlatego spotkały was te rzeczy zupełnie sprawiedliwie i słusznie, ponieważ zgładziliście Jedyne Sprawiedliwego”.

Tego typu retoryczne ataki na żydów nasilały się w kolejnych stuleciach, zwłaszcza od czasu, gdy pod koniec IV wieku chrześcijaństwo stało się oficjalną religią imperium rzymskiego. Narodził się niemal osobny gatunek literacki, zwany *Adversus Judaeos*, czyli *Przeciwko żydom*, a antyżydowskie diatryby pisali najwyżej cenieni ludzie Kościoła. Wiele takich krwiożerczych dzieł wyszło na przykład spod pióra uznawanego za jednego z najwybitniejszych kaznodziei starożytności Jana Chryzostoma „Złotoustego”. W aż ośmiu kazaniach z wielką pasją atakuje on chrześcijan, którzy nadal obchodzą żydowskie święta i odprawiają żydowskie rytuały. Tymczasem żydzi, jak ostrzega, to „bezbożnicy, bałwochwalcy i dzieciobójcy, którzy kamieniają naszych proroków i mają na sumieniu dziesiątki tysięcy innych zbrodni”. I dalej:

Żydzi to najbardziej bezwartościowi z ludzi. To lubieżni pazernicy. Ci perfidni mordercy Chrystusa oddają cześć szatanowi, a ich religia jest chora. Te potwory zabiły Jezusa, a kto zabije Boga, nigdy nie może dostąpić przebaczenia, nie ma dla niego zmiłowania ani łaski. Chrześcijanie nigdy nie mogą odstąpić od zemsty i każdy żyd po wieczność ma żyć w niewoli. Bóg zawsze ich nienawidził i wszyscy chrześcijanie też mają ich nienawidzić po wsze czasy.

Na wypadek, gdyby słuchacze uznali, że bogobójstwo to nie dość, Chryzostom poszerza jeszcze listę zarzutów:

Żydzi oddają swoje dzieci w ofierze szatanowi. Są gorsi niż najdziksze bestie. Synagoga to burdel i gniazdo rozpusty, przybytek diabła i bałwochwalstwa, melina żydowskich przestępców, miejsce spotkań zabójców Pana Naszego, dom niesławy, otchłań nieprawości i zła wszelakiego, przedsiónek wiecznego potępienia. Żydzi są gorsi od najnikczemniejszych ze stworzeń. Rozpusta i pijaństwo uczyniły z nich przepelnione żądzą świnię i kozły. Potrafią tylko nażerać się i upijać do nieprzytomności, zabijając się wzajem lub tłuc niczym bandyci i woźnice.

W późnym średniowieczu do tego arsenału doszły jeszcze przedstawienia, zwłaszcza pasyjne. Wielką sławę zyskało na przykład bawarskie Oberammergau, gdzie pasja odgrywana była w niezmięnionej postaci aż do roku 1634. Tego typu inscenizacje realizowane były zwykle podczas Wielkiego Postu i miały odtwarzać śmierć Jezusa, a ich stałym elementem był stereotypowo przedstawiany Judasz, sprzedający Jezusa za trzydzieści srebrników, grupa żydów krzyczących do Poncjusza Piłata: „Ukrzyżuj go!” i przywódcy żydowscy mówiący: „A krew jego niech spadnie na nas i syny nasze”. Przez długie wieki żydzi mieszkający w miastach, gdzie takie pasyjne przedstawienia były wystawiane, mogli być niemal pewni, że zaraz ruszy na nich tłum chrześcijan żądnych zemsty na mordercach Jezusa.

Reformacja, rozpoczęta wystąpieniem Marcina Lutra w 1517 roku, zakwestionowała wiele katolickich dogmatów, ale nie chrześcijański antyjudajizm. Sam Luter, jakkolwiek za młodu z optymizmem wyrażał się o możliwości konwersji żydów na chrześcijaństwo, później wypowiadał się o nich już tylko z rosnącą nienawiścią. W roku 1542 opublikował głośny traktat *Von den Juden und ihren Lügen* (*O Żydach i ich kłamstwach*), gdzie pisał o żydach, że są to „wszeteczne kreatury, odrzucone przez Boga, ich pochodzenie, obyczaj (obrzezanie) i prawa są godne najwyższej pogardy [...] są przepelnieni diabelskimi odchodami, w których pławią się jak świnię”. Wzywał też, by spalić żydowskie synagogi i szkoły, rabinom zakazać udzielania nauk, zniszczyć ich księgi, wyburzyć domy i odebrać wszelką własność. I dalej, że z żydów jako z „trującego i jątrzącego robactwa” należy uczynić niewolników lub wygnać ich z chrześcijańskich krain. W sumie uznał, bo tak należy odczytać te słowa, że obowiązkiem chrześcijan jest eksterminacja żydów: „To nasza wina, że ich dotąd nie zabiliśmy” (za: Michael 2006,

Co znamienne, idea, że Żydzi zabili Jezusa, trafiła też do żydowskiej literatury religijnej. W Talmudzie Babilońskim w traktacie *Sanhedryn* (folio 43a) znalazła się nawet *baraita* pochodząca z II wieku n.e., mówiąca o tym, że wyrok śmierci na Jezusa — za uprawianie czarów i podburzanie do buntu — wydał żydowski sąd. W wielu późniejszych wydaniach Talmudu ta *baraita* została usunięta i w tym miejscu pozostawiono pustą stronę. Podobne wzmianki znaleźć też można w żydowskiej literaturze ludowej — według *Toledot Jeszu*, spisanej po hebrajsku biografii Jezusa, to Żydzi są odpowiedzialni za jego śmierć. Martin Lockshin z Centre for Jewish Studies na York University twierdzi wręcz, że „bardzo możliwe, że co najmniej do XIX wieku europejscy Żydzi istotnie wierzyli, że to ich przodkowie zabili Jezusa” (Lockshin, online).

Trudno się dziwić, że gdy hitlerowskie Niemcy przed II wojną światową z antysemityzmu uczyniły rdzeń swojej ideologii państwowej, naziści odwołali się między innymi do Lutra. Czym w końcu było postulowane przez Hitlera „Ostateczne Rozwiązanie”, jeśli nie logiczną konsekwencją idei Lutra — „To nasza wina, że ich dotąd nie zabiliśmy”. Hitler zresztą już w roku 1923 wychwalał Marcina Lutra jako wielkiego niemieckiego geniusza, który „dostrzegł w Żydzie to, co my dopiero dziś w nim zaczynamy widzieć” (Süss 2006). Wkrótce po Nocy Kryształowej, sprowokowanej przez nazistów akcji antyżydowskich pogromów, które przetoczyły się przez Niemcy 10 listopada 1938 roku, biskup Turynii przypomniał, że tego właśnie dnia w roku 1483 urodził się Luter, a spalenie synagog to godne uczczenie tej ważnej rocznicy (Goldhagen 1997, 111). Niemcy nie były pod tym względem wyjątkiem. Słowaccy księża (katolicy) na przykład tłumaczyli swoim wiernym w czasach Holokaustu, że naziści, mordując Żydów, realizują wolę bożą. W roku 1942 rabin Michael Dov-Ber Weissmandel błagał arcybiskupa Kametkę, by ten interweniował u prezydenta Tisso i doprowadził do wstrzymania wywózki słowackich Żydów do nazistowskich obozów koncentracyjnych. W odpowiedzi usłyszał:

Nie tylko zostaniecie wywiezieni. Na miejscu czeka was śmierć od głodu i chorób, a potem was zabiją — młodych i starych, kobiety i dzieci, wszystkich jednego dnia. To kara, jaka was spotyka za śmierć naszego Zbawiciela. Tylko nawrócenie się na naszą religię może wam dać jakąś nadzieję. Przyjmijcie Chrystusa, a ja sprawię, że dekret zostanie anulowany. (Berkovits 1973, 16–17)

Groza Holokaustu wstrząsnęła całym światem i skłoniła również chrześcijańskich przywódców do zrewidowania głoszonych nauk. W roku 1959 papież Jan XXIII zarządził, by określenie „perfidni” („wiarołomni”) zostało usunięte z wielkopiątkowej modlitwy, a trzy lata później, w roku 1962, wezwał Sobór Watykański II, by spróbował na nowo odczytać Pismo w kontekście współczesnych doświadczeń. W roku 1965 następny papież Paweł VI opublikował encyklikę *Nostra Aetate* (*W naszych czasach*), omawiającą stosunek Kościoła katolickiego do innych wyznań. Dokument ten stanowczo odcinał się od tradycyjnego dla chrześcijaństwa oskarżania Żydów (i ich potomków) o śmierć Jezusa. „Nie należy przedstawiać Żydów jako odrzuconych ani jako przeklętych przez Boga, rzekomo na podstawie Pisma Świętego”. W 1970 roku modlitwa wielkopiątkowa została kompletnie zmieniona — negatywne wobec Żydów określenia zostały usunięte, a w ich miejsce pojawiły się zdania mówiące o tym, że to oni jako pierwsi „poznali Słowo Boże”².

Papież Jan Paweł II (sprawujący pontyfikat w latach 1978–2005) kontynuował wysiłki swoich poprzedników zmierzające do zmiany postawy rzymskiego katolicyzmu wobec Żydów. Podczas swojej pierwszej podróży do Niemiec w roku 1980 spotkał się z Główną Radą Żydów oraz z niemiecką Konferencją Rabinów. W trakcie obu tych spotkań mówił o potrzebie dialogu i przypominał, że przymierze Żydów z Bogiem nigdy nie zostało zerwane. Jego następcą w Watykanie, Benedykt XVI, w opublikowanej w roku 2011 książce *Jezus z Nazaretu* zakwestionował historyczną trafność słów Ewangelii „Krew jego na nas...”, wskazując (na co zwróciło już wcześniej uwagę wielu badaczy Biblii),

że Ewangelia ta powstała około pięćdziesięciu lat po śmierci Jezusa. Ponadto jej autor reprezentował środowiska chrześcijańskie, które chciały zyskać akceptację w imperium rzymskim między innymi tym, że odcinały się od Żydów, którzy dopiero co zbuntowali się przeciwko rzymskiej władzy, co doprowadziło do zburzenia Jerozolimy w 70 roku n.e. Część biblistów przyjmuje w tej sytuacji, że autor Ewangelii Mateusza, pisząc, że Piłat uznał Jezusa za niewinnego, a „Żydzi” przyjęli na siebie odpowiedzialność za jego śmierć, tak naprawdę chciał zdjąć odpowiedzialność z Rzymian (a przynajmniej im się nie narazić — por. *Anchor Bible Dictionary*, 1995, 399–400).

Kościół katolicki wydał też nowe wytyczne w sprawie misterii pasyjnych odgrywanych w czasie Wielkiego Postu, które bardzo osłabiły ich antysemicką wymowę. We współczesnych przedstawieniach silniej zaakcentowana jest rola (i władza) Piłata, zredukowany wątek kupców w Świątyni, w tłumie pod pałacem Piłata są też stronnicy Jezusa, i wreszcie nie ma już okrzyku: „Krew jego na nas i na dzieci nasze”, za to wyraźnie podkreślona jest żydowskość Chrystusa — mówi kilka słów po hebrajsku, a uczniowie zwracają się do niego per „Rebe Joszua”.

Również inne Kościoły chrześcijańskie starają się zmieniać. W roku 1998 Ewangelicki Kościół Luterński w Stanach Zjednoczonych przyjął rezolucję nakazującą luteranom, by organizując przedstawienia pasyjne kierowali się stanowiskiem zaprezentowanym w dokumencie *Guidelines for Lutheran-Jewish Relations*, który jednoznacznie stwierdza, że treści Nowego Testamentu „nie mogą być wykorzystywane jako uzasadnienie wrogości wobec współcześnie żyjących Żydów”, a także, że „winą za śmierć Jezusa nie można obarczać ani Żydów, ani judaizmu”.

Niestety — popularność literatury antysemickiej czy choćby takich witryn jak jewskilledjesus.com wskazuje, że chrześcijanie mają jeszcze wiele do zrobienia, jeśli naprawdę chcą walczyć z antysemityzmem w swoich szeregach.

MORD RYTUALNY — ŻYDZI UŻYWAJĄ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KRWI W SWOICH RYTUAŁACH

Żydzi z Lincolnu porwali ośmioletniego chłopca o imieniu Hugh [...] a potem rozstali wici do prawie wszystkich miast w Anglii, gdzie żyli ich pobratymcy, i wezwali wybranych, by przybyli na uroczystość, jaką zaplanowali w Lincolnie, gdzie, jak zapowiedzieli, ukryli chłopca, którego chcą ukrzyżować.

(jedna z wersji opowieści o porwaniu „świętego Hugh” autorstwa Matthew Parisa, za: Hyamson 1908, 81)

Żydzi byli oskarżani nie tylko o zabicie Jezusa, ale też o niezliczone inne zbrodnie. Jednym z chyba najbardziej niedorzecznych było rozpowszechnione praktycznie w całej Europie — zwłaszcza od czasów średniowiecza — oskarżenie o „mord rytualny”; mówiono, że Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci i wykorzystują ich krew w swoich rytuałach (w Europie Wschodniej na przykład do wyrobienia macy — przyp. tłum.). Jak pisze David Biale, to „krwawe oszczerstwo”³ „rozpowszechniło się w Europie w XIII wieku [...] i w zadziwiająco niezmiennym formie przetrwało aż do czasów współczesnych” (2007, 2). Douglas Raymund Webster (1913) odkrył jednak pewien znacznie starszy przypadek — otóż ponoć rankiem w dzień Paschy 1144 roku mieszkańcy Norwich znaleźli w pobliskim lesie poćwiartowane ciało dwunastoletniego Williama. Tomasz z Monmouth, mnich z lokalnego klasztoru benedyktynów, napisał na ten temat książkę. Jak stwierdził, obrażenia na zwłokach jednoznacznie wskazywały, że dziecko padło ofiarą rytualnego żydowskiego mordu. Takie coś dzieć się miało w każdą Paschę, a w 1144 roku padło właśnie na nieszczęsnego Williama. Wieść o „męczeństwie” chłopca rozeszła się bardzo szybko i wkrótce narodził się jego kult, który rozpowszechnił się na tyle, że biedna ofiara uwieczniona została na jednym ze skrzydeł ołtarza w kościele Świętej Trójcy w Loddon w hrabstwie Norfolk. Obraz Żydów krzyżujących chrześcijańskie dziecko i odsączających jego krew

można tam podziwiać do dziś.

Najsłynniejszy w dziejach Anglii przypadek mordu rytualnego to jednak historia, która rzekomo wydarzyła się w roku 1255, kiedy to mieszkańcy Lincoln znaleźli w studni zwłoki zaginionego kilka tygodni wcześniej dziewięcioletniego Hugh. Chłopiec miał zostać uprowadzony, torturowany, a wreszcie ukrzyżowany — co miało być parodią męki Jezusa — przez lokalnych Żydów. Miejscowe władze aresztowały nawet jednego z nich i ten — bez wątpienia pod wpływem tortur — przyznał się do zabicia dziecka i wyjaśnił, że zrobił to dla całej wspólnoty. Łącznie aresztowano dziewiętnastu Żydów i oskarżono ich o porwanie, torturowanie oraz ukrzyżowanie (błuznierstwo!) małego Hugh. Osiemnastu zostało skazanych i powieszonych, a ich majątek przeszedł na własność korony. Również i w tym przypadku narodził się kult małego męczennika. Przypisano mu zdolność czynienia cudów, a relikwie bardzo szybko znalazły się w katedrze w Lincoln. Męczeńska śmierć dziecka — zwanego już „małym świętym Hugh” — była opisywana przez angielskich i szkockich bardów, tak w twórczości ludowej (na przykład w znanej balladzie *Sir Hugh or the Jew's Daughter (who lures the boy into her garden)*), jak w poezji wysokiej — z jednej z *Opowieści Kanterberyjskich* Chaucera możemy się dowiedzieć, jak to Żydzi porwali chłopca i wynajęli mordercę, „aby podciął mu gardło i wrzucił go do jamy [...] do wychodka, gdzie ci Żydzi wypróżniali jelita”. Kościół anglikański potrzebował siedmuset lat, by przyznać, że cała ta historia była wyssana z palca.

Walter Laqueur (2006, 55–66), historyk, który szczegółowo badał tę kwestię, doliczył się w samej Anglii ponad stu pięćdziesięciu przypadków oskarżenia Żydów o mord rytualny. Większość zakończyła się wyrokami śmierci. To sprawy głównie ze średniowiecza, ale, na co zwraca uwagę Laqueur, wiara w to, że Żydzi wykorzystują ludzką (i to koniecznie chrześcijańską) krew w jakichś swoich tajemniczych rytuałach, przetrwała znacznie dłużej. Po co jednak mieliby oni porywać i mordować dzieci? Przywoływany wyżej Tomasz z Monmouth twierdził, że od jednego z miejscowych żydów dowiedział się, że istnieje starożytna przepowiednia, zgodnie z którą Żydzi będą mogli wrócić do swojej ojczyzny, jeśli każdego roku będą składać ofiarę z chrześcijańskiej krwi. W innych krajach krążyły jednak inne legendy, a powszechna wiara w mord rytualny stanowiła po prostu fragment zajadłego antysemityzmu, który od początków chrześcijaństwa towarzyszył tej religii i to dalece nie tylko w Anglii, ale praktycznie w całej Europie. Jak już wiemy, ten antysemityzm miał źródła teologiczne (przekonanie, że żydzi sądzą, iż tylko oni dostąpią zbawienia, oraz „bogobójstwo”), ale wiele wskazuje na to, że kryły się za nim również kwestie czysto praktyczne, a zwłaszcza średniowieczne prawa dotyczące pożyczania pieniędzy — otóż chrześcijanie nie mogli żądać procentu od kapitału od chrześcijan, żydzi również nie mogli pożyczać na procent innym żydom, o czym wprost mówi Prawo (Wj 22,24; Kpł 25,36–37; Pwt 23,20–21), ale już nie-żydom mogli... Wielu chrześcijan, również królowie, duchowni i arystokracja, z tego prawa korzystało, a w końcu nikt nie przepada za kimś, komu jest winien pieniądze. Antysemityzm, uzasadniony do tego względami religijnymi, rozkwitał więc w najlepsze. W Anglii na przykład przybrał takie rozmiary, że w roku 1290 wszyscy Żydzi zostali po prostu wygnani z kraju. Pozwolono im wrócić dopiero trzy i pół wieku później.

Różnego typu opowieści o żydowskich zbrodniach i knowaniach krążyły po Europie przez wieki, a nastroje antysemickie nasilały się zwłaszcza w czasach trudnych — głodu, wojen, zaraz. Na przykład podczas epidemii „Czarnej Śmierci”, która dosłownie spustoszyła Europę w XIV wieku, powszechnie wierzono, że wszystkiemu winni są Żydzi, którzy pozatruwali studnie, by zemścić się na chrześcijanach. W tym kontekście pamflet Lutra *O żydach i ich kłamstwach* nie był niczym nowym. Wcześniej i później spod piór chrześcijańskich teologów wychodziły podobne dzieła.

Jak też już wiemy, na poważną refleksję nad chrześcijańskimi korzeniami antysemityzmu trzeba było czekać aż do połowy XX wieku, a na słowo „przepraszam” jeszcze kolejne kilkadziesiąt lat. Różne

wspólnoty luterzańskie deklaracje o tej treści zaczęły uchylać w roku 1994, Kościół katolicki zabrał głos w roku 1998. Niestety — mimo że przywódcy największych chrześcijańskich Kościołów oficjalnie się już od antysemityzmu odzegnali, mit mordy rytualnego jest wciąż żywy.

PROTOKOŁY MĘDRCÓW SYJONU — PRZYWÓDCY ŻYDOWSCY ZAWIĄZALI SPISEK, BY PRZEJĄĆ WŁADZĘ NAD ŚWIATEM

Władza nasza, przy obecnym chwianiu się wszelkich władz, stanie się więcej od nich niezwalczona, bowiem pozostanie niewidoczna aż do chwili, kiedy umocni się na tyle, że żaden podstęp nią nie zachwieje.

Protokoły Mędrców Syjonu, Wykład I, §11

Inny przykład antysemitycznej obsesji to słynne *Protokoły Mędrców Syjonu*, rzekomy zapis ustaleń przyjętych na tajnym spotkaniu żydowskich przywódców i mędrców, na którym radzić mieli oni nad tym, jak doprowadzić świat do moralnego upadku, przejąć kontrolę nad gospodarką, a ostatecznie otwarcie już objąć władzę nad ludzkością.

W istocie „dzieło” to jest produktem stworzonym na zlecenie Ochrony, carskiej tajnej policji, na początku XX wieku kontrolującej tak jego powstanie, jak i pierwsze edycje.

Kilka wydań przygotował Siergiej Nilus, carski urzędnik z Moskwy. W kolejnych edycjach wciąż zmieniał na przykład opowieść o tym, w jaki sposób wszedł w posiadanie tego supertajnego dokumentu. W roku 1911 wyjaśniał na przykład, że udało się go wykraść tajnej francuskiej organizacji syjonistycznej, ale już cztery lata później można było przeczytać, że *Protokoły* zostały znalezione w mieszkaniu Theodora Herzla (1860–1904), założyciela ruchu syjonistycznego. Z czasem ta wersja też uległa modyfikacji. Do roku 1933 ukazało się kilkadziesiąt wydań w przekładzie na większość języków europejskich, a kolejni wydawcy tworzyli własne wersje opowieści o genezie *Protokołów*... W edycjach z lat trzydziestych i późniejszych najczęściej chyba można spotkać się z informacją, że to zapis ustaleń z tajnej części obrad I Kongresu Syjonistycznego, który odbył się w Bazylei w roku 1897.

Protokoły Mędrców Syjonu nadal są wznawiane i kolportowane, często przez antysemityczne środowiska o religijnych korzeniach. Można je znaleźć na przykład na stronie internetowej organizacji występującej pod nazwą Bible Believers, która nawet uzupełniła je o własne przypisy, bliżej precyzujące relacje między Żydami a Kościołem rzymskokatolickim. I tak, podczas gdy z oryginalnych edycji dowiadujemy się, że sześciu papieży było Żydami, „Wierzący w Biblię” dodają do tej listy jeszcze Ignacego Loyolę, twórcę zakonu jezuitów, a kiedy w *Protokołach* czytamy, że „rzymski katolicyzm — źródło i główne narzędzie chrześcijaństwa — był tylko przykrywką dla sił działających skrycie [...] i dzięki temu stał się kamieniem węgielnym postępującej judeizacji świata”, pilny redaktor z Bible Believers wyjaśnia: „Niestety autor powyższych słów najwyraźniej nie jest człowiekiem przepelnionym Duchem i nie zdaje sobie sprawy, że rzymski katolicyzm od samego początku nie był niczym innym, jak tylko antytezą chrześcijaństwa”⁴.

Pełny tekst *Protokołów* zajmuje kilkadziesiąt stron. Wydawcy zwykle zachowują oryginalny podział na 24 Protokoły (czasem — na przykład w polskim wydaniu Wydawnictwa Samoobrony Narodu z roku 1938 — zwane też Wykładami; przyp. tłum.), w niektórych edycjach nie tylko numerowane, ale i opatrzone odrębnymi tytułami. W większości wydań anglojęzycznych podział ten prezentuje się następująco:

- I. Ogólna doktryna
- II. Wojny gospodarcze
- III. Metody podboju

- IV. Materializm zastąpi religię
- V. Despotyzm i postęp
- VI. Techniki przejęcia władzy
- VII. Wojny światowe
- III. Rząd tymczasowy
- IX. Reeducacja
- X. Przygotowania do przejęcia władzy
- XI. Państwo totalitarne
- XII. Kontrola pracy
- III. Przeszkody
- IV. Zamach na religię
- XV. Bezwzględny ucisk
- VI. Pranie mózgu
- VII. Nadużycie władzy
- III. Aresztowania przeciwników
- IX. Rządzący i lud
- XX. Program finansowy
- XI. Pożyczki i kredyty
- XII. Potęga złota
- III. Zapewnianie posłuszeństwa
- IV. Przymioty władcy

Tak przynajmniej podzielony był angielski przekład *Protokołów...*, którego kopie w roku 1919 rosyjscy emigranci wręczyli sędziom amerykańskiego Sądu Najwyższego i członkom gabinetu prezydenta, chcąc ich ostrzec, że — co jest pokutującym do dziś stereotypem — bolszewicki przewrót w Rosji w 1917 roku to efekt żydowskiego spisku, a komunizm to kolejna żydowska ideologia.

Dzieje *Protokołów...* w Stanach Zjednoczonych są zresztą bardzo interesujące, bo spopularyzował je w tym kraju sam Henry Ford, twórca Ford Motor Company. Najpierw kazał je opublikować w roku 1920 w kontrolowanych przez siebie gazetach, a potem wydał jako osobną pozycję w tomie *Międzynarodowy Żyd*. Sygnowana nazwiskiem Henry'ego Forda koncepcja żydowskiego spisku dążącego do zdobycia władzy nad światem zyskała wielu wyznawców po obu stronach Atlantyku. W Europie jej żarliwym propagatorem stał się na przykład Adolf Hitler. Autor artykułu, który ukazał się w „New York Timesie” w 1922 roku, twierdzi, że gdy rozmawiał z przywódcą partii narodowosocjalistycznej w jego monachijskim biurze, na ścianie wisiał wielki portret Forda, a stół zawalony był książkami — „niemal wyłącznie tłumaczeniami książek wydanych lub napisanych przez Forda”.

Baldur von Schirach, jeden z wysokiej rangi funkcjonariuszy partii nazistowskiej, zeznając podczas procesu w Norymberdze (był sądzony za wysłanie do nazistowskich obozów koncentracyjnych 66 tysięcy wiedeńskich Żydów), wyjaśniał, że *Międzynarodowy Żyd* wywarł na nim, gdy był jeszcze młodym człowiekiem, olbrzymie wrażenie: „Henry Ford był dla nas uosobieniem sukcesu i symbolem postępowej polityki społecznej. W przeżywających w tym czasie głęboki kryzys Niemczech młodzi byli zapatrzeni w Amerykę, a obok naszego wielkiego dobroczyńcy Herberta Hoovera to właśnie Henry Ford był jej symbolem” (*Nuremberg Trial Proceedings*, 1946).

W roku 1921 w londyńskim „The Times” ukazał się cykl artykułów, w których Philip Graves jednoznacznie udowodnił, że *Protokoły...* to falsyfikat i wskazał nawet, z jakich źródeł czerpał ich autor. Fragmenty tekstu niemal słowo w słowo przepisane są z antynapoleońskiego (mowa oczywiście

o Napoleonie III) pamfletu niejakiego Maurice'a Joly z 1864 roku *Dialog w piekle między Monteskiuszem a Makiawelem*, rzecz jasna z wypowiedzi Machiavellego. Innym źródłem „inspiracji” była powieść „przygodowa” Hermanna Goedsche *Biarritz*, opublikowana w roku 1868 — autor, od dawna owładnięty antysemitką manią, opisuje w niej, jak to „książęta” dwunastu żydowskich plemion spotykają się w nocy na cmentarzu, by knuć plany zawładnięcia światem.

Po publikacji również kilku innych historyków i dziennikarzy wskazało kolejne dowody na to, że książka jest falsyfikatem. Niektórych jej dotychczasowych promotorów udało im się przekonać — nawet Henry Ford publicznie przeprosił w roku 1927 za swój udział w rozpowszechnianiu dokumentu (jak wyjaśniał, dał się zwieść jednemu ze swoich sekretarzy) — ale w sumie niewiele to zmieniło. *Protokoły mędrców Syjonu* nadal są wznawiane i wciąż są rzesze ludzi, którzy wierzą, że to dzieło jak najbardziej autentyczne, a zarzuty, iż to sprokurowany za pieniądze carskiej Ochrony falsyfikat, to kolejny element żydowskiego spisku.

IV. MITY O CHRZEŚCIJAŃSTWIE, CHRZEŚCIJANACH I CHRZEŚCIJAŃSKIM PIŚMIE ŚWIĘTYM

- Cztery ewangelie to naoczne relacje o życiu Jezusa
- Biblia mówi, że gdy człowiek umiera, jego dusza idzie do nieba (lub do piekła)
- Jezus urodził się 25 grudnia w stajence w Betlejem
- Jezus był chrześcijaninem
- Jezus głosił „wartości rodzinne”
- Chrześcijanie byli systematycznie prześladowani przez Rzymian
- Wizerunek Jezusa ukrzyżowanego zawsze był ikoną chrześcijaństwa
- Istniała papieżycja Joanna
- Średniowieczny Kościół prześladował naukę
- Katolicy nie są chrześcijanami
- Katolicki ksiądz nie może mieć żony
- Stany Zjednoczone powstały jako kraj chrześcijański

WPROWADZENIE

Większość „mitów” omówionych w tym rozdziale, takich jak choćby czas i miejsce narodzin Jezusa, to konsekwencja nieznamomości faktów historycznych i różnego typu nieporozumień, aczkolwiek trzeba pamiętać, że mity te utrzymują się nadal, mimo że naukowcy oraz badacze dawno temu już je obalili. Mamy tu jednak również mity — o „wartościach rodzinnych” u Jezusa i chrześcijańskich korzeniach Stanów Zjednoczonych — które, w odróżnieniu od historycznych pomyłek, mają nadal bardzo duże znaczenie w codziennym życiu. Z kolei mit, jakoby chrześcijaństwo zawsze prześladowało i tępiło naukę, to przykład fałszywych oskarżeń, dość często formułowanych wobec tej religii. Tak jak i pozostałe mity, również i ten trwa, bo to po prostu dobra opowieść, a ludzie dobre opowieści lubią.

CZTERY EWANGELIE TO NAOCZNE RELACJE O ŻYCIU JEZUSA

Cztery ewangelie otwierają chrześcijański Nowy Testament. Wydawałoby się, że znajomość tych tzw. kanonicznych ewangelii — Mateusza, Marka, Łukasza i Jana — powinna być wśród chrześcijan powszechna, choćby ze względu na ich wszechobecność również w chrześcijańskim folklorze i tradycji. Trudno się zatem dziwić, że amerykański religioznawca Stephen Protero był wręcz zszokowany, gdy podczas badań, jakie przeprowadził, przygotowując książkę *Religious Literacy: What Every American Needs to Know — And Doesn't* (2008), okazało się, że tylko połowa dorosłych Amerykanów potrafi podać tytuł „przynajmniej jednej Ewangelii”.

Wróćmy jednak do samych Ewangelii. Większość chrześcijan nie tylko nie zna bowiem ewangelii kanonicznych, ale nie ma też pojęcia, że przez pierwsze stulecia istnienia chrześcijaństwa wśród

wyznawców tej religii krążyło o wiele więcej tekstów tego typu, z których zresztą liczne udało się współczesnym badaczom odnaleźć. Kanon ukształtował się dopiero w IV wieku, gdy ówczesni przywódcy Kościoła zdecydowali, że akurat te cztery zostaną w nim umieszczone, pozostałe zaś kazali odrzucić. Kilka takich „zakazanych” ewangelii znaleziono na przykład w słynnych zwojach z Nag Hammadi, przypadkiem odkrytych w Egipcie w roku 1945. Współczesnemu czytelnikowi mogą się one jednak wydawać co najmniej dziwne (por. Pagels 1979), bowiem przedstawiają życie i nauki Jezusa z perspektywy gnostyckiej.

Pominąwszy już nawet to, czy chrześcijanie potrafią prawidłowo wymienić swoje ewangelie, ważniejsze wydaje się, że panuje wśród nich dość powszechnie wiara w to, że owe teksty zawierają relacje naocznych świadków życia i misji Jezusa. Taki pogląd pojawia się nadal czasem nawet w opracowaniach o ambicjach naukowych, czego przykładem może być wydana w 2006 roku praca biblisty z Cambridge Richarda Bauckhama *Jesus and the Eyewitnesses: The Gospels as Eyewitness Testimony*, trzeba jednak zaznaczyć, że zdecydowana większość badaczy go nie akceptuje.

W I i II wieku liczne krążące po świecie grecko-rzymskim ewangelie były przesłaniem pozwalającym zyskiwać nowych zwolenników dla ruchu, który z czasem stał się chrześcijaństwem. Samo słowa „ewangelia” pochodzi z greckiego εὐαγγέλιον (euangelion), co dosłownie znaczy „dobra nowina”. Ewangelia Marka, przynajmniej w najpowszechniej używanym w krajach anglosaskich przekładzie znanym jako Biblia Króla Jakuba „Edycja standardowa”, rozpoczyna się od słów: „Początkiem Dobrej Nowiny jest Jezus Chrystus, Syn Boży” (w polskich przekładach — ani u ks. Wujka, ani w Biblii Tysiąclecia nie ma tych słów; przyp. tłum.). Według ewangelii Jezus jest „Mesjaszem”, jak Żydzi określali przyszłego króla czy wodza, który pojawi się, by wyzwolić ich lud z opresji. Greckim odpowiednikiem mesjasza jest „Christos”, namaszczoney — stąd Chrystus (ewangelie pisane były po grecku).

Główny przekaz wszystkich czterech ewangelii kanonicznych jest do pewnego stopnia zbieżny, ale w szczegółach znacząco się one od siebie różnią. Przyjrzyjmy się choćby ewangelicznej opowieści o tym, jak po śmierci Jezusa kobiety znajdują pusty grób. Według Marka Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome udały się do grobu, by namaścić martwe ciało Jezusa. Zastanawiały się nawet, kto odsunie dla nich kamień zamykający wejście do jaskini, gdzie schowano zwłoki, a tymczasem okazało się, że został on już odsunięty. „Weszły więc do grobu i ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie [...]”. On je zapewnił, że Jezus zmartwychwstał, i nakazał: „[...] idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział” (Mk 16,5–7). Według Mateusza do grobu rankiem pospieszyły jednak nie trzy, a dwie kobiety, a gdy tam dotarły, ziemia się zatrzęsa i pojawił się anioł, który odsunął kamień (Mt 28,1–40). Z kolei u Łukasza liczba kobiet zaangażowanych w tę akcję rośnie już do co najmniej pięciu: „Maria Magdalena, Joanna i Maria, matka Jakuba; i inne” (Łk 24,10), a i aniołów jest dwóch: „Nagle stanęło przed nimi dwóch mężczyzn w lśniących szatach” (Łk 24,4). U Mateusza i Łukasza nie ma też ani słowa o wyprawie do Galilei. Dla odmiany według ewangelii Jana do grobu udała się samotnie (!) Maria Magdalena, ale nawet do niego nie weszła, bo gdy zobaczyła, że kamień jest odsunięty, przeraziła się i pobiegła do apostołów Szymona Piotra i Jana i powiedziała im: „Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono” (J 20,2). Szymon Piotr i „drugi uczeń” sami pobiegli wtedy do grobu i tam znaleźli tylko płótna oraz chustę, w którą owinięte były wcześniej zwłoki. Tych nie było. Wrócili do siebie, a Maria została przed grobem, płacząc, aż nagle ujrzała dwóch aniołów i mężczyznę, którego wzięła za ogrodnika, który spytał ją, czemu płacze. Gdy wypowiedział jej imię, zorientowała się, że rozmawia z Jezusem, który powstał z martwych (J 20,10–16).

Jak można wyjaśnić tak poważne rozbieżności w relacjach z tylko jednego — i to kluczowego —

wydarzenia. Wyłącznie tym, że ludzie, którzy pisali ewangelie, nie byli naocznymi świadkami opisywanych przez siebie zdarzeń. Inna rzecz, że w wielu miejscach teksty te istotnie brzmią tak, jakby ich autorzy opowiadali o zdarzeniach, które rozgrywały się na ich oczach. Są w nich bardzo szczegółowe opisy Jezusa, który wędruje ze swoimi uczniami, spożywa z nimi posiłki, rozmawia z różnymi ludźmi, głosi swoje nauki i uzdrawia chorych. Ba, autor ewangelii Jana wprost nawet mówi o sobie: „Piotr obróciwszy się zobaczył idącego za sobą ucznia, którego miłował Jezus, a który to w czasie uczyt spoczywał na Jego piersi [...]. Ten właśnie uczeń daje świadectwo o tych sprawach i on je opisał” (J 21,20-24). Trudno się więc dziwić, że przez długie stulecia ludzie wierzyli, że ta i inne ewangelie wyszły spod pióra uczniów Jezusa i że do dziś wielu chrześcijan uważa, iż autorzy tych tekstów istotnie mieli na imię Mateusz, Marek, Łukasz i Jan, oraz że należeli do grona apostołów, czyli dwunastu najbliższych towarzyszy Jezusa, albo przynajmniej byli jego uczniami. Nikomu nie przeszkadza, że jakkolwiek wśród apostołów istotnie był jeden o imieniu Mateusz i jeden o imieniu Jan, to — co do czego badacze są obecnie w pełni zgodni — na pewno nie oni napisali ewangelie (Mateusza i Jana). Nikt ze specjalistów zajmujących się historią chrześcijaństwa nie ma też dziś raczej wątpliwości, że autorzy ewangelii ani nie byli świadkami opisywanych przez siebie zdarzeń, ani nawet żaden z nich nie zetknął się z Jezusem osobiście.

Obecnie praktycznie wszyscy badacze zgadzają się, że owe teksty powstały wiele dekad po śmierci Jezusa — według dość liberalnych interpretacji najstarsza (Marka) około 70 roku n.e., Mateusza i Łukasza w latach 80., a Jana w ostatniej dekadzie I w. n.e. Wcześniej przez dziesięciolecia tworzone były opowieści, które potem znalazły się w ewangeliach. Dość powszechnie przyjmuje się, że proces ten musiał przebiegać w trzech etapach. Najpierw ludzie zaczęli opowiadać sobie historie o tym, co Jezus zrobił i co powiedział. Krążyły one z ust do ust i stąd przyszli wyznawcy dowiadywali się o jego naukach, cudach, jakie czynił, ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu. W etapie drugim ludzie — ci, którzy potrafili pisać — zaczęli opowieści te spisywać. Wreszcie, w trzecim pojawili się autorzy ewangelii, którzy wybrali z krążących w mowie i piśmie tradycji to, co uznali za najważniejsze, i nadali mu kształt, który przetrwał później w kanonicznych Ewangeliach. Dziś nie ma już żadnych wątpliwości co do tego, że jako pierwsza powstała Ewangelia Marka, z której później wiele zapożyczyli autorzy Ewangelii Mateusza i Łukasza (Helms 1988, 35, 142). Tożsamość autora Ewangelii Marka pozostaje nieznana, nikt z poważanych badaczy nie zakłada dziś jednak, że mógł on być naocznym świadkiem opisywanych zdarzeń. Zgodnie z jedną z hipotez autorem tym mógł być niejaki Jan zwany Markiem, o którym wspominają Dzieje Apostolskie (Dz 12,12; 15,37), a powstała ona w Rzymie na podstawie kazań Piotra — dobór słownictwa istotnie może sugerować, że źródłem były mowy kierowane do nieżydowskiego audytorium.

Autorem Ewangelii Łukasza z kolei, przynajmniej według starej chrześcijańskiej tradycji, miałby być Łukasz, lekarz i goj (nie-żyd), który przyjął chrześcijaństwo i został przyjacielem oraz towarzyszem Pawła, „apostoła pogan” i autora słynnych listów, składających się na ponad połowę Nowego Testamentu. Postać o imieniu Łukasz istotnie pojawia się w kilku listach (Kol 4,14; 2 Tm 4,11; Flm 24), ale nawet jeśli hipoteza ta nie jest fałszywa (a kwestionuje ją coraz większa liczba badaczy), i nawet jeśli przyjmujemy, że Łukasz spisał to, czego dowiedział się od Pawła, to musimy pamiętać, że sam Paweł też nigdy nie spotkał Jezusa, a obaj — i Paweł, i Łukasz — stali się chrześcijanami po jego śmierci, nie mogli się więc z nim zetknąć.

Ewangelia Mateusza, jak się obecnie przyjmuje, powstała najprawdopodobniej między 80 a 90 rokiem n.e. w którejś z judeochrześcijańskich wspólnot na terenach dzisiejszej Syrii. Jej autor korzystał ze źródła mów Jezusa, które zaginęło — badacze nazywają je źródłem Q (od niemieckiego *Quelle*, czyli „Źródło”). Czysta logika wskazuje, że ktoś, kto był uczniem Jezusa i słyszał jego nauki na własne uszy,

nie musiałyby korzystać ze spisanych po latach wtórnych źródeł. Z takich unikatowych źródeł korzystał zresztą również Łukasz (źródło L).

A co w takim razie z Ewangelią Jana, jedyną, w której wprost jest mowa o tym, że jej autor był jednym z apostołów. Przez długie wieki chrześcijanie wierzyli, że tak było istotnie, czy jednak rzeczywiście Ewangelię tę mógł napisać apostoł Jan? Zwróćmy uwagę choćby na to, jak bardzo różni się ona od pozostałych. Trzy Ewangelie — Marka, Mateusza i Łukasza — nazywa się czasem ewangeliami synoptycznymi, od greckiego słowa oznaczającego „razem”. Mówi się tak o nich, bo są bardzo do siebie podobne i można je naprawdę czytać „razem”. W opracowaniach naukowych poświęconych Nowemu Testamentowi często można znaleźć tekst tych trzech Ewangelii ułożony w równoległych kolumnach i wtedy widać dokładnie, że u wszystkich trzech autorów pojawiają się (często spisane tymi samymi słowami) identyczne przypowieści, kazania czy tradycje. Księgi te z grubsza podobnie opisują też cały przebieg publicznej misji Jezusa. U Jana natomiast niemal wszystko wygląda zupełnie inaczej — jak policzyli badacze, jego Ewangelia w 90 procentach różni się od pozostałych. Choćby tym, że w nich jest mnóstwo przypowieści, u Jana natomiast nie ma żadnej. Również chronologia zdarzeń z misji publicznej Jezusa jest zupełnie inna. Według Jana misja ta trwała trzy lata — trzykrotnie pojawia się święto Paschy, podczas gdy w Ewangeliach synoptycznych Pascha występuje tylko raz. Jan pisze, że Jezus wypędził kupców ze Świątyni na początku swej misji (J 2,13–16). Według Marka (11,15–17), Mateusza (21,12–13) i Łukasza (19,45–46) zdarzenie to miało miejsce niecały tydzień przed ukrzyżowaniem. I takich różnic jest sporo.

Ważniejsze jest jednak to, że sam Jezus ukazany jest zupełnie inaczej (inna jest „chrystologia” Jana, jak to nazywają teolodzy). Ewangelie synoptyczne mówią o Jezusie — Synu Bożym, ale zarazem jako o kimś, kto urodził się jako człowiek. U Jana Jezus jest Słowem (Logos), które istniało zawsze. Ma naturę boską, nie ludzką. Przyjrzyjmy się zresztą prologowi jego Ewangelii:

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało. (J 1,1–3)

Część badaczy uważa, że zaprezentowana tu koncepcja Słowa (Logosu) bardzo bliska jest filozofii Platona i to świadczy o tym, że musiała ona powstać pod wpływem filozofii greckiej i w środowisku zupełnie różnym od tego, z jakiego wywodzili się pierwsi uczniowie Jezusa. Inni odmiennie odczytują te wersety Jana, niemniej wszyscy są zgodni, że tekst ten musiał powstać wiele lat po śmierci Jezusa i na pewno nie stworzył go żaden palestyński chłop ani rybak.

Trzeba oczywiście ciągle przypominać, że odkrycie, iż autorami czterech kanonicznych Ewangelii nie są apostołowie ani nawet towarzysze misji Jezusa, nie jest wymierzone w wierzących. „W samych Ewangeliach nie ma ani słowa o tym, kim byli ich autorzy” — słusznie przypomina znany badacz Nowego Testamentu z Harvard Divinity School Allen D. Callahan (1998). Ich celem było i jest przekazanie nauk Jezusa oraz inspiracja ludzi, by w nauki te zawierzyli. Słuchacze ewangelistów bardzo zaś różnili się od siebie i dlatego przekaz za każdym razem jest trochę inny. Audytorium Ewangelii Mateusza było ewidentnie głównie żydowskie i dlatego jej autor pisał tak wiele o tym, jak to Jezus jest spełnieniem starotestamentowych przepowiedni — choćby w tym, że wywodzi się wprost z rodu króla Dawida, a ponieważ Dawid pochodził z Betlejem, również Jezus tam się urodził. Mateusz mówi też, że matka Jezusa, Maria, urodziła go jako dziewica, bo tak zapowiedzieli prorocy: „A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy: «Bóg z nami»” (Mt 1,22–23). U Mateusza uczniowie zwracają się do Jezusa per „Rabbi”, co po hebrajsku oznacza „Nauczycielu”. Łukasz z kolei swój przekaz adresował głównie do grekojęzycznych nie-żydów, którzy nie znali hebrajskiej Biblii ani

jej proroków. Stąd u niego jest zaledwie kilka cytatów i mało odwołań do starotestamentowych proroctw i dlatego też jego Jezus jest już Mistrzem (z greki), a nie Rabbim.

Ponownie nie należy jednak sądzić, że wskazywanie rozbieżności w opisach życia, słów i czynów Jezusa w poszczególnych ewangeljach oraz naukowe dyskusje nad tym, kto naprawdę był ich autorem, mają służyć podważeniu znaczenia religijnego przekazu tych ksiąg. Raczej, jak zgodnie twierdzą współcześnie badacze, chodzi jedynie o to, by wykazać, że nie można ich traktować jako historycznie wiarygodnych zapisów i relacji z tego, co „naprawdę” działo się w Palestynie u progu czwartej dekady I wieku n.e.

Pomyślmy zresztą — przywódcy Kościoła z IV wieku, którzy wybrali spośród wielu dostępnych te właśnie ewangelie i z nich uczynili kanon, musieli przecież widzieć, jak bardzo się od siebie różnią. Najwyraźniej uznali, że prawdy, które przekazują, są zdecydowanie ważniejsze niż takie nieistotne w sumie detale jak to, kiedy i gdzie urodził się Jezus oraz ile kobiet udało się do jego grobu.

BIBLIA MÓWI, ŻE KIEDY CZŁOWIEK UMIERA, JEGO DUSZA IDZIE DO NIEBA (LUB DO PIEKŁA)

Kiedy umiera ktoś z rodziny, (wierzący) rodzice często mówią małym dzieciom, by się nie martwiły, bo „babcia poszła do nieba”. Czasem jednak bywają one dociekliwe i nawet podczas pogrzebu potrafią spytać: „Jak to poszła do nieba, przecież leży w trumnie”. Zwykle któreś z rodziców wyjaśnia wtedy: „To tylko babci ziemskie *ciało*. Ciało umarło, ale jej *dusza* nie umrze nigdy. Pan Bóg wziął ją do siebie i zawsze z nim będzie”.

Billy Graham, jeden z najslawniejszych kaznodziejów wieku XX, właśnie tak tłumaczy śmierć. Jak wyjaśniał w wywiadzie, którego udzielił „Newsweekowi”: „Nie boję się śmierci. Może trochę samego procesu umierania, ale nie śmierci. Przecież to jest moment, gdy moja dusza opuści wreszcie ciało i podąży na spotkanie z Panem” (Meacham 2006).

Podobne rzeczy można usłyszeć tak często, również w kazaniach, że wielu ludzi święcie wierzy, że tak mówi Biblia. Tymczasem w całej tej księdze — ani w (hebrajskim) Starym Testamencie, ani w (chrześcijańskim) Nowym nie ma ani słowa o tym, co dzieje się z duszą po śmierci. W Biblii nie przeczytamy też, że jest ona nieśmiertelna.

Omawiając Mit 2. w Rozdziale 2. wyjaśnialiśmy, że słowa, które tłumacze Biblii oddają jako „dusza” — hebrajskie *ruah* i *nefesh* i greckie *spiré* oraz *pneuma* — oznaczają również powietrze, wiatr i oddech. Ten źródłosłów zachowała zresztą większość języków nowożytnych. Dzisiaj „dusza” to dla ludzi zwykle coś niematerialnego, ale autorzy Biblii nie myśleli o niej w ten sposób. Według tej księgi dusza jest może czymś bardzo lekkim, ale na pewno materialnym. Prawdopodobnie czymś, co my nazwalibyśmy gazem. Taka dusza (lub duch) to coś, co ożywia człowieka. Podobnie jak inne prymitywne społeczeństwa, tak samo mogli pewnie myśleć starożytni Hebrajczycy, bo łatwo zauważyć, że różnica między trupem a żywym człowiekiem polega na tym, że kto żyje, ten oddycha. Tak więc to oddech — czyli duch, dusza — ożywia ciało. I nie ma w nim nic „nieśmiertelnego” — gdy nadchodzi śmierć, oddychanie kończy się jak wszystkie inne rzeczy, które człowiek „robił” za życia. Martwi opisywani czy to w Starym, czy w Nowym Testamencie donikąd nie idą, a już na pewno nie do nieba na spotkanie z Bogiem. Raczej już, jak to eufemistycznie ujmują niektórzy autorzy tej księgi, „w proch się obracają”. Choć już taki Eklezjasta (Koh 9,2–6) opisuje rzeczy wprost:

Wszystko jednakie dla wszystkich: Ten sam spotyka los sprawiedliwego, jak i złoczyńcę [...] To złem jest wśród wszystkiego, co się dzieje pod słońcem, że jeden dla wszystkich jest los. [...] Wszyscy żyjący mogą jeszcze mieć nadzieję — bo lepszy jest żywy pies niż lew nieżywy, ponieważ żyjący wiedzą, że umrą, a zmarli niczego zgoła nie wiedzą, zapłaty też więcej już żadnej nie mają, bo pamięć o nich idzie w zapomnienie. Tak samo ich miłość, jak również ich nienawiść, jak też ich zazdrość — już dawno zanikły, i już nigdy

więcej udziału nie mają żadnego we wszystkim, cokolwiek się dzieje pod słońcem.

Również w Psalmach, w Księdze Hioba i w większości pozostałych ksiąg hebrajskiej Biblii śmierć opisywana jest jako koniec, nieodwracalna destrukcja osoby ludzkiej. Bóg tej religii też nie mówi nic o życiu po śmierci. Przeciwnie, jak uprzedza Adama: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz” (Rdz 3,19).

Jakieś ślady nadziei na życie pośmiertne, na odwrócenie zniszczenia, jakie niesie śmierć, można odnaleźć dopiero u proroków. Na przykład u Izajasza. Gdy pisze o wrogach Izraela, nie pozostawia najmniejszych wątpliwości: „Umarli nie ożyją, nie zmartwychwstaną cienie, dlatego że Tyś ich skarał i unicestwił i zatarłeś wszelką o nich pamięć” (Iz 26,14), ale kilka wersetów dalej prorokuje już coś lepszego dla Żydów, tak przynajmniej można te słowa odczytać:

Ożyją Twoi umarli, zmartwychwstaną ich trupy,
obudzą się i krzykną z radości
spoczywający w prochu,
bo rosa Twoja jest rosą światłości,
a ziemia wyda cienie zmarłych. (Iz 26,19)

Inną zapowiedź przyszłego wskrzeszenia — przynajmniej części Izraelitów — możemy znaleźć na początku rozdziału 12 Księgi Daniela, kiedy prorok opisuje koniec świata:

W owych czasach wystąpi
Michał, wielki książę,
który jest opiekunem dzieci twojego narodu.
Wtedy nastąpi okres ucisku,
jakiego nie było, odkąd narody powstały,
aż do chwili obecnej.
W tym czasie naród twój dostąpi zbawienia:
ci wszyscy, którzy zapisani są w księdze.
Wielu zaś, co posnęli
w prochu ziemi, zbudzi się
jedni do wiecznego życia,
drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie. (Dn 12,1-2)

W I wieku naszej ery, w czasach, kiedy żył Jezus, wśród „uczonych w Piśmie” żydów trwał poważny spór o to, czy te prorocтва istotnie usprawiedliwiają wiarę w to, że po śmierci człowiek może oczekiwać zmartwychwstania. Jedno z liczących się w tym czasie żydowskich stronnictw, saduceusze, opowiadało się za tradycyjnym ujęciem — śmierć to ostateczny koniec. Faryzeusze z kolei głosili bardziej „optymistyczną” wizję — zgodnie z ich odczytaniem Pisma Bóg na koniec czasów przywróci zmarłych do życia i nagrodi ich lub ukarze. Tę wiarę w zmartwychwstanie i Sąd Ostateczny przejął od nich Jezus, jednak nawet on nigdy nie powiedział, że po śmierci to dusze ludzkie znajdą się w niebie lub piekle. Uczył jedynie, że sąd nieuchronnie nastąpi i że wszyscy będą osądzeni i nagrodzeni lub ukarani. Dla niego, tak jak i dla innych Żydów tej epoki, człowiek był jednością, ciałem animowanym przez duszę (siłę życiową). Stąd wśród oryginalnych nauk Jezusa nie znajdziemy ani słowa o tym, że dusza może istnieć poza ciałem, że jest nieśmiertelna, a tym bardziej, że po śmierci trafia do nieba, zaś pod jej postacią trafia tam człowiek. To wszystko dodali dopiero później chrześcijanie.

Skoro jednak idea nieśmiertelnej duszy nie wywodzi się ani ze Starego, ani z Nowego Testamentu, skąd i jak trafiła do chrześcijaństwa. Trudno oczywiście o definitywną odpowiedź, ale zgodnie z hipotezą najpowszechniej chyba dziś akceptowaną przez badaczy, jej źródła należy szukać w filozofii greckiej, a przede wszystkim u Platona. W miarę jak chrześcijaństwo rosło w siłę, coraz większą część wyznawców tej religii stanowili nie żydzi, lecz konwertyci z religii pogańskich, w tym ludzie lepiej wykształceni, co w tych czasach oznaczało przede wszystkim znajomość kultury greckiej. A to właśnie

Platon pisał, że człowiek składa się niejako z dwóch części — niezbędnej (esencji) i tej mniej istotnej. Co więcej, w platońskim *dualizmie* tą esencją była właśnie dusza lub umysł, nieśmiertelne i istniejące wiecznie. Istoty ludzkie żyją, bowiem obdarzone są taką właśnie duszą. Co dzieje się z nimi po śmierci — greccy filozofowie nie byli w tej kwestii zgodni. Wielu z nich doszło na przykład do wniosków zbieżnych z tym, co mówiła religia hinduska — że dusze przyjmują kolejne wcielenia. To taka grecka wersja reinkarnacji.

Już od I wieku n.e. chrześcijańscy myśliciele coraz bardziej oddalali się od biblijnej tradycji i zbliżali do platońskiego dualizmu. Być może najbardziej wpływowym w pierwszych wiekach chrześcijaństwa przedstawicielem tego nurtu był Augustyn z Hippony (święty Augustyn; 354–420), aczkolwiek, z czego warto zdawać sobie sprawę, pisał on rzeczy, które chyba zszokowałyby samego Jezusa. Jak choćby to, że człowiek jest „racjonalną duszą, która posługuje się śmiertelnym, ziemskim ciałem”. W średniowieczu idea nieśmiertelnej duszy, która po śmierci idzie do nieba, była już powszechnie akceptowana. To dlatego około roku 1000 chrześcijanie zaczęli dzień po Dniu Wszystkich Świętych (1 listopada) obchodzić też Zaduszki, czyli Dzień Wszystkich Dusz (po angielsku to do dziś All Souls Day). Takie święta pokazują, że dusza w chrześcijaństwie zyskała identyczny, a może nawet wyższy status niż osoba ludzka. Ich sens opiera się na wierze, że zanim Bóg wskrzesi zmarłych, ci w jakiś szczególny sposób żyją (a przynajmniej trwają) w niebie lub czyśćcu (zgodnie z doktryną Kościoła rzymskokatolickiego to specjalne miejsce kary, gdzie trafiają ci, którzy nie zasłużyli sobie na niebo, lecz mogą jeszcze mieć nadzieję na łaskę boską i jeśli odpokutują grzechy, to ostatecznie tam trafiają). Dla autorów hebrajskiej Biblii i chrześcijańskiego Nowego Testamentu byłaby to jednak dość dziwaczna idea. Dla nich martwi „posnęli w prochu ziemi”, a ich dusze nie czekają na sąd ani w niebie, ani w piekle, ani w czyśćcu.

JEZUS URODZIŁ SIĘ 25 GRUDNIA W STAJENCE W BETLEJEM

*Jasełka, jasełka, zielona jodełka
Światłkami błyska, a przed nią kołyska.
W kołysce Pan Jezus właśnie się narodził.
Będzie kochał ludzi, zwierzęta.
Wśród nich żył i chodził.*

Pod koniec grudnia na całym świecie w tysiącach kościołów oraz w milionach domów chrześcijanie świętują Boże Narodzenie. Obrazek naturalnie kojarzący się z tymi świętami to betlejemska stajenka, Maryja i Józef stojący nad kołyską z dzieciątkiem Jezus, różne zwierzątka, a wśród nich osiołek i wreszcie Trzej Królowie, których do kołyski przywiodła gwiazda... To bez wątpienia urocza scenka, ale tak religioznawcy, jak i znaczna część samych chrześcijan doskonale zdaje sobie sprawę, że niewiele ma ona wspólnego z tym, co naprawdę mogło się wydarzyć i pełno w niej szczegółów, których nie da się odnaleźć w Biblii.

Oczywiście nawet chrześcijanie w większości uświadamiają sobie dziś, że Jezus nie wiedział nic o drzewkach bożonarodzeniowych, całowaniu się pod jemiolą ani o Świętym Mikołaju; znacznie mniej powszechna jest jednak wiedza, że nie znał on raczej także całej historyjki o żłóbku i stajence. Opowieści o okolicznościach jego narodzin znamy z Ewangelii Łukasza i Mateusza, te zaś powstały co najmniej osiemdziesiąt lat po jego przyjściu na świat. Ich autorzy z samym Jezusem nigdy się nie zetknęli, spisali jedynie opowieści, które do nich dotarły, i z czasem dopiero chrześcijanie zaczęli je traktować jako opis tego, co naprawdę się zdarzyło (tak przynajmniej odczytuje je do dziś wielu wyznawców Chrystusa). Kłopot w tym, że jeśli próbujemy traktować Ewangelie jako źródła historyczne

i tak też je analizować, pojawiają się problemy — te źródła znacznie się od siebie różnią. Zaczniemy choćby od genealogii ich głównego bohatera. Obaj autorzy wywodzą pochodzenie Jezusa od króla Dawida, tyle że Mateusz mówi o 28 pokoleniach, jakie przeminęły przez ten tysiąc lat, Łukasz zaś o 42 (w istocie 41, co też mało kto zauważa). Obaj zgadzają się co do tego, że genealogię rozpoczyna Józef, ale Mateusz pisze, że jego ojcem („dziadkiem” Jezusa) był Jakub, według Łukasza zaś człowiek ten miał na imię Heli. Dalej również nic się nie zgadza — po Jakubie Mateusz wymienia kolejno: Mattana, Eleazara, Eliuda, Achima, Sadoka, Azora, Eliakima i Abiuda, natomiast u Łukasza przodkami Jezusa są: Hele, Mattat, Lewi, Melchi, Jannaj, Józef, Matatiasz, Amos i Nahum. Również początek genealogii u obu ewangelistów jest inny. Mateusz jako potomków Dawida, od których ród swój ma wywodzić Jezus, wymienia Salomona, Roboama, Abiasza, Aśę i Jozafata (itd.), natomiast według Łukasza synem Dawida, który był praprzodkiem Jezusa, był Natan, jego syn zwał się Matta, kolejny z rodu Menna, a potem byli jeszcze Meleasz i Eliakim. W każdym razie obie genealogie bardzo mocno się różnią i długością, i imionami, które zostały w nich wymienione, a zatem obie nie mogą być równocześnie prawdziwe, natomiast mogą być oczywiście błędne, a ponieważ nie mamy żadnych argumentów, by którąś z nich wybrać, przyjęcie, że obie nie są zgodne ze stanem faktycznym, jest rozsądnym wyborem. Podobny problem mamy z ewangelicznymi opowieściami o narodzinach Jezusa.

W tym zresztą przypadku z pomocą przychodzą nam historycy. Otóż najwcześniejsze zapisy o obchodzeniu święta narodzin Jezusa 25 grudnia pochodzą z roku 336 n.e., kiedy to chrześcijanie mieli już faktyczną władzę nad pozostałościami imperium rzymskiego. To właśnie w Rzymie powstała tradycja obchodzenia Święta Narodzin tego dnia — skądinąd zaś wiadomo, że pod koniec grudnia Rzymianie obchodzili jedno ze swoich ważnych tradycyjnych świąt, była to więc dobra sposobność dla nowych władz, by przejąć je na własny użytek. Te paralele między Bożym Narodzeniem a świętami obchodzonymi w pogańskim Rzymie chrześcijańscy uczeni dostrzegli już w XVIII wieku. Izaak Newton uważał na przykład, że wcześni chrześcijanie wybrali 25 grudnia, ponieważ sądzili, że tego dnia przypada przesilenie zimowe (najkrótszy dzień roku). Paul Ernst Jablonski w pracy opublikowanej w roku 1743 wysunął hipotezę, że chrześcijanie świadomie przejęli na swoją uroczystość rzymski *Dies Natalis Solis Invicti* („Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca”). Powrócił do niej na początku XX wieku słynny antropolog James Frazer, pisząc: „Tak więc okazuje się, że Kościoły chrześcijańskie zdecydowały się świętować rocznicę narodzin swojego założyciela właśnie 25 grudnia, by pogańscy kultywujący to święto zaczęli oddawać cześć nie Słońcu, a temu, kogo chrześcijanie zwali Słońcem Prawości” (Frazer 2005, XXXVII).

Obchodzony w dawnym imperium 25 grudnia Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca wywodził się z kultu Mitry, sięgającego przełomu VII i VI w. p.n.e. Z Indii mitraizm dotarł do Persji i Azji Mniejszej (dzisiejsza Turcja), a na przełomie II i III w. n.e. miał bardzo licznych wyznawców wśród rzymskich legionistów walczących z plemionami germańskimi w Europie, z których wielu rekrutowano właśnie w Azji. Sam bóg Mitra często przedstawiany jest pod postacią wiecznie zielonego drzewa, a ponieważ tradycja bożonarodzeniowej choinki wywodzi się z Niemiec, nic dziwnego, że są historycy, którzy jej symbolicznych korzeni sugerują szukać właśnie w mitraizmie (Vermaseren 1963, 75).

Pod koniec grudnia Rzymianie obchodzili też hucznie saturnalia, poświęcone jednemu z najważniejszych bogów ich panteonu — Saturnowi. Między innymi od wielkiego rzymskiego poety Katullusa wiemy, że saturnalia były to radosne święta (najpiękniejszy czas roku), pełne uczt, spotkań z przyjaciółmi i prezentów. Tak więc nawet radosny nastrój Świąt Bożego Narodzenia ma swoje rzymskie korzenie. Nic dziwnego zatem, że znaleźli się chrześcijanie, którym się to nie spodobało. Wielebny Increase Mather z Bostonu, jeden z przywódców amerykańskich purytanów, pisał: „Pierwsi

chrześcijanie, którzy obchodzić zaczęli dzień narodzin Pana 25 grudnia, uczynili tak nie dlatego, że sądzili, iż Chrystus przyszedł na świat właśnie w grudniu, ale dlatego, że Rzymianie w tym miesiącu obchodzili swoje saturnalia. Chodziło im o to, by święto pogańskie przekształcić w chrześcijańskie” (1687, 35; za: Nissenbaum 1997, 4). Dlatego purytanie zlikwidowali Boże Narodzenie — w stanie Massachusetts jego obchodzenie było wręcz zakazane w latach 1659–1681.

Nie sposób też zaprzeczyć, że podczas gdy umiejscowienie Bożego Narodzenia łatwo uzgodnić z kalendarzem rzymskich świąt, znacznie trudniej pogodzić je z ewangeliami. Wszak, jak pisze Łukasz, gdy Jezus się rodził, „w tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą” (Łk 2,8). W grudniu tymczasem nawet na Bliskim Wschodzie pasterze nie wyprowadzają stad, bo zwierzęta nie miałyby czym się paść — nie ma wtedy świeżej trawy.

Warto też dodać, że żadna z kanonicznych Ewangelii nic nie wspomina o jakiegokolwiek „stajence”. Łukasz, co prawda, pisze, że po urodzeniu dziecka Maria „owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie”, który istotnie mógł znajdować się w stajni, większość wczesnochrześcijańskich źródeł mówi jednak o jaskini. Kiedy cesarz Konstantyn kazał rozpocząć w Betlejem budowę Kościoła Narodzenia Pańskiego w roku 330 n.e. i uznał, że ma on stanąć dokładnie w tym miejscu, gdzie Maria powiła syna, kościół wzniesiono nad jaskinią.

Poważniejszy problem wiąże się z tym, iż sama geograficzna lokalizacja owego wiekopomnego dla chrześcijaństwa zdarzenia budzi poważne wątpliwości. I Mateusz, i Łukasz wymieniają jako miejsce narodzin przyszłego mesjasza Betlejem, miasteczko położone około dziesięciu kilometrów od Jerozolimy. Ewangelisci różnią się jednak w tym, jak wyjaśniają, skąd Józef i Maria mieli się tu wziąć. Zgodnie z relacją Mateusza Józef został we śnie ostrzeżony przez anioła o szykowanej przez Heroda „rzezi niewiniątek”, której ofiarami miały paść wszystkie dzieci, które urodziły się w pobliżu Betlejem w ciągu ostatnich dwóch lat. Pod wpływem tego ostrzeżenia Józef zabrał Marię i uciekł z nią do Egiptu. W kolejnym śnie, po śmierci Heroda, usłyszał, że mogą już bezpiecznie do siebie wrócić. Tyle że według Łukasza małżonkowie pochodzili nie z Betlejem, a z Nazaretu (to sto pięćdziesiąt kilometrów na północ), a znaleźli się w Betlejem, ponieważ cesarz August zarządził spis poddanych, w celu przeprowadzenia którego wszyscy mieli udać się do miejsc, skąd pochodzą ich przodkowie. Kłopot w tym, że żadne historyczne źródła nie mówią nic o spisach ludności przeprowadzanych według takich zasad (i to nie tylko na przełomie tysiącleci). Jaki zresztą byłby sens w zmuszaniu milionów ludzi do podróży do „ziemi przodków”, skoro z punktu widzenia władz istotne jest tylko to, gdzie mieszkają i pracują oni teraz, bo wtedy można ich opodatkować.

Betlejemski rodowód świętej rodziny budzi też poważne problemy natury archeologicznej. Ze zrozumiałych zupełnie względów archeolodzy nader intensywnie przebadali okolice Betlejem i udało im się znaleźć bardzo wiele śladów osadnictwa sprzed połowy VI w. p.n.e. (najstarsze z XIII w. p.n.e.) i późniejsze z VI wieku naszej ery. Niestety — żadnych znalezisk z przełomu tysiącleci. Wygląda, jakby w tych czasach miasta Betlejem po prostu nie było. Aviram Oshri, starszy archeolog pracujący dla izraelskiego Urzędu do Spraw Starożytności, prowadził wykopaliska w okolicach Betlejem przez ponad dziesięć lat. Jak twierdzi, nie ulega wątpliwości, że w stuleciach bezpośrednio poprzedzających narodziny Jezusa i po nich następujących tego miasta po prostu nie było. W prestiżowym periodyku naukowym „Archeology”, wydawanym przez Archaeological Institute of America, Oshri rozwiewa wszelkie wątpliwości: „Nie ma żadnych śladów potwierdzających zasiedlenie tego miejsca w latach panowania Heroda, czyli wtedy, kiedy miał urodzić się Jezus” (Oshri 2005, 42).

To wszystko oczywiście nie oznacza, że nie wiemy, dlaczego dla ewangelistów było tak ważne, by Jezus urodził się właśnie tu (i to bez względu na to, skąd pochodzili jego rodzice). Otóż Betlejem było rodzinnym miastem króla Dawida, a i dla Łukasza, i dla Mateusza Jezus był mesjaszem, ten zaś musiał

pochodzić z „rodu dawidowego”. Mateusz cytuje nawet zaczerpnięte z hebrajskiej Biblii proroctwo Micheasza: „A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela” (Mt 2,6), Łukasz natomiast całą rzecz wyjaśnia własnymi słowami, że „Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna” (Łk 2,4–5).

Wszelkie tego typu historyczne nieścisłości i rozbieżności między ewangelistami nie mają oczywiście żadnego wpływu na radość chrześcijan świętujących narodziny swojego mesjasza i boga w grudniową noc i wyobrażających sobie dzieciątko w stajence. Dla wierzących w Chrystusa najważniejsze jest w końcu to, że Syn Boży się urodził i że wypełnił swoją świętą misję. Dla nas zaś jako autorów tej książki opowieść o narodzinach Jezusa stanowi doskonałą ilustrację tego, co w naukach społecznych nazywamy mitem: to opowieść niezgodna z historyczną prawdą, ale niosąca w sobie „prawdy” głębsze.

JEZUS BYŁ CHRZEŚCIJANINEM

Jezus Chrystus urodził się około 6 r. p.n.e. w Betlejem. Niewiele wiadomo o jego dzieciństwie. Jako młody człowiek stał się założycielem chrześcijaństwa, jednej z największych światowych religii.

biography.com

W roku 2011 anglikański arcybiskup (i laureat Pokojowej Nagrody Nobla w roku 1984) Desmond Tutu opublikował głośną książkę *God Is Not a Christian* (2011). Spokojnie mógłby dodać do niej rozdział *Jezus też nie*. Tymczasem wielu chrześcijan jest święcie przekonanych, że Jezus był założycielem nowej religii — chrześcijaństwa właśnie. On jednak nigdy nie użył określenia „chrześcijaństwo” ani „chrześcijanin”. Ba, nie mógł ich użyć, bo terminy te nie istniały za jego życia.

Słowo „Chrystus” wywodzi się z greckiego *christos*, co oznacza „namaszczony”. To grecki odpowiednik hebrajskiego terminu „mesjasz”, jak nazywano króla wywodzącego się z rodu Dawida, który, co zapowiadały biblijne przepowiednie, wybawi naród Izraela od jego przeladowców. Jezus Chrystus to Jezus Mesjasz.

W Nowym Testamencie określenie „chrześcijanin” pojawia się trzykrotnie, za każdym razem jednak w kontekście wydarzeń, które nastąpiły już po śmierci Jezusa. Dwa razy w *Dziejach Apostolskich* — „W Antiochii też po raz pierwszy nazwano uczniów chrześcijanami” (11,26) i później, gdy król Agrypa mówi do apostoła Pawła, którego właśnie przesłuchuje: „Niewiele brakuje, a przekonałbyś mnie i zrobił ze mnie chrześcijanina” (22,28). Trzecie nowotestamentowe użycie określenia „chrześcijanie” znajdujemy w 1 Liście Piotra, który poucza swoich adresatów: „Jednak z was niech nie cierpi jako zabójca albo złodziej, albo złoczyńca, albo jako [niepowołany] nadzorca obcych dóbr! Jeżeli zaś [cierpi] jako chrześcijanin, niech się nie wstydzi, ale niech chwala Boga w tym imieniu!” (1 P 4,16).

Inna nazwa, pod jaką występują w Nowym Testamencie wyznawcy Chrystusa, to „Nazarejczycy” (od Nazaretu, gdzie miał się urodzić Jezus). To określenie pojawia się na przykład w *Dziejach Apostolskich* w opisie procesu Pawła. Oskarżający apostoła Tertullos mówi: „Stwierdziłszy, że człowiek ten jest przywódcą sekty nazarejczyków, szerzy zarazę i wzbudza niepokoje wśród wszystkich Żydów na świecie” (Dz 24,5). Takie oskarżenie wskazuje, że Tertullos nie uważał raczej Pawła za przedstawiciela jakiejś nowej religii, lecz za członka którejś z żydowskich sekt. Paweł też musiał tak o sobie myśleć, o czym świadczą argumenty, którymi posłużył się w swojej obronie:

Możesz się bowiem przekonać, że nie więcej jak dwanaście dni temu przybyłem do Jerozolimy, aby oddać pokłon Bogu. Nie spotkali

mnie w świątyni ani rozprawiającego z kimkolwiek, ani wywołującego tłumne zbiegowisko bądź w synagodze, bądź w mieście, i nie mogą oni dowieść ci tego, o co mnie teraz oskarżają. To jednak wyznaję przed tobą: Według drogi, nazywanej przez nich sektą, służę Bogu moich ojców, wierząc we wszystko, co napisane zostało w Prawie i u Proroków. (Dz 24,11–14)

Pamiętajmy zresztą, że zarówno przed staniem się apostołem Jezusa, jak i potem Paweł modlił się w Świątyni w Jerozolimie i w synagogach, uznawał Prawo Mojżeszowe i wierzył w słowa proroków. Kiedy bronił się przed oskarżeniami króla Żydów Agrypy podkreślał, że zawsze był prawowiernym żydem, a nim uznał w Jezusie mesjasza, żył „według [zasad] najsurowszego stronnictwa naszej religii jako faryzeusz” (Dz 26,5). A przecież gdyby wyznawał jakąkolwiek inną religię, nie modliłby się w Świątyni i nie przestrzegał Prawa. Zresztą w takiej sytuacji żydowscy przywódcy nie mieliby żadnych problemów ze skazaniem go za herezję i apostazję, tymczasem przesłuchujący go Agrypa i starszyzna musieli przyznać, że „Ten człowiek nie uczynił nic podpadającego pod karę śmierci lub więzienia” (Dz 26,31).

Jeśli żydowskość Pawła nie budzi naszych wątpliwości, to tym bardziej nie powinniśmy mieć problemów z samym Jezusem. To oczywiste — urodził się, żył i umarł jako Żyd i wyznawca żydowskiej religii. Miał żydowską matkę i rodzinę, Żydami było wszystkich dwunastu apostołów. On sam modlił się w żydowskiej Świątyni i nieustannie odwoływał się do żydowskiego Prawa i do innych fragmentów żydowskiego Pisma. Jak faryzeusze — z którymi często się spierał — wierzył w zmartwychwstanie i sąd ostateczny, a przede wszystkim w rychły koniec świata. Sam mówił, że przyszedł nie obalić, ale „wypełnić” Prawo, czyli religię — żydowską religię — w której się wychował. Uczniowie mówili o nim, że jest mesjaszem, a właśnie po to, by dowieść, że jest tym, którego przybycie zapowiedzieli prorocy, Mateusz i Łukasz wywodzą jego rodowód od króla Dawida. Jak czytamy w Ewangelii Mateusza, kiedy pewna mieszkanka Kanaanu poprosiła Jezusa, by pomógł jej córce, ten odparł: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela” (15,24). Według wszystkich czterech ewangelii zaś, gdy został ukrzyżowany, nad jego głową pojawił się napis „Król Żydów”. Nawet po śmierci Jezusa jego uczniowie nadal — jako prawowierni żydzi — modlili się w jerozolimskiej Świątyni. Z Dziejów Apostolskich możemy się dowiedzieć, że każąc w Świątyni i synagogach, zwracali się do swoich słuchaczy „Ludu Izraela”.

Warto też pamiętać, że w czasach Jezusa Żydzi też byli podzieleni i różne stronnictwa spierały się co do tego, co naprawdę mówi i nakazuje ich religia. Jezus i jego uczniowie w pewnych kwestiach z niektórymi się zgadzali, w innych spierali. Na przykład podobnie jak faryzeusze wierzyli w zmartwychwstanie i życie pośmiertne, co odróżniało ich od saduceuszy, którzy wierzenia te odrzucali. Od zelotów z kolei różnił ich brak akceptacji dla posługiwania się przemocą w walce z okupującymi Judeę Rzymianami. Można powiedzieć, że uczniowie Jezusa byli pacyfistami. Najważniejszą różnicą było jednak to, że tylko oni widzieli w nim mesjasza, na którego Izrael czekał od wieków. Ale przecież oczekiwanie na mesjasza jest cechą właściwą wyłącznie religii żydowskiej, tak że ono również nie czyniło z Jezusa — ani z tych, którzy się do niego przyłączyli — wyznawców innej, nowej religii.

Poza tym gdyby Jezus istotnie chciał ją założyć, wydaje się, że albo sam spisałby dla niej jakieś reguły, albo któryś z najbliższych uczniów spisałby je za niego. Tymczasem, przynajmniej o ile nam wiadomo, on nie pozostawił po sobie nic na piśmie, a i żaden z apostołów nie napisał żadnych instrukcji postępowania dla nowego Kościoła. Dopiero czterdzieści lat po jego śmierci powstała najstarsza z ewangelii, ale ani jej autor, ani twórcy kolejnych nigdy w życiu nie zetknęli się z samym Jezusem. Zresztą w ewangeliach też trudno doszukać się śladów nowej religii.

W takim razie, może ktoś spytać, jak — skoro sam Jezus był żydem i żydami byli jego uczniowie — powstała zupełnie nowa religia: chrześcijaństwo. Otóż jak wskazuje wielu badaczy (i teza ta

praktycznie nie budzi dziś kontrowersji), był to dość długotrwały proces, który rozpoczął się w II połowie I wieku naszej ery i trwał jeszcze wiele dziesiątek lat. Jego ważnym elementem były podróże misyjne Pawła po Azji Mniejszej (obecnie Turcja) oraz po Grecji, w trakcie których udało mu się przekonać do głoszonych przez siebie nauk wielu pogan (czyli nie-żydów). „Apostoł pogan” nie wymagał od nich, by przed uwierzeniem w zmartwychwstanie Jezusa przyjęli judaizm. Z czasem ex-pogan było wśród chrześcijan coraz więcej i żydowski pierwotnie charakter sekty uległ zmianie.

Wydarzeniem historycznym, które w znacznym stopniu przyczyniło się do definitywnego rozstania się zwolenników Jezusa z religią żydowską (i z Żydami), było zburzenie Świątyni Jerozolimskiej przez Rzymian w roku 70 n.e. Jezus umarł jakieś czterdzieści lat wcześniej, około 30 r. n.e. Już w jego czasach wielu Żydów z coraz większą wrogością odnosiło się do okupujących ich kraj Rzymian, zwłaszcza że naród żydowski od wieków rządzony był przez obcych najeźdźców — przed Rzymianami byli Grecy, wcześniej Persowie i tak już od sześciuset lat. Narastający opór doprowadził w roku 66 n.e. do wybuchu powstania, które Rzymianie jednak bezlitośnie zdusili, a by uniknąć podobnych incydentów w przyszłości, zburzyli Świątynię; wcześniej, podczas walk i oblężenia, zniszczeniu uległa też znaczna część Jerozolimy. Od tego momentu bycie żydem nie mogło już równać się temu, że ktoś modli się i składa ofiary w Świątyni — tej już bowiem nie było. Zaczął się nowy etap ewolucji religii żydowskiej. Dla faryzeusza stało się nim studiowanie Pisma i pełne przestrzeganie Prawa Mojżeszowego i ta tradycja stopniowo przekształcała się w judaizm wykładany oraz zarządzany przez rabinów, czyli taki (ortodoksyjny) judaizm, jaki znamy dzisiaj. Wyznawcy Jezusa z kolei, dla których Prawo samo w sobie było mniej istotne, podążyli inną drogą i tak narodziło się chrześcijaństwo. Inne ważne stronnictwa żydowskie tej epoki — saduceusze i zeloci — po prostu z czasem znikły.

Wszystkie ewangelie powstały już po zburzeniu Świątyni i dlatego dostrzegamy w nich — coraz wyraźniejsze w miarę upływu czasu — napięcia między tymi, którzy widzieli w Jezusie mesjasza, a „Żydami”. Sam Jezus nie mógłby mówić o żydach „oni”, bo był przecież jednym z „nich”. Autorzy Ewangelii pisali swoje dzieła w latach 70., 80. i 90. I wieku n.e., kiedy konflikt między tymi zbiorowościami narastał, i stąd coraz wyraźniejsze antyżydowskie akcenty. Ewangelia Jana powstała najpóźniej i jej autor żywił już oczywistą wrogość wobec tych, których nazywał „Żydami”.

W tradycyjnych opracowaniach historycznych często można spotkać się z tezą, że wyodrębnienie się chrześcijaństwa z judaizmu nastąpiło właśnie po zniszczeniu Świątyni w 70 r. n.e. Współcześnie jednak wielu historyków odmiennie ujmuje to zagadnienie, uznając, iż bliższe historycznej prawdzie będzie stwierdzenie, że w tym okresie z wcześniejszej, wspólnej obu zbiorowościom religii wyłoniło się zarówno to, co dziś jest chrześcijaństwem, jak i to, co obecnie uważamy za ortodoksyjny, rabiniczny judaizm. Taki pogląd prezentują na przykład Robert i Mary Coote w książce *Power, Politics and the Making of the Bible* (1990). Alan Segal też nie ma żadnych wątpliwości, że judaizm i chrześcijaństwo rodziły się w tym samym momencie: „Powinniśmy raczej mówić o dwóch «bliźniaczych», nowych judaizmach, bardzo różniących się od tradycji religijnej, z której wyrosły” (1986, 1).

Zresztą niezależnie nawet od tego, jak oceniamy historyczne znaczenie wydarzeń, które nastąpiły po zniszczeniu przez Rzymian Świątyni Jerozolimskiej, jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości — czterdzieści lat wcześniej sam Jezus, jego rodzina, uczniowie i przyjaciele byli żydami, nie chrześcijanami.

JEZUS GŁOSIŁ „WARTOŚCI RODZINNE”

Jesteśmy globalną chrześcijańską instytucją, której celem jest pomoc rodzinie. Pomagamy parom budować szczęśliwe małżeństwa, zgodne z bożym zamysłem, i pomagamy rodzicom wychowywać dzieci w zgodzie z moralnym przesłaniem Biblii.

Cykl programów radiowych „Focus on the Family” wystartował w roku 1977, a obecnie retransmitowany jest przez ponad dwa tysiące lokalnych amerykańskich stacji. Strona internetowa „christian-life-advisor.com” reklamuje się hasłem: „Chrześcijańskie wartości rodzinne w sercu chrześcijańskiej rodziny”. Podobne zachęty znaleźć można w rozgłośni Family Life Radio Network, promującej poza tym chrześcijańską muzykę. Takie przykłady — i to nie tylko z terenu Stanów Zjednoczonych — można by zapewne długo mnożyć. Warto jednak zdawać sobie sprawę, że idea, iż to „wartości rodzinne” są kluczowym elementem nauk Jezusa — a nie jego męczeńska śmierć na krzyżu — jest dość nowym wynalazkiem.

Również w roku 1977 rozpoczęła działalność American Family Association (Amerykańskie Stowarzyszenie Rodziny, AFA), której założycielem jest Donald E. Wildmon, pastor Pierwszego Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Southaven, w stanie Missisipi. Pierwotnie funkcjonująca pod nazwą National Federation for Decency (Krajowa Federacja na rzecz Dobrych Obyczajów), AFA zarządza dziś siecią ponad dwustu własnych stacji radiowych, działających w sieci American Family Radio. Serwis informacyjny onenewsnow.com oraz strony onemillionmoms.com i onemilliondads.com czynią z AFA jeden z głównych podmiotów tzw. chrześcijańskiego aktywizmu, pozwalając zmobilizować nawet miliony zwolenników na przykład do zgłaszania protestów sponsorom programów telewizyjnych, które uznaje ona za „nieobyczajne”. Oto fragment z jednej z jej deklaracji:

AFA wierzy, że tylko kultura ugruntowana w prawdzie Biblii jest gwarancją dobrostanu naszego narodu i naszych rodzin. Nasze wartości muszą zgadzać się z wizją, która przyświecała założycielom tego kraju, a tylko osobista przemiana poprzez Ewangelię Jezusa Chrystusa jest gwarancją zgodnej z Biblią transformacji naszej kultury [...] Celem AFA jest być liderem chrześcijańskiego aktywizmu. Jeśli czujesz się poruszony narastającą bezbożnością i deprawacją, której ofiarą staje się nasz kraj, jeśli nie chcesz dłużej przeklinać zapadających ciemności i gotów jesteś rozpaść ogień — dołącz do nas. Zrób to dla swoich dzieci i wnucząt. (AFA, online)

Ten „chrześcijański aktywizm” (czy może raczej aktywizm „wartości rodzinnych”) bardzo szybko i z zupełnie oczywistych względów zaczął być kojarzony głównie z wątkiem orientacji seksualnej oraz atakami na ruchy LGTB (lesbijek, homoseksualistów, transseksualistów i biseksualistów). Kiedy na przykład Home Depot, największa amerykańska sieć handlowa oferująca wyposażenie do domów, zaczęła wspierać marsze domagające się uznania praw homoseksualistów, AFA zorganizowała bojkot jej sklepów. Z kolei gdy jedna z pracowniczek sieci, Macy — gorliwa chrześcijanka — została zwolniona dyscyplinarnie, bo uniemożliwiła koleżance z pracy — transseksualiście — korzystanie z damskiej szatni, AFA nawoływała do bojkotu również Macy. Wezwanie o treści: „Bojkotować sodomitów z Macy! Chrześcijanka wyrzucona z pracy” zostało opublikowane na witrynie trustchristorgotohell.org. Kolejnym bardzo aktywnym podmiotem „chrześcijańskiego aktywizmu” jest założona w pierwszej połowie lat 80. XX wieku Family Research Council. Jak można przeczytać, organizacja ta przedstawia się jako „najważniejszy głos amerykańskiej rodziny” i „od roku 1983 konsekwentnie broni wiary, wolności i rodziny przed władzą i opinią publiczną”.

Określenie „wartości rodzinne”, którym posługują się te chrześcijańskie organizacje, nie ogranicza się jednak wyłącznie do walki z homoseksualizmem, bowiem równie poważne zagrożenie dla tychże wartości ma stanowić także poligamia, seks przedmałżeński i aborcja. „Chrześcijańscy aktywiści” zapewne szczerze wierzą, że wartości, których bronią, uosabia właśnie ewangeliczny Jezus i że są one zakorzenione w jego (ewangelicznych) naukach. Problem w tym, że akurat o rodzinie Jezus z Ewangelii mówił bardzo niewiele, a jeżeli już, to na pewno nie mógł mieć na myśli tego, co rodziną nazywamy dziś, czyli rodziny nuklearnej, a tym przecież (chyba?) jest ona dla najzarliwszych obrońców

tychże wartości.

Przede wszystkim trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że życie, społeczeństwo i obyczaje starożytnej Palestyny zdecydowanie różniły się od tego, co jest normą dla nas, mieszkańców postindustrialnego Zachodu. Rodzina nuklearna — ojciec, matka i jedno lub więcej dzieci — to bardzo nowy wynalazek. Wiele postaci (męskich, rzecz jasna, bo kobiet w Biblii w zasadzie nie ma) opisywanych w Biblii — w tym również przywódcy religijni — miało nie tylko po kilka żon, ale do tego jeszcze kochanki, nałożnice i seksualne niewolnice. Abraham, patriarcha narodu żydowskiego (i wszystkich religii monoteistycznych) poślubił Sarę, ale gdy okazało się, że jest za stara, by dać mu syna, wziął za konkubinę jej niewolnicę Hagar i z nią spłodził Ismaela. Król Dawid miał z siedmioma żonami jedenastu synów (1 Krn 3). Najmłodszy z nich, Salomon, odziedziczył po nim tron i to on właśnie wybudował Świątynię Jerozolimską. Jak dowiadujemy się z Biblii, ten wielki władca miał siedemset żon i trzysta nałożnic (1 Krl 11,1–3). W każdym razie i w roku 1000 p.n.e., i długo jeszcze po czasach Jezusa — czyli wtedy, gdy powstawały i Stary, i Nowy Testament — poligamia była w Izraelu w pełni legalna, choć faktycznie ze względów czysto materialnych w niższych klasach występowała bardzo rzadko; biednych mężczyzn nie było stać na utrzymanie kilku kobiet, a tym bardziej ich potomstwa.

Jeśli uważnie przyjrzymy się temu, jak Jezus żył i czego nauczał, nie będziemy mieli raczej problemu z dostrzeżeniem, że akurat rodziny nie cenił sobie najwyżej. W Palestynie I wieku n.e. wyznacznikiem pozycji mężczyzny byli jego przodkowie i spadkobiercy. Od każdego mężczyzny oczekiwano, że znajdzie sobie żonę i spłodzi potomków. Nieżonaty zdrowy trzydziestolatek to w tych czasach wśród Żydów była rzadkość, a jednak Jezus, tak przynajmniej wynika z Ewangelii, nie miał ani kobiety, ani potomka. Ideał życia, którego nauczał, też nie ma raczej związku z tym, co my kojarzymy z wartościami rodzinnymi — dzisiaj na przykład uznaje się w krajach rozwiniętych, że oboje rodzice powinni pracować i oboje powinni zajmować się dzieckiem. Jezus tymczasem nigdy nigdzie nie pracował. Współczesny chrześcijański ideał rodziny obejmuje też dom — on zaś od czasu, gdy opuścił dom rodzinny, nigdzie już nie zamieszkał na stałe.

Co więcej, jak czytamy w ewangeliach, bezdomność i brak pracy to dla Jezusa nie był tylko wybór stylu życia. Był to jego sens, o czym mówił swoim uczniom wprost. Gdy czytamy u Łukasza: „Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże” (Łk 6,20), warto uświadomić sobie, że w greckim oryginale występuje nie słowo *pene_s*, jak określano biednych wieśniaków, ale *pto_choi*. Tak mówiono o zawodowych żebrakach. To zresztą bardziej pasuje do kolejnego wersetu — „Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyceni” (Łk 6,21). Nie przypadkiem pewnie wielu chrześcijan woli zamiast Łukasza cytować w tej sytuacji Mateusza: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”, i ową „ubogość w duchu” interpretować jako wezwanie do skromności. Badacze Nowego Testamentu kwestionują jednak to rozumienie. Autorzy bardzo wysoko cenionego wydania *New Oxford Annotated Bible* (Coogan i in., 2010, 1840) wprost piszą, że „bieda” dla Jezusa „odnosi się do kondycji społecznej i finansowej, a nie do stanu ducha”.

Na żadnym etapie swojej misji Jezus nie zachęca nikogo, by znalazł sobie pracę, zaczął zarabiać, założył rodzinę i oszczędzał na jej utrzymanie. Raczej przeciwnie. Wprost zresztą ostrzega uczniów:

Nie sądzcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. (Mt 10,34–37)

Jeszcze bardziej dosadny jest Jezus u Łukasza. To tu mówi: „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma

w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26), nieco wcześniej zaś, gdy dwóch mężczyzn chce przyłączyć się do niego, wprost żąda od nich, by zerwali z rodzinami i nawet się z nikim nie żegnali:

Do innego rzekł: „Pójdź za Mną!” Ten zaś odpowiedział: „Panie, pozwól mi najpierw pójść i pogrzebać mojego ojca!” Odparł mu: „Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych, a ty idź i głos królestwo Boże!” Jeszcze inny rzekł: „Panie, chcę pójść za Tobą, ale pozwól mi najpierw pożegnać się z moimi w domu!” Jezus mu odpowiedział: „Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego”. (Łk 9,59–62)

Trudno się więc dziwić, że są badacze, którzy — jak John Dominic Crossan (1994, 58) — uważają, że życie i nauki Jezusa to „bezpardonowy atak na wartości rodzinne; przynajmniej bardzo, bardzo często”, a w każdym razie na rodzinę. No dobrze — a co w takim razie z innymi wartościami. Jeśli już nawet zgodzimy się z tym, że Jezusowi nie była bliska rodzina nuklearna, której tak żarliwie bronią współcześni chrześcijanie, to może przynajmniej zgodziłby się z ich moralnym potępieniem homoseksualizmu, seksu przedmałżeńskiego i przerywania ciąży.

Również i tu jednak sytuacja nie jest łatwiejsza. Nie znamy żadnej wypowiedzi Jezusa na temat homoseksualizmu. Chrześcijanie sięgają zwykle w takim przypadku po Stary Testament i cytują Księgę Kapłańską: „Ktokolwiek obcuje cielesnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami tę śmierć na siebie ściągnęli” (Kpł 20,13). Takie zalecenie istotnie przekazał Jahwe Mojżeszowi według hebrajskiej Biblii, ale przecież Jezus zakwestionował obowiązującą wcześniej interpretację wielu biblijnych zapisów. Jak wiemy z Ewangelii, sam był krytykowany między innymi za to, że uzdrawiał ludzi w szabat (Mk 3,1–5) i zbierał w ten dzień kłosa, by je zjeść (Mk 2,23–28). A to według Starego Testamentu jest zbrodnia karana równie ciężko, jak homoseksualizm — śmiercią! (Wj 31,14; 35,2; Lb 15,32–36). Jezus jednak nie uznał swojej winy. „To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu” (Mk 2,27) — odpowiedział. Możliwe, że tak samo uchyliłby inne kary, wymienione w Księdze Kapłańskiej. Zauważmy zresztą, że zgodnie z zawartymi tam przykazaniami zbrodnią jest też jedzenie wieprzowiny i owoców morza, a jakoś niewielu chrześcijan czuje się dziś zobligowanych do przestrzegania tych zakazów. Nikt też raczej nie zgodziłby się na wprowadzenie kary śmierci za pracę w niedzielę, co groziło żydom pracującym w szabat (Wj 35,2). Dlaczego zatem ma nas wiązać zakaz homoseksualizmu? To prawda, w czasach Jezusa geje i lesbijki nie byli raczej akceptowani przez żydów, ale ich niechęć, łagodnie mówiąc, obejmowała też inne grupy i społeczności — Samarytan, trędowatych, rzymskich żołnierzy i samotnie żyjące kobiety. Jezus nie miał żadnych oporów przed kontaktami z takimi ludźmi, a nawet czasem im pomagał. Jeśli, jak mówią Ewangelie, uważał, że każdy człowiek jest wartościowy oraz wart miłości, to raczej trudno mieć pewność, by akurat w bezwarunkowym potępieniu kogokolwiek tylko ze względu na jego preferencje seksualne liczne ruchy obrońców „wartości rodzinnych” znalazłyby w nim sojusznika.

CHRZEŚCIJANIE BYLI SYSTEMATYCZNIE PRZEŚLADOWANI PRZEZ RZYMIAN

Choć skazują nas na ścięcie, na ukrzyżowanie, rzucenie dzikim zwierzętom, na kajdany, na stopy i wszelkie inne rodzaje tortur, my nie wypieramy się naszej wiary; ale im więcej przydarza się takich rzeczy, tym więcej innych, w jeszcze większej liczbie przyjmuje wiarę i staje się czcicielami Boga w imię Jezusa.

Justyn Męczennik, *Dialog z Żydem Tryfonem*, 110

Powyższe słowa piszącego w II wieku chrześcijańskiego autora, uskarżającego się na prześladowania, jakich wyznawcy tej religii doznawali w imperium rzymskim, istotnie mogą budzić grozę. Nie budzi

też zdumienia, że są dosłownie setki chrześcijańskich świętych kanonizowanych właśnie jako ofiary prześladowań z pierwszych trzech wieków tej religii. Trudno się też dziwić, że cesarz Konstantyn, jako ten, który zalegalizował chrześcijaństwo — czyli zakończył erę prześladowań — sam uznawany jest za świętego przez wiele chrześcijańskich denominacji.

Wielu badaczy uważa, że motyw męczeństwa istotnie był kluczowym motywem wczesnego chrześcijaństwa i stąd taki nacisk na prześladowania jego wyznawców przez „pogański” Rzym, który chciał za wszelką cenę zlikwidować nową religię, widząc w niej dla siebie śmiertelne zagrożenie. W rzeczywistości jednak historycy zdecydowanie przeczą, by takie systematyczne prześladowania miały miejsce — były oczywiście okresy wzmożonych prześladowań (choć raczej o lokalnym charakterze i z powodów czysto politycznych, a nie religijnych), ale przeplatały się ze znacznie dłuższymi latami spokoju. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że chrześcijańskie opowieści o tabunach męczenników za wiarę i cudach, jakich mieli dokonać, są, łagodnie mówiąc, mocno przesadzone.

Candida Moss, autorka książki *The Myth of Persecution: How Early Christians Invented the Story of Martyrdom* (2013), wyjaśnia fenomen męczeństwa na konkretnych współczesnych przykładach i pokazuje, jak przypadkowe ofiary zamachów terrorystycznych stają się świętymi ikonami dla poszkodowanych społeczności. Tak zdarzyło się na przykład z 22-letnią Mariam Fekry, jedną z dwudziestu ofiar ataku na jeden z kościołów koptyjskich w Aleksandrii, który to zamach — do dziś nie wiadomo, kto podłożył ładunek wybuchowy i dlaczego właśnie tam — terroryści przeprowadzili podczas noworocznej mszy w 2011 roku. W eksplozji zginęło też kilku innych członków rodziny Fekry, ale to właśnie ona została uznana za męczennicę za wiarę. Początkowo przez rodzinę, później również przez niektórych duchownych, a wreszcie przez prezydenta Hosni Mubaraka.

Dlaczego tak się stało? Pomyślmy. W zasadzie za męczennika powinniśmy uznać tego, kto oddaje życie za swoją wiarę. Mariam tymczasem nie demonstrowała jakoś specjalnie swoich chrześcijańskich przekonań — po prostu wspólnie z rodziną uczestniczyła w tradycyjnej dla tej grupy uroczystości (co oczywiście w niczym nie umniejsza tragedii tych ludzi). Jak jeszcze tego dnia napisała na swoim Facebooku, miała nadzieję na kolejny szczęśliwy rok. Nikt też z niej nie uczynił celu — była jedną z przygodnych ofiar podłożonej w kościele bomby. Niemniej uznanie jej za męczennicę usakralizowało jej śmierć. Już nie była przypadkową, anonimową ofiarą, lecz stała się świętą. Jak pisze Moss, „cała sytuacja uległa zmianie. Zamach przestał już być przerażającym aktem bezsensownej przemocy ze strony anonimowych terrorystów. Oderwał się od bieżącej polityki, lokalnych konfliktów o podłożu religijnym, politycznym i społecznym. Stał się bezpośrednim atakiem na całą religię chrześcijańską” (2013, 2), a sama Mariam urosła do roli symbolu tych wszystkich, którzy zginęli tylko dlatego, że byli chrześcijanami. Już nie była tylko młodą dziewczyną, która poszła z rodziną do kościoła, lecz częścią odwiecznej „walki dobra ze złem” (2013, 3).

Wszystkie kultury wysoko cenią tych, którzy wolą zginąć, niż wyrzec się najważniejszych dla danej grupy wartości. Chrześcijanie nie są pod tym względem wyjątkiem, a język męczeństwa rozwinął się już u zarania tej religii. Moss twierdzi, że było to efektem prób pogodzenia się pierwszych chrześcijan z tym, że Jezus zginął na rozkaz rzymskiego urzędnika, który sam jednak nie wierzył w sprawiedliwość swojego wyroku i winę ukrzyżowanego (por. J 19,4). Niezależnie jednak od tego, czy śmierć Jezusa była świadomym wyborem, czy poświęceniem — wcześnie chrześcijanie rozważali obie te wersje — była konsekwencją obranej przezeń drogi i opowieść o niej stała się emblematyczną narracją o chrześcijańskim męczeństwie, a on sam stał się dla swoich wyznawców niejako modelem zachowań. Jak zwraca uwagę Moss, „opis pierwszej męczenniczej śmierci zgodnej z tym modelem, męczeństwo św. Szczepana, można znaleźć już w *Dziejach Apostolskich* (rozdz. 6–7)”.

Już w II wieku martyrologia stała się jednym z kluczowych elementów nauczania Kościoła. Tertulian, jeden z częściej cytowanych chrześcijańskich pisarzy pierwszych wieków, pisał: „Krew męczenników jest nasieniem nowych chrześcijan”, a przez kościelnych historyków III i IV wiek nazywane są często właśnie „epoką męczenników”. Rzecz jasna nie sposób zanegować, że w tych czasach byli ludzie, którzy ginęli za swoje przekonania religijne (lub przynajmniej z ich powodu), ale powszechne przekonanie o masowości oraz skali prześladowań nie znajduje uzasadnienia. Źródła archeologiczne i ocalałe dokumenty — tak rzymskie, jak i chrześcijańskie — jednoznacznie wskazują, że „tradycyjny obraz wczesnej historii chrześcijaństwa jest błędny. Prześladowania chrześcijan nie miały systematycznego charakteru [...] Zginęło ich stosunkowo niewiele, a w większości przypadków wyroki śmierci wydawane były z powodów, które dziś nazwalibyśmy politycznymi” (Moss 2013, 21). Moss w swojej książce dość szczegółowo przeanalizowała przepisy i regulacje prawne wykorzystywane przez rzymskie władze do zwalczania chrześcijan i nie znalazła żadnych dowodów, że prześladowania te odbywały się na tle religijnym. Zarzuty miały zwykle charakter czysto polityczny — chodziło o niewywiązywanie się z powinności obywatelskich, bowiem obowiązek oddawania czci państwowym bogom (i zakaz bezczeszczenia ich ołtarzy i świątyń) tak właśnie należy interpretować. Co więcej, zachowane źródła rzymskie jednoznacznie wskazują, że do oficjalnych prześladowań dochodziło dość rzadko, a ich ofiar było stosunkowo niewiele. Źródła chrześcijańskie, którymi posługują się historycy Kościoła, to z kolei zwykle dokumenty, które powstały wiele lat po opisywanych wydarzeniach, zapewne na podstawie krążących wśród wiernych opowieści. Ich wartość historyczna jest znikoma: „Znamy dosłownie setki opowieści o tysiącach zamęczonych chrześcijan, ale praktycznie wszystkie to legendy [...] Badacze, którzy je analizowali, mają zwykle trudności w ustaleniu, czy opisywane w nich osoby w ogóle kiedykolwiek istniały [...] nie mówiąc nawet o tym, czy istotnie poniosły męczeńską śmierć” (Moss 2013, 15–16). Nie jest to zresztą żadne nowe odkrycie. Anglikański ksiądz John Bolland zaczął się tym problemem zajmować już w XVII wieku, a jego następcy kontynuowali badania przez kolejne trzysta lat. Ostatecznie doszli do wniosku, że „za historycznie wiarygodne można uznać tylko bardzo nieliczne opowieści”.

Skąd zatem wziął się mit tysięcy męczenników? Z wielu powodów. Przede wszystkim męczennicy za wiarę byli źródłem inspiracji. Ludzie o wysokiej pozycji społecznej, powszechnie znani i podziwiani, niejako automatycznie stają się modelami zachowań społecznych i znajdują naśladowców. Większość owych rzekomych chrześcijańskich męczenników zaś to ludzie prości, z nizin — to w pewnym sensie czyniło z nich wzorzec jeszcze bardziej atrakcyjny, bowiem każdy mógł pomyśleć, że może być taki jak oni, a przecież chrześcijaństwo zawsze było wyznaniem prozelitycznym i próbowało przyciągnąć do siebie jak najszerze rzesze wyznawców. Opowieści o męczeńskiej ofierze, jaką składali pierwsi chrześcijanie, nie chcąc wyrzec się swojej wiary mimo krwawych prześladowań, sprawdzały się świetnie jako narzędzie rekrutacji.

Badacze wskazują na jeszcze jedną potencjalną przyczynę popularności chrześcijańskich martyrologów. Otóż męczennicy zwykle przydawali splendoru miejscom, z którymi byli kojarzeni. Często — zwłaszcza gdy męczennik uznany został za świętego (lub świętą) — wznoszono tam świątynie i otaczał ich nie tylko lokalny kult. Poza tym — to już szczególna cecha rzymskiego katolicyzmu — w tej denominacji święci (a znaczna część męczenników była za nich uznawana) odgrywają szczególną rolę „pośredników” między wiernymi a bogiem, do którego, znalazłszy się już w niebie („po prawicy Pana”), mogą wstawiać się w ich intencji. Stąd też Watykan ciągle kanonizuje nowych świętych — niedawno dwóch zmarłych papieży: Jana XXIII i Jana Pawła II (beatyfikacja nie-męczenników wymaga, by przyszły święty był sprawcą zatwierdzonego przez specjalną komisję cudu. Jak ogłosił Kościół katolicki, za wstawiennictwem Jana Pawła II cudownie ozdrowiały chora na

Parkinsona francuska zakonnica oraz pewna Kostarykanka cierpiąca na chorobę neurodegeneracyjną. Jan XXIII z kolei uznany został za źródło uzdrowienia włoskiej zakonnicy po wylewie krwi do mózgu; papież Franciszek oświadczył, że w jego przypadku drugi cud nie jest potrzebny).

Wracając zaś do męczenników oraz ich kultu. Warto też pamiętać, że taki kult — a im atrakcyjniejsza opowieść o męczeństwie, tym jest on silniejszy — przekładał się też często na czysto praktyczne korzyści. Gdy pojawiali się pielgrzymi, wpływało to niemal wprost na rozwój miejscowej gospodarki; musieli wszak oni gdzieś spać i coś jeść. Jak konkluduje Moss, „było wiele czynników, które, począwszy od IV wieku, sprzyjały rozpowszechnianiu opowieści o chrześcijańskim męczeństwie”.

WIZERUNEK JEZUSA UKRZYŻOWANEGO ZAWSZE BYŁ IKONĄ CHRZEŚCIJAŃSTWA

W krzyżu cierpienie, w krzyżu zbawienie, w krzyżu miłości nauka, kto Ciebie, Boże raz pojąć może, ten nic nie pragnie, ni szuka.

(popularna katolicka pieśń wielkopostna)

Krzyż jest dziś bez wątpienia najbardziej uniwersalnym symbolem zachodniego chrześcijaństwa. Na całym Zachodzie to poprzez krzyże identyfikujemy kościoły oraz inne budynki związane z kultem religijnym. Od czasów średniowiecza na planie krzyża właśnie budowana jest większość świątyń, a wiele chrześcijańskich kościołów ma też krzyż za patrona — „Krzyż” lub „Święty Krzyż” w rzymskim katolicyzmie, u protestantów częściej „Kalwarię”. Krzyż jest również stawiany na chrześcijańskich grobach... Artystycznych przedstawień ukrzyżowania nie sposób wręcz zliczyć. Symbol ten obecny jest także w oficjalnych strojach organizacji i instytucji religijnych, a i setki milionów zwykłych chrześcijan nigdy się z nim nie rozstają, nosząc na przykład krzyżyk na szyi.

Zachodni chrześcijanie są uczeni, że śmierć Jezusa na krzyżu przyniosła ludziom zbawienie (od wiecznego potępienia). To właśnie po to, jak zapewne powiedziałoby wielu wyznawców tej religii, Jezus się narodził i po to żył. Inni dodaliby też, że ginąc męczeńską śmiercią krzyżową, Jezus „zładził” ludzki grzech, dzięki czemu od tego czasu po śmierci ludzie mogą iść do nieba. Jego śmierć była w tym ujęciu najważniejszym wydarzeniem w historii ludzkości, nic zatem dziwnego, że krzyż stał się symbolem chrześcijaństwa (i zbawienia).

Wiosną chrześcijanie obchodzą święta Wielkiej Nocy — to czas refleksji nad ukrzyżowaniem. Wśród wielu katolickich zgromadzeń istnieją też takie, które z adoracji „Męki Pańskiej” uczyniły swoje powołanie, jak choćby Pasjoniści, czyli Zgromadzenie Męki Jezusa Chrystusa. Jego członkowie poświęcają całe życie nauczaniu o tym, w jaki sposób Jezus został ukrzyżowany. Dowodzą na przykład, że nie mógł zostać przybity do krzyża przez dłonie, bo pod ciężarem ciała gwoździe rozdarłyby mięśnie i ścięgna i musiałyby z niego spaść. Dlatego, jak twierdzą, gwoździe musiały zostać wbite pomiędzy kości nadgarstka. Z równym zaangażowaniem odnoszą się do innych elementów kaźni. Od czasu, gdy w 2004 roku Mel Gibson wyreżyserował głośną *Pasję*, pokazane z najdrobniejszymi detalami cierpienie ukrzyżowanego stało się też elementem kultury masowej w ujęciu hollywoodzkim.

Są jednak prace historyczne, które dowodzą, że uznanie ukrzyżowania za centralny element ziemskiej misji Jezusa to w chrześcijaństwie fenomen stosunkowo nowy. Rita Nakashima Brock i Rebecca Ann Parker, autorki książki *Saving Paradise: How Christianity Traded Love of This World for Crucifixion and Empire* (2008, xi), wskazują na przykład, że z ukrzyżowaniem jako podstawowym elementem chrześcijańskiej ikonografii i wystroju świątyń mamy do czynienia dopiero od IX wieku. Brock i Parker dużo podróżowały po współczesnych Włoszech, Turcji i innych krajach basenu Morza Śródziemnego, gdzie żyli pierwsi chrześcijanie. Odwiedziły wiele zachowanych kościołów,

monasterów, katakumb, grobowców (i oczywiście muzea), i badając zachowane dzieła wczesnochrześcijańskiej sztuki odkryły, że wśród licznych przedstawień Jezusa nie ma takich, które ukazują go umierającego na krzyżu!

Jak się okazało, niemal przez całe pierwsze tysiąclecie chrześcijaństwa Jezus ukazywany to człowiek zdrowy i szczęśliwy — artystyczne przedstawienia portretują go jako pasterza, uzdrowiciela, cudotwórcę i nauczyciela... Zwykle jako młodego mężczyznę z długimi włosami (raczej bez brody). Często na obrazach widzimy go na tle pięknych krajobrazów, w otoczeniu drzew, kwiatów, płynącej wody i zwierząt — gołębi, łabędzi i jeleni. Jak czytamy:

Gdy oglądamy wnętrza dawnych kościołów, możemy dostrzec, jak starały się one odzwierciedlić różne wymiary raju. Ta przestrzeń miała umieścić chrześcijan w przepięknym wizualnie otoczeniu — roje gwiazd na nocnym niebie, złote promienie słońca, ryby pluskające się w pływającej wodzie, rozbrykane zwierzęta, żyzne łąki pełne kwiatów i obwieszonych owocami drzew [...] To raj, jak zdaliśmy sobie sprawę, był dominującym elementem wczesnochrześcijańskich świątyń. (Brock, Parker, 2008, xiv)

Jak to się zatem stało, że do IX wieku chrześcijanie modlili się do szczęśliwego Jezusa żyjącego w raju, a potem jego miejsce zajął Jezus udręczony i konający w męczarniach. Chcąc wyjaśnić tę zmianę, piszą Brock i Parker, musimy przede wszystkim uświadomić sobie, kto jest autorem pierwszego przedstawienia ukrzyżowania. Otóż najstarsze znane dzieło tego typu to tak zwany Krzyż Gerona, pierwszy monumentalny krucyfiks w zachodnim kościele, nazwany tak od imienia biskupa, który go ufundował (i kazał umieścić na swoim grobowcu). Dziś ten wyrzeźbiony w dębowym drewnie prawie trzymetrowej wysokości krucyfiks można podziwiać w katedrze kolońskiej. Saksońscy wierni biskupa Gerona stworzyli go dla niego w roku 965. Saksoni zaś (Sasi) to jedno z germańskich plemion, które niecałe dwieście lat wcześniej (podczas wojen toczonych w latach 772–804) podbił i siłą nawrócił na chrześcijaństwo — dając wybór: chrzest albo śmierć — władca Franków Karol Wielki. Po zwycięskiej wojnie Karol nie tylko zmusił ich do przejścia na chrześcijaństwo, ale też wygnał z ziem, które przekazał swoim sojusznikom. Jak twierdzą Brock i Parker, Krzyż Gerona ukazuje właśnie to, z czym kojarzyło się podbitym Saksonom chrześcijaństwo — przemoc i cierpienie. Tę tragiczną wizję włączyli do swojej nowej religii i ukazali Jezusa, który cierpiał tak samo jak oni. Z czasem upowszechniła się ona wśród pozostałych plemion germańskich, obraz ukrzyżowania stawał się coraz bardziej krwawy, a jego makabryczne szczegóły awansowały do roli centralnego elementu chrześcijańskiej ikonografii i kultu — od zgromadzenia pasjonistów po Mela Gibsona.

Rosnąca popularność krucyfiksów w zachodnim chrześcijaństwie zbiegła się w czasie z wyraźną ewolucją chrześcijańskiej teologii, wtedy to bowiem właśnie zwolenników zaczęła zyskiwać idea zadośćuczynienia, którą najpełniej przedstawił Anzelm z Canterbury w dziele *Cur Deus Homo*. Wcześniej chrześcijańscy myśliciele odmiennie tłumaczyli sens życia i śmierci Jezusa. Dla nich Adam, Ewa i ich potomkowie skażeni byli grzechem pierworodnym, a zgrzeszywszy, przeszli pod władzę szatana. Męka Jezusa na krzyżu była częścią „targu” Boga z szatanem — „okupem”, jaki Bóg złożył z siebie samego, by zbawić ludzi. W ten sposób tłumaczyli sens zbawienia Orygenes, Ireneusz, Grzegorz z Nazjanzu, Ambroży, Augustyn, Jan Chryzostom i Grzegorz Wielki. Tymczasem Anzelm zadał swoim wielkim poprzednikom jedno proste pytanie — w jaki sposób szatan mógłby odebrać władzę nad ludźmi nieskończonemu i wszechmocnemu Bogu? Wszak taki Bóg może w każdej chwili osiągnąć wszystko, co tylko chce, tak więc idea, że musi się on o coś z szatanem targować oraz płacić mu „okup”, nie może być słuszna. Zamiast zbawienia Anzelm zaczął więc mówić o zadośćuczynieniu. Bogu, jak wyjaśniał, jako władcy Wszechświata, wszelkie jego stworzenia winne są absolutne posłuszeństwo. Kiedy Adam i Ewa w Ogrodach Edenu postąpili wbrew bożym nakazom, okłamali Boga i odmówili mu tego, co się mu należy. Grzesząc, zaciągnęli dług, a żeby Bóg mógł im wybaczyć, musiał

on zostać spłacony. Ten dług — grzech pierworodny — przejęła później na siebie cała ludzka rasa, jako potomkowie Adama i Ewy, a zbrodnia przeciwko istocie nieskończonej — Bogu — jest zbrodnią nieskończonej wielką, wymaga więc nieskończonej odpłaty, jeśli ma zostać wybaczona. Pojedynczy człowiek ani nawet cała ludzkość nie są do takiej odpłaty zdolne, pisał Anzelm, może to uczynić tylko nieskończony byt — sam Bóg; potrzebna jest nieskończona odpłata *Bogu*, której podjąć się może jedynie sam Bóg, czyniąc tak dla oraz w imieniu ludzi. Tym właśnie według Anzelmą była śmierć Jezusa: Boga-człowieka. Jak sam wyjaśniał: „Jedynie Bóg może ten dług spłacić, a tylko człowiek spłacić go powinien. Zatem musi go spłacić Bóg-człowiek” (*Cur Deus Homo*, rozdz. 6). Tym była śmierć Jezusa na krzyżu.

Idee Anzelmą i jego nacisk na zadośćuczynienie zyskały dużą popularność w zachodnim chrześcijaństwie, ale już nie w jego wschodnich odmianach, przykładowo w prawosławiu, które oficjalnie odłączyło się od Rzymu w tzw. Wielkiej Schizmie w roku 1054, choć podziały zarysowywały się już znacznie wcześniej. W każdym razie prawosławie, nie uznając, że to właśnie ukrzyżowanie było istotą ziemskiej egzystencji Jezusa, nie oddaje też tak wielkiej czci jak zachodnie chrześcijaństwo krucyfiksom. Nawet zresztą w zachodniej teologii nie wszyscy zgadzali się z Anzelmem. Jednym z jego pierwszych krytyków był Piotr Abelard, który w *Komentarzu do Listu do Rzymian* pisał:

Jakże okrutna i perwersyjna jest myśl, że (Bóg) potrzebował niewinnej krwi jako spłaty za cokolwiek i że męka niewinnej istoty mogłaby sprawić mu przyjemność. Tym okrutniejsze jest mniemać, że mógł on chcieć śmierci własnego syna, by pogodzić się ze światem. (za: Brock, Parker, 2008, 293)

Takie głosy jednak niewiele zmieniły i w zachodnim chrześcijaństwie śmierć Jezusa stała się śmiercią odkupieńczą. Ten pogląd wzmocnili jeszcze twórcy reformacji, Marcin Luter i Jan Kalwin, którzy zmodyfikowali nieco idee Anzelmą, wskazując, że ukrzyżowanie było przede wszystkim karą za grzechy. Jezus, jak uznali twórcy teorii zadośćuczynienia zastępczego, sam był bezgrzeszny, ale Bóg przeniósł na niego grzechy ludzi i w ten sposób on, zajmawszy ich miejsce, przyjął na siebie ich karę. Śmierć na krzyżu spłacała dług ludzi, usatysfakcjonowała boże poczucie sprawiedliwości i złagodziła jego gniew. Odtąd Bóg może znowu wybaczać grzesznikom.

Jak więc widzimy, jakkolwiek dziś ukrzyżowanie i śmierć Jezusa — od z górą już dziewięćset lat — są centralnym motywem (zachodniego) chrześcijaństwa, nie zawsze tak było.

ISTNIAŁA PAPIEŻYCA JOANNA

Floros raz jeszcze wyciągnął rękę [...], dłoń jego spoczęła na gorącej, gładkiej skórze, pod którą uderzało gwałtownie bijące serce. Floros wyciągnął i drugą rękę i w tej właśnie chwili księżyc wychylił twarz zza obłoku, oblewając przejrzystym blaskiem oblicze i obnażoną pierś Jego Świątobliwości papieża Jana VIII.

Emmanuel Roidis, *Papież Joanna*

Jak pisaliśmy we wprowadzeniu, dramatyzm i nagromadzenie emocji, zwłaszcza jeśli dodać do tego jeszcze seks i przemoc, to doskonały przepis na mit. Opowieść o kobiecie, która została papieżem, spełnia wszystkie te warunki, nic dziwnego zatem, że mit o papieżyca Joannie funkcjonuje już od setek lat. To istotnie poruszająca opowieść o samotnej kobiecie, która potrafiła przechytrzyć potężny średniowieczny Kościół i poniosła za to straszliwą karę.

Autorem jednego z najstarszych, wielokrotnie później cytowanych manuskryptów, które stały się źródłem opowieści o kobiecie-papieżu, był piszący pod koniec XIII wieku Martinus Polonus, czyli Marcin Polak, zwany też Marcinem z Opawy. Zyskał on wielu słynnych naśladowców, w tym samego Boccaccia (1313–1375), twórcę wielkiego *Dekameronu*, który ostatni rozdział dzieła *O słynnych kobietach*

poświęcił właśnie kobiecie-papieżowi. Boccaccio, podobnie jak wcześniej Marcin, pisał, że kobieta owa, zasiadłszy na tronie papieskim, posługiwała się imieniem Jan, aczkolwiek wspomniał, że inni autorzy mówili, iż nazywała się Gilberta. Są też źródła, w których pojawiają się imiona Jutta i Glancia, a Jan Hus, wielki czeski reformator religijny spalony na stosie na polecenie papieża, pisał o papieżycy *per Agnes*. Bez wątpienia jednak najpopularniejsza wersja mitu opowiada o papieżu Joannie (to żeńska wersja imienia Jan). Opowieść ta zyskała szczególną popularność po reformacji, gdy służyła protestantom jako doskonała ilustracja ostatecznego upadku i degrengolady rzymskiego papiestwa. To wtedy powstały i cieszyły się wielkim zainteresowaniem takie dzieła jak *Pope Joane. A Dialogue Between a Protestant and A Papist* Alexandra Cooke'a (1610) i anonimowe *The History of Pope Joan and the Whores of Rome* (1687).

W XIV i XV wieku praktycznie powszechnie zasiadanie kobiety na tronie papieskim uznawano za fakt historyczny. Nawet Kościół się do tego przyznawał — w katedrze w Sienie wśród popiersi papieży znalazło się też jedno podpisane *Johannes VIII, Foemina de Anglia* (Jan VIII, kobieta z Anglii). Pod koniec XVII wieku londyński teatr królewski wystawiał Elkanah Settle'a *The Female Prelate: Being the History of the Life and Death of Pope Joan. A Tragedy*, w XIX wieku pojawiło się kilka powieści opowiadających o losach Joanny (między innymi *Papież Joanna* Emmanuela Roidisa z 1866 roku), a w naszych czasach postać ta przeżyła prawdziwy renesans — ponownie trafiła na deski teatrów, do kina, telewizji i na karty powieści. W ekranizacji z roku 1972 papieżycę zagrała zresztą sama Liv Ullman, której partnerował nie mniej słynny w tych czasach Maximilian Schell. W roku 1997 na listy bestsellerów w Niemczech trafiła powieść *Papież Joanna* Donny Woolfolk Cross (ponad dwa miliony sprzedanych egzemplarzy!), która została zekranizowana w roku 2009. Dobrze przyjęty przez widzów i krytykę film reklamowany był hasłem: „Historia oparta na faktach. Opowieść o kobiecie, która zmieniła oblicze religii i została papieżem. Dwa lata później wymazano ją z kart historii”.

Martinus Polonus, autor najstarszych zachowanych wzmianek o papieżu-kobiecie, datuje jej pontyfikat na IX wiek i umieszcza pomiędzy Leonem IV a Benedyktem III. Według *Chronicon Pontificum et Imperatorum* (MGH: SS, XXII, 1265, s. 428) Polonusa biskupem Rzymu był w tym czasie „John Anglicus” (Jan Anglik), urodzony w Miśni, ale jak czytamy dalej: „Mówi się, iż ów Jan był kobietą. Jako młodą dziewczynę sprowadził ją do Rzymu w męskim przebraniu jej kochanek”. Wiedza i wykształcenie zaskarbiły jej powszechny szacunek i zaczęła sama udzielać nauk, zyskawszy tak olbrzymi autorytet, że nieświadomi jej prawdziwej płci Rzymianie jednogłośnie obrali ją papieżem po śmierci poprzednika. Wtedy, jak pisze Polonus, zaczęły się kłopoty, „gdy, już zasiadając na papieskim tronie, zaciążyła. Nie знаła jednak terminu porodu i stało się tak, że moment rozwiązania zaskoczył ją podczas procesji zmierzającej od katedry św. Piotra do Lateranu, w wąskim zaułku prowadzącym od Koloseum do kościoła św. Klemensa”. Marcin Polak zarzeka się dalej, że dokładnie w tym miejscu została pochowana i dlatego od tego czasu papieże tak starannie je omijają, udając się z procesją do Pałacu Laterańskiego.

Również u XIII-wiecznego historyka Jeana de Mailly znajdujemy odwołanie do tego epizodu w dziejach papiestwa, acz wzbogacone o kilka dodatkowych szczegółów. Cała historia miała wydarzyć się w roku 1099:

Pewnego dnia, podczas konnej przejażdżki, powiła dziecię. Natychmiast pojмали ją słudzy rzymskiego wymiaru sprawiedliwości, przywiązali do końskiego ogona, a gdy koń ciągnął ją przez pół ligi, ludność obrzucała ją kamieniami. Kiedy wyzionęła ducha, pochowano ją, a na grobie wyryto słowa: *Petre, Pater Patrum, Papisse Prodito Partum* („O Piotrze, ojcu ojców, zdradzony przez kobietę-papieża, która urodziła dziecko”). Ustanowiono też wkrótce czterodniowy post, zwany „postem kobiety-papieża”. (Jean de Mailly, s. 514)

Wersję de Maillyego rozbudował jeszcze współczesny mu Stephen of Bourbon w *De Diversis Materiis*

Praedicabilibus; Scriptores Ordinis Praedicatorum:

[...] za sprawą szatana uczyniono ją kardynałem, a później papieżem. Wówczas to dała się zapłodnić i urodziła dziecko podczas konnej przejażdżki. Gdy wymiar sprawiedliwości się o tym dowiedział, wywieziono ją za miasto, przywiązano za stopy do kopyt konia i tak wleczona była przez pół ligi, a ludzie obrzucali ją kamieniami. Tak zmarła. Pochowano ją, a na kamieniu, który postawiono na grobie, wyryte zostały słowa: *Parce, Pater Patrum, Papissae Prodere Partum* („Powstrzymaj się, ojciec ojców, od karania nas za powicie dziecka przez kobietę-papieża” albo „Przepuść, Ojciec ojców [czyli Boże], że kobieta-papież powiła dziecko”). Tak oto tupet i arogancja przywiodły ją do złego końca. (Quetif, Echard, 1719, 367)

Opowieść o kobiecie-papieżu krążyła odtąd po całej Europie i pojawiała się w coraz to nowych odsłonach. Zainspirowała nawet samego Francesco Petrarke, wielkiego czternastowiecznego poetę, uznawanego za prekursora renesansu, który też dodał do niej kilka mrozących krew w żyłach szczegółów, opisując, jak to po jej zdemaskowaniu:

W Brescii przez trzy dni padał krwawy deszcz. We Francji wyroiły się olbrzymie szarańcze z sześcioma skrzydłami i wielkimi zębami. Wszystkie uleciały na zachód i utonęły w Morzu Brytyjskim, ale woda ich nie przyjęła i gdy ich martwe odwłoki wyrzuciła na brzeg, wielu ludzi zmarło od morowego powietrza.

Jak widać, według Petrarki Joanna swoją „zbrodnią” sprowadziła na świat dwie z siedmiu plag opisanych w Apokalipsie Jana — „grad i ogień — pomieszane z krwią” (Ap 8, 7) i szarańczę z zębami „jakby zęby lwów” (Ap 9, 11).

Niektóre wersje opowieści nie były jednak aż tak dla „papieżycy” okrutne i pozwalały jej przeżyć, choć oczywiście po okazaniu skruchy. Taki wariant zamieścił na przykład u siebie autor powstałego na przełomie XV i XVI wieku przewodnika po Rzymie Stephen Blanck. W *Mirabilia Urbis Romae (Cudach miasta Rzym)* czytamy zatem, że

[...] pomiędzy Koloseum a św. Klemensem podróżnik znajdzie niewielką kapliczkę. Ten zrujnowany dziś kościółek stoi dokładnie w miejscu, gdzie zmarła kobieta, która zasiadła na papieskim tronie. Gdy powiła dziecko, wysłany przez boga anioł spytał ją, czy woli cierpieć przez wieczność, czy odważy się wyznać swoje grzechy. Nie chcąc być skazaną na wieczne potępienie, wybrała publiczną pokutę. (za: Wolfus 1671, 231)

W cytowanym przewodniku jest też wzmianka o „kamiennym posągu przedstawiającym kobietę trzymającą dziecko”. Pierwsze informacje o takiej figurze eksponowanej w Rzymie pochodzą jeszcze z roku 1375 i później pojawiały się wielokrotnie. Marcin Luter pisze wręcz, że widział ją, gdy był w Rzymie około roku 1500, i opisuje statwę przedstawiającą kobietę w papieskiej tiarze trzymającą w ramionach dziecko, a w ręku papieskie berło. Wspomina też swoje zadziwienie, że papież na coś takiego się zgadzają (Muntz 1900, cz. II, 233).

Interesujące uzupełnienie legendy o papieżu Joannie zawdzięczamy Gaufridusowi de Collone, francuskiemu mnichowi żyjącemu na przełomie XIII i XIV wieku. To on właśnie napisał, że „mówi się, że [to właśnie za jej sprawą] Rzym wprowadził zwyczaj sprawdzania płci papieża-elekta poprzez dziurę w specjalnym kamiennym zydlu” (Burchard, cz. I, vol. I, s. 83). Dwieście lat później opis ten uszczegółowił prefekt biblioteki watykańskiej Bartolomeo Platina, wyjaśniając w opublikowanych w 1479 roku *Żywotach papieży*, że najmłodszy z diakonów obecnych na uroczystości inwestytury ma za zadanie ręcznie sprawdzić obecność męskich genitaliów u kandydata (por. Muntz 1900, cz. II, 330). Kilka lat później, około roku 1490, Felix Haemerlin, opisując szczegółowo uroczystości wyboru nowego papieża, dodał, że ów młody kleryk, gdy już się przekona, że anatomia papieża-elekta nie budzi zastrzeżeń, głośno wykrzykuje: „Ma jądra!”. Pozostali odpowiadają: „Chwała Panu” i wtedy dopiero może rozpocząć się radosny akt konsekracji nowej głowy Kościoła.

Trzeba przyznać, że jeszcze w późnym średniowieczu zwiedzający papieskie komnaty mogli natknąć się na coś, co owe opowieści potwierdzało — otóż w sali koronacyjnej istotnie stały dwa

monumentalne siedziska z czerwonego marmuru i to z dziurami. Przez wieki używano ich podczas ceremonii inwestytury — nowy papież zasiadał na jednym, a potem przesiadał się na drugie. Były zresztą praktycznie identyczne i jak można wnosić z opisu, pochodziły jeszcze ze starożytnego Rzymu. Według części badaczy pierwotnie znajdowały się w którejś z rzymskich łaźni, inni jednak twierdzą, że używano ich podczas porodów i stąd właśnie ich oryginalna konstrukcja. W każdym razie historycy zgadzają się co do tego, że to raczej ich niezwykła uroda i „szlachetne” pochodzenie zdecydowały o miejscu, jakie zajmowały w papieskich komnatach, a nie dziura w siedzeniu. Po raz ostatni zostały zresztą użyte w roku 1513, podczas koronacji Leona XIII. Jego następca, Hadrian VI, kazał je usunąć. W każdym razie mit o sprawdzaniu płci nowo obranego papieża nadal krążył, w czym w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało to, że ani słowa o takiej metodzie nie ma w oficjalnym *Ordo Romanus*, zawierającym dokładny opis procedur inwestytury papieskiej. Nic też nie pomagały sprostowania — choćby to, gdy Jacobo d’Agnola di Scarperia, naoczny świadek koronacji Grzegorza XII w roku 1406, napisał wprost, że cała ta historia o sprawdzaniu papieskich jąder to „głupia ludowa bajka” (za: von Dollinger 1871, 50).

W obszernych watykańskich archiwach nie ma też nawet śladu jakiegokolwiek wzmianki o papieżu Joannie. Historycy mają z nią zresztą poważniejszy problem. Otóż według Marcina Polaka Joanna rzekomo władała Kościołem przez „dwa lata, siedem miesięcy i cztery dni”, a jej rządy przypaść miały między pontyfikatami Leona IV i Benedykta III. Tymczasem wszelkie źródła wskazują, że Leon był biskupem Rzymu od roku 847 do śmierci, która nastąpiła 17 lipca 855, jego następca zaś, Benedykt III, włożył tiarę już 29 września 855. Niecałe dwa i pół miesiąca, jakie upłynęły od śmierci Leona do konsekracji jego następcy, to zdecydowanie za mało, by zmieścić w nich dwuipółroczny pontyfikat Joanny.

Był, co prawda, i to mniej więcej w tym okresie, papież o imieniu Jan, wybrany w roku 872, ale rządził Kościołem lat dziesięć, a nie dwa; przy tym powszechnie znany był jako papież-wojownik, a zasłynął głównie z okrucieństwa, jakie okazywał wrogom. Dorobił się ich zresztą sporo i mówi się, że zginął zatłuczony na śmierć, gdy nie podziałała podana mu wcześniej trucizna. Gdyby został zdemaskowany jako kobieta-uzurpator, taka brutalność nie byłaby raczej potrzebna.

Późniejsze datowanie pontyfikatu Joanny na przełom XI i XII wieku, które znaleźć można u Jeana de Mailly i Stephena de Bourbon, wydaje się z pozoru bardziej prawdopodobne, bo to rzeczywiście okres kryzysu papiestwa i czas, gdy kilka osób posługiwało się tytułem papieskim równocześnie (dziś mówi się o nich „antypapieże”). W każdym razie kiedy papież Grzegorz VII umierał w Rzymie w roku 1085, niemal nikt z duchowieństwa już go nie popierał, większość natomiast opowiadała się za „antypapieżem” Klemensem III, wybranym przez cesarza Henryka IV. Doszło do tego, że przez ponad rok Rzym nie miał swojego biskupa. W roku 1086 stanowisko to objął Wiktor II, ale zmarł po zaledwie kilkunastu miesiącach i sukcesję po nim przejął Urban II (to on wezwał później do I krucjaty), tyle że ponieważ praktycznie całe Włochy kontrolowały wojska cesarskie, został on koronowany setki kilometrów od Rzymu, dokąd udało mu się dostać dopiero w roku 1097. W dwa lata później zmarł i tym razem nowy papież — Paschalis II — został wybrany błyskawicznie, bo już po dwóch tygodniach. Poza Rzymem cały czas władzę sprawowali antypapieże: Klemens III (1080–1100), Teodoryk (1100–1102), Albert (1102) i Sylwester IV (1105–1111). Paschalis II zdołał jednak ostatecznie przywrócić jedność papiestwa i sprawował swój urząd aż do śmierci w roku 1118. Jak więc widać, mimo tej sieci intryg nawet i na przełomie XI i XII wieku absolutnie nie da się znaleźć miejsca dla dwuipółletniego pontyfikatu Joanny.

Świadectwa historyczne są zatem jednoznaczne — opowieść o papieżu-kobiecie to mistyfikacja. Ale jest to zarazem mit wciąż żywy. Bartolomeo Platina, przełożony biblioteki watykańskiej, pisał w roku

1479 w cytowanym już wyżej liście do swojego przyjaciela (Church in History Information Centre, online): „Rzeczy, o których ci opowiadam, są nieustannie powtarzane, choć nie ma żadnych wiarygodnych źródeł, które by je potwierdzały. Uznałem, że pokrótce muszę je jednak opisać, by nie zarzucono mi, że pomijam coś, co niemal wszyscy uznają za prawdę”.

My też nie sądzimy, by nasza książka usunęła ze społecznej wyobraźni mit „papieżycy Joanny”...

ŚREDNIOWIECZNY KOŚCIÓŁ PRZEŚLADOWAŁ NAUKĘ

Między IV a XIII wiekiem całą Europę [...] ogarnęła naukowa amnezja. Przez te stulecia chrześcijańska wiara i dogmaty przesłoniły obraz świata, nad którym z tak wielkim wysiłkiem, zaangażowaniem i skrupulatnością pracowali starożytni geografowie.

Daniel Boorstin (1983, X)

Powyższy cytat stanowi dobry przykład bardzo rozpowszechnionej opinii o kondycji nauki i badań naukowych w średniowieczu — opinii, która naszym zdaniem jest właśnie przykładem mitu. Podobną wizję można znaleźć w bardzo wielu publikacjach. W książce *Kosmos* — to jeden z największych popularnonaukowych bestsellerów XX wieku — autor, astronom Carl Sagan, zamieścił na przykład wykres, na którym na osi czasu widnieją imiona uczonych o największym dorobku dla astronomii. Otwiera go Tales z Miletu (zm. 546 r. p.n.e.), potem kolejni zasłużeni aż po Hypatię z Aleksandrii (zm. 415 r. n.e.), a potem... tysiącletnia luka, którą kończy dopiero pojawienie się w XV wieku Leonarda da Vinci i Krzysztofa Kolumba. Jak wyjaśnia Sagan, to „mroczne wieki” — „Ta tysiącletnia luka na wykresie ukazuje ogrom czasu, jaki straciliśmy jako ludzkość” (Sagan 1980, 280). Ćwierć wieku później Charles Freeman (2003) również nie ma wątpliwości, że po tym, gdy chrześcijaństwo stało się oficjalną religią cesarstwa rzymskiego, nastąpił katastrofalny upadek nauki. Zresztą nawet wielu ludzi, którzy nie czytali ani Sagana, ani Freemana, jest przekonanych, że średniowiecze to barbarzyńska epoka, a żyjący w niej chrześcijanie uważali, że ziemia jest płaska, z którego to błędu wyprowadziły ich dopiero wyprawy Krzysztofa Kolumba i narodziny nowożytnej nauki.

Dość często można też spotkać się z twierdzeniem, że nauka i religia (chrześcijańska) pozostają w konflikcie i że tak było zawsze. Tymczasem tak naprawdę jest to sytuacja pod pewnymi względami dość nowa — ostry konflikt zaczął się dopiero jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, bowiem to w XIX wieku uczeni badający naturę zaczęli nazywać to, co robią, „nauką”, a siebie samych „naukowcami” — wcześniej uprawiali „filozofię naturalną” lub „historię naturalną”. Oczywiście dyskusje na temat relacji między „rozumem” a „wiarą” trwały już od stuleci, ale nie wynikało z nich, by musiał istnieć jakiś przyrodzony konflikt między nauką a chrześcijaństwem — zwłaszcza naukami przyrodniczymi i ścisłymi, czyli tym, co w języku angielskim określa się terminem „science”. Natomiast w I połowie XIX wieku zaczęły pojawiać się książki (ze słowem „nauka” w tytule), których autorzy rozważali, czy — a jeżeli tak, to z jakiego powodu — nauka i chrześcijaństwo są sobie wrogie. Dyskusja stała się na tyle zażarta, że już w latach 60. XIX w. niektóre amerykańskie szkoły średnie i seminaria zaczęły zatrudniać nauczycieli, których zadanie polegało na tłumaczeniu uczniom, dlaczego taki konflikt między wiedzą naukową a chrześcijaństwem w rzeczywistości nie istnieje (Numbers 2009, 3).

Pod koniec tego stulecia w debacie zabrało głos dwóch prominentnych przedstawicieli amerykańskiej nauki — John William Draper, uczoney, fizyk i historyk, oraz Andrew Dickson White, współzałożyciel i pierwszy prezydent Cornell University. Jak pisał Draper, wczesnośredniowieczny Kościół

[...] utrzymywał, że całą wiedzę znaleźć można w Piśmie Świętym i w tradycji Kościoła. [...] Tym samym Kościół ustanowił się w roli depozytariusza wiedzy i zarazem arbitra, co wiedzą jest [...] To wytyczyło kurs, który zdeterminował całą przyszłość Kościoła. Stał

Teza Drapera była jednoznaczna: „Rzymskie chrześcijaństwo i nauka w oczach swoich najwybitniejszych zwolenników są nie do pogodzenia; nie mogą nawet współegzystować” (1874, 363).

Andrew Dickson White tę negatywną ocenę katolicyzmu jeszcze wzmocnił i pogłębił w głośniejszej, dwutomowej *A History of the Warfare of Science with Theology in Christendom* (1896). Już same tytuły kolejnych rozdziałów — *Od stwarzania do ewolucji*, *Od Księgi Rodzaju do geologii*, *Od magii do chemii i fizyki*, *Od cudów do medycyny* i *Od opętania do choroby* — dobrze pokazują, jak, zdaniem Dicksona White’a, Rzym niszczył naukę.

Niemniej, jakkolwiek ten „wojenny” paradygmat opisywania relacji między nauką a chrześcijaństwem ma wielu prominentnych przedstawicieli — od Drapera i White’a po Boorstina i Sagana — część współczesnych historyków nauki uważa, że jest to mit, a przynajmniej w znacznej części mit. Interesującą próbę jego dekonstrukcji znaleźć można na przykład w przygotowanym przez Ronalda Numbersa zbiorze dwudziestu pięciu esejów opublikowanych w tomie *Galileo Goes to Jail and Other Myths about Science and Religion* (2009).

Autor jednego z zamieszczonych tam tekstów (*That Medieval Christians Taught That the Earth Was Flat*) Lesley Cormack zwraca na przykład uwagę, że już starożytni Grecy zdawali sobie sprawę, że Ziemia jest kulą — Arystoteles pisał, że dowodzi tego zmiana położenia konstelacji gwiazd na niebie obserwowanym z różnych punktów. Grecki astronom, filozof, matematyk i poeta Eratostenes z Cyreny wyliczył nawet obwód Ziemi — pomylił się zaledwie o sto kilkadziesiąt kilometrów! Wczesnochrześcijańscy myśliciele, którzy pisali o tych sprawach, w zasadzie nie kwestionowali tych greckich odkryć. Z kulistością Ziemi zgadzali się na przykład Ambroży (zm. 397), Hieronim (zm. 420) i nawet Augustyn (zm. 430). Chyba jedynym znamienitym wyjątkiem był Laktancjusz (zm. ok. 320), ale on z kolei był zaprzysięgłym wrogiem całej greckiej filozofii i nauki. W późniejszych wiekach sytuacja raczej się nie zmieniła, choć były też wyjątki (na przykład bizantyński mnich, geograf i podróżnik Kosmas Indikopleustes). Niemniej nie sposób zaprzeczyć, że nawet tak wybitni chrześcijańscy myśliciele jak Tomasz z Akwinu potrafili z aprobatą przywoływać sformułowany przez Arystotelesa dowód kulistości Ziemi.

Jako argument przemawiający za wrogością wczesnego Kościoła wobec nauki często przytaczane są wypowiedzi jednego z najwybitniejszych teologów tej epoki, Tertuliana (zm. 240 r.), który w słynnym dziele *Przeciw heretykom* jasno wypowiadał się w tych kwestiach. W rozdziale 7. pyta na przykład: „Co mają wspólnego Ateny (grecka filozofia) z Jerozolimą (chrześcijaństwem)?”. Nic — odpowiada. I dalej — „Czy może być zgoda między (platońską) Akademią a Kościołem?”. Nie! Chrześcijanin, pisze Tertulian, ma żyć wiarą, a nie filozofią. David Lindberg (Numbers 2009, 8–18) zwraca jednak uwagę, że nawet tak żarliwy wróg greckiej nauki, jakim był Tertulian, musiał ją niezłe znać, odwoływał się bowiem do niej, jeśli tylko mu to pasowało. Na przykład w 3. rozdziale dzieła *Ad Nationes* Tertulian zwalcza ideę, jakoby to świat miał być bogiem. I co tam czytamy? — „Świat musiał albo zostać uformowany przez jakiś byt, zgodnie ze światłym poglądem Platona, albo przez nic, jak z okrucieństwem twierdzi Epikur. Jeśli jednak coś zostało uformowane, miało swój początek, zatem będzie miało też swój koniec”, a cokolwiek, co ma początek i koniec, nie może być bogiem. Jak widać (nie tylko zresztą w tych wersach), Tertulianowi grecka filozofia naturalna — i filozofia w ogóle — nie była więc na pewno obca. Jej znajomością wykazywali się zresztą również inni wczesnochrześcijańscy wrogowie antyku, jak choćby Bazyl z Cezarei (zm. ok. 379 r.).

Warto jednak pamiętać, że po pierwsze ci myśliciele nie wypowiadali się w imieniu całego Kościoła, a po drugie nawet Bazyl nie dożył czasów, gdy chrześcijaństwo stało się oficjalną religią cesarstwa, co

nastąpiło w roku 380. Niedługo potem najdonioślejszym głosem tej religii stał się Augustyn (którego zresztą do dziś niektórzy uważają za najważniejszego chrześcijańskiego myśliciela w całej historii). W odróżnieniu od niektórych swoich poprzedników Augustyn przekonywał chrześcijan do posługiwania się rozumem — „Uwierz, byś mógł zrozumieć. Zrozum, byś mógł uwierzyć”, jak pisał (List 120, za: Sparrow-Simpson 2012). Są pewne rzeczy, tłumaczył też, które Bóg musi nam objawić, jak choćby natura Chrystusa, ale jest też wiele innych, które ludzie mogą pojąć, posługując się rozumem i doświadczeniem — na przykład ruchy planet i natura zwierząt czy roślin. Augustyn nie miał zatem wątpliwości, że to, czego możemy dowiedzieć się o świecie i naturze, nie stoi w sprzeczności z boskim objawieniem; przeciwnie — wspiera je. Dla niego „nauka” była rodzajem wiedzy i to podejście stało się powszechne w chrześcijańskim średniowieczu. Dlatego teologię zwano wtedy „królową nauk”, a „filozofia naturalna” była jedną z jej służek. Ten paradygmat sam Augustyn zastosował w praktyce w *Komentarzu słownym do Księgi Rodzaju (De Genesi ad litteram libri duodecim)*. Objasniając, w jaki sposób Bóg mógł stworzyć świat, z wielką swobodą posługiwał się licznymi greckimi i rzymskimi koncepcjami tłumaczącymi naturę planet, Księżycy, światła, dźwięku, pogody, pór roku, czasu, przyływów, czterech elementów, roślin czy zwierząt. Aby zrozumieć znaczenie boskiego dzieła, pisał, musimy wiedzieć cokolwiek o tym, co On stworzył, i wiedzieć, jak to działa. Taką wiedzę dostarcza filozofia naturalna — czyli nauka, jakbyśmy dziś powiedzieli — do której poznawania Augustyn silnie zachęcał. Chrześcijanina, wyjaśniał, nie powinno odstręczać to, że dzieła, na które się powołuje, są autorstwa nie-chrześcijan. Oni po prostu mieli większą wiedzę:

Nawet nie-chrześcijanin wie nieco o ziemi, niebiosach i innych elementach, o ruchu i orbitach gwiazd, a nawet ich wielkości i położeniu, o przewidywanych zaćmieniach słońca i księżyca, cyklach lat i pór roku, o rodzajach zwierząt, krzewów, kamieni etc. i tą wiedzą dysponuje dzięki rozumowi i doświadczeniu. To rzecz zła i niebezpieczna, gdy dziś niewierny słyszy, jak chrześcijanin [...] opowiada bzdury, gdy pytać go o te sprawy. Powinniśmy czynić wszystko, by uniknąć takich krępujących sytuacji. (Augustyn z Hippony 1982, 42–43)

W pewnym sensie to przekonanie Augustyna o pełnej zgodności między teologią a nauką ukształtowało politykę Kościoła w średniowieczu. Nie sposób na przykład zaprzeczyć, że to władze kościelne wspierały rozwój wielu europejskich uniwersytetów, z których zresztą liczne powstały ze szkół działających wcześniej przy klasztorach lub katedrach. Taki początek miały na przykład uniwersytety w Bolonii, Paryżu i Oksfordzie, założone już w XII wieku. Przed 1500 rokiem w Europie działało ich już ponad sześćdziesiąt. Uniwersytet w Oksfordzie wyrósł ze szkoły prowadzonej przez augustianów z klasztoru św. Frideswide, prawo do nadawania stopni naukowych przyznał mu papież Innocenty IV w roku 1254, a Uniwersytet w Cambridge działa od roku 1209 (papież Jan XXII zatwierdził jego statut w roku 1318).

Niemal jedna trzecia średniowiecznego programu uniwersyteckiego obejmowała to, co dziś nazwalibyśmy naukami przyrodniczymi i ścisłymi, dzięki czemu setki tysięcy studentów poznały podstawy dyscyplin takich jak geometria, optyka, fizyka, astronomia, logika i przyrodoznawstwo (Grant, 1984). Te przedmioty wykładano na pierwszych latach studiów i to w zasadzie bez odniesień do doktryny Kościoła. To teologia dawała tytuł magistra, ale większość uczących się nie dochodziła do tego etapu i kończyła jako bakałarze bez wykształcenia teologicznego. Zresztą spośród trzech kierunków dających tytuł magistra — teologii, medycyny i prawa — teologia była najmniej popularna (Shank, 2009).

Argumenty odwołujące się do filozofii naturalnej były zresztą często stosowane nawet przez teologów, czego chyba najlepszym dowodem jest słynne Pięć Dróg (dowodów, argumentów) na rzecz istnienia Boga zaproponowanych przez Tomasza z Akwinu (skądinąd gorliwego czytelnika dzieł Arystotelesa). Otóż pierwszy argument Tomasza — teza, iż jakikolwiek ruch i zmiana w świecie nie

mogłyby istnieć, gdyby nie istniał Nieruchomy (pierwszy) Poruszyciel — wzięty jest wprost z *Fizyki* Arystotelesa. Dzieła tego samego greckiego filozofa są też źródłem „argumentu” o konieczności istnienia pierwszej przyczyny. Argument trzeci — „od potencjalności do konieczności” — bazuje na czysto zdroworozsądkowej regule. Istotnie może się wydawać, że nic nie może samoistnie wyłonić się z próżni. Czwarty argument: „Bóg jest bytem najdoskonalszym i to on nadaje doskonałość innym bytom” Tomasz zaczerpnął z *Liber de causis*, dzieła przypisywanego długo Arystotelesowi (to zresztą sam Tomasz ustalił, iż w istocie księga ta jest wyciągiem z dzieł Proklosa, neoplatonika żyjącego w V w. n.e.). Piąty tomaszowy dowód odwołujący się do porządku i projektu w naturze bardzo zbliżony jest do argumentacji, którą dziś posługują się zwolennicy „Teorii Inteligentnego Projektu”, ale i w tym przypadku źródła greckie są dość oczywiste — podobne rozumowanie przedstawił między innymi Platon w *Timajosie*.

Te dowody — których odniesienia do filozofii naturalnej są oczywiste — na równi z innymi dziełami teologicznymi Tomasza z Akwinu sprawiły, że został on uznany za jednego z najwybitniejszych chrześcijańskich myślicieli nie tylko swojej epoki. Papież Jan XXII kanonizował go już pół wieku po śmierci, w roku 1567 Pius V ogłosił go Doktorem Kościoła, a trzysta lat później, w roku 1879, Leon XIII uznał tomizm za oficjalną wykładnię doktryny katolickiej, która odtąd jest obowiązkowo nauczana we wszystkich katolickich seminariach i na wydziałach teologicznych. Gdyby Kościół, jak zarzucają mu niektórzy, był istotnie tak wrogi filozofii naturalnej, nic takiego raczej by się nie zdarzyło.

Astronom John Heilbron, opisując historię swojej dyscypliny, stwierdził:

Kościół (rzymsko)katolicki w olbrzymim stopniu — organizacyjnie i finansowo — wspierał rozwój astronomii. Tak było od chwili odrodzenia antycznej nauki w późnym średniowieczu aż do czasów oświecenia, czyli przez niemal sześćset lat. Kościół ma na tym polu większe zasługi niż jakakolwiek inna instytucja, a pewnie i wszystkie inne instytucje razem. (Heilbron, 1999, 3)

Tę opinię można odnieść nie tylko do astronomii, ale i do wszystkich nauk. Wielkie odkrycia Galileusza i Newtona czy wreszcie oświeceniowa rewolucja miały oczywiście dopiero nadejść, ale wspierana przez Kościół aktywność naukowa późnego średniowiecza bez wątpienia torowała im drogę. Jak pisze Lawrence Principe, profesor chemii oraz historii nauki i technologii na Johns Hopkins University:

Historycy nauki uświadamiają sobie dziś, w jak dużym stopniu imponujące osiągnięcia okresu zwanego rewolucją naukową były możliwe dzięki temu, co europejscy uczeni stworzyli w późnym średniowieczu [...] To ich obserwacje i teorie z obszaru optyki, kinematyki, astronomii, badań nad materią oraz innych stanowiły punkt wyjścia dla szesnasto- i siedemnastowiecznej nauki. Założone w średniowieczu uniwersytety, rozwijająca się kultura dyskursu i logiczny rygor średniowiecznej scholastyki w znacznym stopniu przyczyniły się do powstania klimatu, który był niezbędny dla narodzin rewolucji naukowej. (Principe 2009, 105)

KATOLICY NIE SĄ CHRZEŚCIJANAMI

Uwaga — „Kościół” rzymskokatolicki NIE JEST Kościołem chrześcijańskim! Praktycznie wszystkie katolickie nauki są sprzeczne z tym, co mówi Pismo [...] Większość pastorów boi się jednak mówić o tym otwarcie, bo Kościół katolicki to najliczniejsze wyznanie świata.

jesus-is-lord.com

Według witryn internetowych takich jak jesus-is-lord.com czy jesus-is-savior.com katolicy nie są chrześcijanami. Na stronie faithdefenders.com można nawet znaleźć zestawienie aż dziesięciu argumentów uzasadniających taką opinię. Przytoczmy je może: 1. Kościół katolicki utrzymuje, że Maryja, matka Jezusa, może interweniować u Boga na rzecz tych, którzy się do niej modlą; 2. Kościół katolicki twierdzi, że Maryja została „poczęta bez grzechu (pierworodnego)” i dzięki temu po śmierci dostała cielesnego i duchowego wniebowzięcia; 3. Maryja według katolików zawsze była i pozostała

dziewicą; 4. Katolicy wierzą, że po śmierci ludzie idą najpierw do czyśćca i dopiero po „oczyszczeniu” z grzechów mogą trafić do nieba; 5. Kościół katolicki sankcjonuje obecność obrazów Jezusa, Maryi, aniołów i świętych; 6. Kościół katolicki żąda od swoich wiernych, by Ci spowiadali się przed kapłanami, którzy (co najbardziej oburzające, jak twierdzą autorzy witryny faithdefenders.com) mają prawo odpuszczania grzechów i (7.) wymaga też od nich przyjmowania innych sakramentów (nazwanych na stronie „pracami”), twierdząc, że dzięki temu uzyskają zbawienie; 8. Watykan twierdzi, że papieże są bezpośrednimi sukcesorami apostołów i że swoją władzę nad wiernymi czerpią wprost od Jezusa; 9. Katolicy chrzczą małe dzieci, uznając, że tak zmażują z nich piętno grzechu pierworodnego. I wreszcie 10. — katolicy duchowni muszą żyć w celibacie. Te dziesięć powodów wystarczy by uznać, że „nie można być jednocześnie wierzącym w natchnione pochodzenie Biblii chrześcijaninem i gorliwym katolikiem [...] Biblijne chrześcijaństwo i nauki Kościoła katolickiego są sprzeczne” (faithdefenders.com, online).

To stanowisko nie jest niczym nowym wśród baptystów. Jednym z najstarszych oficjalnych dokumentów tego Kościoła jest *Londyńskie wyznanie wiary*, spisane w 1689 roku w Anglii i przyjęte później przez inne wspólnoty baptystów (a w roku 1742 przez Philadelphia Association of Baptist Churches). Dokument składa się z 32 rozdziałów, w których po kolei omówione zostały szczegółowe elementy doktryny tego Kościoła — przede wszystkim te, które zadecydowały o odłączeniu się od Kościoła anglikańskiego. Składa się na nią wiele dogmatów akceptowanych przez większość chrześcijan, takich jak wiara w Trójcę Świętą (jeden Bóg w trzech „osobach boskich” — Ojca, Syna i Ducha Świętego), stworzenie świata i wszystkiego, co się w nim znajduje, grzech pierworodny, umowa z bogiem, że zbawi tych, którzy będą realizować jego wolę („przymierze”), Jezus jako pośrednik w zbawieniu człowieka i wreszcie idea wolnej woli, która pozwala ludziom wybrać, czy chcą wierzyć, że jest on dla nich jedynym źródłem odkupienia — baptyści uznają bowiem, że człowiek nie może dostąpić zbawienia dzięki swoim czynkom; te mogą poświadczać jedynie, że jest na drodze do niego, wybrawszy Jezusa (i baptyzm, rzecz jasna).

W rozdziale 26. *Wyznania...* mowa jest o „powszechnym” (a wszak „katolicki” to to samo, co powszechny) Kościele chrześcijańskim. Kościół ten „składa się z ogólnej liczby wybranych” (tych, którzy wybrali wiarę w zbawienie i chrzest przez pełne zanurzenie) i „którzy byli, są lub będą zgromadzeni w jedno w Chrystusie”, a „Pan Jezus Chrystus jest głową Kościoła. Z ustanowienia Ojca Jemu została powierzona najwyższa i absolutna władza do powołania, utwierdzania, kierowania i rządzenia Kościołem”, czyli „nie jest więc możliwe, aby papież rzymski w jakimkolwiek rzeczywistym sensie był głową Kościoła Powszechnego”. W wersji niezmodyfikowanej, nadal akceptowanej przez większość amerykańskich kongregacji, czytamy dalej jeszcze, że „[papież] jest antychrystem, człowiekiem grzechu, synem zatracenia, który zbuntował się przeciw Chrystusowi i wszystkiemu, co nazywamy Bogiem. Bóg za to zniszczy go w chwale swego powtórnego przyjścia” (Baptist Church, online). Trudno się zatem baptystom dziwić — jeśli ich wyznanie wiary nazywa rzymskiego papieża „antychrystem”, to oni sami ani jego, ani tych, którzy uznają jego władzę (i zwań się katolikami), nie mogą uważać za chrześcijan.

Katolicy oczywiście się z tym zarzutem nie zgadzają — oni uważają, że są (jedynymi prawdziwymi) chrześcijanami. Formalnie, czy może raczej należałoby powiedzieć „technicznie”, mają oczywiście rację, bo za chrześcijanina należy uznać każdego, kto wierzy, że Jezus był „Chrystusem”, czyli mesjaszem. Inaczej mówiąc, chrześcijanie mogą się między sobą spierać i wadzić, ale w potocznym rozumieniu (i dla zewnętrznego obserwatora) pozostają chrześcijanami, jeżeli sami tak się identyfikują.

Odrzucenie autorytetu papieża przez baptystów jest zresztą w pełni zrozumiałe. Denominacja ta

wywodzi się z angielskiego chrześcijaństwa, a angielski Kościół zadeklarował swoją niezależność od papieża po raz pierwszy już w roku 1534, kiedy to w tzw. Pierwszym Akcie Supremacji król Henryk VIII zarządził, że odtąd to panujący monarcha będzie głową Kościoła Anglii, a wszystkich, którzy temu się sprzeciwia, uznał z góry za zdrajców. Po nim przez siedem lat na tronie zasiadał jego małoletni syn Edward VI i sprawujący w jego imieniu władzę regenci utrzymali w mocy zarządzenia Henryka. Kiedy jednak Edward zmarł w wieku szesnastu lat, tron przeszedł na jego przyrodną siostrę Marię, która odwołała Akt Supremacji i przywróciła w kraju katolicyzm, tym razem uznając za heretyka każdego, kto katolikiem być nie chce. Tak żarliwie walczyła z „heretykami”, że — w pełni zasłużenie — przeszła do historii jako „Krwawa Maria”. Za jej rządów tysiące ludzi straciło życie, a wielu duchownych zbiegło z kraju, by uniknąć oskarżenia (i egzekucji). Gdy jednak na tron po Marii wstąpiła jej z kolei siostra przyrodnia Elżbieta, sytuacja diametralnie się zmieniła, bowiem nowa królowa wydała (w 1558 roku) Drugi Akt Supremacji i ponownie ogłosiła autonomię Kościoła Anglii oraz panującego jako jego głowę. W odpowiedzi papież Pius V obłożył ekskomuniką wszystkich poddanych Elżbiety, którzy jej posłuchali, a ją samą uznał za heretyczkę. Podziały wśród duchowieństwa nasiliły się (choć częściej były przejawem polityzacji Kościoła, a nie konsekwencją sporów teologicznych) i właśnie w jednym z tych dysydenckich angielskich księży z początków XVII wieku, niejaki Johnie Smyth, historycy widzą dziś twórcę baptyzmu.

Smyth i jego uczniowie kładli nacisk przede wszystkim na czystość doktryny chrześcijańskiej, uznając za jedyne jej źródło treści zawarte w Biblii i odrzucając nauczanie papieża. To z Biblii właśnie zaczerpnęli pojęcie Antychrysta (występuje tam u Jana), który ma się pojawić „u końca czasów” i pokona go dopiero powracający w chwale Jezus. Pozostałe określenia użyte w londyńskim *Wyznaniu wiary* — „człowiek grzechu” i „syn zatracenia” — pochodzą już jednak nie z Jana, a z tradycyjnie przypisywanego Pawłowi 2 Listu do Tesaloniczan (Paweł ostrzega tam tesaloniczką gminę przed myśleniem, że Jezus już się do nich przyłączył, i wyjaśnia, że powtórne przyjście poprzedzą „straszne rzeczy” i wtedy pojawi się „człowiek grzechu, syn zatracenia” (2 Tes 2,3).

Posłużenie się taką terminologią dobitnie świadczy, że baptyści czuli się w tych czasach — czemu skądinąd trudno się dziwić — bardzo zagrożeni przez rzymski Kościół. Być może z czasem to poczucie zagrożenia osłabło, natomiast przekonanie, że z chrześcijaństwem katolików coś jest nie tak, pozostaje w tej wspólnocie wciąż żywe. Nie przypadkiem w końcu różnice między baptyzmem a katolicyzmem mocno podkreślają też współcześni przywódcy Kościoła baptystów. Dowodzi tego chociażby poniższy fragment przyjętej w 1994 roku rezolucji Południowego Kościoła baptystów zatytułowanej *Resolution on Southern Baptists and Roman Catholics*:

Baptyści od samego początku różnią się od rzymskich katolików w poglądach na takie kwestie jak natura i droga zbawienia, charakter i funkcje Kościoła, rola i znaczenie chrztu i wieczerzy pańskiej, kult dziewicy Maryi, kult świętych, nieomylność papieża, struktura władz kościelnych, relacje między Pismem a tradycją jako źródłami nauki Kościoła i ich wpływ na wiarę i praktykę religijną. (Southern Baptist Convention, 1994)

Rezolucja ta jednak równolegle podkreśla, że oba Kościoły łączy szacunek dla świętości ludzkiego życia, troska o wartości rodzinne, sprzeciw wobec pornografii i wreszcie „wspólny pogląd na konieczność zapewnienia praw wszystkim, bez różnicy wyznania, pochodzenia, płci i sytuacji społecznej, a także na wiele innych zagadnień z obszaru moralności”. W których to kwestiach, jak czytamy dalej, powinny ze sobą współpracować wszystkie „instytucje chrześcijańskie”.

Deklaracja nie pozostawia też jednak żadnych wątpliwości co do tego, że „historyczna doktryna baptyzmu” jest niezmienna w tym, jakie są prawdziwe źródła zbawienia („wiara, a nie uczynki”), i potwierdza dążenie swego Kościoła do „ewangelizacji i pracy misyjnej wśród wszystkich, którym

obca jest prawdziwa wiara w Chrystusa”. Innymi słowy — Kościół baptystów nadal uważa, że katolicy powinni nawrócić się na autentyczną wiarę, aby mogli stać się „członkami kongregacji opartych prawdziwie na Biblii i wierze w Chrystusa”. Czyli, *de facto*, według baptystów katolików wciąż trzeba nawracać na chrześcijaństwo.

Warto jednak dodać, że w relacjach między tymi dwoma denominacjami od XVII wieku i tak nastąpił wyraźny postęp, a od lat 80. XX wieku możemy wręcz mówić o dialogu. W roku 2007 z inicjatywy papieża Benedykta XVI doszło do serii rozmów między duchownymi i teologami obu Kościołów, a gdy w 2013 roku złożył on swój urząd, przewodniczący Światowego Związku Baptystów przekazał mu oficjalne wyrazy szacunku i wdzięczności za możliwość zapoznania się „z poglądami i opiniami innych chrześcijańskich wspólnot”. Sekretarz generalny Neville Callam oświadczył z kolei, że papież Benedykt XVI „ubogacił społeczność chrześcijańską w ważne i warte intensywnych studiów duchowe refleksje”, a dialog międzywyznaniowy „wzmocnił chrześcijańskie świadectwo” (Baptist World Alliance, 2013).

KATOLICKI KSIĄDZ NIE MOŻE MIEĆ ŻONY

Namaszczone dłonie, które zostały przeznaczone do [udzielania] życiodajnych potraw z niebiańskiego stołu aniołów, nie boją się dotykać kobiecych miejsc wstydliwych i oddawać plugawemu współżyciu!

Piotr Damiani, gorliwy zwolennik celibatu, wiek XI

W odróżnieniu od większości chrześcijańskich denominacji Kościół katolicki od dawna żąda od swoich duchownych celibatu. Ta tradycja nie wywodzi się jednak z czasów Chrystusa — wtedy nie było jeszcze księży, a z Nowego Testamentu wiemy, że wielu apostołów miało żony, w tym nawet święty Piotr, którego katolicy uznają za pierwszego papieża. W każdym razie przez pierwsze trzy wieki chrześcijaństwa nie było żadnych problemów z żonatymi biskupami oraz duchownymi niższej rangi i diakonami. Naciski na seksualną wstrzemięźliwość kleru nasiliły się dopiero na przełomie III i IV wieku, kiedy to uznano, że ci, którzy udzielają innym sakramentów, sami powinni zachować czystość, co oznaczało też powstrzymanie się od jakiegokolwiek aktywności seksualnej. Synod w Elwirze, który odbył się prawdopodobnie w roku 306, ustalił wówczas kluczową dla przyszłych losów katolicyzmu regułę, mówiącą że:

Synod zabrania stanowczo, aby biskupi, kapłani i diakoni oraz wszyscy duchowni będący w służbie ołtarza współżyli z żonami swymi i mieli dzieci. Kto by zaś to czynił, powinien być pozbawiony godności duchownej. (kanon 33)

Pod koniec IV wieku kolejny synod w Kartaginie wypowiedział się w tej kwestii jeszcze mocniej:

Wypada, że święci biskupi i kapłani Boga, podobnie jak i lewici czyli ci, którzy są w służbie Bożych sakramentów, powinni zachować doskonałą wstrzemięźliwość, tak, by mogli uzyskać w prostocie to, o co proszą Boga. To, czego apostołowie nauczali i co zachowywano w dawniejszych czasach, niech nam również będzie dane zachować... Cieszy nas wszystkich, że biskup, kapłan i diakon, strażnicy czystości, powstrzymują się od współżycia małżeńskiego z ich żonami, tak że ci, którzy służą przy ołtarzu, mogą zachować doskonałą czystość.

Te napomnienia jednak mało kto traktował poważnie i wielu księży nadal brało sobie żony, aczkolwiek od IV wieku władze kościelne regularnie zalecały im, by powstrzymywali się od współżycia. Taka praktyka trwała w zasadzie przez całe średniowiecze. Zakaz uprawiania seksu w małżeństwie oczywiście był trudny w realizacji i dlatego w XI wieku Kościół zdecydował się na kolejny krok, zabraniając w ogóle duchownym wstępowania w związki małżeńskie. Już wcześniej zresztą bezwzględny zakaz obowiązywał mnichów i stąd — jako „bliższych świętości” — otaczał ich większy

szacunek niż zwykłych księży.

W roku 1123 w Rzymie rozpoczął obrady Sobór Laterański I, w którym uczestniczyło ponad trzystu biskupów i kilkuset opatów. Sobór ogłosił (między innymi) dwa ważne kanony, 3. i 11., które jednoznacznie zakazywały księżom, diakonom i subdiakonom oraz mnichom posiadania żon oraz konkubin. Unieważnił też wszystkie istniejące małżeństwa duchownych, a tym, którzy trwali w związkach, nakazał pokutę. Sobór Laterański II ponowił te zakazy w roku 1139. W roku 1917, gdy Kościół katolicki postanowił wreszcie uporządkować swoje tworzone przez wieki prawo i ujednolicić Kodeks prawa kanonicznego, nakaz celibatu znalazł się w kanonie 277.

Mimo tak długiej tradycji zakaz zawierania małżeństw przez duchownych Kościoła katolickiego nigdy nie miał statusu teologicznego dogmatu, a traktowany był raczej jako pewna reguła, która służyć ma jego dobru (wielu historyków uważa zresztą, że właśnie dobro Kościoła, czyli uniemożliwienie dziedziczenia dóbr kościelnych, stanowi prawdziwe źródło doktrynalnych nacisków na celibat). Z tego względu zawsze dopuszczalne były pewne wyjątki. Na przykład w niektórych Kościołach wschodnich uznających jednak zwierzchność papieża księcia (ale już nie biskupi) tak jak w prawosławiu mogą mieć żony (sytuacja wyglądała trochę inaczej w Stanach Zjednoczonych, ale również tam po Soborze Watykańskim II biskupi obrządków wschodnich zaczęli wyświęcać żonaty).

Po Vaticanum II Rzym zgodził się też na wyświęcanie pod pewnymi warunkami żonatyh mężczyzn na diakonów. Te warunki to ukończony 35. rok życia, deklaracja, że petent nie będzie się starał o święcenia kapłańskie, oraz zgoda żony. Papież Paweł IV dodał jeszcze do tego, że diakon, którego żona umrze, nie może ożenić się ponownie.

Kolejny istotny wyjątek od zasady celibatu wprowadził jeszcze wcześniej Pius XII (1939–1958), który zgodził się, by protestancy duchowni, którzy dokonują konwersji na katolicyzm, zachowywali swe święcenia, nawet jeśli dalej pozostają żonaci. Nie tak dawno w Niemczech głośnym echem odbiła się konwersja 61-letniego profesora teologii Harma Kluetinga, który przeszedł na katolicyzm wraz z żoną. Wcześniej oboje byli luteranckimi pastorami. Jemu święceń udzielił osobiście arcybiskup Kolonii kardynał Joachim Meissner, żona zaś wstąpiła do karmelitanek.

W ciągu ostatnich lat znacząco wzrosła też liczba anglikańskich duchownych, którzy, nie zgadzając się na daleko posuniętą liberalizację tego Kościoła (święcenia kapłańskie dla kobiet, wybór homoseksualisty Gene'a Robinsona na biskupa), szukają dla siebie przyszłości właśnie w katolicyzmie. Już wcześniej zresztą większość z tych niechętnych nowinkom duchownych związana była z Kościołem anglikatolickim, który od rzymskiego katolicyzmu różnił się praktycznie wyłącznie nieuznawaniem autorytetu papieża, a nie kwestiami doktrynalnymi. Liberalna ewolucja w postawach Kościoła anglikańskiego zbiegła się w czasie z pontyfikatem znanego ze swych konserwatywnych poglądów na kwestie homoseksualizmu i kapłaństwa kobiet Jana Pawła II, do którego zaczęły jednak docierać liczne zapytania biskupów, indagowanych o możliwość przyłączenia się do Kościoła katolickiego nawet całych anglikatolickich parafii. W odpowiedzi na te apele papież już na samym początku swojego długiego pontyfikatu, bo w czerwcu 1980 roku, wydał oświadczenie, w którym stwierdzał, że Kościół z wielką chęcią wita u siebie zarówno pojedynczych wiernych, którzy zdecydują się dokonać konwersji z anglikanizmu na katolicyzm, jak i całe parafie. W takim przypadku, gdy zmiany wyznania dokonuje cała parafia, msze mogą nadal odbywać się w dotychczasowym kształcie, duchowni zaś, nawet jeśli pozostają żonaci, mogą zachować święcenia kapłańskie w Kościele rzymskokatolickim. Zdając sobie sprawę, że może to wywołać pewne kontrowersje wśród katolickiego duchowieństwa, rok później Jan Paweł II w kolejnym oświadczeniu wyjaśnił, że:

Duch Święty zapewnił go, że ten wyjątek od reguły celibatu dotyczy tylko poszczególnych przypadków i nie powinien być rozumiany jako zmiany głębokiego przekonania Kościoła o najwyższej wartości celibatu duchownych. Wyjątek ten nie będzie też rozciągany

na przyszłych kandydatów do kapłaństwa.

W każdym razie szacuje się, że od roku 1980 co najmniej stu żonatych anglikańskich księży przeszło na rzymski katolicyzm i otrzymało święcenia kapłańskie, a część z nich pełni posługę kapłańską w tych samych parafiach, w których pracowali wcześniej. Za pontyfikatu Benedykta XVI starania Rzymu o przyciągnięcie do siebie co bardziej konserwatywnych anglikanów jeszcze się nasiliły (por. Donadio, 2009), a kardynał William Levada, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, oświadczył na konferencji prasowej, że stało się to zjawiskiem wręcz masowym. Jak powiedział, w ciągu ostatnich lat do Watykanu zgłosiły się z pytaniem o możliwość konwersji na katolicyzm setki wiernych i ponad dwudziestu anglikańskich biskupów. Dodał, że Rzym nie pozostaje obojętny na te prośby.

Z punktu widzenia katolików ważniejsze oczywiście od wewnętrznych problemów Kościoła anglikańskiego są same reguły celibatu. Dwaj poprzedni papieże wypowiadali się w tej kwestii absolutnie jednoznacznie — żadnych zmian. Jednak wraz z wyborem Franciszka w marcu 2013 roku sytuacja może się zmienić. Pietro Parolin, nowy watykański sekretarz stanu, stwierdził na przykład wprost, że „celibat duchownych nie jest dogmatem Kościoła, tylko kościelną tradycją, zatem kwestia ta może być przedmiotem dyskusji”. Jak można sądzić, dyskusja ta będzie trwała.

STANY ZJEDNOCZONE NARODZIŁY SIĘ JAKO KRAJ CHRZEŚCIJAŃSKI

Na mocy amerykańskiej konstytucji Stany Zjednoczone są krajem chrześcijańskim.

senator John McCain, republikański kandydat na prezydenta w roku 2008

W Stanach Zjednoczonych oddzielenie polityki od chrześcijaństwa jest nader trudne. Wiele kościołów (i to różnych denominacji) przystrojonych jest amerykańskimi flagami, a sesję amerykańskiego senatu — i tak samo Izby Reprezentantów — zawsze otwiera uroczysta modlitwa, którą prowadzą wyłącznie chrześcijańscy duchowni. Politycy, i to obu głównych partii, też nieustannie odwołują się w swoich wystąpieniach do Boga, a niektórzy (na przykład gubernator Teksasu Rick Perry) prowadzą spotkania modlitewne. W politykę angażują się z kolei chrześcijańscy duchowni — w roku 2004 wielebny Al Sharpton, pastor Kościoła baptystów, ubiegał się o nominację na kandydata partii demokratycznej na urząd prezydenta, a cztery lata później inny duchowny tego samego Kościoła, Mike Huckabee, niemal nie uzyskał nominacji republikanów (był drugi). Od roku 1953 w Waszyngtonie w każdy pierwszy czwartek lutego organizowane jest „Narodowe Śniadanie Modlitewne” (National Prayer Breakfast). Gospodarzem tej imprezy jest Kongres, a organizatorem The Fellowship Foundation, konserwatywna organizacja chrześcijańska zrzeszająca nie tylko waszyngtońskich polityków. Nie jest to oczywiście tylko jedno śniadanie, lecz cały cykl spotkań (w tym śniadań, obiadów i kolacji), podczas których religia, polityka i biznes łączą się w jedno.

Amerykańskie monety i banknoty noszą inskrypcję: „W Bogu pokładamy ufność” („In God We Trust”), w przysiędze na wierność sztandarowi („Pledge of Allegiance”), którą musi złożyć każdy ubiegający się o amerykańskie obywatelstwo, znaleźć można słowa: „Jeden naród, a nad nim Bóg” („One nation under God”). Bóg pojawia się też w amerykańskim hymnie:

O niech tak zawsze będzie, gdy przyjdzie wolnym stanąć
Między ukochaną ojczyzną a spustoszeniem wojny!
Błogosławiony zwycięstwem i pokojem, przez niebiosy uratowany kraj
Niechaj śławi moc, która stworzyła i uchowała nas jako naród.
Wtedy będziemy musieć walczyć, bo nasza sprawa słuszna
A to niech będzie nasze motto: „W Bogu pokładamy ufność”.
I gwiazdzisty sztandar niech tryumfalnie powiewa

Ponad krajem wolnych, ojczyzną dzielnych ludzi!
[O, thus be it ever when freemen shall stand,
Between their lov'd homes and the war's desolation;
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserv'd us a nation!
Then conquer we must, when our cause is just,
And this be our motto: „In God is our trust”
And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave!]

Nader często odwoływał się do chrześcijańskiej retoryki w swoich wystąpieniach prezydent Ronald Reagan. Już kiedy przyjmował nominację na konwencji republikańców w roku 1984, nawął Amerykę „miastem na wzgórzu”. To fraza zaczerpnięta z Kazania na Górze (Mt 5,14), a Amerykanie doskonale wiedzą, że posłużył się nią też w swoim kazaniu w roku 1630 purytanin John Winthrop, jeden z „Pielgrzymów”, czyli tych Europejczyków, którzy pierwsi osiedlili się w tym kraju. Pięć lat później w swoim pożegnalnym wystąpieniu Reagan nazwał Amerykę „dumnym miastem zbudowanym na skałach silniejszych niż ocean, pobłogosławionym przez Boga i zamieszkanym przez ludzi wszelkich ras żyjących ze sobą w harmonii i pokoju”.

Kiedy Amerykanie odwołują się do jakichś wydarzeń ze swojej historii, bardzo często odnoszą je do chrześcijaństwa. Przy okazji hucznie obchodzonej dwusetnej rocznicy Deklaracji Niepodległości ukazało się wiele tego typu publikacji. Na przykład koncern Jerry'ego Falwella (to jeden z najbardziej znanych teleewangelistów) wydał wtedy okolicznościową „Biblię dwustulecia”, na okładce której znalazł się Dzwon Wolności, daty 1776 i 1976 oraz cytat z 2 Listu do Koryntian: „A gdzie jest Duch Pański — tam wolność” (2 Kor 3,17).

Ta wszechobecność chrześcijaństwa w amerykańskiej polityce sprawia, że wielu ludzi jest absolutnie pewnych, że tak było zawsze. Że Stany Zjednoczone powstały w oparciu o „chrześcijańskie wartości” i jako „chrześcijański” kraj. Takie deklaracje powszechnie spotkać można w mediach i usłyszeć od polityków (cytowana w motcie wypowiedź senatora McCaina nie jest w najmniejszym stopniu nietypowa). Tymczasem w amerykańskiej konstytucji nie ma ani słowa o chrześcijaństwie, Jezusie, Biblii, ani nawet o Bogu! Pojawia się w niej, co prawda, słowo „wyznanie”, ale tylko w następującym kontekście: „Nigdy jednak powierzenie w służbie Stanów Zjednoczonych jakiegoś urzędu lub funkcji publicznej nie może być uzależnione od wyznania wiary” (art. VI, ust. 3). A 1. poprawka do Konstytucji idzie nawet dalej, stwierdza bowiem jednoznacznie, że w Stanach Zjednoczonych nigdy nie może być żadnej oficjalnej, państwowej religii.

W XVIII wieku większość europejskich kolonii — również amerykańskie posiadłości korony angielskiej — miała oficjalne wyznania, wspierane przez państwo. Taka sama była zresztą sytuacja w całej Europie. Twórcy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zdecydowanie odrzucili jednak tę ideę, uznając, że państwowe wyznanie może być tylko źródłem władzy tyranów i pretekstem do prześladowania mniejszości, tak bowiem działo się na „Starym Kontynencie”. Dlatego „Ojcowie Założyciele” uznali, że religia powinna być trzymana jak najdalej od polityki. Ta zasada została zrealizowana już w przygotowanym przez Tomasza Jeffersona dla Virginii Statucie Wolności Religii, napisanym w roku 1777 i przyjętym z niewielkimi poprawkami w roku 1786. Według Jamesa Madisona, przyjaciela Jeffersona i jego następcy na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych, ta ustawa „wykluczyła na wieczność ambicję tworzenia prawa dla ludzkich umysłów” (Madison 1786). Czytamy tam między innymi:

Zgromadzenie Ogólne winno uchwalić, że żaden człowiek nie może być zmuszany ani do uczestniczenia w jakimkolwiek kulcie religijnym, ani do wspierania jakiegokolwiek. Nie wolno go do tego przymuszać, grozić mu uszczerbkiem fizycznym ani karami

finansowymi, nie może być też tak, by ktokolwiek w jakikolwiek sposób cierpiał z powodu swych poglądów i przekonań religijnych. Wszyscy ludzie mają prawo posiadać i głosić takie poglądy religijne, jakie chcą.

Fakt, iż Stany Zjednoczone nie zostały utworzone jako kraj chrześcijański, został jednoznacznie zadeklarowany w traktacie między USA a Trypolisem (współczesną Libią) przygotowanym przez Jerzego Waszyngtona, ale podpisanym już za prezydentury Johna Adamsa. W Artykule XI stwierdzone jest tam wprost, że Stany Zjednoczone jako państwo w żaden szczególny sposób niezwiązane z chrześcijaństwem nie widzą żadnych przeszkód w utrzymywaniu jak najlepszych relacji z muzułmańskim Trypolisem:

Rząd Stanów Zjednoczonych nie jest w żadnym stopniu utworzony w oparciu o wartości religii chrześcijańskiej — czyli nie żywi żadnej wrogości do praw, religii i spokojności muzułmanów. Państwo amerykańskie nigdy nie dopuściło się żadnego wrogiego aktu wobec jakiegokolwiek kraju muzułmańskiego. Obie strony układu deklarują zatem, że nie widzą żadnych powodów, by poglądy na kwestie religijne mogły w jakikolwiek sposób zakłócić ich dobre stosunki. (Avalon Project, online)

Oczywiście to, że „wartości chrześcijańskie” nie znalazły się w amerykańskiej konstytucji, nie oznacza automatycznie, że założyciele tego państwa nie byli religijni. Jeśli jednak przyjrzymy się uważnie temu, co „Ojcowie Założyciele” mówili i pisali, okaże się, że przynajmniej większość z nich na pewno nie była chrześcijanami, a deistami. Pogląd ten w XVIII wieku wraz z postępami Oświecenia zyskiwał coraz więcej zwolenników zwłaszcza wśród warstw wykształconych, uczonych i intelektualistów. Deiści wierzyli, że Bóg istnieje, ale uznawali, że on tylko stworzył świat, który odtąd działa według własnych praw — praw natury, zwanych też prawami naukowymi. Te prawa, odmiennie od praw ludzkich, nie mogą być przez nikogo — również przez Boga — ani pogwałcone, ani zmienione. Jeśli ktoś stoi pod spadającą skałą, zostanie zmiażdżony, nic mu nie pomoże. To właśnie jest jedna z kluczowych różnic między deistami a chrześcijanami, ci ostatni bowiem wierzą, że ich Bóg jest w stanie złamać prawa natury — jeśli taki skazany na zmiażdżenie nieszczęśnik będzie się modlił wystarczająco żarliwie, Bóg może wysłuchać jego prośb i sprawić, że skała spadnie w inne miejsce albo wręcz zniknie. Deiści tymczasem przyjmują, że Bóg, odkąd stworzył prawa natury, nawet sam nie może już ich złamać — szerzej: nie wierzą ani w cuda, ani w moc modlitwy. Co więcej, uznawszy, że Bóg od chwili stworzenia nie interweniuje już w przebieg zdarzeń na świecie, przyjmują też, że to nie on „natchnął” Pismo Święte. Święte księgi nie są dla nich słowem bożym, a zbiorem ludzkich dzieł. A jeśli bóg nie ingeruje w ten świat, nie mógł też stać się człowiekiem — ergo: Jezus nie był bogiem i żadna Trójca Święta nie istnieje.

Przyjrzyjmy się zresztą bliżej kilku osobom z grona Ojców Założycieli, jak nazywa się twórców amerykańskiej niepodległości. Zdecydowaliśmy się wybrać Benjamina Franklina, Thomasa Paine’a, Jerzego Waszyngtona, Johna Adamsa, Thomasa Jeffersona i Jamesa Madisona. Otóż większość historyków zgadza się, że żaden z nich nie był chrześcijaninem.

Franklin (zm. 1790) był najstarszym z tego grona i zapewne najslawniejszym Amerykaninem swoich czasów. Był uczonym, działaczem politycznym i pisarzem — to jeden z przywódców amerykańskiej rewolucji, a także współautor Deklaracji Niepodległości i Konstytucji. Jako bardzo młody człowiek był religijnym dysydem — rodzice należeli do grupy chrześcijan, która odrzucała Kościół anglikański. Już w wieku kilkunastu lat przeżył jednak religijny przełom. Jak sam opisywał:

Wpadło mi w ręce kilka książek, których autorzy chcieli walczyć z deizmem [...] Na mnie jednak, tak się zdarzyło, wywarły one przeciwny efekt. Wszystkie przytaczane tam argumenty deistów, z którymi autorzy usiłowali się spierać, przemawiały do mnie znacznie silniej niż próby ich odrzucenia. W ten sposób sam stałem się deistą. (Franklin 1996, s. 27)

Ponieważ odtąd widział w Bogu stwórcy Wszechświata, który jednak nie ingeruje w bieg ziemskich spraw, odrzucał Kościoły i kult religijny: „Nie mogę myśleć inaczej, niż że on —

Nieskończony Ojciec — nie potrzebuje od nas czci ani modlitw. Jest ponad tym” (Franklin 1728).

Thomas Paine (zm. 1809) jest tym, któremu zwykle przypisuje się zasługę wszczęcia amerykańskiej rewolucji, tak wielki bowiem wpływ na jej wybuch miało opublikowanie przez niego w 1776 roku eseju *Common Sense*. W tym czasie większość Amerykanów wierzyła jeszcze, że ich problemy z angielską metropolią mogą być rozwiązane metodami pokojowymi, Paine jednak swoim błyskotliwym tekstem zdołał ich przekonać, że jedynym rozwiązaniem jest ogłoszenie niepodległości. W kwestiach religijnych był nie mniej radykalny. Olbrzymią popularność zyskała jego rozprawa *The Age of Reason: Being an Investigation of True and Fabulous Theology* (1794, 1795, 1807) — manifest deizmu połączony z racjonalną krytyką chrześcijaństwa (i wszystkich innych religii).

Oto, co pisał Paine w 10. rozdziale części I *Wieku rozumu*:

Jedyna idea, jaką człowiek może powiązać z imieniem bożym, to idea *pierwszej przyczyny*, przyczyny wszystkiego, co istnieje [...] Wszystko, cokolwiek jest, nosi w sobie wewnętrzne znamiona tego, że nie uczyniło się samo [...] i za tym przekonaniem przemawiają wszelkie dowody, które zmuszają nas do uznania, że pierwsza przyczyna musiała istnieć i musiała mieć zupełnie inną naturę niż cały materialny świat, który istnieje. To jej moc sprawiła, że cokolwiek jest. I tę pierwszą przyczynę człowiek nazwał Bogiem.

Gdyby przywódcy religijni pozostali przy idei boga jako pierwszej przyczyny, kontynuuje Paine, mieliby szansę stworzyć naprawdę mądre instytucje. Niestety — w zamian rozwijali koncepcje, które z wizją wiecznego, nieskończonego i wszechdobrego boga nie miały nic wspólnego.

Kiedy czytamy te wszystkie obsceniczne historie — o rozpuszcie, okrucieństwie, torturach i egzekucjach, mściwości i złu — które wypełniają ponad połowę Biblii, znacznie naturalniejszym byłoby nazwać je słowem diabła niż słowem bożym. To powszechna historia niegodziwości, która tylko deprawuje ludzi. (Paine 1794, 1795, 1807, I, r. 4)

Czego uczy nas Nowy Testament? Otóż mamy uwierzyć w to, że Wszechmocny skłonił do cudzołóstwa zaręczoną kobietę i że akceptację tej zdrady mamy nazywać wiarą. (Paine 1794, 1795, 1807, II, r. 20)

Powszechnie szanowany Jerzy Waszyngton (zm. 1799), pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, co prawda uczęszczał regularnie do kościoła (był formalnie anglikaninem), ale większość historyków uważa, że również był deistą (Boller 1963, 14–15). Poświadczą to między innymi relacja Thomasa Jeffersona, który napisał: „Gubernator Morris wielokrotnie mówił mi, że generał Waszyngton wierzył w cały ten system (chrześcijaństwo) nie bardziej niż on” (Thomas Jefferson 1800). Sam Waszyngton rzadko wypowiadał się na tematy religijne, ale jeśli już, jego komentarze dotyczyły się głównie szkód, do jakich religia może prowadzić:

Kontrowersje religijne zwykle są bardziej zaciekle i prowadzą do większej nienawiści niż te, które wyrastają z innych źródeł. (Jerzy Waszyngton, list do Edwarda Newenhama, 20 października 1792; za: Seldes 1983)

John Adams, drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, podobnie jak Waszyngton miał bardzo krytyczny stosunek do licznych podziałów w chrześcijaństwie, do których, jak uważał, doprowadziły spory między przywódcami, a nie treść Pisma. Wprost zresztą odrzucał autorytet wszelkich Kościołów. W swoim dzienniku stwierdził kiedyś: „Gdzie w Ewangeliach znaleźć można jakikolwiek nakaz słuchania się synodów, zgromadzenia biskupów, dekretów, bulli, kredo, spowiedzi i wszystkich tych bzdur, którymi przepelniona jest dzisiejsza religia?”. Częścią tych bzdur, jak napisał w innym miejscu, była dla niego boskość Jezusa, którą nazwał „wygodną przykrywką dla wszelkich absurdów” (Adams 1850, 4).

Thomas Jefferson, główny twórca Deklaracji Niepodległości i trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, wierzył w istnienie stwórcy wszystkiego i widział też w Jezusie wielkiego nauczyciela moralności, zdecydowanie odrzucał jednak ideę Jezusa-Boga, nazywając ten pomysł „magiczną sztuczką, która czyni z Boga kolejnego Cerbera z jednym ciałem i trzema głowami” (list do Jamesa

Smitha, 8 grudnia 1822; za: Adams i Lester 1983). Podobnie jak jego poprzednicy Jefferson nader krytycznie odnosił się też do rozpadu chrześcijaństwa na tysiące skłóconych denominacji. W *Notes of Virginia* napisał:

Od czasu powstania chrześcijaństwa miliony niczemu niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci były palone na stosach, torturowane, więzione i karane grzywnami, a mimo to ani o cal nie zbliżyliśmy się do zjednoczenia. Jaki jest efekt tej fali przemocy — uczynić z połowy świata głupców, a z drugiej połowy hipokrytów. Z tego wszystkiego jest tylko więcej draństwa na świecie. (za: Penden 1954)

Jefferson miał też znacznie gorszą niż Adams opinię o ewangeliach: „Dostrzegamy w nich źródło ignorancji, przesądów, fanatyzmu i zmyśleń” (za: Ford 1904–1905, 325). Aby ocalić to, co w nauczaniu Jezusa uważał za słuszne, Jefferson opracował nawet edycję Nowego Testamentu pod własną redakcją. Usunął z ewangelii wszystkie opowieści o cudach, a zakończył wersetem z Jana: „A na miejscu, gdzie Go ukrzyżowano, był ogród, w ogrodzie zaś nowy grób, w którym jeszcze nie złożono nikogo. Tam to więc, ze względu na żydowski dzień Przygotowania, złożono Jezusa, bo grób znajdował się w pobliżu” (J 19, 41–42). Ta autorska edycja Nowego Testamentu ukazała się pod tytułem *The Life and Morals of Jesus of Nazareth*, a dziś znana jest jako *The Jefferson Bible*.

James Madison, najmłodszy z całego grona, często zwany Ojcem Konstytucji, też miał krytyczny stosunek do chrześcijańskich Kościołów. Kiedy w roku 1785 stan Virginia rozważał podniesienie podatków, by przeznaczyć dodatkowe środki na naukę religii (chrześcijańskiej oczywiście), Madison w sekcji VII swojego *Memorial and Remonstrance Against Religious Assessments* tak oto odniósł się do tego pomysłu:

Jak uczy doświadczenie, establishment kościelny zamiast dbać o czystość i skuteczność religii, podejmuje zwykle przeciwne działania. Od prawie piętnastu wieków wokół chrześcijaństwa narastają wątpliwości. Jakież to bowiem są z niego korzyści? W mniejszym lub większym stopniu tylko duma i indolencja duchowieństwa, ignorancja i służalczość laikatu i podejrzliwość, bigoteria i skłonność do prześladowań u jednych i drugich. (za: Burkett 2013)

Jeżeli jednak Stany Zjednoczone nie powstały w oparciu o „wartości chrześcijańskie”, to jak i kiedy idea ta się narodziła? Wydaje się, że jej źródła należy szukać w XIX wieku, kiedy przez młody kraj przechodziły fale ewangelicznego wzmożenia. Wtedy też powstały liczne nowe fundamentalistyczne Kościoły i chrześcijańskie denominacje, na przykład Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (mormoni) i Kościół Adwentystów Dnia Siódmego. Wielu kaznodziejów zaczęło wtedy do tradycyjnej ewangelizacji dodawać wiarę, że młody amerykański naród ma z Bogiem szczególne relacje — niektórzy nazywali go wprost „nowym Izraelem”. Tyle że było to myślenie sprzeczne z testamentem, jaki pozostawili Ojcowie Założyciele, a nowi ewangeliści, niektórzy przynajmniej, zdawali sobie z tego sprawę. Jeden z nich, wilebny doktor Bird Wilson, episkopalny pastor z Albany (stan Nowy Jork), skarżył się na przykład podczas kazania wygłoszonego w roku 1831, że „niemal wszyscy założyciele naszego kraju byli bezbożnikami”, a „z grona wybranych dotychczas prezydentów żaden nie zasługuje na miano prawdziwego chrześcijanina” (za: Remsberg 1906, s. 20).

V. MITY O ISLAMIE, MUZUŁMANACH I KORANIE

- Większość muzułmanów stanowią Arabowie i wszyscy Arabowie są muzułmanami
- Muzułmanie wierzą w innego boga
- Koran potępia judaizm i chrześcijaństwo
- „Dżihad” to zawsze „święta wojna” z niewiernymi
- Koran wzywa do wojny
- Koran akceptuje dyskryminację kobiet
- Koran obiecuje zamachowcom-samobójcom rajskie rozkosze w towarzystwie 72 dziewic
- Muzułmanie odrzucają demokrację
- Muzułmanie nie protestują przeciwko terroryzmowi

WPROWADZENIE

W Rozdziale 1. mówiliśmy o właściwościach ludzkiego myślenia, które prowadzą do powstawania stereotypów. Jedną z nich jest skłonność naszego gatunku — wszak jesteśmy zwierzętami społecznymi — do ksenofobii: lęk przed obcymi często przekształca się w nienawiść. W Rozdziale 3. analizowaliśmy kilka takich ksenofobicznych, antysemitycznych mitów. W tym rozdziale zajmiemy się natomiast konsekwencjami lęku i nienawiści wobec islamu. Obecnie często mówi się w tym kontekście o islamofobii. Termin ten liczy już sobie prawie sto lat — po raz pierwszy posłużyli się nim Alphonse Étienne Dinet i Sliman ben Ibrahim, autorzy książki *La Vie de Mohammed, Prophète d'Allah*, biografii Mahometa opublikowanej po raz pierwszy we Francji w roku 1918, kiedy kraj ten miał jeszcze liczne kolonie w świecie islamskim. Autorzy twierdzą jednak, że sam fenomen jest znacznie starszy i sięga nawet siódmego wieku, gdy islam po raz pierwszy zagroził europejskiej dominacji w basenie Morza Śródziemnego. Pojęcie islamofobii nabrało jednak szczególnego wydźwięku w ostatnich dwudziestu latach, wskutek fali zbrodni, jakich w Europie i w Stanach Zjednoczonych dopuścili się terroryści, którzy wprost deklarowali, że inspirację czerpią właśnie z religii islamskiej.

WIĘKSZOŚĆ MUZUŁMANÓW STANOWIĄ ARABOWIE I WSZYSCY ARABOWIE SĄ MUZUŁMANAMI

Nie, szanowna Pani. [Barack Obama] to bardzo uczciwy człowiek, tyle że bardzo różnimy się w poglądach na wiele zasadniczych kwestii.

John McCain na wiecu wyborczym w Columbus w stanie Ohio (8.11.2008) w odpowiedzi na pytanie, czy Obama nie jest groźny, bo jest przecież Arabem

W przywołanym wyżej pytaniu przebrzmiewa jeden z najpowszechniejszych mitów o muzułmanach, a mianowicie przekonanie, że wszyscy Arabowie to muzułmanie i wszyscy muzułmanie to Arabowie (i dlatego Arabów trzeba się bać). Tymczasem w rzeczywistości wśród muzułmanów stanowią oni mniejszość. Islam to druga pod względem liczebności wyznawców religia na świecie — wiarę w Allaha wyznaje 1,6 miliarda ludzi, czyli niemal jedna czwarta (23%) mieszkańców naszej planety. Natomiast

jeśli chodzi o Arabów, to w tej chwili istnieje na świecie dwadzieścia państw z większością arabskojęzyczną. To Algieria, Arabia Saudyjska, Bahrajn, Dżibuti, Egipt, Irak, Jemen, Jordan, Katar, Komory, Kuwejt, Liban, Libia, Mauretania, Maroko, Oman, Somalia, Sudan, Syria, Tunezja i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Populacja tych krajów łącznie to około trzystu milionów ludzi, zatem ponad 80 procent muzułmanów nie jest Arabami!

Najwięcej wyznawców islamu żyje w Indonezji, którą od najbliższego kraju arabskiego dzieli jakieś siedem tysięcy kilometrów. Jest ich tu ponad dwieście milionów, czyli ponad dwa razy tyle, niż zamieszkuje Egipt, najludniejszy z krajów zaliczanych do arabskich. Po Indonezji najliczniejsze społeczności muzułmańskie można znaleźć w Pakistanie (11% populacji), w Indiach (10,9%) i w Bangladeszu (9,2%). Żaden z tych krajów nie jest krajem arabskim. Bardzo licznie żyją one również w innych państwach nienależących do Ligi Arabskiej. Tak więc w Nigerii jest ponad 75 milionów muzułmanów, w Uzbekistanie prawie 27 milionów, w Chinach 23,3 miliona, a w Rosji 16,4 miliona. Jak łatwo zauważyć, w Chinach żyje zatem więcej muzułmanów niż w Syrii i prawie tyle co w Arabii Saudyjskiej. Zresztą nawet na Bliskim Wschodzie kraje o najliczniejszej populacji muzułmańskiej to nie są kraje arabskie. Problemy budzi zresztą sama definicja terminu „Arab”. Najczęściej nazywa się tak ludzi, których językiem ojczystym jest język arabski, należący (podobnie jak hebrajski) do grupy języków semickich. Arabski jest najbardziej rozpowszechniony z tej grupy języków. Drugi w kolejności to amharski, używany w Etiopii, której większość mieszkańców jest chrześcijanami, a dopiero trzeci hebrajski. Do tej samej grupy należy aramejski, język, którym posługiwał się Jezus — do dziś mówi nim część mieszkańców Syrii.

Najludniejsze kraje muzułmańskie Bliskiego i Środkowego Wschodu to Turcja i Iran. Język turecki należy do zupełnie innej grupy językowej niż arabski — nawet pismem Turcy posługują się innym. W Iranie mówi się z kolei po persku (zresztą do roku 1935 ten kraj nazywał się Persją), języku zaliczanym do grupy języków indoeuropejskich, czyli spokrewnionym między innymi z angielskim, francuskim i niemieckim. Co prawda, Persowie zaadaptowali arabskie pismo, ale mimo to jest to zupełnie inny język, a przede wszystkim oni sami absolutnie nie zgadzają się, by nazywać ich Arabami.

Warto też dodać, że dalece nie wszyscy Arabowie są muzułmanami. We wszystkich krajach o dominującej ludności pochodzenia arabskiego — za wyjątkiem Arabii Saudyjskiej — są znaczące mniejszości religijne, głównie chrześcijańskie. Na przykład od 10 do według niektórych źródeł nawet 18 procent Egipcjan to chrześcijanie, a w Libanie jest ich nawet 40 procent (choć oczywiście w liczbach bezwzględnych to znacznie mniej). I jakkolwiek większość żydów zamieszkujących w krajach arabskich po roku 1948 wyemigrowała do nowo utworzonego państwa Izrael, to w Iranie, Turcji i niektórych krajach arabskich nadal żyją wyznawcy tej religii — ambasadorką Bahrajnu w Stanach Zjednoczonych jest pani Houda Nanoo, z pochodzenia i wyznania żydówka.

A jeśli już o Stanach Zjednoczonych mowa, to większość muzułmanów mieszkających w tym kraju (prawie dwie trzecie) wywodzi się z rodzin chrześcijańskich i nie ma żadnych arabskich korzeni (jakkolwiek sami nazywają się czasem „Araboamerykanami”). Islam przyjęli w pełni dobrowolnie niektórzy amerykańscy politycy (m.in. Darrell Issa, John Sununu, Spencer Abraham, Donna Shalala i George Mitchell), sportowcy (Doug Flutie i Bobby Rahal) i artyści (w tym Frank Zappa, Paula Abdul, Wendie Malick, Tony Shalhoub i Salma Hayek).

Znacznie jednak ważniejsze jest to, że — zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, ale nie tylko — utożsamianie arabskości z islamem (i z terroryzmem) miewa tragiczne konsekwencje, jest bowiem pretekstem do „zbrodni nienawiści”. Nie ma oczywiście żadnych wątpliwości, że terroryści, którzy zaatakowali Stany Zjednoczone 11 września 2001 roku, byli Arabami, ale to nie oznacza, że wszyscy Arabowie są terrorystami. Nie dziwi może, że po tych krwawych zbrodniach liczba

aktów przemocy wobec Arabów wzrosła, warto jednak pamiętać, że analogiczne reakcje wywołał zamach w Oklahomie w 1995 roku, kiedy to od bomby podłożonej w budynku administracji federalnej zginęło 168 osób, a ponad pięćset zostało rannych. Tyle że autorami tego zamachu byli dwaj biali chrześcijanie, Timothy McVeigh i Terry Nichols.

Co więcej, ofiarami zbrodni nienawiści kierowanych przeciwko Arabom (i muzułmanom) coraz częściej padają ludzie, którzy ani z islamem, ani z Bliskim Wschodem nie mają nic wspólnego. Często zdarza się to na przykład sikhom — jak widać ludziom wystarczy turban i broda, a przecież sikhizm ani kulturowo, ani geograficznie (wywodzi się z Indii) nie ma nic wspólnego z islamem. Kilka dni po zamachach na WTC i Pentagon w Arizonie zamordowany został Balbir Singh Sodhi, właściciel stacji benzynowej. Ba — w październiku roku 2009 pewien mężczyzna pobił żelazną sztabą prawosławnego księdza, który spytał go o drogę, po czym zadzwonił na policję, by poinformować, że złapał arabskiego (!) terrorystę. Mity bywają groźne.

MUZUŁMANIE WIERZĄ W INNEGO BOGA

Cały świat pogrążony jest w religijnej wojnie [...] o to, czy prawdziwym bogiem jest Hubal, bóg księżycy z Mekki, znany pod imieniem Allaha, czy ważniejszy od niego jest judeochrześcijański Jehowa, bóg Biblii.

Pat Robertson

Powyższy pogląd wyrażony przez Pata Robertsona (to bardzo ważna postać na amerykańskiej scenie politycznej — jest prezesem Christian Broadcasting Network, założycielem Regent University, w 1988 roku walczył o republikańską nominację w wyborach prezydenckich) jest ilustracją dość powszechnie panującego przekonania, że Allah, bóg, do którego modlą się wyznawcy islamu, to zupełnie inny bóg od tego, którego czczą inne religie monoteistyczne. Podobnie uważa na przykład inny ewangelikalny kaznodzieja Rod Parsley. Ten bardzo popularny teleewangelista i pastor World Harvest Church w Columbus (stan Ohio) podczas kampanii prezydenckiej w roku 2008 wspierał kandydata republikanów Johna McCain'a. W wydanej dwa lata wcześniej książce *Silent No More: Bringing Moral Clarity to America... While Freedom Still Rings* (2006) Parsley prezentuje islam jako „antychrześcijańską religię” opartą na „oszustwie”. Prorok Mahomet, jak pisze, „otrzymywał swoje objawienia od diabłów, nie od Boga”, bowiem „Allah jest diabłem”.

Nie tylko fundamentalistyczni ewangelikalni chrześcijanie są przekonani, że bóg islamu to zupełnie ktoś inny niż ich bóg. Na bardzo popularnej witrynie Islam Watch możemy na przykład przeczytać, że Allah nie może być bogiem Biblii, bo nie jest moralnie doskonały, jako że pochwała rasizm, seksizm, niewolnictwo i zabijanie niewiernych; a po drugie zaś, że Mahomet po prostu wymyślił sobie Allaha, żeby usprawiedliwić własne niemoralne zachowanie:

Uważna lektura Koranu i refleksja nad życiem Mahometa pozwoli każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi przekonać się, że Mahomet nigdy nie miał kontaktu z żadną istotą boską i nigdy nie doznał objawienia. Wymyślił sobie Allaha i uczynił z niego przestępczego boga, by zrealizować własne polityczne cele i zdobyć władzę, a wszystkie jego nauki, rzekomo uzyskane od owego fikcyjnego Allaha, stanowiły tylko religijne i prawne uzasadnienie popełnianych przez niego zbrodni i niegodziwości. Allah istniał tylko w głowie Mahometa — w rzeczywistości Allah i Mahomet to to samo; dwa w jednym. Mahomet, powołując się na sankcję owego Allaha, zaczął głosić, że oszustwo, tortury, przemoc, zniewolenie i morderstwa to uczynki „hallał”, zgodne z prawem bożym, gdy ich ofiarami są niewierni. Te złe, niemoralne nauki stały się wiecznymi prawami Allaha.

Tymczasem „Allah” to po prostu po arabsku („jedyny”) bóg. Słowem tym posługują się też mówiący po arabsku Żydzi i chrześcijanie, gdy wyrażają się o swoim bogu, i występuje ono również w przygotowywanych przez chrześcijańskich misjonarzy przekładach Ewangelii na arabski, którzy przecież nie posłużyliby się nim, gdyby mieli nawet cień podejrzenia, że może to być imię jakiegoś

„pogańskiego” boga. Już na pierwszej stronie każdego arabskiego wydania Biblii, w Księdze Rodzaju, słowo „Allah” pojawia się kilkanaście razy. A gdy dochodzimy do Ewangelii, czytamy o Jezusie „synu Allaha”.

W innych językach z tej samej grupy językowej słowo „bóg” brzmi zresztą bardzo podobnie. W aramejskim — to język ojczysty Jezusa — „bóg” to „allaha”. W języku malta (to jedyny język z grupy semickich zapisywany alfabetem łacińskim), którym posługują się Maltańczycy, mieszkańcy najbardziej katolickiego państwa świata — „alla”. Jednym słowem, jeśli ktoś mówi, że muzułmanie nie czczą boga, bowiem modlą się do Allaha, ma to mniej więcej tyle samo sensu co stwierdzenie, że swojego innego boga o imieniu Gott mają też Niemcy, a jeszcze innego Hiszpanie (Dios). Tylko że wtedy należałoby też przyjąć, że Niemcy nie jedzą chleba, a „Brot”...

Pat Robertson pomyślał, że Allah islamu jest tożsamy z przedislamskim bogiem Hubalem, zaczerpnął prawdopodobnie z książki Roberta Moreya *The Islamic Invasion: Confronting the World's Fastest Growing Religion* (2011). Morey pisze tam, że w czasach przed Mahometem dominującym w kulturze arabskiej plemieniem byli Sabianie, którzy istotnie oddawali cześć bogu księżyca, znanemu jako Hubal, ale nazywanemu też „allahem”. To prawda, ale konkluzja, że bóg islamu to ten sam bóg księżyca, oparta wyłącznie na tym, że w Koranie występuje słowo „allah”, jest po prostu absurdalna.

Oczywiście bóg Koranu ma przedislamskie korzenie, ale nie ma żadnych podstaw, by utożsamiać go z którymkolwiek z wcześniej czczonych lokalnych bóstw. Samo słowo wywodzi się zresztą z hebrajskiego „el” i odnosi się do wszystkich bogów i bóstw. Poza tym dysponujemy pewnymi historycznymi świadectwami, że niektóre przedislamskie plemiona arabskie dopuszczały możliwość istnienia — obok wielu innych — jednego najpotężniejszego boga-stwórcy. Nawet Koran mówi o tym, że trzy boginie, których kult kwitł w okolicach Mekki (to tu urodził się Mahomet), były córkami tego jedynego boga (Allaha). Zresztą postać wielkiego i najpotężniejszego boga-stwórcy pojawia się już w eposach babilońskich z przełomu XVIII i XVII wieku p.n.e. oraz inskrypcjach Nabatejczyków, których królestwo położone na ziemiach dzisiejszej Jordanii przeżywało rozkwit między III w. p.n.e. a I w. n.e. Na początku VII wieku n.e., gdy rodził się islam, Kaaba, świątynia w Mekce, była celem pielgrzymek wyznawców wielu lokalnych, plemiennych bóstw. Historycy twierdzą, że to właśnie dlatego, iż uznawano w niej świątynię „jedyne”, najpotężniejszego boga.

W Koranie możemy zresztą przeczytać, że świątynia w Mekce została wzniesiona przez patriarchę Abrahama i jego syna Izmaela jako świątynia jedynego boga (Allaha), ale z czasem ludzie pogubili się i zaczęli tam oddawać cześć bóstwom plemiennym. Mahomet za główny cel swojej misji uznał przypomnienie wszystkim o tym, że istnieje tylko jeden prawdziwy bóg — Allah. Gdy tylko zdobył władzę w Mekce, wyrzucił z Kaaby wszystkie „idole” i oddał ją Allahowi. O tym zresztą mówi wprost islamskie wyznanie wiary: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem” i identyczną deklarację znajdujemy w Koranie:

Zaprawdę, wasz Pan to Bóg, który stworzył niebiosa i ziemię w ciągu sześciu dni; następnie zasiadł na tronie. On pokrywa nocą dzień, który pospiesznie za nią podąża. Słońce, księżyc i gwiazdy są podporządkowane Jego rozkazowi. Czyż nie do Niego należy stworzenie i rozkaz? Błogosławiony niech będzie Bóg (Allah), Pan światów! (Kor. 7, 54)

Koran jasno też zakazuje oddawania religijnej czci księżycowi i cemukolwiek poza samym bogiem (Allahem): „Wśród Jego znaków są: noc i dzień, słońce i księżyc. Nie wybijajcie pokłonów ani słońcu, ani księżycowi! Wybijajcie pokłony przed Bogiem, który je stworzył — jeśli Jego czcicie!” (Kor. 41, 37). Święta księga islamu nie pozostawia też żadnych wątpliwości, że bóg żydów, chrześcijan i muzułmanów to ten sam bóg: „I nie sprzecajcie się z ludem Księgi inaczej, jak w sposób uprzejmy — z wyjątkiem tych spośród nich, którzy są niesprawiedliwi — i mówcie: «Uwierzyliśmy w to, co nam

zostało zesłane, i w to, co wam zostało zesłane. Nasz Bóg i wasz Bóg jest jeden i my jesteśmy Mu całkowicie poddani»” (Kor. 29, 46). Co ciekawe, nawet prezydent George W. Bush wygłosił kiedyś podobny pogląd. 4 października 2007 roku, udzielając wywiadu telewizji Al-Arabiya, powiedział: „Wierzę w Boga wszechmogącego i wierzę też, że wszyscy, muzułmanie, chrześcijanie i wyznawcy innych religii, modlimy się do tego samego boga. W końcu wszyscy pochodzimy od Abrahama. Wierzę w tę uniwersalność” (Bisahara 2007). Interesujące były też reakcje na tę deklarację, wzbudziła ona bowiem prawdziwą burzę w mediach oraz w Internecie — według sondażu przeprowadzonego kilka dni później, aż 79% przywódców ewangelikalnych Kościołów chrześcijańskich uznało ją za skandaliczną, a część z nich zażądała wręcz usunięcia Busha z jego Kościoła. Cal Thomas, którego felietony przedrukowują dziesiątki amerykańskich gazet, napisał wtedy (w tekście pod znamienym tytułem *The Same God?*)

Doktryna religii, którą nazywamy chrześcijaństwem, nie tylko jest głęboko spreczna z islamem, ale mówi również coś dokładnie przeciwnego niż to, co powiedział prezydent [...] Jeśli wszyscy wyznajemy tego samego boga, to niech prezydent Bush posłucha wezwań prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadineżada albo Osamy bin Ladena i przejdzie na islam. Oni przestaną go nienawidzić, a co to w końcu za różnica, skoro ponoć czcimy tego samego boga. (Thomas 2007)

Mit, który tu omówiliśmy, nie wywodzi się z ignorancji. To jeden z tych przesądów, których źródeł należy szukać we właściwej wszystkim ludzkim społecznościom ksenofobii. Mimo tego, co można przeczytać w samym Koranie, i mimo jednoznacznych deklaracji muzułmańskich duchownych wielu ludzi z lęku przed islamem po prostu nie chce pogodzić się z myślą, że to wyznanie należy do tej samej grupy monoteistycznych religii co chrześcijaństwo. I że muzułmanie też wierzą w „Boga Abrahama, Jakuba i Izaaka”.

KORAN POTĘPIA JUDAIZM I CHRZEŚCIJAŃSTWO

W „świętej księdze” muzułmanów jest napisane, że [...] Allah zmieni niepokornych Żydów w „małpy wzgardzone” (2, 65; 7, 166) i „małpy i świnie” (5, 60).

Spencer 2013

Duchowni, akademicy oraz ludzie mediów atakujący islam bardzo często posługują się określeniem „islamofaszyzm” oraz odwołują się do idei „wojny cywilizacji”, by dowieść, że islam to nieprzyjazna, obca religia zdecydowanie wroga i chrześcijaństwu, i judaizmowi, Mahomet, prorok islamu, od samego początku był zaprzysięgłym wrogiem „tradycji judeochrześcijańskiej”, a Koran, księga, o której muzułmanie mówią, że objawiona została Mahometowi przez Boga, w istocie tak się ma do Biblii jak Antychryst do Chrystusa.

Podczas wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych w roku 2008 kandydat republikanów John McCain bardzo często występował wspólnie z Rodem Parsleyem, słynnym teleewangelistą i pastorem World Harvest Church w Columbus w stanie Ohio. Dwa lata wcześniej Parsley opublikował kolejną ze swoich książek — *In his book Silent No More* (2006). Jeden z rozdziałów nosił tytuł *Islam: The Deception of Allah* i autor przestrzega w nim przed nadciągającą nieuchronną „wojną między islamem a cywilizacją chrześcijańską”:

Nie do końca wierzę, że nasz kraj będzie w stanie całkowicie wypełnić swoje boskie posłannictwo, jeśli nie zrozumiemy historycznego wymiaru naszego konfliktu z islamem [...] Nie ulega wątpliwości, że narodzinom Ameryki przynajmniej w części przyświecała też intencja zniszczenia tej fałszywej religii. Wierzę, że 11 września był dla naszych pokoleń wezwaniem do broni, którego nie wolno nam już dłużej ignorować. (Parsley 2006, 90)

Latem 2010 roku wielebny Terry Jones, pastor Dove World Outreach Center w Gainesville na Florydzie,

wezwał, by 11 września 2010 roku, w rocznicę zamachu na WTC, zorganizować „Międzynarodowy dzień palenia Koranu”, argumentując, że takie publiczne zniszczenie świętej dla muzułmanów księgi ukaże właściwy stosunek chrześcijan do tej „religii diabła”. Po usilnych prośbach ze strony prezydenta Obamy i licznych przywódców religijnych pastor Jones odwołał planowane przedsięwzięcie, ale za to pół roku później zorganizował „Międzynarodowy dzień sądu nad Koranem”. Sam mianował się głównym arbitrem i ubrany w sędziowską togę poprowadził sprawę. Po sześciogodzinnej rozprawie zapadł wyrok: „Winny”, a jako karę orzeczono spalenie. Jej wykonania osobiście dopilnował pastor Wayne Sapp.

Takie ataki na Koran mają w historii chrześcijaństwa długą tradycję. Już w niecałe sto lat po śmierci Mahometa (rok 632) Jan z Damaszku (Damaszek był już w tym czasie pod władzą muzułmanów), ostatni z greckich „Ojców Kościoła”, ogłosił, iż był on fałszywym prorokiem i heretykiem. Drugą część swego monumentalnego dzieła *Źródło wiedzy* Jan poświęcił właśnie licznym herezjom (*O herezjach* — nawet taki tytuł nosiła), tyle że większość z nich omawiał w kilku zdaniach, natomiast rozprawa z islamem zajęła mu ładnych parę stron (Chase 1958, 153–159). Czytamy zatem u doktora Jana, że islam jest przesądem, a przede wszystkim zapowiedzią Antychrysta. Jan odnalazł też historycznych, a raczej biblijnych prekursorów „islamskiej herezji” (izmailitów, jak ich nazywał), którymi są według niego Abraham i jego nałożnica Hagar, ale ten historyczny rodowód nie skłonił go do uznania autentyczności tradycji, a jedynie posłużył za kolejny argument, że muzułmanie czczą fałszywych bogów, a sam Mahomet był fałszywym prorokiem. Dalej zajął się wyszydzeniem Koranu jako steku głupot — oskarża go, że dopuszcza poligamię, konkubinaty i rozwody (co rzeczywiście na stronach tej księgi można znaleźć), ale zarzuty te rozszerza o rzeczy, których tam nie ma, na przykład obrzezanie kobiet. Oburza go też, że w islamie nie ma chrztu oraz że wyznawcy tej religii nie przestrzegają szabatu. Zresztą cały jego opis Koranu trudno raczej uznać za obiektywny. Omawiając drugi rozdział tej księgi, stwierdza w pewnym momencie, że jest „zbyt głupi”, by w ogóle się nim zajmować.

Już zatem pierwsze autorytatywne wypowiedzi Ojców Kościoła o islamie kazały widzieć w Mahomecie pozbawionego moralności heretyka i „odszczępieńca”. Później doszły do tego jeszcze spory polityczne, których efektem były próby odebrania przez chrześcijańską Europę ziem podbitych przez islam (wyprawy krzyżowe). W kontekście ciągnących się przez stulecia krwawych wojen dosłowna już niemal demonizacja muzułmanów staje się zjawiskiem zupełnie zrozumiałym, podobnie jak powszechne przekonanie, że zniszczenie chrześcijaństwa jest ich głównym celem. Krążyły nawet w średniowieczu pogłoski, że Mahomet to pseudonim, jaki przybrał jeden z katolickich kardynałów, który utworzył islam, by zemścić się na Kościele za to, że nie wybrano go na papieża.

Być może jeden z najlepszych dowodów na to, że Mahomet od stuleci uznawany był przede wszystkim za wroga chrześcijaństwa, znaleźć można w *Boskiej Komедii* Dantego, poemacie nie przypadkiem uważanym za jedno z najwybitniejszych dzieł literatury Zachodu. W pierwszej księdze utworu Dante opisuje podróż przez kolejne kręgi piekła (taki zresztą jest tytuł tej księgi). W najniższym, dziewiątym oddziale ósmego kręgu, swoją karę cierpią ci, których poeta nazywa „siewcami niezgody”, ludzie zagrażający samym podstawom społeczeństwa, „rozdzierając jego tkankę”. Przykładem takich zdrajców i odszczępieńców są dla Dantego właśnie Mahomet i jego zięć Ali. Rodzaj piekielnej kary odpowiada popełnionej zbrodni — przez całą wieczność diabeł będzie odcinał im członki:

Gdyby z nich każdy to kadłub dziurawy,
To kikut zjawił, nie zrównałby snadnie
Szkaradnym rzeziom dziewiętej dzierzawy.
Mniej pluszcze, kiedy klepka zeń wypadnie,

Ceber niż mara, co stała rozryta
Na skrós od brody aż po części zadnie.
Między nogami wisiały jelita,
Widniały płuca z owym smutnym worem,
Gdzie w kał się zmienia potrawa spożyta.
Gdym nań z litośnym poglądał uporem,
Dłońmi roztargał łono duch wykłęty;
„Patrz — rzekł — ręce mi własnym są toporem.
Oto ci widne Mahometa szczęty;
Przede mną, spojrzuj, płacząc idzie Ali,
Od brody przez twarz po ciemię rozcięty.
Wszyscy, co ze mną w ten loch się dostali,
To siewcy schizmy i zgorszenie świata;
Tak połupani, że waśni wzniecali.
W tyle na drodze stoi diabła czata;
Ona to duchy okropnym koncerzem
Siecze, a my raz wraz pod ręce kata
Wracamy, ledwie krąg bolesny zbieżem;
Coraz się blizna ran naszych zasklepia,
On coraz ciosem ją otwiera świeżem.
W chwili, gdy stajem przed mieczem szatana.

(Dante, *Boska komedia*, pieśń 28, w. 19–42; w przekładzie Edwarda Porębowicza)

Z czasem na listę tych, których zniszczenie Mahomet miał uznać za swój główny cel, obok chrześcijan trafili też żydzi, a zarysowany przez Dantego obraz proroka cierpiącego męki w piekle zrobił wielką karierę. Chętnie posługuje się nim zwłaszcza chrześcijańska prawica. Oto jeden z wielu przykładów:

Któż bowiem jest największym siewcą niezgody w dantejskim piekle? Nie kto inny, tylko Mahomet [...], który, co do czego nie mam najmniejszych wątpliwości, był największym nienawistnikiem i siewcą nienawiści w całej historii. To „Hitler, który odniósł sukces”. To człowiek, od którego przez tysiąc czterysta lat mahometanie uczyli się, że wszyscy nie-mahometanie to śmiertelni wrogowie Allaha, za nieuznawanie Allaha i jego „proroka” zasługujący wyłącznie na śmierć. To człowiek, który wysłał swoich wyznawców na wojnę z całym niemuzułmańskim światem. Wojnę, która nie może się skończyć, póki islam będzie istniał. (View from the Right, online)

Tymczasem w rzeczywistości Mahomet nie kwestionował ani chrześcijaństwa, ani judaizmu (inna rzecz, co uczynili z islamu mahometanie, ale o to samego Mahometa nie można winić). Region, w którym żył, był w VII wieku bardzo zróżnicowany religijnie. W Mekce mieszkali wtedy politeiści, żydzi, chrześcijanie, sabianie (to jedna z religii gnostyckich), a także inni monoteiści, wyznawcy „boga Abrahama”, którzy jednak nie uważali się ani za żydów, ani za sabian lub chrześcijan. W Koranie mowa jest o wszystkich tych wyznaniach i ich prorokach, a Mahomet jest tam przedstawiony jako prorok, który wzywa ich, by trzymali się własnych nauk Tory i Ewangelii. Słowo „islam” oznacza po arabsku „poddanie się” — poddać się należy woli Boga. Dlatego Koran odnosi się z szacunkiem do „ludów Księgi”, które otrzymały swoje objawienie od jednego i jedyne boga; tego samego, od którego otrzymał je Mahomet.

Koran ukazuje Mahometa jako kontynuatora tradycji zapoczątkowanej przez patriarchę Abrahama; jako tego, który postanowił ją oczyścić. To dlatego właśnie trzy monoteizmy Zachodu — judaizm, chrześcijaństwo i islam — zwane są „religiami Abrahamowymi”. Tak jak Jezus w swojej epoce był prorokiem i reformatorem dawnej tradycji, z której później wyrósł współczesny judaizm i w ten sposób powstało chrześcijaństwo, tak samo i Mahomet nie dokonywał żadnego radykalnego zerwania, raczej przeciwnie: starał się nakłonić ludzi, by żyli właśnie w zgodzie ze swoją tradycją. Jego główny przekaz w niczym nie odbiega od biblijnego — istnieje tylko jeden bóg, który stworzył człowieka, a człowiek ma tworzyć uczciwe społeczeństwa, by wypełnić jego wolę. Muzułmanie, jak czytamy w Koranie, mają chronić nie tylko meczety, ale też kościoły i synagogi, bowiem tam też „oddaje się

cześć Bogu (Allahowi)”.

Kiedy Mahomet zaczął głosić nauki w Mekce, swoim rodzinnym mieście, uznał żydów i chrześcijan za naturalnych sojuszników. Po zdobyciu Medyny w 622 roku ustanowił dla tego miasta konstytucję, która miała gwarantować zgodę między zamieszkującymi je społecznościami, wśród których było kilka żydowskich plemion. W dokumencie tym znalazła się też gwarancja równości praw i wolności wyznania dla wszystkich, którzy przestrzegają prawa. Konstytucja Medyny stała się z czasem wzorcowym modelem gwarancji wolności wyznania dla nowych terenów podbijanych przez muzułmanów.

W Koranie jest też jasno powiedziane, że tak hebrajska Biblia, jak chrześcijański Nowy Testament powstały z boskiego objawienia, tyle że żydzi i chrześcijanie błędnie słowo boże interpretują. Księga ta odrzuca zatem przekonanie, że żydów łączy z bogiem specjalna relacja, a mówi, że wszyscy ludzie mają do niego identyczny dostęp. Islam nie akceptuje też dogmatu Trójcy Świętej, czyli idei boga w trzech osobach, bowiem uważa ją za niezgodną z monoteizmem. Inaczej mówiąc — Koran uznaje autentyczność żydowskiego i chrześcijańskiego Pisma Świętego i wzywa tylko do tego, by właściwie zrozumieć ich przesłanie i żyć zgodnie z nim.

Koran o wszystkich biblijnych prorokach wyraża się z olbrzymim szacunkiem. Również o Jezusie — możemy tam o nim przeczytać, że też był wielkim prorokiem, że czynił cuda i był mesjaszem. Muzułmanie dowiadują się zatem z Koranu, że Jezus narodził się z dziewicy, potrafił uzdrawiać chorych i przywracać wzrok ślepych, a nawet wskrzeszać zmarłych. Ba — są w tej księdze również opisy cudów dokonanych przez Jezusa, których nie ma w ewangeliach, na przykład opowieść o tym, jak ulepił z gliny ptaszka, a potem tchnął w niego życie (Kor. 3, 39; 5, 110). Cały rozdział świętej księgi muzułmanów poświęcony jest Marii — to jedyna kobieta wymieniona z imienia w całym Koranie (warto dodać, że jej imię w tej księdze pojawia się więcej razy niż w całym Nowym Testamencie).

Koran wzywa ludzi, by poznali i wypełniali wolę Boga, który żąda od nich ustanowienia sprawiedliwych społeczeństw opartych na zasadzie równości, bowiem w jego oczach wszyscy ludzie są równi. Możemy tam też przeczytać, że wszyscy wierzący, również żydzi, chrześcijanie i sabianie, dostąpią zbawienia. Przekaz jest absolutnie jasny: „Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni!” (Kor. 2, 62; 5, 69). Przynajmniej zatem według tych wersetów nie jest ważna przynależność religijna, ale to, czy ktoś wierzy szczerze i czy czyni dobro. Koran mówi też jasno, że nie wszyscy żydzi i chrześcijanie są tacy sami — niektórzy wierzą prawdziwie i postępują sprawiedliwie, inni — nie (Kor. 3, 109–110). Z tymi sprawiedliwymi wyznawcom islamu nie wolno się spierać („inaczej jak w sposób uprzejmy”), bowiem „nasz Bóg i wasz Bóg jest jeden i my jesteśmy Mu całkowicie poddani” (Kor. 29, 46).

Wiara w to, że Koran potępia chrześcijaństwo i judaizm, powszechna jest również wśród muzułmanów. Istotnie — są w tej księdze pewne fragmenty, które, jeśli czytać je poza kontekstem, takie przekonanie mogą uzasadniać. Wiadomo na przykład, że w początkowej fazie ekspansji islamu wielu chrześcijan (i też żydów) próbowało wyszydzać tę religię, a mimo to znaleźli się muzułmanie, którzy chcieli z nimi nawet wchodzić w sojusze. Takie alianse Mahomet jednoznacznie potępiał i dlatego przestrzegał, by „nie brać sobie chrześcijan ani żydów za sojuszników” (5, 51). Jest też mowa w Koranie o tych (wyznawcach innych religii), którzy doznali objawienia i przeszli na islam, potem jednak powrócili do starych wierzeń — to tych właśnie „odszczepieńców”, jak czytamy, bóg (Allah) jako „karę” i „lekcję” zamieni w małpy (albo w małpy i świnie — (5, 59–60; 2, 63–65; 7, 166)).

Takich passusów jest jednak stosunkowo niewiele i czytając całą świętą księgę islamu nie sposób uznać, by uczyła ona wrogości wobec pozostałych „ludów Księgi”, a przynajmniej nie w większym

stopniu niż Biblia. Jak już wspomnieliśmy, Koran wprost mówi nawet, że nie wszyscy Żydzi i chrześcijanie są „tacy sami”. Są wśród nich „ludzie sprawiedliwi” i nic nie zakazuje muzułmaninowi okazywać takim przyjaźń (Kor. 3, 113–114; 3, 199). Przeciwnie, można w tej księdze znaleźć nawet wprost sformułowane postulaty akceptacji religijnego różnicowania (które uznawane jest za część „bożego planu”), których odpowiednika próżno by szukać w Biblii:

Dla każdego z was uczyniliśmy normę i drogę otwartą. A gdyby Bóg zechciał, to uczyniłby was jednym narodem, lecz [...] żeby was doświadczyć w tym, co wam dał. Starajcie się więc pilnie czynić dobre dzieła. Do Boga powrócicie wszyscy razem. On obwieści wam to, w czym się różniliście. (5, 48)

„DŽIHAD” TO „ŚWIĘTA WOJNA” Z NIEWIERNYMI

Co oznacza arabskie słowo „dżihad”? Poznaliśmy jedną z odpowiedzi na to pytanie w zeszłym tygodniu, kiedy iraccy duchowni nakłonieni przez Saddama Husajna wezwali muzułmanów z całego świata, by dołączyli do irackiego „dżihadu” przeciw „nikczemnym Amerykanom”, który rozpocznie się, jeśli Stany Zjednoczone zaatakują Iran. W tym samym przemówieniu Husajn zagroził „dżihadem” Ameryce. Zatem „dżihad” to „święta wojna”, a mówiąc bardziej precyzyjnie, termin ten oznacza zgodne z prawem (islamskim) zbiorowe i intensywne działania mające na celu powiększenie terytorium pozostającego pod władzą islamu kosztem obszarów zamieszkiwanych dotąd przez wyznawców innych religii.

Daniel Pipes, 2002

Wiosną 2013 roku Pamela Geller, „dyrektor wykonawczy proizraelskiej American Freedom Defense Initiative”, jak podaje „The New York Times” (Yaccino, Teng 2007), oraz bardzo aktywna blogerka (jej blog „Atlas Shrugs” dostępny jest pod adresem <http://atlasshrugs2000.typepad.com>) rozpoczęła publiczną kampanię, mającą uświadomić Amerykanom skalę zagrożenia, jakie stanowi dżihad. Ważnym elementem tej akcji była publikacja licznych zdjęć i nagrań terrorystów namawiających do zabijania Żydów. Geller chciała w ten sposób odpowiedzieć na kampanię prowadzoną od lat przez amerykańskich muzułmanów walczących ze stereotypem muzułmanina-terrorysty (Yaccino, Teng 2007).

Starania pani Geller i licznych pozostałych zwolenników podobnych poglądów są o tyle zbędne, że podczas gdy muzułmanie pozostają przy swoim rozumieniu dżihadu, w świecie niemuzułmańskim przekonanie, że „dżihad” to po prostu „wojna”, „święta wojna” lub „walka z niewiernymi” jest tak powszechne, iż taką definicję można znaleźć chyba w większości dostępnych w sieci słowników i encyklopedii.

W rzeczywistości tymczasem zakres tego pojęcia jest znacznie szerszy — w pewnym sensie odpowiada ono znaczeniowo chrześcijańskiemu „krucjatom”. To ogólny termin używany w kontekście walki ze wszelkim złem tego świata — również z niesprawiedliwością, chorobami i nędzą. Można powiedzieć, że islamscy terroryści zawłaszczyli go i zafalszowali, ograniczając wyłącznie do przemocy. Tak naprawdę „dżihad” to znacznie więcej niż „święta wojna” i pojęcie to da się w pełni zrozumieć tylko w kontekście pełnego przekazu religii muzułmańskiej.

Islam uważa się za jeden z monoteizmów głównego nurtu religii powstałych w basenie Morza Śródziemnego. Ma zatem wspólną historię — i dzieli wspólne wartości — z judaizmem i chrześcijaństwem. Nic dziwnego zresztą, skoro odwołuje się do tego samego dziedzictwa, do przymierza, jakie bóg zawarł z patriarchą Abrahamem (dlatego mówimy o „religiach Abrahamowych”). W Koranie Żydzi i chrześcijanie nazywani są „ludem Księgi”, a religia ta uznaje prawomocność objawień, które otrzymali ich prorocy; Tora i Ewangelie wspomniane są zatem w Koranie, który wręcz wzywa do przestrzegania ich nauk, z szacunkiem należnym boskiemu objawieniu. Według licznych teologów islamskich wszyscy wielcy prorocy mówili ludziom bardzo podobne rzeczy — apelowali, by przestrzegać przykazań i budować społeczeństwa oparte na równości, jako że wszyscy ludzie pozostają

równi w oczach boga. Tak zostali stworzeni — oczywiście nie chodzi tu o równość w majątku czy talentach, lecz o moralną odpowiedzialność za własne czyny, o podstawowe prawa i wreszcie równość przed bogiem. Jak czytamy w Koranie, bóg stworzył ludzi jako swe sługi, których zadaniem jest ochrona równości, a zwłaszcza troska o najsłabszych członków społeczeństwa — biednych, sieroty i niewolników. Bóg oczywiście wie, jak trudne to zadanie, bowiem ludzie bywają słabi i czasem poddają się w obliczu przeciwności. Dlatego właśnie dał im Koran jako przewodnik i dlatego oferuje wybaczenie tym, którzy się zagubią, o ile tylko powrócą na ścieżkę cnoty. Ważne, by kontynuować wysiłki. Tym, którzy się nie poddadzą, Koran obiecuje wielką nagrodę, tych jednak, którzy przestaną realizować bożą wolę, czeka okrutna kara. Istotne jest, by starać się ze wszelkich sił, Koran bowiem mówi, że bóg nie osądza człowieka na podstawie jego osiągnięć — ważne są intencje. Wszyscy, którzy starają się realizować bożą wolę, którzy wierzą i czynią dobro — nie tylko muzułmanie, ale też żydzi i chrześcijanie — nie mają się czego lękać, bowiem „bądźcie gorliwi w walce za sprawę Boga gorliwością, na jaką On zasługuje! On was wybrał i nie uczynił żadnej trudności w waszej religii, religii waszego ojca Abrahama [...] Odprawiajcie więc modlitwę! Dawajcie jałmużnę! I trzymajcie się mocno Boga!” (Kor .22, 78). „Walka”, która pojawia się w pierwszym zdaniu, to właśnie „dżihad” po arabsku; w języku, w którym Koran powstał.

Są dwie formy, dwie postacie dżihadu. Wszystko, co człowiek czyni, by kontrolować własne słabości: chciwość, lenistwo, egoizm, to „większy (wielki) dżihad”. Są jednak takie sytuacje, gdy walka o sprawiedliwość musi oznaczać zaangażowanie w realną walkę. Koran zaleca jednak cierpliwość w cierpieniu: „My przygotowujemy z pewnością na tym świecie piękne pomieszczenie, lecz nagroda życia ostatecznego na pewno będzie większa — o, gdyby oni wiedzieli! — Tym, którzy byli cierpliwi, tym, którzy zaufali swojemu Panu” (Kor. 16, 42–43), i podobnie dalej: „Jeśli karzecie, to karzcie tak, jakbyście sami byli karani. Lecz jeśli jesteście cierpliwi, bądźcie nimi, bo to jest lepsze! Bądźcie cierpliwi!” (Kor. 16, 126–127). Oczywiście cierpliwość nie jest bezgraniczna. W rozdziale 22. czytamy: „Wolno walczyć tym, którzy doznali krzywdy — Zaprawdę, Bóg jest wszechwładny, by im udzielić pomocy!” (Kor. 20, 40). Zauważmy jednak, że bardzo podobnie mówi bóg Starego Testamentu, gdy nakazuje Żydom walczyć ze swoimi prześladowcami i zabijać ich, gdy jest to konieczne (Pwt 20,10–14). Słowa Koranu brzmią niemal identycznie: „Zwalczajcie na drodze Boga tych, którzy was zwalczają, lecz nie bądźcie najeźdźcami. Zaprawdę; Bóg nie miłuje najeźdźców!” (Kor. 2, 191). Kolejne wersety to:

I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili — Prześladowanie jest gorsze niż zabicie. — I nie zwalczajcie ich przy świętym Meczecie, dopóki oni nie będą was tam zwalczać. Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! — Taka jest odplata niewiernym! Ale jeśli oni się powstrzymają... — zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy! I zwalczajcie ich, aż ustanie prześladowanie i religia będzie należeć do Boga. A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości, oprócz wrogości przeciw niesprawiedliwym! (Kor. 2, 192–194)

Walka o sprawiedliwość, która staje się wojną, jest zatem według Koranu „dżihadem”. Ale „mniejszym dżihadem”.

Islamskie prawo w zasadzie nie może regulować „większego dżihadu”, bowiem jego elementem są praktycznie wszystkie wysiłki człowieka zmierzające do tego, by „czynić dobro i zapobiegać złu”, co wprost wyrażone zostało w Koranie. Tam jednak, gdzie mowa o „wojennym” dżihadzie, regulacje są bardzo precyzyjne. Taką „świętą wojnę” może wypowiedzieć tylko legalnie ukonstytuowana władza, działania militarne muszą poprzedzać ostrzeżenia i starania o pokojowe uregulowanie konfliktu („wezwanie do pokoju/islam”), cywile — a w szczególności kobiety, dzieci, starcy i duchowni — podlegają szczególnej ochronie. Muzułmanom nawet podczas wojny nie wolno też niepotrzebnie niszczyć niczyjej własności, a jeśli przeciwnik poprosi o rozejm, prośba ta musi być spełniona. Takie w każdym razie nakazy — wprost sformułowane — można znaleźć w świętej księdze tej religii.

Co ważne, przynajmniej zgodnie z literalną wykładnią Koranu wszelkie akty terroru są zakazane. Z tego właśnie powodu wielu islamskich teologów i muzułmańskich przywódców z całego świata jednoznacznie potępiło ataki z 11 września oraz inne akty terroryzmu — właśnie jako sprzeczne z prawem koranicznym. Istnieje zresztą w Koranie nawet specjalna kategoria na określenie takich (zakazanych) czynów: *hirabah*. Według świętej księgi muzułmanów zaliczają się do niej rozbójnictwo, piractwo i wszystkie działania przestępcze, w wyniku których giną niewinni ludzie. To jedyna kategoria przestępstw bezwzględnie karana śmiercią według prawa koranicznego. W przypadku takich (oczywiście również zakazanych!) czynów jak kradzież, cudzołóstwo (i fałszywe oskarżenie o cudzołóstwo), apostazja i pijaństwo potępienie też jest jednoznaczne, ale kary już zróżnicowane — ważne są także niepodważalne dowody ale mogą zostać wzięte pod uwagę okoliczności łagodzące. *Hirabah* natomiast jest najgorszą zbrodnią, bowiem stanowi pogwałcenie najważniejszej zasady islamu. Jak pamiętamy, słowo „islam” oznacza „poddanie się (woli boga)”, ale jest też blisko spokrewnione z innym arabskim terminem: *saalam* (*salam*), czyli „pokój”. Islamskie społeczeństwo, jak czytamy w Koranie, ma być społeczeństwem sprawiedliwym, chroniącym podstawowe prawa jednostki (życie, wyznanie, własność, rodzinę, godność...), a muzułmanie mają żyć w pokoju. Słowo *hirabah* wywodzi się natomiast z *harb*, czyli „wojna”, ale nie ta wojna, która jest „mniejszym dżihadem”. To wojna niezgodna z prawem, niezgodna z podstawowymi zasadami islamu, stanowiąca pogwałcenie praw i godności człowieka. Dlatego właśnie niektórzy przynajmniej teologowie wskazują, że terroryzm (jako forma *hirabah*) jest czymś głęboko niezgodnym z duchem islamu. Koran sankcjonuje w pewnych okolicznościach przemoc (podobnie zresztą jak święte księgi pozostałych monoteizmów), ale — tak przynajmniej uważa wiele autorytetów tej religii — uznanie aktów terroryzmu za dżihad i „świętą wojnę” jest wypaczeniem tej tradycji religijnej.

KORAN WZYWA DO WOJNY

Pytanie: Czy to prawda, że w wielu wersetach Koranu można znaleźć zachętę do używania przemocy?

Odpowiedź podsumowująca: W co najmniej 109 wersetach Koranu można znaleźć wezwanie muzułmanów do walki z niewiernymi prowadzonej w celu poszerzenia władzy islamu. Część z nich jest nader obrazowa — to rozkazy, by ucinąć niewiernym głowy i palce i ścigać ich i zabijać, gdziekolwiek się skryją. Co więcej, w odróżnieniu od podobnej treści wersetów w Biblii te koraniczne nie są interpretacyjnie ograniczone przez doskonale zrozumiały historyczny kontekst, w jakim występują. Mają znaczenie uniwersalne.

What does the Religion of Peace Teach About Violence? ReligionofPeace.com, online

Z powodu licznych zbrodni popełnionych przez terrorystów otwarcie deklarujących, że działają w imię islamu, wielu ludzi uważa dziś, że Koran rzeczywiście głosi, iż muzułmanie mają walczyć o to, by cały świat stał się islamski. Ponieważ obecnie islam wyznaje niemal półtora miliarda ludzi, podobne deklaracje u nie-muzułmanów wywołują w pełni zrozumiały lęk. Na szczęście taką wizję islamu, jaką znaleźć można w powyższym motcie, podziela bardzo niewielu muzułmanów. Większość z nich natomiast uznaje islam za autentyczną religię pokoju i w odróżnieniu od autora cytowanej wyżej wypowiedzi uważa, że te „przemocowe” wersety Koranu (podobnie jak analogiczne fragmenty Biblii — choćby z Księgi Jozuego 6,20–21 i 8,1–29) można właściwie zrozumieć tylko w ich historycznym kontekście.

Jak już mówiliśmy, Koran jednoznacznie potępia i samobójstwo, i terroryzm, a dżihad dla muzułmanów to przede wszystkim walka (dobrego) człowieka o to, by wypełniać wolę bożą. Kiedy zaczyna się konflikt militarny, muszą być spełnione bardzo określone warunki, by nie doszło do złamania prawa koranicznego — między innymi wojna musi zostać oficjalnie wypowiedziana przez legalne władze, a cywile muszą być chronieni. Wtedy dopiero można mówić o „(mniejszym)

dżihadzie”. Akty terroru naruszają te zasady i dlatego Koran je potępia i nie uważa ich za dżihad, lecz za *hirabah*, wojnę niesprawiedliwą i bezprawną. Przecież: „Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorznienia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi. A ten, kto przywraca do życia człowieka, czyni tak, jakby przywracał do życia wszystkich ludzi” (Kor. 5, 32).

Z drugiej strony faktycznie można w Koranie znaleźć wersety będące jednoznacznym wezwaniem do bezpardonowej walki. Nazywa się je nawet zwykle „wersetami miecza” i stanowią one część sury At-Tauba (to 9. rozdział Koranu). Najczęściej cytowany w tym kontekście jest następujący fragment:

A kiedy miną święte miesiące, wtedy zabijajcie bałwochwalców, tam gdzie ich znajdziecie; chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki! (Kor. 9, 5)

Dla kogoś, kto niewiele wie o islamie i odczytuje te wersety dosłownie (w końcu wielu chrześcijan też rozumie w ten sposób swoje Pismo Święte), słowa te istotnie mogą brzmieć jako bezpośrednie wezwanie do zabijania „bałwochwalców” (politeistów), tyle że nie w czasie „miesiący pokoju”. Jeśli jednak chcemy zachować się uczciwie, warto też wiedzieć, jak te wersety interpretują islamscy teologowie i wierni. Po pierwsze w islamie jest w zasadzie przyjęte, że sury należy czytać w kontekście historycznym, a kontekst ów bardzo poważnie się zmieniał przez dwadzieścia dwa lata — tyle czasu dzieli najstarsze wersety świętej księgi muzułmanów od najmłodszych — bowiem I połowa VII wieku był to bardzo burzliwy okres w dziejach Arabii, właśnie za sprawą wykluwającego się wówczas islamu. Koran ma być — zgodnie z własnymi słowami — przewodnikiem. Księga ta zawiera liczne uniwersalne zalecenia moralne; mówi na przykład, że ludzie powinni być uczciwi, szczerzy, szczodrzy dla potrzebujących i cierpliwi w czasach trudnych. Znaleźć tam jednak można również wiele porad kierowanych do konkretnych społeczności borykających się z bardzo określonymi problemami. Gdy te okoliczności przemijały, zalecenia też traciły aktualność. Na przykład gdy Mahomet rozpoczynał swoją misję w Mekce, jednym z jej głównych elementów była walka o sprawiedliwość społeczną, a ponieważ publicznie krytykował tych, którzy gromadzą bogactwa i uciskają ubogich, raczej nie dziwi, że zyskał aprobatę biedaków i naraził się na wrogość bogaczy. Najzamożniejsi mieszkańcy Mekki zaczęli wtedy prześladować jego wyznawców, a ci oczywiście u swego nauczyciela szukali porady. Zrozumiałe, że w takiej sytuacji Mahomet — czyli Koran — zalecał im, by cierpienie znosili z pokorą i cierpliwie oraz unikali aktów zemsty:

Zapłatą za zło jest zło jemu podobne. Ale kto przebaczy i naprawi, to znajdzie zapłatę u Boga. Zaprawdę, On nie miłuje niesprawiedliwych! A na tych, którzy szukają pomocy po doznaniu niesprawiedliwości — nie ma żadnego sposobu. Ale sposób jest na tych, którzy są niesprawiedliwi dla ludzi i którzy bezprawnie są buntownikami na ziemi. Takich czeka kara bolesna! Lecz ten, kto jest cierpliwy i kto przebacza — zaprawdę, umie okazać zdecydowanie w działaniu! (Kor. 42, 40–43)

Podobnej treści zalecenia możemy znaleźć i w innych surach:

Zaprawdę, twój Pan będzie z pewnością przebaczący i litościwy dla tych, którzy razem wywędrowali, po tym jak zostali doświadczeni, a następnie prowadzili walkę i byli cierpliwi. (Kor. 16, 110)

Sytuacja jednak się zmieniła, kiedy Mahomet i jego zwolennicy opuścili Mekkę i przenieśli się do położonej na północ Medyny, gdzie sprzymierzili się z lokalnymi plemionami i udało im się stworzyć silną oraz dobrze prosperującą społeczność. Mieszkańcy Mekki nie zapomnieli jednak dawnych uraz i konflikt trwał, a co więcej, walki nie ustawały także w miesiącach tradycyjnie uznawanych za „miesiące rozejmu”. Trzeba bowiem pamiętać, że islam narodził się w społeczności o strukturze plemiennej i w dodatku jeszcze zamieszkującej biedny, w dużej mierze pustynny region. Zasoby były tu rzadkie, a to zawsze prowadzi do sytuacji, że różne plemiona silnie ze sobą o nie konkurują, często uciekając się do napaści na sąsiadów. Tradycja „miesiący rozejmu” gwarantowała przynajmniej pewien

okres przerwy w tych ciągłych walkach — ludzie mogli wtedy udawać się z pielgrzymką albo spokojnie handlować, bez obaw, że zostaną napadnięci. W każdym razie nowo powstała społeczność muzułmańska znalazła się w trudnej sytuacji. Z jednej strony była już na tyle silna, że mogła się bronić (inaczej niż w Mekce), z drugiej jednak prorok Mahomet mówił jej, że znoszenie cierpienia w milczeniu jest lepsze. Gdy jednak nawet zasada okresowego rozejmu została złamana, dał on zgodę na podjęcie walki:

Będą ciebie pytać o miesiąc święty i walkę w tym miesiącu. Powiedz: „Walka w tym miesiącu jest sprawą poważną, lecz odsunięcie się od drogi Boga, niewiara w Niego i w święty Meczec, wypędzenie z niego jego ludu jest rzeczą jeszcze poważniejszą przed Bogiem; przecież prześladowanie jest gorsze od zabicia”. (Kor. 2, 217)

To właśnie w takim historycznym kontekście pojawiają się „wersety miecza”.

Oblegani muzułmanie musieli poradzić sobie z jeszcze jednym problemem. Otóż podziały zaczęły występować wewnątrz plemion — ludzie zmuszeni byli walczyć z własnymi krajanami. To dość częsty problem społeczności plemiennych w okresie transformacji. Z podobnymi, jak opisuje Bhagavad Gita, radzić sobie musieli wyznawcy hinduizmu. Kriszna nie miał jednak żadnych wątpliwości — to walka za wiarę jest obowiązkiem. Koran rozstrzyga sprawę tak samo — widząc, że są tacy, którzy walce są niechętni, Mahomet nakazuje im, by solidarności z własnym plemieniem i troski o pozostawiony w Mekce dobytek nie stawiali wyżej niż przetrwania muzułmańskiej społeczności (Kor. 9, 24). Ludzie mają walczyć, mówi prorok, póki prześladowania nie ustaną i atakujący nie zgodzą się uznać suwerenności islamskiej społeczności. Lecz nawet ta uzasadniona (koniecznością samoobrony według Koranu) walka musi respektować nowe prawa: „Ale jeśli oni się nawrócą i będą odprawiać modlitwę, i dawać jałmużnę, to dajcie im wolną drogę. Zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy!” (Kor. 9, 5). Te słowa to dalszy ciąg wersetu, z którego cytowaliśmy już wcześniej najczęściej przytaczane sformułowanie „wersetów miecza”. Jego agresywna wymowa jest zresztą konsekwentnie modyfikowana i w kolejnych wersetach, gdzie czytamy:

A jeśli ktoś z bałwochwalców poszukuje u ciebie schronienia, to daj mu schronienie, tak by mógł usłyszeć słowo Boga, a następnie doprowadź go do miejsca bezpiecznego. Tak się stanie, ponieważ to są ludzie, którzy nie wiedzą. Jakież może być przymierze bałwochwalców z Bogiem i Jego Posłańcem, z wyjątkiem tych, z którymi zawarliście przymierze w świętym Meczezie? I jak długo oni będą wierni wam, to i wy bądźcie wierni im! Zaprawdę, Bóg kocha ludzi bogobożnych! (Kor. 9, 6–7)

Podobne zalecenia można znaleźć i w jednej z wcześniejszych sur:

Zwalczajcie na drodze Boga tych, którzy was zwalczają, lecz nie bądźcie najeźdźcami. Zaprawdę; Bóg nie miłuje najeźdźców! I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili — Prześladowanie jest gorsze niż zabicie. — I nie zwalczajcie ich przy świętym Meczezie, dopóki oni nie będą was tam zwalzczać. [...] Ale jeśli oni się powstrzymają... — zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy! I zwalczajcie ich, aż ustanie prześladowanie i religia będzie należeć do Boga. A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości [...]. (Kor. 2, 190–193)

Jak zatem widać, nie-muzułmanie nie muszą się obawiać, że muzułmanie — przynajmniej ci prawowierni — będą ich „ścigać i zabijać”, póki cały świat nie stanie się muzułmański, a przynajmniej nikt nie ma prawa twierdzić, że tak nakazuje wyznawcom islamu ich święta księga. W końcu Biblia też jasno mówi, by tych, którzy „nie ofiarują pokoju”, wyciąć „ostrzem miecza” (mężczyzn), a „kobiety, dzieci, trzody i wszystko, co jest w mieście, cały łup” zabrać. I nakazuje też, by tak postąpić „ze wszystkimi miastami daleko od ciebie położonymi” (Pwt 20,10–14). Tych zaleceń nikt nie odczytuje jako uniwersalnych i ponadczasowych i podobnie traktować powinniśmy zatem „wersety miecza”. Należy je po prostu odczytywać (tak jak biblijne opowieści) we właściwym historycznym kontekście i uznać — tak jak uznajemy w przypadku Biblii — że charakter uniwersalnych przykazań mają zupełnie inne słowa. Choćby „nie bądźcie najeźdźcami” (Kor. 2, 190). Albo wersety następujące:

Bóg ustanowi między wami i tymi spośród was, dla których jesteście wrogami — przyjaźń. Bóg jest wszechmocny! Bóg jest przebaczący, litościwy! Bóg nie zabrania wam, abyście byli dobrzy i sprawiedliwi względem tych, którzy was nie zwalczali z powodu religii ani nie wypędzali was z waszych domostw. Zaprawdę, Bóg miłuje ludzi sprawiedliwych! (Kor. 6o, 8)

Podsumowując — w każdej świętej księdze religii Abrahamowych, w Biblii czy w Koranie, każdy może znaleźć to, czego w niej szuka.

KORAN AKCEPTUJE DYSKRYMINACJĘ KOBIET

W Koranie można znaleźć uzasadnienie dla takich kar. Ta księga uprawomocnia maltretowanie i wykorzystywanie kobiet, a przez to ci, którzy dopuszczają się takich czynów, nie mają wyrzutów sumienia i nie spotykają się z potępieniem własnej społeczności.

Ayaan Hirsi Ali, 2013

Stosunek do kobiet, a zwłaszcza wszelkie przejawy ich dyskryminacji oraz akty okrucieństwa, od co najmniej kilkudziesięciu lat są przedmiotem szczególnego zainteresowania opinii publicznej Zachodu. W mass mediach pełno jest relacji o „honorowych zabójstwach” i „zabójstwach posagowych”, gwałtach, selektywnej aborcji, klitoridektomii („wyrzeczaniu kobiet”), odmawianiu kobietom prawa do edukacji i opieki zdrowotnej... Z takimi zjawiskami mamy do czynienia w wielu regionach świata, ale jak się wydaje szczególną uwagę przyciągają dziś doniesienia pochodzące z krajów muzułmańskich. Wątek religijny jest w nich silnie eksponowany, a liczni dziennikarze — o twórcach antyislamskich witryn internetowych nie wspominając — bezpośrednio obwiniają o wszystkie te haniebne czyny, zachowania i obyczaje sam islam. To Koran, jak słyszymy, każdy pojedynczy z nich co najmniej legitymizuje.

Tak zresztą uważają też często same ofiary. Ayaan Hirsi Ali — cytując z jej książki — posłużył nam za motto — dorastała w Somalii. Wyrzeczanie, praktykowane w jej muzułmańskiej społeczności, to tylko jedna z wielu tortur, jakich doznała jako dziecko i młoda kobieta. Jej doświadczenia były tak tragiczne, że gdy tylko udało jej się uciec do Europy odrzuciła religię — została ateistką i bojowniczką o prawa kobiet.

Identyczne oskarżenia wobec islamu można znaleźć też u Wafy Sultan. Doktor Sultan urodziła się w Syrii i w roku 1989 udało jej się wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Głośna książka *God Who Hates: The Courageous Woman Who Inflamed the Muslim World Speaks Out Against the Evils of Islam*, wydana w roku 2009, to opowieść o kobietach, które odważyły się sprzeciwić okrutnym praktykom swojego świata. Pani Sultan jednoznacznie oskarża islam o to, że wręcz zachęca on mężczyzn, by traktowali kobiety niewiele lepiej niż psy. Opisuje też wiele przerażających historii, w tym mężczyznę, który zgwałcił swoją siostrę, a potem zabił ją, gdy okazało się, że jest w ciąży (i nie poniósł za to żadnej kary). Witryna „Infidel Task Force” (www.infideltaskforce.com), która zajmuje się między innymi propagowaniem dorobku dr Sultan, jasno deklaruje swój główny cel: „Jesteśmy przeciwnikami radykalnego islamu i terroru, jaki ta religia niesie”. Sultan, która jest psychiatrą i źródłami opresji kobiet w krajach muzułmańskich zajmuje się od wielu lat, też wypowiada się w tej kwestii jednoznacznie. Okrucieństwo wobec kobiet, a nawet szerzej, ogólna skłonność do przemocy muzułmanów, mają, jak pisze, jedno źródło — islam. Bóg Koranu jest bogiem nienawiści.

Wafa Sultan i Ayaan Hirsi Ali to przykład muzułmanek (już byłych w tym momencie), które nie mają wątpliwości, że tragedia, jaka spotkała je w dzieciństwie (i nadal spotyka miliony kobiet) ma czysto religijne źródła. Są jednak wyznawczyni tej religii, które doznały nie mniejszej opresji, ale twierdzą, że okrucieństwo wobec kobiet i ich dyskryminacja to... pogwałcenie wszelkich nauk islamu. Tak mówiła na przykład przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych pakistańska nastolatka,

Pasztunka Malala Yousafzai, którą islamscy radykałowie usiłowali zabić (strzelili jej w głowę), gdy jechała autobusem do szkoły. „Terrorystyci wykorzystują islam i naszą pasztuńską tożsamość dla swoich nikczemnych celów [...] Islam jest religią pokoju i braterstwa” (Yousafzai 2013).

Wielu muzułmańskich uczonych i teologów przyznaje, że opresja kobiet istotnie występuje w licznych islamskich społecznościach i że są muzułmanie, którzy uważają, że tak haniebny stosunek do kobiet jest zgodny z Koranem. Tyle że, jak można czasem usłyszeć, jest to konsekwencja niewłaściwej interpretacji koranicznych sur, w rzeczywistości bowiem ta religia nie tylko ma dla nich więcej szacunku niż pozostałe tradycje monoteistyczne, ale też ochrona praw człowieka — w tym oczywiście również kobiet — jest jej rdzeniem.

Trzeba przyznać, że wśród wielkich tradycji religijnych Koran istotnie jest wyjątkowy, choćby w tym, że adresuje swoje przesłanie do obu płci i obie je traktuje równo:

Zaprawdę — muzułmanie i muzułmanki, wierzący i wierzące, prawdomówni i prawdomówne, cierpliwi i cierpliwe, pokorni i pokorne, dający jałmużnę i dające jałmużnę, poszczący i poszczące, zachowujący czystość i zachowujące, wspominający Boga często i wspominające — przygotował dla was Bóg przebaczenie i nagrodę ogromną. (Kor. 33, 35)

Świat, w którym żył Mahomet i w którym powstał Koran, był światem olbrzymich nierówności. Nie tylko między bogatymi i biednymi, ale też mężczyznami i kobietami. Dość powszechną praktyką było wówczas na przykład zabijanie żeńskich noworodków, gdy rodzina uznała, że nie stać jej na wyżywienie kolejnej dziewczynki (z chłopców jest większy ekonomiczny pożytek). W Koranie można znaleźć fragmenty zakazujące takich praktyk, na przykład gdy czytamy, że na sądzie ostatecznym ich ofiary zostaną spytane: „Za jaki grzech została[s] zamordowana” (Kor. 81, 9). W innym miejscu mamy potępienie tych, którzy nie chcą docenić, że urodziła im się córka („A kiedy zwiastują któremuś z nich córkę, to jego oblicze się zasępia [...]” — Kor. 16, 57–58).

Warto też dodać, że Koran przyznał kobietom („córkom, tak jak synom”) prawo dziedziczenia, aczkolwiek nie w równej części, kilkaset lat wcześniej, niż stało się to normą na przykład w zwyczajowym prawie angielskim (Kofsky 1988). Ponieważ w tej kulturze uznawano za oczywiste, że kobieta ma wyjść za mąż, a jednocześnie Koran nakładał na mężczyznę obowiązek utrzymywania żony i dzieci, kobieta miała dziedziczyć po rodzicach połowę tego, co jej brat lub bracia (o ile miała braci — por. Kor. 4, 7–12). Jasno zatem z tej księgi wynika, że kobieta ma prawo zarabiać pieniądze i ma prawo do tego, co zarobiła i co posiada: „Mężczyznom przypadnie udział w tym, co sobie zarobili, i kobietom przypadnie udział w tym, co sobie zarobiły” (Kor. 4, 32).

Trudno też zaprzeczyć, iż prawo koraniczne wprowadziło również wiele reguł zdecydowanie poprawiających położenie kobiet zmian w przedislamskich obyczajach. Jasno, na przykład, odrzuca obyczaj „kupowania narzeczonych”, na mocy którego pan młody wręczał (pieniężny) dar rodzicom panny młodej, zupełnie jakby ją od nich kupował. Zgodnie z Koranem to panna młoda ma dostać posag, który pozostaje jej własnością i może z nim czynić, co zechce (4, 4). Święta księga muzułmanów zakazała też wcześniejszych praktyk dziedziczenia po zmarłych ich kobiet, tak jak innej własności (4, 19).

Tak więc faktem jest, że reguły wprowadzone przez Koran oznaczały zdecydowaną poprawę sytuacji kobiet w stosunku do tego, co było normą w plemiennych społecznościach Arabii. Nawet na sankcjonowaną przez tę księgę poligamię trzeba spojrzeć inaczej, jeśli uświadomimy sobie, że prawo koraniczne ogranicza liczbę żon i nakłada na męża wyraźne obowiązki wobec nich, podczas gdy wcześniej mężczyzna mógł mieć tyle żon, ile chciał, i każdą mógł w dowolnej chwili porzucić. Samo małżeństwo też przybrało w tej religii inny kształt — ma być związkiem opartym nie na przemoc, a na „miłości i miłosierdziu” (30, 21), a małżonkowie mają sobie pomagać (2, 187). Jasno uregulowane

zostały też kwestie rozwodu, który dopuszczony został dopiero po dwukrotnej separacji i arbitrażu szanowanych członków społeczności. Dopiero gdy to nie pomogło, para mogła się legalnie rozstać (65, 1–2).

Ważne jest przede wszystkim, by pamiętać, że Koran powstał w określonym historycznym czasie oraz środowisku i że tak właśnie należy go odczytywać. Weźmy choćby często przytaczany werset 34 z sury czwartej:

Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachował Bóg. I napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżach i bijcie je [*idribuhunna* — JM]! A jeśli są wam posłuszne, to starajcie się nie stosować do nich przymusu.

Stwierdzenie o przyrodzonej wyższości mężczyzn nie powinno raczej dziwić w tym historycznym kontekście, bowiem podobne poglądy występują powszechnie praktycznie we wszystkich tradycjach religijnych, łącznie z chrześcijaństwem. Wszak nawet Paweł w Liście do Efezjan pisał: „Żony niechaj będą poddane swym mężom, jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak i Chrystus — Głową Kościoła: On — Zbawca Ciała. Lecz jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak i żony mężom — we wszystkim” (Ef 5,22–24). Współcześni muzułmanie, podobnie jak współcześni chrześcijanie, mogą kwestionować akurat ten wymiar swojej tradycji. W przypadku Koranu jednak werset ten może budzić szczególne kontrowersje z innych powodów. Po pierwsze z racji historycznych — jak bowiem interpretować słowa „stoją nad” (różnie zresztą tłumaczone; czasem jako „są odpowiedzialni za”) w kontekście życia samego proroka Mahometa, skoro doskonale wiadomo, że jego pierwsza żona Chadidża była od niego sporo starsza (najprawdopodobniej co najmniej o piętnaście lat) i on był jej pracownikiem. Czyli — ponieważ osobisty przykład proroka jest dla muzułmanów najważniejszy — z tą „wyższością” może być różnie. Jeszcze większy problem, przynajmniej zdaniem znawców islamu, pojawia się w kolejnym zdaniu. Otóż użyte tam słowo *idribuhunna* wcale nie musi znaczyć „bijcie je”, aczkolwiek tak bywa najczęściej tłumaczone (i rozumiane przez arabskojęzycznych muzułmanów). W arabskim ten czasownik ma wiele znaczeń, w tym między innymi „odejść od” lub „odprawić”. Są pewne przesłanki, by przyjąć, że tak właśnie powinno się ten ustęp tłumaczyć — jako napomnienie proroka, że mężczyźni nie wolno nigdy „uderzyć” ani „skrzywdzić” żony, nawet gdy ma powód, by ją zostawić.

Oczywiście nikt nie przeczy, że to „tradycyjne” odczytanie odpowiada bardzo wielu muzułmanom-mężczyznom i w licznych islamskich społecznościach przemoc wobec kobiet jest na porządku dziennym oraz jest społecznie akceptowana. Nie sposób jednak też zanegować, że równie wielu muzułmanów od dawna już — co najmniej od przełomu XIX i XX wieku — próbuje z takim sposobem czytania Koranu dyskutować i namawiać swoich współwyznawców do innej interpretacji własnej tradycji religijnej, z naciskiem na te jej elementy, które mówią o równości wszystkich ludzi, w tym zwłaszcza kobiet i dzieci.

Trzeba też pamiętać, że wiele społeczności muzułmańskich to społeczeństwa bardzo tradycyjne, a w takich normy kulturowe i religijne są nieuchronnie splecione. Wśród afgańskich talibów na przykład większość stanowią Pasztunowie (słowo „talib” oznaczające „uczeń” pochodzi z języka Pasztunów). To konfederacja wielu plemion, dla której plemienny honor, „odwaga” mężczyzn i „czystość” kobiet połączyły się w jedno z przejętym przed wiekami islamem, interpretowanym, jak wskazuje wielu znawców tematu, odmiennie niż w innych regionach, gdzie religia ta dominuje. W tej kulturze chęć nastoletniej Malali Yousafzai, by chodzić do szkoły i normalnie się uczyć, tak jak wszystkie jej rówieśniczki na całym świecie, była wystarczającym powodem, by próbować ją zabić.

Tak jednak jak jej współplemieńcy mogli szczerze wierzyć, że strzelając do dziecka, wypełniają wolę

Allaha, tak samo Malala Yousafzai — która szczęśliwie przeżyła zamach — ma prawo mówić (cytowaliśmy już tu fragment jej wystąpienia w ONZ), że „terroryści nie mają prawa mówić, że działają w imię islamu i Pasztunów [...] Pasztunowie chcą, by ich synowie i córki się kształcili” (Yousafzai 2013).

Tak więc, jakkolwiek wiele muzułmańskich dziewcząt i kobiet bez wątplenia staje się ofiarami przemocy, wyzysku i dyskryminacji ze strony mężczyzn — swoich ojców, braci, mężów i kuzynów — wierzących, że tak nakazuje im ich Koran, faktem pozostaje, że i z samego Koranu, i z osobistego przykładu proroka Mahometa można też wyciągnąć zupełnie inne nauki.

KORAN OBIECUJE ZAMACHOWCOM-SAMOBÓJCOM 72 DZIEWICE W NIEBIE

Nie umieraj jako dziewica. Możesz trafić do nieba islamskich terrorystów.

(billboard na stacji benzynowej w Milwaukee)

Przekonanie, że Koran obiecuje, że na muzułmanów, którzy polegli w „świętej wojnie” (również w samobójczych zamachach terrorystycznych), czekają niebiańskie rozkosze, a w tym 72 dziewice, jest bardzo rozpowszechnione, zwłaszcza — choć nie tylko — na Zachodzie. Portal prowadzony przez konserwatywną komentatorkę Pamelę Geller miał nawet pewne problemy, gdy w roku 2009 opublikował wypowiedzi muzułmanów potwierdzających, że Koran istotnie taką deklarację zawiera. Zwykle kojarzy się ją zresztą właśnie z terrorystami i nawet niektórzy z nich wierzą, że ich ziemską „ofiara” spotka się w życiu pośmiertnym z taką nagrodą. To przekonanie jest powielane w dziesiątkach publikacji, na licznych stronach internetowych (nie tylko islamofobicznych), w programach publicystycznych... W zasadzie jest dziś elementem kultury masowej.

Rzeczywistość wygląda jednak nieco inaczej — islam nie gwarantuje żadnej nagrody w niebie samobójcom ani terrorystom. Jak już wskazaliśmy, i samobójstwo, i akty terroryzmu (zabijanie niewinnych ludzi) są według tej religii grzechem i to grzechem śmiertelnym. Oto na przykład, co o samobójczej śmierci mówi Koran: „Nie zabijajcie się! Zaprawdę, Bóg jest dla was litościwy! A ktokolwiek uczyni to przez wrogość i niesprawiedliwość, to będziemy go palić ogniem. A to jest dla Boga łatwe!” (4, 29–30). Kategoryczny zakaz samobójstwa jest w tej księdze powtórzony kilkakrotnie i czyn taki, uznawany za wyraz utraty wiary w Boga, jest też jednoznacznie zabroniony przez prawo koraniczne.

Również terroryzm, jak już mówiliśmy, jest przez nie potępiany, o czym zresztą świadczą bardzo liczne deklaracje przywódców, teologów i duchownych muzułmańskich (wiele z nich można znaleźć na stronie <http://kurzman.unc.edu/islamic-statements-against-terrorism>). Większość tych wypowiedzi jednoznacznie sugeruje, że żaden prawdziwie wierzący muzułmanin nie może twierdzić, iż akty terroru mają cokolwiek wspólnego z dżihadem. Jak już mówiliśmy, zgodnie z Koranem „mniejszy dżihad”, czyli walka obejmująca działania militarne, podlega bardzo szczególnym regulacjom i ograniczeniom, których akty terroru w najmniejszym stopniu nie spełniają, dlatego właśnie powinny zostać potępione. Terroryzm to nie dżihad, a *hirabah* — niesprawiedliwa i bezprawna wojna.

Prawo koraniczne potępia *hirabah* przede wszystkim z dwóch powodów. Po pierwsze, giną wtedy niewinni ludzie, a Koran mówi jednoznacznie: „Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorzienia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi. A ten, kto przywraca do życia człowieka, czyni tak, jakby przywracał do życia wszystkich ludzi” (5, 32). Po drugie, w wyniku aktów terroru szerzy się strach, a to powoduje chaos i zakłóca społeczny ład oraz pokój. Tymczasem, zgodnie ze słowami swego proroka, islam ma nieść ludziom „pokój i bezpieczeństwo” (w końcu muzułmanie

witają się słowami „Salaam alejkum”, co oznacza „pokój z tobą” — „salaam” i „islam” mają w arabskim ten sam źródłosłów). W każdym razie Koran nie pozostawia w tej kwestii wątpliwości — wszelkie akty terroru winny być karane śmiercią.

Pozostawmy jednak na chwilę na boku trudności oraz spory interpretacyjne i zadajmy pytanie, czy nawet tym muzułmanom, którzy bezdyskusyjnie wiedli prawe życie i zasłużyli na nagrodę w niebieskich Koran obiecuje, że częścią tej nagrody będzie towarzystwo kilkudziesięciu młodych kobiet. W tym przypadku też sprawa jest co najmniej niejednoznaczna. W Koranie, odmiennie niż w Biblii, można znaleźć dość szczegółowe opisy zaświatów, tak piekielnych mąk, jak niebiańskich rozkoszy. Dowiadujemy się zatem, że ci, którzy trafią do rajskich ogrodów, będą leżeć na wygodnych łożach pokrytych pięknymi materiałami, będą mieli w bród wody, owoców, mięs, a nawet wina, które jednak nigdy nie otepia i nie szkodzi. Będą też mieli na wieczność „niewinne i wiecznie młode” towarzystwo. To właśnie te słowa część tradycyjnych komentatorów interpretuje jako boskie przyrzeczenie nagrody w postaci dziewic. W oryginale pojawia się w tym kontekście słowo *hourī* (stąd „hurysy”), dwukrotnie jako towarzyszkę niebiańskich rozkoszy (44, 54), raz jako nagroda (56, 22–24). Problem, na który uczulają badacze Koranu, polega na tym, że nie jest to arabskie słowo i nie ma pewności co do jego właściwego znaczenia — jak zwracają uwagę językoznawcy, w podobnych kontekstach w innych miejscach występuje przymiotnik „lśniący (perłowy)”, czyli te wersety można odczytywać jako „o lśniących (perłowych, białych) oczach”. Część historyków religii uważa w tej sytuacji, że koraniczne *hourī* to paralela do występujących już w zoroastryzmie (jednej z najstarszych monoteistycznych religii, wywodzącej się jeszcze z Persji) anielskich postaci, które są przewodnikami dusz do nieba. Analogiczne wyobrażenia można zresztą znaleźć zarówno w tradycyjnych religiach afrykańskich, jak i w ludowych tradycjach judaizmu i chrześcijaństwa, z których islam wiele zaczerpnął. Zatem koraniczne hurysy nie byłyby to dziewczęta służące rozkoszom cielesnym, a niebiańscy przewodnicy, którzy mają bezpiecznie odprowadzić duszę do raju. Taka interpretacja najwyraźniej umknęła jednak tradycyjnym komentatorom, którzy wybrali *stricte* seksualne odniesienia, jakkolwiek zaratusztriańskie odniesienia musiały być dla nich oczywiste. Wskazuje na to chociażby fakt, że liczba „72”, która pojawia się w tym kontekście, nie występuje nigdzie w Koranie, natomiast ma szczególne znaczenie w zaratusztrianizmie — święta księga tego wyznania liczy sobie właśnie 72 rozdziały, a wyznawcy tej religii posługują się specjalnymi pasami modlitewnymi, splecionymi z 72 wełnianych nici (co też intrygujące, taki pas nazywa się „kushti” (kusti), a to samo słowo oznacza też „przewodnik duszy”).

MUZUŁMANIE ODRZUCAJĄ DEMOKRACJĘ

Musimy trzymać się islamu i wyłącznie islamu. Nie dajmy się ogłupić kłamliwym i fałszywym namowom, że jedyną formą politycznego zaangażowania są świeckie, demokratyczne procesy. To niedopuszczalne i zakazane (haram).

Przywódca Islamistycznej Partii Wyzwolenia (Hizb ut-Tahrir)

W świetle takich wypowiedzi, jak zacytowana powyżej — a Hizb ut-Tahrir to ważna instytucja świata muzułmańskiego — trudno się dziwić, że przekonanie, iż islam programowo odrzuca demokrację, jest bardzo powszechne. Taką opinię głosi też wielu politologów i historyków o międzynarodowej renomie, a jednym z jej najbardziej znanych rzeczników jest amerykański politolog Samuel Huntington, autor światowego bestsellera *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*. Huntington zwrócił na przykład uwagę na to, że „zdecydowana większość krajów muzułmańskich to państwa o ustroju niedemokratycznym: monarchie, systemy jednopartyjne, dyktatury wojskowe lub po prostu dyktatury,

zrządzone zwykle w oparciu o struktury rodowe lub plemienne, w licznych przypadkach uzależnione od pomocy zewnętrznej” (Huntington 1996, 113). „Zderzenie cywilizacji” między demokratycznym Zachodem a „cywilizacją islamu” jest w tej sytuacji nieuchronne, przewidywał, a pisał to jeszcze przed atakami z 11 września.

Przekonanie, że samym muzułmanom takie niedemokratyczne porządki co najmniej nie przeszkadzają, było tak powszechne, że „arabska wiosna”, która rozpoczęła się od prodemokratycznych manifestacji w Tunezji w 2010 roku, a potem ogarnęła większość krajów regionu, była prawdziwym szokiem dla większości obserwatorów. Hillary Clinton, która była wówczas sekretarzem stanu w gabinecie prezydenta Obamy, otwarcie przyznała, że „jesteśmy świadkami zdarzeń, których nikt sobie nie wyobrażał jeszcze kilka lat temu. To przebudzenie się świata arabskiego obala wiele założeń, które dotychczas uważaliśmy za oczywiste” (Myers 2011). Jednym z tych założeń, o których mówi Clinton, jest to, iż muzułmanie nie chcą demokracji.

Tymczasem w rzeczywistości ani Partia Wyzwolenia, ani wiele innych radykalnych organizacji islamskich, które wprost odrzucają demokrację, nie wypowiada się w imieniu większości swoich współwyznawców, lecz jedynie we własnym, czego dowodzą wyniki badań. Instytut Gallupa przeprowadził w latach 2006–2007 największe z dotychczas zaplanowanych badań opinii publicznej, które objęły reprezentatywną próbę ponad czterdziestu muzułmańskich krajów (o populacji liczącej miliard trzysta milionów ludzi). W sporządzonym z nich raporcie możemy przeczytać między innymi, że „na pytanie, co im najbardziej imponuje w krajach Zachodu, ankietowani muzułmanie najczęściej wymieniali swobody polityczne, wolności obywatelskie, uczciwy system sprawiedliwości i wolność słowa”. Kiedy ankietery zaczęli zadawać bardziej szczegółowe pytania dotyczące konkretnych cech demokratycznego rządu, wyniki były jeszcze ciekawsze. „Olbrzymia większość w niemal wszystkich badanych krajach (95% w Burkina Faso, 94% w Egipcie, 93% w Iranie i 90% w Indonezji) stwierdziła, że gdyby mieli uchylać nową konstytucję dla swoich państw, musiałaby ona gwarantować wolność słowa zdefiniowaną jako «prawo wszystkich obywateli do nieskrępowanego wyrażania własnej opinii w ważnych kwestiach politycznych, społecznych i gospodarczych»” (Esposito, Mogahed 2008).

Dane zebrane przez Gallupa raczej bezdyskusyjnie dowodzą, że przynajmniej na początku XXI wieku zdecydowana większość muzułmanów optowała za demokracją. To jednak pierwsze zakrojone na tak szeroką skalę badania opinii publicznej w krajach muzułmańskich i niewykluczone, że gdybyśmy dysponowali analogicznymi ankietami z poprzedniego stulecia, wyniki mogłyby być inne, ponieważ jeszcze pod koniec XX wieku nawet polityczni reformatorzy — muzułmanie nader niechętnie posługiwali się terminem „demokracja”. Dlaczego? Zapewne z tego względu, że ich poprzednicy też go unikali, uznawszy, że demokracja i prawa obywatelskie mogą być obce islamowi, bowiem ludzie, gdy da im się nieograniczoną wolność, spróbują wykorzystać ją do zalegalizowania czynów i zachowań niemoralnych, takich jak kradzież czy prostytutka. Można w pewnym sensie zrozumieć te reakcje, skoro wcześniej niemal wszystkie kraje muzułmańskie były koloniami krajów europejskich, które u siebie rządziły się demokratycznie, ale w koloniach postępowały zdecydowanie niemoralnie. Trzeba też pamiętać, że walka o niepodległość z europejskimi demokracjami dalece nie była prosta — Egipt i Irak zyskały niepodległość dopiero w latach 50. XX wieku (były częścią Imperium Brytyjskiego), włoska Libia mniej więcej w tym samym czasie, koloniom i terytoriom francuskim (Syrii, Maroku, Tunisowi i Algierii) zajęło to jeszcze dłużej. Niemniej nawet mimo werbalnego odrzucenia demokracji twórcy niepodległości części tych krajów próbowali — choć z różnym skutkiem — budować państwa spełniające przynajmniej niektóre demokratyczne standardy: instytucje przedstawicielskie, równowaga między władzą ustawodawczą i wykonawczą, gwarancje podstawowych praw obywatelskich, w tym wolności wyznania. Pod koniec XX wieku klimat zaczął się

zmieniać i słowo „demokracja” wróciło do łask nawet na Bliskim Wschodzie. Rachid Ghannouchi, przywódca islamistycznej Partii Odrodzenia (Hizb an-Nahda), która w roku 2011 wygrała pierwsze demokratyczne wybory w Tunezji, stwierdził wtedy, że prawdziwie islamski rząd jest z natury demokratyczny i nie ma powodów, by nie posługiwać się tym pojęciem, zwłaszcza że to tylko wprowadza w błąd nie-muzułmanów. Mohammad Chatami, zwycięzca wyborów prezydenckich w Iranie w roku 1997, po swoim wyborze zadeklarował publicznie, że w nowoczesnym świecie naturalną formą rządów dla muzułmanów jest demokracja.

Arabska wiosna nie przyniosła jednak światu arabskiemu demokracji. W Egipcie demokratycznie wybrany prezydent i rząd Braci Muzułmanów próbowały ustanowić teokrację i zostały obalone — przy poparciu znacznej części obywateli — przez armię. W innych krajach regionu zapanował chaos. Jedynie w Tunezji rządzi jeszcze demokratycznie wybrana władza, acz i tu islamscy radykałowie próbują zdestabilizować sytuację w kraju. Mimo tych porażek nastawienie muzułmańskiej opinii publicznej wyraźnie uległo zmianie. W roku 2012 Pew Research Center przeprowadził w sześciu krajach zamieszkiwanych w większości przez muzułmanów szeroko zakrojone badania nad postawami wobec demokracji. W raporcie czytamy: „Ponad rok po wybuchu arabskiej wiosny poparcie dla demokracji tak w badanych krajach, jak i w innych krajach arabskich jest bardzo duże. Znaczna większość mieszkańców Libanu, Turcji, Egiptu, Tunezji i Jordanu uważa, że demokracja to najlepsza forma rządów. Podobnego zdania jest większość Pakistańczyków”. Równie interesujące były odpowiedzi na bardziej szczegółowe pytania, okazało się bowiem, że znacząca część respondentów (choć oczywiście więcej kobiet niż mężczyzn) opowiedziało się też za równością praw dla obu płci. Faktem jest, że poparcie dla demokracji nieco spadło (w Egipcie na przykład z 71% w 2011 r. do 67% rok później) wskutek chaosu, jaki zapanował po obaleniu dyktatorskich rządów w regionie, niemniej w żadnym wypadku nie daje to podstaw, by twierdzić, że muzułmanie jej nie chcą.

MUZUŁMANIE NIE PROTESTUJĄ PRZECIWKO TERRORYZMOWI

Dlaczego muzułmanie w ogóle nie protestują przeciwko terroryzmowi?

Dr Alvin A. Jones, pytanie zadane podczas wywiadu z Kamranem Pashą, autorem powieści *Mother of the Believers*

Kamran Pasha po wywiadzie, którego fragment zacytowaliśmy wyżej, powiedział: „Takie pytania słyszę praktycznie codziennie i nieustannie wprawiają mnie one w osłupienie” (Pasha 2009). Trudno mu się dziwić, albowiem nader liczni muzułmańscy przywódcy i przedstawiciele islamskich organizacji konsekwentnie i nieprzerwanie potępiają terroryzm niemal od pierwszej chwili, gdy islamiści zaczęli się do tego typu działań uciekać. Liga Arabska opublikowała w tej sprawie pierwsze ważne i jednoznaczne oświadczenie — „The Arab Convention on the Suppression of Terrorism” — w roku 1998. W dokumencie tym kraje arabskie, odwołując się do „zasad humanitaryzmu” i prawa koranicznego, kategorycznie wzywają wszystkie grupy i organizacje (również prowadzące walkę o wyzwolenie swoich ziem spod obcej okupacji) do „zaniechania jakichkolwiek ataków na ludność cywilną i aktów sabotażu, a także produkcji i dystrybucji broni, amunicji, środków wybuchowych oraz wszelkich materiałów, które mogą zostać wykorzystane do popełniania przestępstw o charakterze terrorystycznym”.

Cytowane powyżej oświadczenie powstało w reakcji na terroryzm szerzący się w krajach arabskich. W latach 90. XX wieku radykalne ugrupowania islamskie uaktywniły się między innymi w Egipcie, gdzie za pomocą aktów terroru chciały doprowadzić do obalenia rządu i ustanowienia państwa islamskiego. Jedną z takich grup — Jama'a Islamiyya („Grupa islamska”) — dokonała w listopadzie

1997 roku krwawego zamachu w Luksorze. Zginęły wtedy 62 osoby, głównie turyści, ale w pozostałych atakach przeprowadzanych przez to ugrupowanie życie tracili już głównie Egipcjanie. To zresztą jest ogólna prawidłowość w przypadku islamskiego terroryzmu — właśnie wyznawcy Allaha najczęściej giną z rąk islamskich terrorystów. Jak wynika z raportu opublikowanego w roku 2009 przez US Military Academy w West Point, „zdecydowana większość ofiar zamachów przeprowadzonych przez Al Kaidę to muzułmanie [...] Tylko 15 procent z 3010 osób, które poniosły śmierć w wyniku zamachów bombowych w latach 2004–2008, to obywatele krajów zachodnich” (Helfstein et al., 2009, 1). Warto dodać, że w dokumencie West Point uwzględnione też zostały ofiary zamachów z Madrytu i Londynu. Od roku 2004 również amerykański departament stanu publikuje doroczny raport o terroryzmie (nie tylko islamskim). Jak możemy przeczytać w raporcie z 2012 roku: „Muzułmanie stanowią grupę najsilniej dotkniętą terroryzmem [...] Jeżeli analizujemy tylko te akty terroru, których sprawcy odwoływali się do motywacji religijnej, to w ciągu ostatnich pięciu lat wyznawcy islamu stanowią według różnych szacunków od 82 do 97 procent ofiar” (National Counterterrorism Center, 2012).

Trzeba zresztą przyznać, że wielu przywódców i duchowych autorytetów islamu potępia terroryzm w każdej postaci i bezwarunkowo (inna rzecz, że wielu muzułmanów wciąż nie potrafi uwierzyć, że ich współwyznawcy zdolni są do takich zbrodni). Tego typu deklaracje ważnych muzułmańskich postaci i środowisk pojawiły się już w chwilę po atakach z 11 września. Jeszcze tego samego dnia dr Agha Saeed, przewodniczący American Muslim Alliance, oświadczył: „Te ataki stanowią pogwałcenie prawa i ludzkiego, i boskiego. Amerykańscy muzułmanie łączą się z całym narodem w żałobie i w pragnieniu jak najszybszego schwytania i jak najsurowszego ukarania winnych tej koszmarnej zbrodni. Głęboko współczujemy ofiarom i ich bliskim” (Kurzman, online).

Następnego dnia po zamachach na WTC i Pentagon specjalne oświadczenie wydał też Abdelouahed Belkeziz, sekretarz generalny Organizacji Konferencji Islamskiej, jedynej instytucji, która zrzesza wszystkie kraje muzułmańskie:

W związku z krwawymi atakami, jakie miały miejsce w Stanach Zjednoczonych wczoraj, w dniu 11 września 2001 roku, dr Abdelouahed Belkeziz, sekretarz generalny reprezentującej 57 państw Organizacji Konferencji Islamskiej, stwierdza, że poczuł się głęboko zaszokowany i zasmucony, gdy tylko dotarła do niego informacja o atakach, które doprowadziły do śmierci i poważnych obrażeń tak wielkiej liczby amerykańskich obywateli. Dr Belkeziz oświadczył też, że potępia te brutalne akty jako sprzeczne z wszelkimi umowami międzynarodowymi, z wartościami ogólnoludzkimi i z prawem boskim, a przede wszystkim z islamem. (materiały prasowe, Jeddah, Arabia Saudyjska, 12 września 2001; Kurzman, online)

Shaykh Yusuf al-Qaradawi to jeden z najbardziej znanych i szanowanych duchownych sunnickich. Jego program telewizyjny „Al-Shari`ah wa'l-Hayah” („Szariat i życie”) oglądają miliony muzułmanów na całym świecie. Jest znany między innymi jako żarliwy obrońca praw Palestyńczyków — wprost popiera na przykład ich ataki na ludność izraelską. Nawet on jednak zdecydowanie odciął się od ataków z 11 września:

Pomimo naszej głębokiej niezgody na akceptowaną przez Stany Zjednoczone polityczną, ekonomiczną i militarną agresję Izraela, nasze serce krwawi na wieść o atakach na World Trade Center i inne cele w Stanach Zjednoczonych. Islam jest religią tolerancji, ludzka dusza jest dla nas wartością najwyższą i wszelkie ataki na niewinnych ludzi uznajemy za grzech śmiertelny. O tym wprost mówi nasz Koran: „Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorszenia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi. A ten, kto przywraca do życia człowieka, czyni tak, jakby przywracał do życia wszystkich ludzi (5, 32)”. (materiały prasowe, Jeddah, Arabia Saudyjska, 12 września 2001; Kurzman, online)

Podobnej treści deklarację złożył też tego samego dnia ajatollah Al Chamenei, faktyczny przywódca Iranu, który wcześniej wielokrotnie potępiał Stany Zjednoczone, widząc w nich „szatana”:

Zabijanie niewinnych ludzi, gdziekolwiek by miało miejsce i niezależnie od tego jaką bronią — czy są to bomby atomowe, pociski dalekiego zasięgu, broń biologiczna czy chemiczna, samoloty cywilne czy wojskowe — jest czynem zasługującym na najwyższe

potępienie tak w wykonaniu jednostek, jak organizacji czy państw [...] Nie ma znaczenia, czy do takiej masakry dochodzi w Hiroszimie, Nagasaki, w Kaanie, Sabrze, Bośni, Kosowie, w Iraku, w Nowym Jorku czy w Waszyngtonie. (Chamenei 2001)

Trzy dni po zamachach, 14 września 2001 roku, ukazało się też znamiennej treści oświadczenie podpisane wspólnie przez przywódców egipskiego Bractwa Muzułmańskiego (Braci Muzułmanów), liderów Jamaat-i Islami z Pakistanu i Bangladeszu, palestyński Hamas, tunezyjskich islamistów z partii Nahda, przedstawiciele PAS (Panmalezyjskiej Partii Islamistów) i liderów ponad czterdziestu innych radykalnych organizacji islamistycznych. Czytamy w nim:

Niżej podpisani przywódcy organizacji islamskich są przerażeni wydarzeniami, do jakich doszło 11 września 2001 w Stanach Zjednoczonych, których efektem była śmierć niewinnych ludzi. Wyrażamy niniejszym nasze najgłębsze współczucie i żal. Z najgłębszym oburzeniem potępiamy te wydarzenia, które stanowią pogwałcenie wszelkich norm człowieczeństwa i islamu. Nasze potępienie ma swe źródło w szlachetnych prawach islamu, który zabrania jakichkolwiek napaści na niewinnych.

Autorzy oświadczenia, jakkolwiek uznają, że zamachowcy z 11 września twierdzili, że chcą w ten sposób „ukarać” Amerykanów za wsparcie, jakiego ich rząd udziela łamiącemu prawa Palestyńczyków Izraelowi, przypominają, że ich postępowanie jest sprzeczne z Koranem, na dowód czego cytują werset 18 z sury 35: „Nie poniesie żadna [dusza] niosąca ciężar ciężaru drugiej” (MSANews, 2001).

Podobne oświadczenia środowisk muzułmańskich pojawiały się po zamachach w Madrycie, Londynie i Bostonie. Po tym ostatnim na przykład amerykańska Rada Prawa Islamskiego (Fiqh Council of North America) wydała fatwę, którą natychmiast poparły Council on American-Islamic Relations (CAIR), Islamic Society of North America (ISNA), Muslim American Society (MAS), Association of Muslim Social Scientists (AMSS), Association of Muslim Scientists and Engineers (AMSE), Muslim Public Affairs Council (MPAC) oraz ponad 130 muzułmańskich organizacji, a także poszczególne meczety i przywódcy islamskiej społeczności z całych Stanów Zjednoczonych. Sygnatariusze stwierdzają tam:

Konsekwentnie od lat potępiamy terroryzm i ekstremizm we wszelkiej postaci i po raz kolejny pragniemy to swoje potępienie wyrazić. Islam pod żadnym pozorem nie dopuszcza aktów religijnie motywowanego ekstremizmu i użycia przemocy przeciw niewinnym ludziom. Nie ma w islamie żadnego usprawiedliwienia dla ekstremizmu i terroryzmu. W naszej religii zamach na życie i własność cywilów to *haram* — grzech śmiertelny — i ktokolwiek dopuszcza się takiego barbarzyńskiego czynu jest przestępcą, a nie „męczennikiem”. (Kurzman, online)

Wcześniej zresztą, niecały miesiąc po zamachach z 11 września, ta sama North American Fiqh Council wydała inną fatwę, w której zapewniała wszystkich członków amerykańskich sił zbrojnych wyznania muzułmańskiego, że działania przeciw terrorystom, które będą zmuszeni podjąć, by bronić swego kraju, są zgodne z prawem koranicznym. W dokumencie tym jasno zostało stwierdzone, że „wszyscy muzułmanie muszą być zjednoczeni w walce przeciwko tym, którzy terroryzują niewinnych, i tym, którzy pozwalają na zabijanie niewinnych ludzi [...] zatem wyznający islam członkowie amerykańskich sił zbrojnych mogą bez żadnego uszczerbku dla swoich religijnych przekonań brać udział w wojnie z terroryzmem, w jaką nasz kraj będzie musiał się zaangażować” (al-Qaradawi et al., 2001).

Wielu muzułmańskich przywódców nie ogranicza się zresztą tylko do deklaratywnego potępienia terroryzmu, ale przypomina, że sami muzułmanie są odpowiedzialni za to, by z nim skończyć. Po zamachu w Madrycie hiszpańska Komisja Islamska wydała specjalną fatwę — a takie religijne orzeczenie ma charakter wiążący dla wyznawców islamu — w której stwierdza: „Muzułmanie [...] nie tylko sami nie mogą popełniać zbrodni, w wyniku których cierpią niewinni ludzie, ale mają też przed Bogiem obowiązek powstrzymywania tych, którzy takich czynów się dopuszczają” (10.03.2005; Kurzman, online). Profesor Charles Kurzman z University of North Carolina od lat gromadzi takie deklaracje przywódców i autorytetów muzułmańskich i publikuje je na założonej przez siebie witrynie

<http://kurzman.unc.edu/islamic-statements-against-terrorism>).

Lektura zamieszczonych tam dokumentów jednoznacznie wskazuje, że większość muzułmanów bardzo dobitnie potępia terroryzm. Pośrednio potwierdzają to zresztą również wyniki badań. Instytut Gallupa przeprowadził na przykład w roku 2011 duże badania opinii amerykańskich muzułmanów i okazało się w nich między innymi, że „podczas gdy średnio 7 na 10 badanych Amerykanów jest zdania, że nic nie usprawiedliwia ataków terrorystycznych, to wśród Amerykanów wyznania muzułmańskiego proporcja ta wzrasta do 89%” (Naurath 2011). Mimo to mit, że muzułmanie nie potępiają terroryzmu, ma się doskonale, a po zamachu bombowym podczas bostońskiego maratonu w 2013 roku powrócił z nową siłą. Powieściopisarz Qasim Rashid z goryczą spytał wtedy na swoim blogu publikowanym na Huffington Post: *Do You Even Hear Muslims When We Condemn Violence?* (Rashid 2013).

VI. MITY O INNYCH TRADYCJACH RELIGIJNYCH PÓŁKULI ZACHODNIEJ

- Zaratusztrianie są czcicielami ognia
- Voodoo to czarna magia
- Czarownice czczą szatana
- Rastafarianie to nałogowi marihuaniści
- Unitarianie uniwersaliści mogą wierzyć, w co chcą

WPROWADZENIE

Większość ludzi, gdy słyszy o religiach Zachodu, myśli o chrześcijaństwie i judaizmie, czasem jeszcze o islamie. Ale to tylko trzy z wielu tradycji religijnych, jakie występują na półkuli zachodniej. W tym rozdziale sięgniemy jeszcze — oczywiście nader wyrywkowo — do pięciu innych, które też wyznawane są na tych obszarach. To niemal krańcowo odmienne tradycje religijne, ale nader interesujące zagadnienie stanowią ich związki z innymi systemami religijnymi oraz ich wpływ na naszą tradycję, którego często sobie nie uświadamiamy. Na przykładzie tych zagadnień łatwiej będzie nam prześledzić, jak ksenofobia i poczucie obcości owocują powstawaniem kolejnych mitów o religiach.

ZARATUSZTRIANIE SĄ CZCICIELAMI OGNI

*Twoim ołtarzem jest Ogień
Słońce i światło gwiazd
A gdy nad Ogniem ogrzewam dłonie
To widzę w nim Twój Blask
Rozświetla moje noce i wiem:
Zawsze po nich nadejdzie dzień.
Daj mi ogień, o wielki synu Ahura Mazdy
Chwała Ci, ogniu Ahura Mazdy, wspaniałomyślny i największy
ze strzegących nas duchów.*

Z zaratusztriańskich modlitw

Po lekturze takich modlitw trudno się dziwić, że ktoś, kto o zoroastryzmie nie ma wielkiego pojęcia, uzna, iż ludzie je wygłaszający muszą czcić ogień. Podobne wrażenie można zresztą odnieść, obserwując zaratusztriańskie (zoroastriańskie) rytuały, w których odgrywa on ważną rolę. Oskarżanie zoroastrian, że są czcicielami ognia — a zatem bałwochwalcami! — ma długą historyczną tradycję i przez wieki było powodem do prześladowania wyznawców tej religii.

Ludzie Zachodu niewiele wiedzą o zoroastryzmie, choć chrześcijanie powinni przynajmniej znać jednego z jego kapłanów — w Ewangelii Mateusza (2,1–12) pojawiają się „mędrcy” („królowie”, „magowie”), którzy przynoszą dary — mirrę, kadzidło i złoto — nowo narodzonemu przyszłemu

„królowi Żydów”. Według niektórych interpretacji jeden z nich jest właśnie zoroastrianinem. Co prawda, w żadnej innej Ewangelii nie ma wzmianki o tym zdarzeniu, ale chrześcijaństwo i tak uczyniło z niego jeden z ważnych elementów własnej tożsamości i świątecznej ikonografii.

O proroku Zaratustrze musieli na pewno słyszeć wszyscy zajmujący się historią muzyki oraz literatury i filozofii. *Tako rzecze Zaratustra* to jedno z najgłośniejszych dzieł niemieckiego filozofa Fryderyka Nietzschego (to on właśnie jest autorem słynnego „Bóg umarł”), jak również tytuł zainspirowanego twórczością Nietzschego znanego poematu symfonicznego Ryszarda Straussa.

Zaratustra, prorok religii, o której mowa, żył najprawdopodobniej około roku 1000 p.n.e. (w każdym razie między XIII a połową VI w. p.n.e.). Religia, którą stworzył, o czym już mało kto wie, to najpewniej najstarsza z religii monoteistycznych. Najdawniejsze źródła, jakimi dysponujemy, potwierdzają istnienie jej wyznawców w Persji już w VI w. p.n.e. Zaratustra (Zoroaster to grecka transkrypcja jego imienia) nauczał, że istnieje tylko jeden wszechpotężny bóg, Ahura Mazda, który stworzył cały świat i ludzi i dał im wolność wyboru między prawdą a kłamstwem, dobrem a złem, światłem a ciemnością. Po śmierci każdy trafia przed jego sąd i ci, którzy czynili dobro i nie uciekali się do kłamstw, zostaną nagrodzeni. W zoroastryzmie jest zresztą wiele elementów, które doskonale znamy z później powstałych systemów religijnych. Jak głosi tradycja, prorok narodził się z dziewicy, czynił cuda, nauczał. Udał się też do nieba, gdzie dowiedział się, że na ludzi czyha potężny wróg, który kusi ich, by wybrali zło zamiast dobra. Dlatego uczył, że słuszne wybory etyczne to nie tylko warunek szczęścia, ale również jedyny sposób, by zniszczyć tę diabelską kreaturę, wroga rodzaju ludzkiego. Właśnie z tego powodu dobre czyny zostaną nagrodzone, ci zaś, którzy będą opóźniać nieuniknione w ostatecznej perspektywie zwycięstwo sił dobra, po śmierci poniosą karę. W zoroastryzmie występuje też odpowiednik czyśćca, do którego trafiają ludzie, którzy nie szkodzili, ale też nie pomogli zatriumfować dobru. Ich dusze trwać będą w zawieszeniu, choć modlitwy żywych mogą im pomóc trafić do nieba. Wszystko zmieni się dopiero z końcem czasów. Najpierw zapanuje wtedy zło, niebo zakryją ciemności, ale potem z dziewicy narodzi się zbawca, pokona siły zła, wskrzesi zmarłych i odbędzie sąd ostateczny. Świat zostanie odnowiony, a ludzie, oczyszczeni ze swych grzechów, dostąpią rozkoszy życia wiecznego.

Trudno się dziwić, że w tej sytuacji spora część religioznawców uważa, że zoroastrianizm miał istotny wpływ na powstałe później w tym samym regionie świata judaizm, chrześcijaństwo oraz islam. Mogłoby o tym świadczyć również wyraźne podobieństwo niektórych rytuałów i obrządków, na przykład konieczność wyznania grzechów i możliwość ich odpuszczenia tym, którzy okażą szczerą skruchę, jak również pięciokrotna modlitwa w ciągu dnia (*namaz*), połączona z rytualnym obmyciem dłoni, ramion, stóp i twarzy.

Niektóre elementy obrzędowości są jednak unikalne dla tej religii. Na przykład jej świątynie nazywane są nieprzypadkowo świątyniami ognia, bowiem cały czas płonie tam stale podsycany przez kapłanów rytualny płomień. Wieczny ogień ma symbolizować oczyszczenie, czyli prawość, sprawiedliwość i wreszcie boga. Ale to tylko symbol, a nie jego przedstawienie. Ogień pełni też istotne funkcje w dwóch ważnych świątach zoroastryzmu. Pięćdziesiąt dni przed zoroastryjskim Nowym Rokiem, który przypada na równonoc wiosenną, obchodzone jest święto Sadeh. Rozpalane wtedy wielkie ogniska mają symbolizować triumf dobra i jasności nad ciemnością i złem. Obchodzone dla uczczenia Nowego Roku (Nowruz) Chahar-Shambe-ye-suri to kolejne „święto ognia”, uwielbiane tak przez dzieci, jak i dorosłych. Wierni się wtedy przebierają, rozpalają małe ogniska i skaczą przez płomień, a dzieci chodzą od domu do domu, gdzie częstowane są jagodami i orzeszkami. To właśnie tak powszechne posługiwanie się ogniem w zoroastryjskich rytuałach i obrzędach sprawiło, że wyznawców tej religii zaczęto podejrzewać, iż w rzeczywistości czczą ogień.

Zoroastryzm przez cztery stulecia — od IV do VII wieku n.e. — był w Persji religią państwową, a utracił ten status, gdy kraj ten podbili muzułmanie. Część muzułmańskich przywódców widziała w zoroastryzmie religię monoteistyczną, zasługującą na uznanie tak samo jak judaizm czy chrześcijaństwo, zatem początkowo pozostawiono wyznawców Zaratustry w spokoju, o ile tylko płacili podatki i zachowywali się lojalnie wobec nowych władz. Z czasem jednak to nastawienie się zmieniło i pojawiły się oskarżenia o (potępione w Koranie) „bałwochwalstwo”. Rozpoczęły się prześladowania, palenie świątyń i ksiąg. W tej sytuacji część zoroastrian zdecydowała się opuścić ojczyznę. Większość osiedliła się w Indiach, ich potomkami jest kilkudziesięciotysięczna społeczność Parsów.

VOODOO TO CZARNA MAGIA

Niecałe osiemnaście godzin po tym, jak 12 stycznia 2010 roku straszliwe trzęsienie ziemi zniszczyło Haiti, wielebny Pat Robertson zorganizował w haitańskiej telewizji dyskusję na temat historii Haiti, teologii i przeznaczenia. Jak tłumaczył widzom, Haiti cierpi, bo dwieście lat temu zbuntowani niewolnicy zawarli pakt z diabłem, by wygnać z wyspy Francuzów. Od tego czasu Haitańczycy są „przeklęci”.

Samuel G. Freedman

Nie tylko wielebny Robertson ma tak „złą” opinię o voodoo (wudu). Samuel G. Freedman w cytowanym wyżej artykule opisuje, jak bardzo trwałe są „potępiające i niesprawiedliwe” stereotypy na temat voodoo. Powołuje się tam między innymi na Lesiego G. Desmanglesa z Trinity College w Hartford, który prowadził badania na Haiti. Otóż zdaniem Desmanglesa u źródeł tych stereotypów leży po prostu XIX-wieczny rasizm. Ze szczególną siłą za „wykorzenianie przesądów” na Haiti zabrał się w II połowie XIX wieku Kościół katolicki, który uznał, że jego misją jest wyplenienie „czarnej magii i świętokradztwa” oraz zastąpienie ich „jedyną prawdziwą religią”, czyli, oczywiście, katolicyzmem. Kampania „nawracania” — w ramach której zniszczono dziesiątki świątyń i zabito setki wyznawców voodoo — trwała aż do początku lat 40. XX wieku (Fernandez Olmos, Paravisini-Gebert, 2011).

Tymczasem wyznawcy voodoo wcale nie uważają, że ich religia jest „przesądem”, ani że uprawiają czary. Dziś voodoo jest jedną z oficjalnych religii na Haiti, równoległe z katolicyzmem praktykowaną przez według części źródeł nawet osiemdziesiąt procent obywateli. Jak piszą Fernandez Olmos i Paravisini-Gebert, „voodoo i katolicyzm przenikają się tu wzajemnie i w tej formie zaspokajają duchowe i zdrowotne potrzeby Haitańczyków. Ludzie nie widzą żadnego konfliktu między tymi dwoma systemami religijnymi” (2011, 120).

Współczesne voodoo to synkretyczna religia, której źródłami są zarówno rdzenne wierzenia ludów afrykańskich (głównie Kongo, Joruba i Fulan zamieszkujących duże obszary Afryki Zachodniej — od Ghany przez Togo i Benin aż po Nigerię), jak i katolicyzm oraz spirytualizm. Ta mieszanka wyewoluowała na Haiti, gdy było ono jeszcze francuską kolonią i tysiącami zwożono tu niewolników z Afryki, którym przemocą usiłowano narzucić katolicyzm. Efekt był taki, że Afrykanie w pewnym sensie włączyli katolicyzm do swoich systemów religijnych, czego skutkiem jest obecność w nich jednego, największego Boga (Bondié lub Bondyé — z francuskiego Bon Dieu), z tym, że to nie jemu oddaje się kult, a będącym szczególnymi pośrednikami między bogiem a ludźmi *loa*, miejscowym i afrykańskim duchom (lub bogom; kwestia interpretacji). *Loa* jest wielu i każdy z nich „odpowiada” za określoną sferę życia — rolnictwo, wojnę, płodność *etc.* Praktycznie wszystkie mają też swoje odpowiedniki — niejaki *alter ego* — w chrześcijańskiej mitologii i w panteonie katolickich świętych. Na przykład Papa Legba utożsamiany jest ze świętym Piotrem, klucznikiem bramy niebios w ludowym katolicyzmie, Erzulie Freda (wiecznie smutna *loa* miłości i piękna) z cierpiącą Marią, matką Jezusa, a Ayizan, *loa* targów, to św. Klara.

Loa zachowały też do dzisiaj swe oryginalne pochodzenie i tak te, które objawiły się dopiero na Haiti (wciąż przybywają nowe, bo wyznawcy włączają do panteonu loa osoby szczególnie zasłużone dla narodu lub własnej społeczności), nazywają się Petro Loa, z Angoli wywodzą się Wangol Loa, z Senegalu — Singa, z Dahomeju — Rada. Podobnie jak niektórzy katolicy, którzy wyjątkowym kultem otaczają swoich „lokalnych” (albo jakichś wybranych) świętych, tak samo poszczególne społeczności wyznawców voodoo czują się szczególnie związane z konkretnym loa i jego wybierają na swego „pośrednika” z bogiem. Jest to o tyle prostsze, że loa mają bardzo wyraziście zarysowane charaktery i upodobania — nie tylko wiadomo, jaką szczególną mocą dysponują, ale również znane są ich zamiłowania do określonych kolorów, potraw, przedmiotów, a nawet rodzajów tańca i muzyki.

Ceremonie religijne voodoo mogą być organizowane i w domach prywatnych, i w świątyniach (*ounfro*), gdzie głównym kapłanem może być tak mężczyzna (*houngo*), jak kobieta (*mambo*). *Oungo* obdarzeni są według wierzących szczególną — po części mistyczną — wiedzą o świecie nadprzyrodzonym oraz o tym, jak się z nim komunikować. Jak w wielu tradycjach religijnych, służą też swoim wiernym radą i opieką.

Ważnym elementem rytuałów voodoo jest bardzo głośna i rytmiczna muzyka (bębny), wprowadzająca wybranych w stan swoistego transu, w którym, jak wierzą, mogą wejść w bezpośredni kontakt z duchami i loa (w języku tej religii kiedy w kogoś w transie wszedł loa, mówi się o niej/nim, że „loa ujeżdża swojego konia”) oraz przekazywać bogom dary i prośby. Zwykle takiego szczególnego nawiedzenia dostępują *hounsis*, pomocnicy kapłanów i kapłanek, ale zdarza się ono też „zwykłym” wiernym. Innymi słowy — wierni zbierają się na nabożeństwach, odprawiają właściwe rytuały, składają wota i modlą się do swoich świętych, którzy mają przekazać te prośby bogu. Chrześcijanom, a zwłaszcza katolikom, taka procedura nie powinna być obca.

Problem z mitami na temat voodoo, na który zwracają uwagę badacze tej tradycji, polega na tym, że ludzie z zewnątrz często myślą ją z występującymi na jej obrzeżach ludowymi praktykami i obyczajami, które istotnie należałoby zaliczać raczej do magii (białej lub czarnej), a nie do religii, do czego zresztą może przyczyniać się to, że niektórzy *houngo* i *mambo* istotnie takie praktyki uprawiają. Ta magia (*bo* lub *juju* w języku Joruba) obejmuje chociażby — to chyba najslawniejszy przykład — tworzenie zombie, czyli „żywych trupów”. W rzeczywistości jednak, jak możemy przeczytać między innymi w *Encyclopedia of Death and Dying*, nie ma w tym nic magicznego, tylko sprytne wykorzystanie naturalnych, ekstrahowanych z ryb toksycznych substancji zawierających tetrodotoksynę, której podanie wywołuje objawy bliskie śmierci klinicznej. Potem ofiarę można wybudzić, ale dochodzi do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu i otruty pozostaje „pozbawiony woli, pamięci i świadomości” (Ackerman, Gauthier 1991, 474). Na ludziach nieświadomych działania toksyny istotnie mogło czynić to wrażenie czarów, niemniej trzeba pamiętać, że nie ma to nic wspólnego z samą religią.

Jeszcze większym nieporozumieniem jest utożsamianie voodoo z tzw. laleczkami wudu. Tego typu praktyki, to jest wykorzystywanie czyjegoś wizerunku do działań magicznych (początkowo w białej magii, w kulturze masowej wyłącznie do szkodzenia komuś, czyli w czarnej magii), w ogóle mają już bardzo niewiele wspólnego z oryginalnym haitańskim voodoo, bowiem narodziły się w Stanach Zjednoczonych (i to dopiero w XX wieku) w wyniku połączenia wierzeń haitańskich z uprawianą w Luizjanie (delta Missisipi) magią *hoodoo*. Sami kapłani voodoo (również nowoorleańskiego) wyraźnie się od takich praktyk dystansują jako sprzecznych, jak mówią, z „holistycznym” charakterem tej religii. Dla prawdziwych jej wyznawców voodoo to sposób życia, którego kluczowym elementem jest służba duchom (loa), które w zamian chronią człowieka, zapewniając mu zdrowie i zamożność. Elementem tej służby jest lojalność i szczodrość wobec bliźnich. Ten, kto krzywdzi bliskich, nie wypełnia swoich obowiązków wobec bogów (duchów) i spotka go za to kara. Zarazem jednak „loa nie uczą moralności.

Zapewniają opiekę i potęgę [...] Wszelkie nieszczęścia są przynajmniej po części winą tego, na kogo spadły, bo ten ktoś sam nie potrafił bronić się skutecznie”, jak mówi kapłanka voodoo *mambo* Racine Sans Bout (Grey 2000).

Powszechność krzywdzących dla voodoo mitów skłoniła grupę naukowców z University of California w Santa Barbara do utworzenia organizacji KOSANBA, której celem jest obrona jego dobrego imienia. Organizacja ta apeluje między innymi, by przynajmniej w publikacjach naukowych posługiwać się oryginalnym określeniem „vodou” dla właściwego podkreślenia różnic między samym systemem religijnym a kojarzonymi z nim ludowymi obrzędami.

CZAROWNICE CZCZĄ SZATANA

Czarownice nie bez powodu tak się ekscytują sukcesem Harry'ego Pottera. Ten cykl był wielkim prezentem dla ich „rzemiosła”. Nic dziwnego, że pewien czarnoksiężnik w wywiadzie dla „USA Today” tak się rozpyływał nad powodzeniem, jakie ten cykl zyskał na całym świecie.

All Witchcraft Is Satanic!, jesus-is-savior.com

Wyraźnie słyhać w powyższym cytacie obawę, że powodzenie takich książek jak cykl o Harrym Potterze czy filmów w rodzaju „Twilight” — i moda na tego typu motywy w kulturze masowej — to znacznie więcej niż tylko problem (często nie najwyższego lotu) rozrywki. Takie książki czy filmy są niebezpieczne, słyszymy, bo w ten sposób diabeł wodzi na pokuszenie współczesną młodzież (i nie tylko). Jeśli „nie nosisz w sercu Jezusa”, wyjaśnia portal jesus-is-savior (i setki podobnych), wtedy „zadajesz się z diabłem”. A szatan ma dziś w ręku wiele narzędzi: „horoskopy, astrologię, tarota, czary, czarną magię, spirytyzm, jasnowidzów, czytanie z dłoni, przepowiadanie przyszłości, jogę, medytację, New Age, nekromancję, moc mistrzów joda, chiński zodiak, zaklęcia, cudowne eliksiry i bransoletki etc.”. Diabeł używa czasem, jak zostajemy ostrzeżeni, pozornie zupełnie niewinnych środków, by ściągnąć ludzi na swoją służbę, bowiem „jest genialnym kłamcą”.

Wiara, że czary to w zasadzie to samo, co satanizm, była praktycznie powszechna w Europie u progu nowożytności i stąd szybko trafiła do amerykańskich kolonii. To od szatana właśnie, jak powszechnie wierzono, czarownice czerpią swą moc. Na przykład po serii procesów o czary, jakie miały miejsce w Lancashire, całe hrabstwo obwieszone zostało afiszami tryumfalnie informującymi o „cudownym wykryciu plagi czarownic w hrabstwie Lancaster”. Znalazł się na nich również rysunek przedstawiający cztery budzące wstręt kobiety tańczące wokół czarnej, męskiej postaci obdarzonej potężnymi rogami, pazurami i spiczastym ogonem, a nad tym wszystkim latają jeszcze trzy kolejne monstra (historię procesu i wiele podobnych przedstawień można znaleźć na stronie www.pendlewitches.co.uk). Z dziewiętnastu „wiedźm”, których imiona podano do wiadomości publicznej, dziesięć zostało powieszonych. Oskarżyciele kierowali się biblijnym nakazem „Nie pozwolisz żyć czarownicy” (Wj 22,17).

Atlantyk oczywiście nie był — przynajmniej według chrześcijan — żadną przeszkodą dla szatana, więc i w amerykańskich koloniach rozpętały się poszukiwania jego sług. Najgłośniejszy chyba fragment amerykańskiej odslony polowania na czarownice to słynny przypadek „czarownic z Salem”. Ta przerażająca historia wydarzyła się w Massachusetts w latach 1692–1693. Stan ten zamieszkiwali wówczas głównie purytanie, którzy święcie wierzyli, że czarownice podpisują pakt z diabłem, co pozwala mu przejąć ich ciała i pod tą postacią czynić krzywdę pobożnym ludziom. Wykryli więc purytanie całą wielką diabelską konspirację, która objęła zresztą nie tylko Salem, ale też pobliskie Ipswich i Andover. Zatrzymano i poddano przesłuchaniom, a potem oskarżono ponad dwieście osób, głównie oczywiście kobiet.

Według szacunków współczesnych historyków w latach 1400–1800 odbyło się około osiemdziesięciu tysięcy procesów o czary, a liczba skazanych na śmierć (głównie kobiet) mogła sięgnąć nawet pięćdziesiąt tysięcy. W takich procesach oskarżyciele posługiwali się kilkoma typami „dowodów”. Oskarżona mogła chociażby dostać jakieś szczególne zadanie do wykonania. Na przykład kazano jej wyrecytować Modlitwę Pańską, a jeśli odmówiła lub pomyliła się choć w jednym słowie, było to uznane za dowód na to, że jest czarownicą. Często golono też zatrzymane (całe ciało), aby się przekonać, czy kobieta nie ma jakichś ukrytych znamion lub pieprzyków — to też stanowiło dowód, bowiem, jak wierzano, przez takie miejsca szatan może wejść do ciała. Oczywiście ważne były też zeznania świadków — choćby sąsiedzi mogli stwierdzić, że jakieś nieszczęście, które ich ostatnio spotkało, to efekt czaru rzuconego przez podsądną. Istotne były też „dowody widmowe” — purytanie wierzyli na przykład, że szatan tylko za czyjąś wiedzą i zgodą może przyjąć jego postać. Wystarczyło, że ktoś stwierdził, że był świadkiem takiego „opętania”, a już było jasne, że mamy do czynienia z czarownicą. No i rzecz jasna liczyło się też przyznanie do winy. Co ciekawe, w procesie czarownic z Salem te, które się przyznały, zyskały na tym — co prawda uwięziono je i przesłuchiwało, by wydobyć zeznania przeciw innym czarownicom (cztery w wyniku tych przesłuchań zmarły, nie doczekawszy procesu), ale przynajmniej żadna nie została skazana na śmierć. Natomiast z dwudziestki, która się nie przyznała, dziewiętnaście osób powieszono (większość skazanych stanowiły stare kobiety), a jedną (osiemdziesięcioletniego mężczyznę) zmiażdżono między dwoma wielkimi kamieniami. Na szubienicę trafiły też dwa psy. Też się nie przyznały.

Przywódca nowoangielskich purytanów Cotton Mather, skądinąd syn prezydenta Harvard College i słynnego kaznodziei Increase’a Mathera, korzystał w czasie procesu w Salem z pomocy trzech, a według niektórych źródeł nawet pięciu sędziów. Po egzekucjach władze kolonii Massachusetts poprosiły go o wyjaśnienie całej sprawy na piśmie. Powstała wtedy książka *The Wonders of the Invisible World*, w której Mather wyjaśnia między innymi, że szczególnie groźni i zatwardziali byli ci, którzy się nie przyznali; ich najmocniej potępia. O jednej z zamordowanych wówczas kobiet, Bridget Bishop, pisze, że „jakkolwiek nie udało się dowieść jej uprawiania czarów, było to oczywiste dla wszystkich obserwatorów”. O kolejnej powieszonej (Susannie Martin) czytamy, że była to „jedna z najbardziej zuchwałych, wulgarnych i niegodziwych istot, jakie stąpały po ziemi” (Mather 1693).

Chociaż to procesy czarownic z XVII wieku zyskały największą sławę, praktyka ta zaczęła upowszechniać się w Europie już pod koniec XV wieku. Wielkie „zasługi” na tym polu położył papież Innocenty VIII, który w roku 1486 wysłał dwóch dominikanów, Henryka Kramera i Jakuba Sprengera, by „zbadali” docierające do Rzymu pogłoski, jakoby na ziemiach niemieckich czciciele szatana rozmnożyli się niepomiernie i powszechne stało się rzucanie zaklęć, powodowanie poronień i niszczenie płonów, a również wielu innych krzywd doznawać mieli od nich pobożni chrześcijanie. Dokument, który stworzyli w efekcie ci dwaj zakonnicy, nie był jednak w istocie raportem dla papieża, opisującym jak czarownice służą szatanowi, a bardzo obszernym podręcznikiem, szczegółowo instruującym, jak je wykrywać, przesłuchiwać i skazywać. Mowa oczywiście o słynnym *Malleus Maleficarum*, czyli *Młocie na czarownice*. Wkrótce dzieło to zostało opublikowane i udostępnione szerokiej publiczności.

Książka składa się z trzech części. Pierwszą nazwać można teoretyczną, bowiem autorzy rozwiewają w niej wszelkie wątpliwości co do istnienia czarownic, a tych w Kościele było bardzo wiele. Choćby sam święty Augustyn twierdził, że tylko Bóg może zawiesić działanie praw natury, zatem ktokolwiek myśli, że szatan (albo czarownice) posiada nadnaturalne moce, błędzi. W VIII wieku św. Bonifacy dodał jeszcze do tego, że wiara w czarownice jest pogańska i nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem. Te poglądy zdominowały niemal całe średniowiecze — cesarz Karol Wielki nie był jedynym władcą, który

zarządził, by palenie czarownic uznać za zbrodnię zasługującą na karę śmierci jak każde okrutne morderstwo. Kramer i Sprenger musieli więc przeciwstawić się bardzo wybitnym chrześcijańskim autorytetom i uczynili to z wielkim zaangażowaniem, opisując wiele znanych sobie przypadków, kiedy to czarownice, działając w służbie szatana i korzystając z jego nadprzyrodzonych mocy, krzywdziły niewinnych katolików. Wyjaśniali też, że diabeł największą moc wykazuje w sferze seksualnej i dlatego tak łatwo mu uwieść kobiety, a gdy już jakaś mu się odda, zostaje czarownicą. Wiadomo przecież, tłumaczyli uczeni dominikanie, że popęd seksualny u kobiet jest silniejszy niż u mężczyzn i dlatego całe czarownictwo „wywodzi się z żądzы cielesnej, która u kobiet zawsze jest niezaspokoјona”.

W części drugiej *Młota na czarownice* autorzy analizują obyczaje czarownic i stosowane przez nie zaklęcia oraz jak im przeciwdziałać, w trzeciej natomiast mamy już szczegółowy opis technik przesłuchiwania. Warto zauważyć, że całe dzieło poświęcone jest wyłącznie tępieniu czarownic (o mężczyznach-czarownikach nie wspomina), ale w końcu autorzy wyjaśniają, że kobiety jako bardziej pożądliwe łatwiej wpadają w sidła szatana.

Przez kolejne dwa stulecia jedynie Biblia osiągnęła większe nakłady niż dzieło wielebnych ojców dominikanów Kramera i Sprengera. Tylko do roku 1530 ukazało się 13 reprintów i ponad dwadzieścia nowych wydań. Niewykluczone, że tę wielką popularność książka zawdzięczała również niewątpliwym walorom rozrywkowym. Przeczytajmy choćby poniższy fragment:

A co mamy myśleć o tych czarownicach, o których powiadają, że kolekcjonują męskie organy i to w wielkiej liczbie nieraz. Jak słyszeliśmy, mają ich nawet po dwadzieścia lub trzydzieści i trzymają je w ptasim gnieździe lub skrzynce, żywiąc owsem i pszenicą, a te biegają sobie niczym żywe stworzenia, jak opisywali liczni świadkowie. Niektórzy mówią, że to wszystko złudzenie, diabelską mocą uczynione, i mamienie zmysłów. Jeden człek opowiadał nam jednak, że gdy stracił swego członka, udał się po prośbie do znajomej więdzmy. Ta dała mu się ubłagać i wskazała drzewo, na które kazała mu wejść, znaleźć gniazdo, gdzie je trzyma, i wybrać sobie któryś. Człowiek ów uczynił, co mu powiedziano, i istotnie znalazł w gnieździe kilkanaście wijących się organów, gdy jednak chciał wybrać największy, usłyszał głos czarownicy, że tego akurat wziąć nie może, bo to księdza proboszcza. (*Malleus Maleficarum* cz. II, rozdział VII, pyt. I)

Zgodnie z opisanymi w dominikańskim podręczniku technikami badania podejrzanych o czarownictwo najpierw trzeba kobietę rozebrać do naga, ostrzyć włosy i ogolić (wszędzie!), żeby znaleźć znamiona świadczące o relacjach z diabłem. Gdy tą metodą jednoznacznych dowodów nie udało się znaleźć, należało przejść do tortur i wydobyć przyznanie się do winy (różne formy tortur zostały bardzo szczegółowo opisane). Jest też jeszcze wiele innych ciekawych zaleceń — na przykład, by na proces prowadzić czarownice do budynku sądu tyłem, żeby nie mogły rzucić klątwy na sędziów.

W każdym razie przez ładnych kilka stuleci *Młot na czarownice* był dla chrześcijan głównym źródłem wiedzy o czarownicach i ich obyczajach. Tymczasem, jak pokazują badania historyczne, zaprezentowana tam wizja jest fałszywa nawet w odniesieniu do tych kobiet, które w czasach przednowożytnych wierzyły, że potrafią uprawiać czary. Magia nie miała nic wspólnego z satanizmem.

Również współcześni wyznawcy wicca (płci oboјga) uznają zarzucanie im jakichkolwiek związków z szatanem za absurdalne, chociażby dlatego, że aby być satanistą, trzeba wierzyć w istnienie diabła, a to czysto *chrześcijańska* idea (przynajmniej w Europie), wicca natomiast — która ma co najmniej kilkaset tysięcy wyznawców i w wielu krajach jest oficjalnie uznaną religią, mającą status taki sam jak wszystkie inne wyznania — odwołuje się do znacznie starszych od chrześcijaństwa pogańskich tradycji europejskich. Jest wyznaniem dość zróżnicowanym, nie ma nawet między jej wyznawcami zgody co do tego, czy istnieje wielu bogów, czy jeden wielki bóg i jedna wielka bogini. Ten wielki bóg (Rogaty Bóg), uznawany przez niektóre odmiany, istotnie na niektórych wizerunkach ma rogi, co chrześcijanom mogło się kojarzyć z diabłem, ale zapewne po części dlatego, że niewielu z nich zdaje

sobie sprawę, iż taki jego wizerunek jest bardzo późnego pochodzenia. Rogaty diabeł ze spiczastym ogonem pojawił się w chrześcijańskiej ikonografii, i to raczej w sztuce ludowej, dopiero w średniowieczu. Ani w Biblii, ani w poważnych pracach teologicznych nie ma ani słowa o tym, by miał mieć on rogi, kozie kopyto lub trzymać widły.

W odróżnieniu od chrześcijaństwa i wielu innych religii wicca nie ma też żadnych świętych ksiąg, ujednoczonego wyznania wiary, teologów i heretyków. Jeśli o różnych jej nurtach można powiedzieć coś wspólnego, to że są kultem natury i uznają wszelką boskość za immanentny składnik natury właśnie, a nie nadnaturalnych, transcendentnych sił. Dlatego większość obyczajów i rytuałów oraz świąt podporządkowana jest cyklom natury — choćby zniwom i równonocy.

Wikanie odwołują się, co prawda, do różnych dawnych tradycji (w tym religii starożytnej Grecji i Rzymu, kultów germańskich, a nawet słowiańskich), ale też nie przeczą, że sporą rolę w „kodyfikacji”, o ile można tak powiedzieć, ich religii odegrał emerytowany brytyjski urzędnik Gerald B. Gardner, który zebrał i spisał całą tradycję „czarowstwa”. Ze względu na obowiązujące wówczas w Wielkiej Brytanii prawo zabraniające uprawiania czarów jego kluczowe książki — *Witchcraft Today* i *The Meaning of Witchcraft* — mogły się ukazać oficjalnie dopiero w roku 1951, kiedy przepisy te zniesiono. Z prac Gardniera, które akceptowane są przez praktycznie wszystkie nurty wicca, jasno wynika, że jest to religia misteryjna, kładąca duży nacisk na obrzędy inicjacyjne, ale w żadnym ze swoich aspektów nie odwołująca się do żadnego bytu, który w czymkolwiek przypominałby chrześcijańskiego diabła.

I jeszcze jedno — istotnie w jednej z odmian wicca występuje też zrytualizowana magia seksualna, a podczas sabatu najwyższy kapłan i najwyższa kapłanka odbywają stosunek seksualny. W innej tradycji niektóre rytuały odprawiane są nago, acz większość pozostałych stosuje raczej długie i powłóczyste szaty. Ani jedno, ani drugie nie ma jednak nic wspólnego z wyimaginowanym seksem diabła z czarownicami.

RASTAFARIANIE TO NAŁOGOWI MARIHUANIŚCI

Rastafarianie piszą do Snoop Liona: „Palenie trawki nie robi z Ciebie rastafarianina”.

„Newswire”

Jednym z bardzo popularnych w Stanach Zjednoczonych w latach 90. XX wieku raperów był pochodzący z Los Angeles Calvin Broadus Jr., powszechnie znany jako Snoop Dog. Dziś już, jak możemy dowiedzieć się z jego strony internetowej, to nie Snoop Dog, a Snoop Lion. O tej przemianie opowiada film *Reincarnated*, w którym „w oparach dymu Andy Capper z magazynu „Vice” towarzyszy Snoop Dogowi w jego pielgrzymce na Jamajkę i duchowej oraz wizerunkowej i komercyjnej transformacji w Snoop Liona, artystę muzyki reggae” (Netflix 2014). Jak widać jednak z cytatu, który posłużył nam za motto, niektórzy przynajmniej są dość sceptyczni co do autentyczności nowego wcielenia Snoop Doga. Trudno się dziwić — doskonale wiadomo, że Snoop od dawna gustował w marihuanie. Podejrzenia, że cała jego „reinkarnacja” to tylko wybieg, by móc jeszcze częściej sięgać po trawkę, są całkiem naturalne. Do grona sceptycznych wobec szczerości intencji eksrapera można zaliczyć też Ethio-Africa Diaspora Union Millennium Council (czyli Rasta Millennium Council — Milenijną Radę Rasta). Według dziennikarzy „The Guardian” Rada zagroziła nawet Snoop Dogowi pozwem, jeśli nie przestanie się on posługiwać przydomkiem „Lion”. „Palenie trawki, miłość do Boba Marleya i muzyka reggae to nie są wyznaczniki autentycznej kultury rasta” (Petridis 2013) — czytamy w oświadczeniu instytucji reprezentującej amerykańskich rastafarian. Nie ulega wątpliwości, że skojarzenie marihuany i Marleya z rastafarianizmem jest nader powszechne. Niestety znacznie mniej

powszechna jest wiedza o tym, czym naprawdę rastafarianizm jest.

Przede wszystkim sami rastafarianie nie używają tej nazwy, uznając ją za obraźliwą. Poprawne określenie to „ruch Rastafari”, co stanowi odniesienie do jego założyciela rasy (księcia) Tafariego (Makonnen). Urodzony w 1892 roku książę Tafari był potomkiem królewskiej rodziny etiopskiej — wywodzącej swoje pochodzenie od króla Salomona i królowej Saby — w roku 1930 został koronowany na cesarza Etiopii pod imieniem Hajle Sellasje, co oznacza „Potęgą Trójcy” w amharskim, języku urzędowym Etiopii. Etiopczycy byli w tym czasie w olbrzymiej większości wyznawcami chrześcijańskiego Etiopskiego Kościoła Prawosławnego (etiopskiej ortodoksji).

W początkach XX wieku na Jamajce aktywną działalność w obronie praw jej czarnoskórych mieszkańców, potomków sprowadzonych do Ameryki niewolników, rozwijał kaznodzieja Marcus Garvey. Zyskał spore grono zwolenników i w roku 1914 utworzył organizację Universal Negro Improvement Association (UNIA), która rozszerzyła swoją działalność na Stany Zjednoczone i uruchomiła liczne inicjatywy społeczne oraz gospodarcze (w tym własne pismo „Negro World” i połączenie okrętowe z Afryką — Blackline). Garvey na kilka lat przeniósł się nawet do Stanów, gdzie na bieżąco zarządzał działalnością UNIA, ale skłócił się z innymi przywódcami czarnej społeczności i w dodatku odsiedział dwa lata w więzieniu za oszustwa (choć jego zwolennicy twierdzą, że zarzuty były sfalszowane i w rzeczywistości był więźniem politycznym rządu Stanów Zjednoczonych). Ostatecznie na Jamajkę i do działalności kaznodziejskiej powrócił w roku 1927. W kazaniach jednoznacznie odwoływał się do przesłania o wyższości „czarnej rasy” i zapowiadał jej świetlaną przyszłość oraz powrót do Afryki jako do Ziemi Obiecanej. Wielokrotnie głosił też swoim słuchaczom, że wkrótce koronowany zostanie „afrykański król” („Patrzcie na Afrykę, gdzie koronę włoży wkrótce czarny król — dzień zbawienia jest bliski” (Gallagher, Ashcraft 2006, I, 111) — powtarzał). Gdy rasy Tafari został koronowany w roku 1930, zwolennicy Garveya dostrzegli w swym kaznodziei proroka. A kiedy jeszcze cesarz Hajle Selasje kazał się nazywać Zwycięskim Lwem Plemienia Judy (to stąd „Lion” u Snoop Doga i pretensje przywódców ruchu rasta) i Wybrańcem Bożym, Jamajczycy, wyznawcy nowej religii, uznali, że jego koronacja jest nie tylko spełnieniem proroctwa Garveya, ale też wypełnieniem proroctw biblijnych, jak choćby apokaliptycznego: „Przestań płakać: Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy, Odrośl Dawida” (Ap 5,5). Hajle Sellasje był dla nich nowym mesjaszem.

Sam cesarz publicznie dystansował się i od swojej boskości, i od mesjaństwa, wysłał nawet na Jamajkę misjonarzy Prawosławnego Kościoła Etiopii, niemniej nie przeszkodziło to widzieć w nim zbawiciela oraz tego, który wkrótce wyzwoli Afroamerykanów z przymusowej diaspory i otworzy przed nimi perspektywy godnego życia w rodzinnej Afryce. Na Jamajkę wybrał się dopiero wiele lat później, w 1966 roku. Przyjmowany tam jako mesjasz, spotkał się ze starszyzną ruchu rasta i w pewnym stopniu pod jego wpływem nastąpiła jego wyraźna deradykalizacja i uniwersalizacja — wyciszono na przykład jednoznacznie rasistowskie przesłanie (głoszące supremację czarnej rasy, rzecz jasna).

Współczesny ruch rasta jest bardzo specyficzną tradycją religijną, choćby z tego powodu, że większość jego zwolenników unika jakichkolwiek instytucjonalnych afiliacji (część natomiast posłuchała apeli Hajle Sellasje i, będąc rasta, należy też do Kościoła etiopskiego). Ruch rastafari nigdy zresztą nie był scentralizowaną religią i dla większości swoich wyznawców pozostaje nadal bardziej „stylem życia” niż skodyfikowaną wiarą (choć Marcus Garvey takie „przykazania” usiłował nawet tworzyć), aczkolwiek kluczowym elementem owego „stylu” pozostaje wiara w jednego, miłosiernego Boga Jah oraz w jedność wszystkich ludzi.

Ważnym elementem filozofii rasta jest też wegetariańska dieta i zakaz spożywania produktów przetworzonych, ale też mleka, kawy i alkoholu. Zwłaszcza ten ostatni jest w tym kontekście istotny,

uznany jest bowiem za wynalazek białych ludzi (Babilonu) służący zniewoleniu czarnych. „Babilon” to oczywiście kolejne biblijne odwołanie („Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi”, Ap 17,5) — pojęcie to symbolizuje w religii rastafarian wszystko, co najgorsze, a zwłaszcza chciwość i okrucieństwo białych, które ściągnęło na Afrykanów i ich potomków tyle nieszczęść. Powszechność biblijnych odniesień w tej religii zaowocowała nawet stworzeniem własnej wersji Biblii — *Holy Piby*, znanej też jako *Black Man's Bible*. To dzieło Roberta Athlyi Rogersa opublikowane po raz pierwszy w roku 1924 jest według wielu rasta jedyną autentyczną wersją chrześcijańskiej Biblii, a jak ważna to dla nich lektura może świadczyć to, że znaczną część swoich tradycji i obyczajów uzasadniają właśnie biblijnymi cytataми. Stąd na przykład nieobcinanie włosów — wszak w Księdze Liczb czytamy: „Przez cały czas trwania nazireatu nożyce nie dotkną jego głowy. Dopóki nie upłynie okres czasu, na który poświęcił się Panu, będzie święty i ma pozwolić, by włosy jego rosły swobodnie” (Lb 6,5). Mniej jasne jest już pochodzenie słynnych rastafariańskich „dredów”. Nawet etymologia samej nazwy „dreadlock” jest niejasna — niektórzy twierdzą, że to z racji lęku (*dread* to po angielsku strach), jaki odczuwali biali na widok czarnych z taką fryzurą, ale można też spotkać się z opinią, że to odniesienie do bojaźni samych rasta przed gniewem bożym.

Kiedy cesarz Hajle Sellasje przybył na Jamajkę w roku 1966, był przez członków ruchu rasta witany jako mesjasz i wcielenie Jah (poprzednim wcieleniem był według nich Chrystus). Część rastafarian wierzy zresztą do dziś, że to nieprawda, iż ich mesjasz zginął podczas zamachu stanu w 1974 roku. To tylko oszukańcza plotka rozpuszczana przez „Babilon”. W rzeczywistości żyje, ukrywa się gdzieś w Afryce i powróci w chwale w Dzień Sądu.

Zresztą wszystkie najważniejsze święta ruchu rasta nadal wiążą się właśnie z „Lwem Judy” — przypadają na rocznicę jego urodzin, koronacji i wizyty na Jamajce. Prawdą jest też, że większość uroczystości rozpoczyna się od wspólnego palenia marihuany, ale to przywiązanie do „świętego zieleń” rastafarianie również uzasadniają treściami Biblii — Pismo mówi przecież: „Każesz rosnać trawie dla bydła i roślinom, by człowiekowi służyły” (Psalm 104,14; szczegółowe uzasadnienie roli i kultowych funkcji marihuany samych rastafarian można znaleźć na stronie: www.earthcultureroots.com/rastafarism.html). Tyle że palenie marihuany nie jest celem samym w sobie ani nawet głównym elementem religijnych spotkań. To raczej narzędzie, które ma pomóc wiernym żyć tak, jak oczekuje od nich Jah — w pokoju z bliźnimi oraz z szacunkiem dla godności każdego człowieka. Jak śpiewał Bob Marley, ikona ruchu rasta, w utworze *Get Up, Stand Up*, uznawanym niemal za religijny hymn:

Most people think,
Great god will come from the skies,
Take away everything
And make everybody feel high.
But if you know what life is worth,
You will look for yours on earth
And now you see the light:
Stand up for your rights. Jah!

[Większość ludzi myśli, że wielki bóg zstąpi z niebios, zabierze wszystkim wszystko i sprawi, że wszyscy będą szczęśliwi. Lecz jeśli wiesz, ile warte jest życie, sam zatroszczysz się o swoje na Ziemi. Teraz już widzisz światło. Wstań i walcz o swoje prawa, O, Jah!]

Właśnie wolność i godność (oraz zdrowy tryb życia) pozostają w centrum religijnego wyzwania ruchu rasta. Istotnie można powątpiewać, czy raper Snoop Dog szczerze przyswoił sobie te wartości.

A tak na marginesie. Marihuana jest nadal nielegalna w olbrzymiej większości krajów świata, nawet na Jamajce — jak dotąd tylko włoskim rastafarianom udało się wywalczyć prawo do legalnego jej używania podczas uroczystości religijnych. Sama religia doczekała się jednak pełnego uznania w roku

1996, gdy ruch rastafari — jako International Rastafari Development Society — otrzymał status doradczy przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

UNITARIANIE UNIWERSALIŚCI MOGĄ WIERZYĆ, W CO CHCĄ

Unitarny uniwersalizm to jedno wielkie oszustwo! Jak ktokolwiek może twierdzić, że wierzy w Boga, kiedy nie wiadomo W CO wierzy? Czy Bóg może być nieokreślony? Każdy, kto mówi coś takiego, odrzuca Słowo Boże (a to ono definiuje Boga). To wyjątkowo dziwna religia, która nie ma żadnych wspólnych wierzeń. Oni zgadzają się tylko w tym, że wszystko uchodzi. To tragedia — nie można wierzyć we wszystko, w co się chce.

Unitarny Uniwersalizm obnażony, Stewart, online

Tradycje religijne, o których mówiliśmy w tej części książki, rozwijały się w zasadzie poza judaizmem, chrześcijaństwem i islamem lub przynajmniej na ich pograniczach. Unitarny uniwersalizm jest pod tym względem wyjątkiem, albowiem narodził się w samym sercu chrześcijaństwa, w okresie reformacji, a członkowie tego Kościoła wywodzą jego uniwersalizm (czyli wiarę, że wszyscy zostaną zbawieni) z prac wielkich teologów wczesnego chrześcijaństwa — Orygenesusa i Klemensa z Aleksandrii. Kościół Unitarian Uniwersalistów (Unitarian Universalism, w skrócie UU) powstał w roku 1961, kiedy połączyły się założona w roku 1825 Unitarian Association i działająca od roku 1866 Universalist Church of America.

Unitarianie Uniwersaliści w wielu kwestiach różnią się od innych chrześcijańskich denominacji głównego nurtu. Odrzucają na przykład doktrynę Trójcy Świętej, czyli przekonanie, że Bóg jest jeden, ale w trzech osobach. Jezus, jak przyjmują, być może był wielkim nauczycielem i moralistą i miał szczególne związki z bogiem, ale sam nie był bogiem i tak jak każdy człowiek nie istniał, nim się narodził. Ci uniwersaliści, którzy w ogóle wierzą w osobowego Boga, uważają, że jest on jednością — stąd unitaryzm (napisaliśmy świadomie „ci, którzy wierzą”, bo ponad połowa z amerykańskich unitarian deklaruje się jako ateści bądź agnostycy — to też zdecydowanie odróżnia ich od reszty chrześcijan). Kościół ten odrzuca też kluczową dla chrześcijaństwa doktrynę grzechu pierworodnego — przekonanie, że grzech popełniony przez Adama i Ewę obciąża wszystkich ich potomków, czyli wszystkich ludzi.

Jakkolwiek Uniwersalny Unitarianizm nie uznaje boskości Jezusa, wielu członków tego Kościoła widzi w nim wielkiego religijnego nauczyciela, który przyniósł boski przekaz. Ci, którzy idą dalej i uznają się za chrześcijan, mogą działać w ramach Unitarian Universalist Christian Fellowship (UUCF). Również nieuznający autorytetu Biblii mają liczne możliwości — od odwołującego się do idei humanistycznej Humanist Unitarian Universalist Association (HUU, czyli HUUmanists) po sięgający do pogańskich korzeni Covenant of Unitarian Universalist Pagans (CUUPS). To wewnętrzne zróżnicowanie unitarian to kolejna rzecz, która zdecydowanie różni ich od chrześcijańskiego mainstreamu — w tej tradycji nie ma żadnego obligatoryjnego *credo*, czegoś w rodzaju *Kredo Nicejskiego* czy *Westminsterskiego wyznania wiary*. Mimo to jednak sami unitarianie zdecydowanie zaprzeczają, jakoby nie mieli żadnych wierzeń lub każdy członek tego Kościoła mógł sobie wierzyć, w co chce. Twierdzą jedynie, że dla nich ważna jest w religii moralność — czyli to, jak ludzie odnoszą się do siebie — a nie teologia. Po bardzo długich deliberacjach i wielkim nakładem pracy Unitarian Universalist Association zdołała nawet sformułować przekonania, które są wspólne wszystkim jej uczestnikom. Tak powstało Siedem Zasad, określających kluczowe wartości tej wspólnoty:

- wrodzona wartość i godność każdej osoby ludzkiej
- sprawiedliwość, równość i współczucie w relacjach międzyludzkich
- akceptacja każdego człowieka i wspieranie rozwoju duchowego w naszych kongregacjach

(zborach)

- wolność w odpowiedzialnym poszukiwaniu prawdy i sensu
- wolność sumienia i demokratyczne procedury w naszych kongregacjach i w całym społeczeństwie
- pokój, wolność i sprawiedliwość dla wszystkich jako cel społeczności światowej
- szacunek dla współzależnej sieci istnień, której jesteśmy częścią.

Unitarianie uniwersaliści znajdują inspirację w najróżniejszych tradycjach religijnych: żydowskiej, chrześcijańskiej, muzułmańskiej, ale też w buddyzmie, taoizmie, konfucjanizmie i w innych światopoglądach. Na oficjalnej stronie internetowej The Unitarian Universalist Association of Congregations (<http://www.uua.org/beliefs/principles/index.shtml>) można znaleźć takie oto wyjaśnienie wielebnej Kathleen Rolenz, duchownej tego wyznania, skąd tak szeroki zakres poszukiwań: „W toku naszej historii poruszaliśmy się w rytm tajemnic i cudów, prorocत्व i mądrości, nauk starożytnych i współczesnych, a wreszcie samej natury”. Dalej na tej samej stronie mamy też bardziej szczegółowo wyliczone źródła „żywej tradycji” unitarnego uniwersalizmu:

- Bezpośrednie doświadczenie transcendencji tajemnicy i cudu, afirmowanych we wszystkich kulturach, co prowadzi nas do odnowienia duchowości i otwartości na moce, które stworzyły i podtrzymują życie
- Słowa i czyny prorokiń i proroków, którzy wzywają nas, by siłom i strukturom zła przeciwstawiać się sprawiedliwością, współczuciem i transformującą potęgą miłości
- Mądrość religii świata, które są dla nas inspiracją etyczną i duchową
- Judeochrześcijańskie nauczanie, które każe nam za miłość Boga dziękować miłością bliźniego
- Humanizm, który uczy, by słuchać rozumu i poznawać osiągnięcia nauki oraz ostrzega przed bałwochwalstwem ducha
- Spirytualne nauki tradycji odwołujących się do natury i ziemi, które celebrują święty cykl życia i uczą żyć w harmonii z rytmami natury.

Jak widać choćby z tej listy, nie jest tak, by unitarianie uniwersaliści mogli wierzyć we wszystko. Mają bardzo określone przekonania na wiele kwestii i akceptują w swoim gronie tylko tych, którzy wyznają zbliżone zasady moralne oraz intelektualne. Nie zostanie przyjęty do tej wspólnoty nihilista, który odrzuca wszelką moralność i ogólnoludzkie ideały, nie zmieści się w niej również ktoś, kto wierzy, że zbawienie można osiągnąć tylko w jednym Kościele, nie ma w niej miejsca dla rasistów, neonazistów, seksistów, którzy odmawiają kobietom prawa głosu...

To, że unitarianie uniwersaliści nie dyskryminują ludzi o odmiennych przekonaniach, nie oznacza, że sami sobie nie narzucają bardzo wysokich standardów.

VII. MITY O TRADYCJACH RELIGIJNYCH DALEKIEGO WSCHODU

- Hinduizm to jeden system wierzeń
- Budda dla buddystów jest bogiem
- „Śmiejący się Budda” to Budda

WPROWADZENIE

Jak wyjaśnialiśmy już w Rozdziale 2., pojęcie „religia” w różnym stopniu pasuje do różnych kultur. Doskonale nadaje się na przykład do opisu współczesnego chrześcijaństwa, którego praktycznie wszystkie denominacje charakteryzują się tym, że (1) można wskazać typowe dla nich wierzenia i praktyki i (2) wyodrębniają sferę *sacrum*, która wyraźnie różni się od pozostałych aspektów życia. Żaden z tych dwóch warunków nie jest co prawda spełniony w przypadku tradycji religijnych Wschodu, kiedy jednak Europejczycy zaczęli poznawać tradycje i wierzenia religijne Indii czy Dalekiego Wschodu, w naturalny sposób przyjmowali, że tutejsze wyznania muszą przypominać ich własne. Ten kulturowy imperializm mieszkańców Europy jest głównym źródłem niektórych mitów omówionych poniżej. Pozostałe to z kolei skutek niezrozumienia przez europejskich badaczy i podróżników tego, jak funkcjonuje religia w zupełnie odmiennych kulturach Wschodu.

HINDUIZM TO JEDEN SYSTEM WIERZEŃ

„Hinduizm to nie religia. To styl życia”. Coś takiego można dziś usłyszeć praktycznie zawsze, gdy młodzi ludzie rozmawiają o kulturze hinduizmu i Indiach.

Veylanswami, 2013

Autor powyższych słów wyjaśnia w dalszej części tekstu, z którego cytat zaczerpnęliśmy, że twierdzenie, jakoby hinduizm nie był religią, jest po prostu fałszywe. Co więcej, jak pisze: „Żaden myślący człowiek nie powinien poważnie potraktować takich dywagacji. To kompletna głupota, mimo pozornej atrakcyjności”.

W Stanach Zjednoczonych (acz nie tylko) to kwestia o wyjątkowym znaczeniu, bowiem związki wyznaniowe dysponują szczególnymi przywilejami finansowymi, w tym zwolnieniem z podatku, i pan Veylanswami wypowiadał się w tym właśnie kontekście, niemniej jednak nawet historycy i religioznawcy, których kwestie podatkowe raczej nie interesują, ostrzegają, by terminem „hinduizm” posługiwać się ze szczególną ostrożnością. Przede wszystkim nie ulega wątpliwości, że hinduizm na pewno nie jest religią w takim znaczeniu, w jakim jest nią na przykład chrześcijaństwo — nie istnieje żaden dookreślony system wierzeń i praktyk religijnych, który akceptowaliby wszyscy ludzie nazywani hinduistami. Nie jest też tak, by przekonania uznawane za właściwe dla hinduizmu można było określić jako jednoznacznie religijne, w odróżnieniu od tych, które odnoszą się do „życia świeckiego”. W kulturze Indii taki podział nie istnieje, a przynajmniej dalece nie jest on tak ostry, jak na Zachodzie.

Słowo „hinduizm” wywodzi się z „Hindu” — to perskie (i arabskie) określenie ludzi żyjących na wschód od Indusu, rzeki dzielącej dziś praktycznie na pół (muzułmański głównie) Pakistan. Pierwotnie nie miało ono żadnego kontekstu religijnego ani ideologicznego, albowiem odnosiło się wyłącznie do geografii — miejsca zamieszkania. Obszary, na których żyli Hindusi, przez Persów nazywane były Hindustanem, przez Arabów — al-Hind. Kiedy sami mieszkańcy tych ziem posługiwali się terminem „Hindu”, również mieli na myśli tylko to, że tu się urodzili — w odróżnieniu od obcych najeźdźców. Nie określał on żadnej religijnej tożsamości (O’Connell 1973). To dopiero Europejczycy zaczęli nazywać Hindusami tych wszystkich „tubylców”, którzy nie byli chrześcijanami (ani muzułmanami bądź żydami), tym samym nadając mu religijne znaczenie. Poprzez język angielski termin wszedł do innych języków europejskich już z tym religijnym bagażem i nikomu nie przeszkadzało, że wśród Hindusów — mieszkańców subkontynentu indyjskiego — jest też wielu wyznawców sikhizmu i dżinizmu, a te religie mają ze sobą niewiele wspólnego. Dziś sytuacja nieco się zmieniła i już nikt nie mówi o Sikhach czy dżinistach „Hindus” (w znaczeniu „hinduista”; choć w języku angielskim *Hindu* to nadal i Hinduś — mieszkaniec Indii i/lub wyznawca hinduizmu — przyp. tłum.). Za wyróżnik hinduizmu przyjmuje się natomiast uznawanie autorytetu hinduistycznego odpowiednika świętych ksiąg religii monoteistycznych, czyli Wed.

Wedy to w istocie nie jedna księga, a olbrzymi (kilkukrotnie przerastający objętością chrześcijańską Biblię) zbiór tekstów z bardzo różnych czasów i o bardzo różnej tematyce. Według wyznawców Wedy to odwieczna wiedza o całym świecie, objawiona wieszczom-poetom. Jej źródłem, tak jak źródłem wszystkiego, jest brahman. Cztery jej najważniejsze (bo uznawane za najstarsze i najświętsze) księgi to: Rygweda („wiedza hymnów pochwalnych” (ryć)), składająca się z 1028 hymnów ułożonych w dziesięć mandali, Jadźurweda („wiedza formuł ofiarnych” (jadźus)), Samaweda („wiedza śpiewów ofiarnych” (saman)) oraz Atharwaweda, czyli „wiedza zaklęć magicznych” — zbiór formuł magicznych, zaklęć i egzorcyzmów, najpóźniej włączony do kanonu.

W hinduizmie występuje bardzo wiele bardzo różnych bytów boskich. Część z nich to personifikacja sił natury (ognia, burzy, nieba), inne mają charakter osobowy, ale i w tym przypadku występują znaczące różnice w stosunku do pozostałych religii, bowiem to samo imię może oznaczać coś (albo kogoś) zupełnie innego w różnych tradycjach religijnych. Na przykład Szakti (Śakti) to czasem bogini-pramatka, a czasem szczególna moc, jaką dysponują mężczyźni reprezentanci hinduskiego panteonu. W jednej z tradycji Szakti (znana też jako Devi) jest z kolei najwyższym bóstwem. Część bogów hinduizmu uznawana jest tylko lokalnie, niektórzy jednak zyskali ogólne uznanie — na przykład Ganeśa, „pan zastępów”, przedstawiany najczęściej pod postacią czterorękiego mężczyzny z głową słonia, znany jest szeroko nawet poza obszarami zamieszkiwanymi przez hinduistów.

W każdym razie według niektórych szkół w hinduizmie jest nawet trzysta trzydzieści milionów (!) bogów, choć na przykład w Rygwedzie, najstarszym fragmencie Wed, wymienionych jest ich tylko trzydziestu trzech — jednym z nich jest Djaus Pitar, „ojciec niebios”. On i jego małżonka Prythiwi są prarodzicami ludzi i aniołów (dewa) — a religioznawcy od dawna wskazują na podobieństwo tej pary do Uranosa i Gai z mitologii greckiej. Oczywiście nie wszyscy bogowie hinduizmu są równie potężni ani równie ważni. Najważniejsza trójka — Trimurti — stanowi w hinduizmie wyobrażenie trzech aspektów boga w formach Brahmę, Wisznu i Śiwy. Każda z postaci ma określoną rolę do odegrania w cyklu życia Wszechświata: Wisznu go stwarza, Brahma utrzymuje, a Śiwa unicestwia. Każdy z tej trójki ma też partnerkę-boginię, która niemal nie ustępuje mu statusem...

Kluczowe znaczenie ma jednak to, iż wiara w bogów, nawet tych najpotężniejszych, nie jest podstawowym wymiarem hinduizmu (dlatego niektórzy religioznawcy nazywają go wręcz religią ateistyczną). Obok starszych tekstów wedyjskich podstawowym zbiorem pism ważnych dla tej tradycji

są Upaniszady. Te zaliczane też do wedyjskiego objawienia (śruti) — mimo że najpóźniejsze, bo pochodzące z VIII–III w. p.n.e. — utwory (również uznawane za wywodzące się z boskiego objawienia) składają się na swoisty traktat religijno-filozoficzny, zawierający rozwinięcie hinduistycznych doktryn brahmana, atmana, transmigracji (samsara) i karmana. To z kolejnych upaniszad właśnie wyznawcy hinduizmu mogą się dowiedzieć, że wszyscy bogowie, podobnie zresztą jak i ludzie, w istocie nie są niezależnymi bytami, a jedynie manifestacją odwiecznej i ostatecznej rzeczywistości — brahmana.

Upaniszady uznawane są za kwintesencję nauk wedyjskich i ten, kto w drodze trwającej nieraz całe życie nauki, doświadczenia i kontemplacji zdoła pojąć ich głębię, zostanie uwolniony od ograniczeń indywidualnej, materialnej egzystencji, wyzwolony z cyklu ciągłych ponownych narodzin (samsara) i zjednoczy się z odwieczną rzeczywistością.

Nauki wedyjskie mają oczywiście bardzo wielu interpretatorów (a nowe upaniszady powstają i w czasach współczesnych) i obrosły bardzo licznymi komentarzami. Brak zgody nawet co do tego, czy brahman jest bogiem, czy czymś znacznie więcej, wyrastającym poza i ponad wszelką boskość, która dopiero jest jego emanacją. Można wręcz usłyszeć, że Ostateczna Rzeczywistość (brahman zatem) jest czymś tak odmiennym, że słowa nie mogą jej przedstawić, a zbliżyć się do niej można jedynie przez określone praktyki (joga), połączone z etycznym życiem, kontemplacją i medytacją.

Niezależnie jednak od tego, o której hinduistycznej tradycji mówimy, wszystkie uznają istnienie tej (niewypowiedzianej) ostatecznej rzeczywistości, a co za tym idzie stałość i nieomyłość praw rządzących kosmosem oraz powiązanie ze sobą wszystkich istniejących bytów. Ma to już określone konsekwencje w codziennym życiu, bowiem takie powiązanie oznacza, że każde działanie (i zaniechanie) człowieka i każde zdarzenie ma wpływ na cały kosmos. Dobre i moralne postępowanie — okazywanie szacunku bogom i boginiom, studiowanie świętych tekstów, medytacja i kontemplacja, ale i należyte wywiązywanie się z obowiązków wobec rodziny — przynosi dobre skutki i dla całego Wszechświata, i dla tego, kto czyni dobrze, na przykład przybliża perspektywę uwolnienia się z cyklu ciągłych ponownych narodzin. Niecne uczynki i zachowania, motywowane chciwością lub tchórzostwem, przynoszą przeciwny efekt. Działać zgodnie z kosmicznym prawem to czynić dobro. Nie przypadkiem słowo *dharma* oznacza i „obowiązek”, i „kosmiczne prawo” (*karma* odwołuje się z kolei do zależności między przyczyną a skutkiem — czynami a losem człowieka).

Te dharmiczne i karmiczne elementy wspólne są całej hinduistycznej tradycji, podobnie jak szacunek dla odwiecznej wiedzy zawartej w Wedach (sanskryckie słowo „wedy” oznacza „wiedzę” i „mądrość”). To właśnie łączy wszystkich wyznawców hinduizmu, a nie wspólnie uznawani bogowie, rytuały czy *credo*. Ale to zupełnie wystarcza, by uznać hinduizm za w pełni równoprawną religię. Jak zauważył Simon Weightman (1998, 264), to poczucie tożsamości i samoidentyfikacja hinduistów czynią z ich świata „autonomiczne religijne uniwersum, choć przejawiające się w wielkim bogactwie form”.

BUDDA DLA BUDDYSTÓW JEST BOGIEM

Oszukiwani tak samo jak rzymscy katolicy, buddyści wierzą — i tak są uczeni — że w istocie nie czczą samego Buddy, a tylko, tak twierdzą, „modlą się” do jego posągów. Prawda jest jednak taka, że nie tylko modlą się do nich, ale też oddają im religijną cześć.

Buddha Devil Worship, Stewart, 2011

Jak pamiętamy z Rozdziału 1., ludzie, którzy znają tylko zachodnie monoteizmy, sądzą zwykle, że kult osoby boskiej stanowi istotę wszelkiej religii. Gdy zatem Europejczyk albo Amerykanin znajdzie się w Pekinie i widzi tam 34-metrowej wysokości posąg Buddy, myśli, że to musi być tutejszy bóg. A jeśli jeszcze słyszał — a to nierzadkie głosy — że jest wyraźne podobieństwo między losami i naukami

Buddy i Jezusa, a przecież Chrystus jest dla chrześcijan bogiem... Pewne analogie istotnie można wskazać — obaj najpierw zgromadzili wokół siebie niewielką grupę uczniów (ta jednak z czasem rosła), którzy po ich śmierci stali się misjonarzami i ponieśli nauki swoich mistrzów w świat. Nowi wyznawcy wznosili świątynie, a w nich stawiali posągi i wieszali obrazy — odpowiednio Jezusa i Buddy — niektórzy zostawali kapłanami, inni mnichami... Na tym jednak podobieństwa się kończą. Chrześcijanie ostatecznie uznali, że Jezus *był* bogiem. Buddyści w Buddzie widzą *tylko* wielkiego nauczyciela obdarzonego „wielką duszą” (i dlatego wnoszą mu tak wielkie posągi); nauczyciela, który uczył ludzi, jak radzić sobie z cierpieniem w życiu.

Budda to zresztą nie imię (podobnie jak nie jest imieniem Chrystus), tylko tytuł — słowo to oznacza „Przebudzony” lub „Oświecony”; różnie bywa tłumaczone. Człowiek znany dziś pod imieniem Budda naprawdę nazywał się Siddhartha Gautama i żył w Indiach w V w. p.n.e. Pochodził z królewskiej rodziny i był wychowywany na następcę tronu. Zgodnie z buddyjską tradycją już przed jego narodzinami pojawiły się przepowiednie, że będzie wielkim władcą lub wielkim przywódcą religijnym. Jego ojciec pragnął jednak, by syn odziedziczył po nim tron, dlatego chował go w luksusie, z dala od wszelkich trosk życia codziennego i ludzkich nieszczęść, te bowiem mogłyby, jak sądził, zwrócić go ku religii. Siddharacie znaleziono nawet żonę, piękną księżniczkę, ale to nie pomogło i w wieku dwudziestu kilku lat młody książę porzucił ojcowski dwór. Chciał dowiedzieć się, jak żyją normalni ludzie, a gdy na zewnątrz pałacowych murów zetknął się z wszechobecną nędzą, starością, chorobą i żalobą, zmieniło go to na zawsze. Zdecydował się opuścić dwór i rodzinę oraz poświęcić się poszukiwaniu lekarstwa na cierpienie.

Po tej decyzji Siddhartha Gautama spędził długie lata, pobierając nauki u największych nauczycieli hinduizmu, wchłaniając ich mądrość i wiedzę, poznając ich praktyki i obyczaje oraz stosując je — również najdalej posuniętą ascezę. Nic jednak nie ukoilo w nim cierpienia, które niezmiennie odczuwał, i wreszcie uznał, że niczego więcej już się nie dowie od kolejnych nauczycieli — usiadł pod drzewem i postanowił, że będzie siedział i medytował, póki sam nie znajdzie rozwiązania. Tak też uczynił i po pewnym czasie istotnie doznał oświecenia. Wstał już jako „przebudzony”. Wtedy, jak głosi tradycja, poznał źródło cierpienia i dowiedział się, jak mu zaradzić — stał się Buddą. Jak pamiętamy z Rozdziału 2., nauki Buddy opierają się na zasadzie „Czterech Szlachetnych Prawd”, zgodnie z którymi życiu nieuchronnie towarzyszy cierpienie, źródłem cierpienia jest pożądanie (pragnienie, przywiązanie...), cierpienia można uniknąć jedynie rezygnując z pragnień, a drogą do tego jest Szlachetna Ośmioraka (albo Ośmiostopniowa) Ścieżka:

- właściwy pogląd — czyli rozumienie świata,
- właściwe zamierzenie — czyli dążenie do pozbycia się pragnień,
- właściwa mowa — bez kłamstwa, gniewu, ale ze współczuciem,
- właściwe działanie — pokojowe i uczciwe,
- właściwy sposób życia — bez krzywdzenia jakiegokolwiek żywej istoty,
- właściwy wysiłek — stałość i konsekwencja w działaniu,
- właściwa uważność — z uwagą obserwować wszystko, co się dzieje, oraz własne działania,
- właściwa koncentracja — na własnej sytuacji, działaniach i odczuciach.

Innymi słowy (i w znacznym uproszczeniu oczywiście), tylko żyjąc w prostocie i ubóstwie oraz okazując współczucie wszelkim istotom, człowiek może nauczyć się akceptować życie takie, jakim jest, uniknąć cierpienia i odnaleźć spokój. Tyle mówiły pierwsze nauki Buddy i takiej właśnie lekcji udzielił on swoim najbliższym uczniom, pięciu ascetom, którzy mu towarzyszyli. To oni właśnie stworzyli potem pierwszą buddyjską wspólnotę mnichów — sanghę — i oni ponieśli jego nauki w świat. Tyle że w odróżnieniu od chrześcijańskich apostołów, a potem misjonarzy, pierwsi buddyści nie mówili nic

o żadnym Bogu ani bogach. Uczyli innych, skąd bierze się cierpienie i jak go unikać.

Z czasem buddyzm rozprzestrzenił się niemal w całej Azji. Przez pierwsze wieki większość wspólnot starała się jak najwierniej trzymać oryginalnych nauk Buddy. Ta tradycja — do dziś bardzo silna w takich krajach jak Sri Lanka, Myanmar, Tajlandia, Kambodża i Laos — znana jest dziś jako therawada, co oznacza „doktryna starszych” (używana jest też błędna nazwa „hinajana” („niższy wóz”, „gorszy wóz”). Około pięciuset lat po śmierci swojego założyciela buddyzm zaczął też zdobywać bardzo silną pozycję w innych krajach regionu, trafił do Chin, a potem do Korei i Japonii. Tu narodziły się nowe idee i praktyki i tak powstał buddyzm mahajana („wielki wóz”). W tej tradycji pojawiają się już postacie o szczególnym znaczeniu religijnym („zbawcy”), zwani *bodhisattwami*. Wierni modlą się do nich, choć doskonale wiedzą, że ci wielcy też nie są bogami — to ludzie, tyle że obdarzeni szczególnymi przymiotami.

Buddyzm przejął z hinduizmu ideę reinkarnacji — buddyści wierzą, że ludzie przechodzą przez nieustanny cykl powtórnych narodzin, który przerwać może dopiero „przebudzenie”, gdy człowiek osiąga błogosławiony stan zwany *nirwaną*. *Bodhisattwa* to ktoś, kto doznał oświecenia, osiągnął nirwanę, ale kierując się współczuciem dla tych, którzy wciąż cierpią i skazani są na nieustanne reinkarnacje, zdecydował się zrezygnować z nirwany i nadal pomagać innym w osiągnięciu prawdziwego oświecenia. Jednym z najważniejszych bodhisattwów jest Awalokiteśwara, zwany też czasem „Buddą współczucia”. Mówi się, że żyje on w specjalnym niebie, do którego trafiają ci, którzy proszą go o pomoc. W Japonii takim wielkim bodhisattwą jest kobieta — Kannon. Ona też nie jest bogiem, choć turyści mogą tak myśleć, gdy widzą japońskich buddystów modlących się przed jej wielkimi posągami.

Wielką popularnością w Chinach cieszyła się w pewnym momencie buddyjska szkoła czystej krainy (znana też jako szkoła czystej ziemi). W szkole tej celem wiernych nie była już sama nirwana, ale Czysta Kraina — Zachodni Raj buddy Amitabhy (tak brzmiało jego imię w sanskrycie. W Japonii był to Amida). Już samo recytowanie imienia Amitabhy wystarczało do zbawienia — w pewnym sensie był więc on uważany za zbawcę, podobnie jak Chrystus przez chrześcijan, ale dla buddystów nadal nie był on bogiem, tylko jednym z buddów — oświeconych.

Wyrosłą z buddyzmu tradycją, która najdobitniej chyba ukazuje nieboskość samego Buddy, jest buddyzm zen. Mistrzowie zen wzorem Buddy (który uczył, że najlepszym mistrzem każdego człowieka jest on sam) podkreślają bardzo mocno, że nie należy przywiązywać uwagi nie tylko do majątku i pozycji społecznej, ale również do zastanych idei i symboli. Znana jest opowieść, jak mistrz Tanka (zm. 824) w środku mroźnej zimy dotarł do jednego z klasztorów i zastał tam mnichów marznących z powodu braku opału. Bez wahania podszedł do ołtarza, zdjął z niego drewniany posąg Buddy, porąbał na szczapki i rozpałił ogień, by się ogrzać. Inny mistrz zen tłumaczył swoim uczniom — „Jeśli spotkasz Budę, zabij go”.

Tak więc Budda jest założycielem jednej z najstarszych tradycji religijnych, ale nie jest bogiem. Na świecie są tysiące buddyjskich świątyń i pewnie miliony posągów oraz posążków Buddy. Ale to nie im buddyści oddają religijną cześć — one są tylko symbolem tej tradycji i przypominają wiernym o tym, czego uczył ich mistrz oraz kolejni buddowie. Mają stanowić inspirację dla wszystkich, którzy chcą podążać „Ośmioraką (Ośmiostopniową) Ścieżką”.

„ŚMIEJĄCY SIĘ BUDDA” TO BUDDA

Nieprzemijająca moda na Daleki Wschód — medytacje, feng shui i tym podobne — obejmuje też inne

kojarzone z buddyzmem zjawiska, choćby przedstawienia i posągi oraz posąжки samego Buddy. Problem w tym, że przynajmniej niektóre z nich z kanonicznym buddyzmem i z samym Buddą mają niewiele lub zgoła nic wspólnego. Najślynniejszy chyba, a na pewno najczęściej w świecie zachodnim spotykany jest posązek znany jako „Śmiejący się Buddha”, przedstawiający łysego, tłustego i szeroko oraz szczerze się uśmiechającego mnicha, często obarczonego jeszcze sporym workiem lub torbą. Taką statuetkę często można znaleźć na przykład w chińskich restauracjach oraz sklepach z upominkami, a naiwnym klientom personel opowiada, że śmiejący się Buddha to amulet przynoszący szczęście, zdrowie i pomyślność.

„Śmiejący się Buddha” po raz pierwszy pojawił się w Chinach. Tam nosił imię Budai — „Przyjacielski” lub „Kochający”. W Wietnamie znany jest jako Bo Dai, w Japonii — Hotei. Jest elementem tradycji ludowej, która uczyniła zeń patrona restauratorów i barmanów. Samo imię „Budai” tłumaczone bywa jako „parciany worek”, a to ze względu na worek (lub torbę), z którą zwykle Budai jest przedstawiany. W tym worku, jak głosi legenda, nosi jedzenie dla głodnych i łakocie dla dzieci — jest też patronem biednych i dzieci. Według historyków buddyzmu postać Budai wzorowana jest na buddyjskim mnichu (z tradycji zen) o imieniu Qieci, który żył w Chinach w okresie dynastii Song (to X wiek n.e., jakieś półtora tysiąca lat po Buddzie). Pogodny i jowialny Qieci w pewnym momencie poczuł, że ma dość klasztornej dyscypliny i wybrał życie wędrownego żebraka. Jego życzliwość dla ludzi i świata przeszła do legendy i istotnie gdzieś otoczył go niemal boski kult. Zresztą w niektórych tradycjach Budai nadal utożsamiany jest z bodhisattwą (czyli „przyszłym Buddą”) Majtreją, który ma pojawić się w odległej przyszłości, gdy, co zapowiedział Buddha, ludzie zapomną jego oryginalnego przesłania i pogrążą się w zazdrości i nienawiści, a świat niszczyć będą wojny, choroby i głód. Przepowiadany w Majtrejavjankarna „Przebudzony”, który objawi się w tych ciężkich czasach, by zbawić świat, istotnie został opisany jako olbrzym o potężnej posturze (40 metrów wysokości, 10 metrów obwodu w pasie), mądry, dobry i uśmiechnięty. Może to właśnie tusza i uśmiech sprawiły, że Budai stał się znany jako „śmiejący się Buddha”, choć nim nie jest.

VIII. MITY O NIEWIERZĄCYCH

- Niewierzący nic nie wiedzą o religii
- Niewierzący nie mają na czym oprzeć moralności
- Bez religii życie nie ma celu
- Ateizm jest tak samo wiarą jak religia
- Ateizm odpowiada za największe zbrodnie w historii ludzkości

WPROWADZENIE

Ktoś mógłby spytać, dlaczego w książce poświęconej mitom o religiach zdecydowaliśmy się zamieścić rozdział o ludziach, którzy nie są religijni, a zwłaszcza o takich, którzy jednoznacznie odrzucają istnienie boga — ateistach. Główny powód jest taki, że wierzący — przede wszystkim, acz nie tylko, chrześcijanie i muzułmanie — niewierzących postrzegają jako zagrożenie (a apostatów niektórzy nawet karzą śmiercią), na temat grup zaś, które uważane są za wrogie, ludzie zawsze tworzą mity. Zwykle nie dość, że nieprawdziwe, to jeszcze krzywdzące.

NIEWIERZĄCY NIC NIE WIEDZĄ O RELIGII

ATEIZM — to zupełnie jakby ryba uważała, że woda nie istnieje.

Atheism is Stupid (Sacerdotus 2013)

Większość wierzących jest pewna, że wie dużo o (swojej) religii, niewierzący natomiast nie mają pojęcia, czym ona jest. Liczne badania pokazują jednak, że takie przekonanie jest kompletnie fałszywe i to nawet w krajach tak religijnych jak Stany Zjednoczone. Przywołyaliśmy już w Rozdziale 4. książkę Stephena Prothero *Religious Literacy: What Every American Needs to Know — and Doesn't* (2007), z której możemy się na przykład dowiedzieć, że zdecydowana większość amerykańskich chrześcijan nie potrafi wymienić czterech Ewangelii albo że w testach wypełnianych na zakończenie szkoły średniej połowa uczniów jako prawidłową uznaje odpowiedź, że Sodoma i Gomora to... imię męża i żony. Jay Leno, prowadzący jeden z najpopularniejszych w Stanach Zjednoczonych programów telewizyjnych „Tonight Show”, nie dowierzał takim badaniom i postanowił kiedyś sprawdzić na żywo, jak to wygląda. Poprosił zgromadzoną w studio kilkusetosobową publiczność, by ktoś wymienił imię choć jednego z apostołów. Nikt się nie zgłosił (Hardiman 2001). Ignorancja religijna Amerykanów obejmuje też oczywiście inne wyznania — w teście przeprowadzonym z kolei w szkołach średnich tylko 36 procent uczniów wykazało się wiedzą, że ramadan to święty miesiąc dla muzułmanów. 17 procent uczestników wybrało odpowiedź: „żydowski dzień pojednania”. Jak podsumowuje swoje badania Prothero, „Amerykanie są narodem głęboko religijnym. Są też narodem kompletnych religijnych ignorantów”.

Taka „religijna ignorancja” nie jest zresztą wcale mniejsza w krajach znacznie bardziej niż Stany

Zjednoczone zlaicyzowanych. Jak wynika na przykład z badań Moriego (2003), tylko 55 procent Brytyjczyków potrafi wymienić imię choć jednego ewangelisty, a tylko niewiele więcej wie, jak się nazywa święta księga islamu. Jak pisze Crabtree, „Brytyjczycy, tak dorośli, jak dzieci, praktycznie nic nie wiedzą tak o chrześcijaństwie, jak i o innych religiach świata” (2007). Z opublikowanego w roku 2007 raportu poświęconego edukacji religijnej w brytyjskich szkołach możemy się dowiedzieć, że na poziomie podstawowym problemy wynikają z ignorancji samych nauczycieli, z kolei na wyższych z braku specjalistów, którzy tę wiedzę mogliby uczniom przybliżyć.

A jak to wygląda w przypadku niewierzących? Czy pod względem poziomu wiedzy (a raczej niewiedzy) o religii wyróżniają się na tle społeczeństw, w których żyją? Te kwestie od wielu lat bada Pew Research Center w ramach projektu Forum on Religion & Public Life, a wyniki, jakie publikuje, są dość szokujące. Otóż w raporcie z badań prowadzonych w roku 2010 możemy przeczytać, że... „ateiści i agnostycy [...] osiągnęli najwyższe wyniki w naszych badaniach sprawdzających wiedzę religijną. Liczba prawidłowych odpowiedzi na pytania z zakresu znajomości podstawowych nauk oraz historii największych religii świata była w tej grupie znacznie wyższa niż wśród ewangelikalnych chrześcijan, protestantów głównych nurtów i katolików”. Co ciekawe, lepszą znajomością religii (również chrześcijańskiej) niż sami chrześcijanie (tak protestanci fundamentalistycznych i bardziej liberalnych denominacji, jak katolicy) wykazali się też żydzi i mormoni. Badania Pew Research opierały się na kwestionariuszu zawierającym 32 dość podstawowe pytania dotyczące największych religii świata (część z nich można znaleźć na stronie: <http://features.pewforum.org/quiz/us-religious-knowledge/?q=16>). Średni wynik wyniósł 16 prawidłowych odpowiedzi. Średnia dla grupy ateistów i agnostyków wyniosła 20,9, minimalnie mniej dla żydów (20,5) i dla mormonów (20,3). Wyznawcy Kościołów protestanckich zmieścili się dokładnie w średniej, a najgorzej wypadli katolicy, którzy średnio udzielili tylko 14,7 prawidłowych odpowiedzi. Jak łatwo zauważyć, oznacza to, że ateiści i agnostycy znali odpowiedzi na o ponad 40 procent więcej pytań niż katolicy!

Gregory Smith, badacz z Pew Research Center’s Forum on Religion & Public Life wyjaśnia tę wyraźną korelację między niewiarą a znajomością problematyki religijnej tym, że wciąż jeszcze większość ateistów i agnostyków to ludzie, którzy byli wychowani w jakiejś tradycji religijnej, ale świadomie zdecydowali się od niej odejść. Taka świadoma decyzja wymaga wiedzy, od czego się odchodzi, której często niepraktykujący, bądź jedynie formalnie już tylko uznający się za członków wspólnot religijnych nie mają, gdyż nie jest im potrzebna. „Decyzja o odejściu od Kościoła oznacza zwykle, że ktoś o religii i wierze poważnie myślał”, czyli też rozwijał swoją religijną wiedzę — wyjaśnił dr Smith w wywiadzie dla CNN (2010).

NIEWIERZĄCY NIE MAJĄ NA CZYM OPRZEĆ MORALNOŚCI

Proszę tylko pomyśleć — przecież w ateizmie nie ma tak naprawdę dobra i zła. Nie ma moralnego „powinieneś” i „nie wolno ci”. Dlaczego? Bowiem jeśli ktoś usuwa z życia boga, usuwa jedyne kryterium, które pozwala ustalić moralną prawdę. W ateizmie moralność jest kwestią wyboru.

Failure of Atheism to Account for Morality (Slick, 2009)

Ateizm jest stygmatyzowany, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie wierzyć w boga to coś zupełnie innego niż nie wierzyć w UFO albo w duchy. Dla większości Amerykanów na przykład odrzucenie boga jest po prostu nieakceptowalne. W roku 2007 magazyn „USA Today” zlecił Gallupowi wykonanie ogólnokrajowych badań nad ateizmem. Przeprowadzono je za pomocą kwestionariusza zawierającego dziesięć pytań. Większość z nich miała strukturę taką jak poniższe:

Gdyby partia, której jesteś zwolennikiem, zgłosiła w wyborach prezydenckich kandydata o świetnych kwalifikacjach, który byłby _____, czy zagłosowałbyś na tę osobę?

Gdy w pustym miejscu pojawiało się określenie „katolik”, 95 procent respondentów odpowiadało, że tak. Z głosowaniem na żyda problemu nie miałyby 92 procent uczestników ankiety, nawet mormon nie sprawił problemu ponad 70 procentom. Gdy jednak ankierzy spytali o równie świetnie przygotowanego do pełnienia urzędu prezydenta kandydata ateistę, tylko 45 procent Amerykanów stwierdziło, że oddałoby na niego głos. 53 procent odpowiedziało, że kategorycznie nie (Goodnough 2012).

Ktoś mógłby uznać, że odpowiedź na pytanie w ankiecie to coś innego niż realne życie, ale przynajmniej w Stanach taka postawa przenosi się też na jak najbardziej realne zachowania wobec bliźnich. Oto jeden z licznych przykładów — w roku 2010 Jessica Ahlquist została uczennicą pierwszej klasy High School West w Cranston w stanie Rhode Island. Już pierwszego dnia rzucił jej się w oczy umieszczony na tablicy ogłoszeń w głównym hallu dwuipółmetrowej wysokości afisz zatytułowany „Szkolna modlitwa”. Modlitwa rozpoczynała się od słów „Ojcze Nasz”, a potem była skierowana do boga prośba, by każdego dnia obdarzał ludzi łaską dawania z siebie wszystkiego, bycia miłym dla innych *etc.* Jak się dowiedziała, „Szkolna modlitwa” wisiała w tym miejscu od roku 1963. Jessice jednak to się nie spodobało. Nie dlatego, by miała coś przeciwko wymowie modlitwy i zanoszonych w niej błaganiach, ale sama idea modlitwy była jej obca, bowiem dziewczyna była ateistką. „Czułam się tak — wyjaśniała — jakbym za każdym razem, przechodząc przez szkolny hall, słyszała: «To nie jest miejsce dla ciebie»”. Rodzice Jessiki, wspierani przez organizację obrony praw obywatelskich ACLU (American Civil Liberties Union), skierowali skargę do rady szkoły, żądając usunięcia modlitwy. Rada zorganizowała serię publicznych przesłuchań w tej sprawie. Jessica uczestniczyła we wszystkich i starała się wyjaśniać swoje racje. Uruchomiła też stronę na Facebooku, gdzie gromadziła zwolenników tego pomysłu. Ostatecznie rada szkoły zdecydowała się poddać kwestię pod głosowanie, które zwolennicy pozostawienia tablicy z modlitwą na swoim miejscu wygrali stosunkiem głosów 4:3. Wtedy oddział ACLU zaproponował Jessice, by z żądaniem jej usunięcia zwrócić się do sądu. Dziewczyna zgodziła się i w styczniu roku 2012 sprawa trafiła na wokandę. Ostatecznie sąd stanowy uznał jej rację, argumentując, że szkoła w Cranston jest szkołą publiczną i umieszczanie w niej symboli religijnych narusza konstytucyjną zasadę neutralności rządu w kwestiach religijnych (światopoglądowych). W międzyczasie natomiast w mieście rozpętała się kampania nienawiści wobec Jessiki. Grożono jej tak często, że policja zdecydowała się eskortować ją w drodze do szkoły i z powrotem. Trzy kwaciarnie w mieście odmówiły wysłania jej kwiatów, które jako wyraz poparcia chciała jej przesłać ateistyczna Freedom from Religion Foundation. W popularnym lokalnym radio Peter Palumbo, stanowy kongresman z okręgu Cranston, nazwał ją „małym szatanem”, a jeden z absolwentów High School West — „idiotką”. Dodał też, że nikogo w szkole do modlitwy się nie zmusza, a jeśli „ta idiotka” nie wierzy w siłę modlitwy, to „powinna też wyrzucić wszystkie pieniądze z portfela, bo przecież na każdym amerykańskim banknocie są słowa «In God we trust»” (Goodnough). Ostatecznie mimo nacisków mieszkańców rada szkoły zdecydowała się nie odwoływać od wyroku i w marcu 2012 roku tablica z modlitwą została usunięta.

Zdaniem wielu badaczy jedną z głównych przyczyn takiej nienawiści do niewierzących jest powszechność przekonania, że moralność ma korzenie wyłącznie religijne. Istotnie trudno zaprzeczyć, że jedną z głównych cech większości religii jest to, iż mówią one, co jest dobre, a co złe; stanowią, jak to się mówi, „moralny kompas”. Trzy monoteizmy Zachodu — judaizm, chrześcijaństwo i islam — głoszą wprost, że bóg dał człowiekowi przykazania (Prawo). „Dziesięć przykazań”, acz w nieco zmodyfikowanej formie, obowiązuje we wszystkich monoteizmach. Żydzi dodali do tego 613 szczegółowych micwot, muzułmanie uszczegółowili je do pięciu podstawowych farid (filarów wiary): wyznanie wiary, modlitwa, post, jałmużna i pielgrzymka, choć oczywiście przestrzegają też wszystkich

pozostałych szczegółowych nakazów i zakazów islamskiego prawa (szariatu). W każdym razie we wszystkich tych tradycjach źródłem moralności (i prawa) są słowa boga i jego proroków, a jeśli ktoś to akceptuje, zupełnie rozumiałe, że żywi też przekonanie, iż ktoś, kto nie uznaje boskiego autorytetu, nie uznaje też wywodzących się od boga norm pozwalających odróżnić dobro od zła. Nie ma moralności, mówiąc w skrócie. Takie przekonanie wyrażało wielu nie tylko religijnych myślicieli. Kalwin, jeden z najważniejszych przywódców reformacji, pisał: „Wiemy wszak, że w ludzkiej naturze tyle jest zła, że każdy natychmiast rzuciłby się wydtubać oczy bliźniemu, gdyby nie nałożono mu więzów”. Dwa wieki później Joseph Addison, angielski pisarz i filozof, uważany za jednego z prekursorów współczesnego dziennikarstwa, tak wyjaśniał, dlaczego ludzie powinni regularnie uczęszczać na msze:

To oczywiste, że nawet zacy ludzie szybko zmieniliby się w dzikusów i barbarzyńców, gdyby nie takie stałe rytuały, gdy cała wioska spotyka się w najlepszych intencjach i najlepszych humorach [...] i przypomniane zostają ludziom ich powinności, a potem wszyscy łączą się w adoracji Istoty Najwyższej.

Kolejne dwieście lat później Fiodor Dostojewski wkłada w usta Iwana Karamazowa, głównego bohatera powieści *Bracia Karamazow*, słynne słowa: „Jeżeli boga nie ma i nie ma życia po śmierci, to wszystko wolno”. Dzisiaj też, jak wiemy, takie deklaracje można usłyszeć nie tylko z ambon.

Tymczasem wielu filozofów i zdecydowana większość naukowców jest zdania, że to po prostu nieprawda. Steven Pinker (2008), psycholog z Uniwersytetu Harvarda, zwraca na przykład uwagę, że podstawowe normy moralne są bardzo podobne w praktycznie wszystkich znanych kulturach, niezależnie od dzielących je różnic religijnych. To podobieństwo można wyjaśnić jedynie odwołując się do ewolucji naszego gatunku. To właśnie ona nauczyła nas, że kłamstwo, kradzież i morderstwo są złe, a dbałość o członków rodziny — dobra. Dlatego właśnie wszystkie kultury respektują te wartości i włączają je do swoich kodeksów moralnych (ideologii społecznych), niezależnie od tego, czy owe ideologie wywodzą z religijnych, czy z pozareligijnych źródeł. Jak pokazuje Pinker, te spośród najwcześniej ukształtowanych wspólnot ludzkich, które funkcjonowały zgodnie z tymi wartościami, miały szanse lepiej się rozwijać, zatem trwały i rosły, a z czasem zdominowały całą planetę. Gdyby, wyjaśnia dalej, nawet powstały jakieś społeczności, które nagradzałyby kłamstwo, kradzież i zabójstwa, a karały solidarność z bliskimi, byłyby tak dysfunkcjonalne, że nie miałyby szans w konkurencji z grupami ludzkimi o moralności zbliżonej do naszej. Posiłkując się między innymi obszernymi badaniami prowadzonymi przez harwardzkiego psychologa Johna Haidta, Pinker wskazuje na pięć kluczowych zasad moralnych, obecnych praktycznie we wszystkich kulturach:

- Unikaj krzywdzenia innych
- Promuj sprawiedliwość — oddawaj przysługi, nagradzaj uczciwych, karz oszustów
- Bądź lojalny wobec własnej grupy
- Szanuj przywódców
- Zachowuj czystość (wierność)

Te pięć zasad, jak twierdzi, dawało przewagę w kulturowej i społecznej ewolucji. Dlatego przetrwały i dlatego stanowią dziś część naszego ewolucyjnego dziedzictwa oraz składnik naszych kultur.

Nie tylko prace psychologów i teoretyków moralności każą powątpiewać w rzekomą niemoralność ateistów. W końcu gdyby rzeczywiście tak było, mielibyśmy dowód w postaci statystyk — jako ludzie pozbawieni kręgosłupa moralnego ateści powinni popełniać więcej przestępstw niż chrześcijanie czy przedstawiciele innych wyznań. Tymczasem na przykład w Stanach Zjednoczonych jest wprost przeciwnie — ateści zdecydowanie rzadziej łamią prawo niż ich religijni bliźni. W amerykańskich więzieniach w roku 2008 spośród skazanych tylko 0,2 procent określiło się jako niewierzący. To

proporcja znacząco niższa niż w całej populacji (o dwa rzędy wielkości). Luizjana to stan o najwyższej proporcji praktykujących chrześcijan i zarazem o największej liczbie zabójstw — dwukrotnie wyższej od średniej krajowej. Z kolei w Vermont i Oregon, gdzie wierzących i praktykujących jest relatywnie mało, zabójstw też jest zdecydowanie mniej niż w innych stanach. Ta prawidłowość działa na całym świecie — spośród najbogatszych państw świata (zresztą nie tylko) najniższy wskaźnik zabójstw ma Japonia, gdzie zaledwie co dziesiąty obywatel deklaruje, że nie ma żadnych wątpliwości, iż jakiś bóg istnieje. Niemal równie niska przestępczość (przynajmniej jeśli mówimy o najcięższych zbrodniach związanych z użyciem przemocy) jest w Norwegii, Wielkiej Brytanii, Niemczech i Holandii, czyli w krajach, gdzie do silnej wiary przyznaje się średnio co trzeci mieszkaniec. Najbardziej religijnym krajem wśród najbogatszych państw świata są Stany Zjednoczone. Tu też są najwyższe statystyki przestępczości (Zuckerman 2009).

BEZ RELIGII ŻYCIE NIE MA CELU

Zostałeś stworzony przez Boga i dla Boga i póki tego nie zrozumiesz, twoje życie nigdy nie będzie miało sensu.

Rick Warren

Powyższe motto zaczerpnięte zostało z książki Ricka Warrena *Życie świadome celu: po co ja tutaj tak naprawdę jestem?*. Pastor Warren jest założycielem kościoła Saddleback w Lake Forest w Kalifornii — to od wielu lat jeden z największych amerykańskich kościołów, co tydzień gromadzący na mszach dziesiątki tysięcy ludzi. Książka *Życie świadome celu* zaś, której pierwsze wydanie ukazało się w roku 2002, błyskawicznie trafiła na listy bestsellerów i w 2003 roku jej nakład przekroczył trzydzieści milionów egzemplarzy — stała się nie tylko hitem w kategorii literatury religijnej, ale też najlepiej sprzedającą się książką na świecie!

Cytowane zdanie dr. Warrena to przewodnia idea całej jego książki — sławienie boga i jego dzieła, jak przekonuje czytelników Warren, to główny cel ludzkiego życia. Każdy musi znaleźć własny sposób, jak cel ten realizować najlepiej, i tak dopiero odnajdzie cel i sens własnego istnienia oraz źródło szczęścia. Dziesiątki, a może w sumie nawet setki milionów czytelników książek pastora Warrena i tysiące wiernych regularnie uczęszczających do jego kościoła to mocny dowód na to, że idea, iż człowiek został stworzony przez boga i dla boga, po to, by oddawać mu nieustanną cześć, naprawdę przemawia do ludzi. Zresztą nawet w wielu chrześcijańskich wyobrażeniach nieba również ci, którzy już tam trafili, zajmują się śpiewaniem religijnych hymnów i „chwaleniem Pana” już przez całą wieczność.

Rzecz jasna, jeśli ktoś nie wierzy w boga, tym bardziej nie wierzy w to, że został przez boga stworzony i to w jakimś konkretnym celu. Tyle że jeśli zgodzimy się z wielebnyim Warrenem w tym, że tylko bóg może nadać ludzkiemu życiu cel, musimy też zaakceptować fakt, że dla ateisty życie żadnego celu nie ma. Pytanie tylko, czy istotnie inaczej niż przez odniesienie do boga nie da się o celu życia rozmawiać. Spróbujmy sobie zatem wyobrazić na przykład ośmiolatkę, która od lat ćwiczy grę na wiolonczeli i wszyscy wróżą jej wielką przyszłość, mówiąc, że ma talent nie mniejszy niż Yo Yo Ma. Dzieciak decyduje, że muzyce poświęci całe swoje życie. Albo pomyślmy o studencie biologii, który już na pierwszym roku dokonuje ważnego odkrycia i postanawia poświęcić życie walce z rakiem. Czy naprawdę możemy powiedzieć, że ci młodzi ludzie nie mają celu w życiu? Nawet jeśli oboje są ateistami. Czy wiara w boga cokolwiek by w ich życiu zmieniła? Czy mieć cel w życiu nie oznacza po prostu, że istnieje jakaś idea, wokół której człowiek organizuje swój czas, plany i zamierzenia? Czy bycie wirtuozem lub odkrywcą leku na raka nie jest celem godnym pochwały, nawet jeśli ktoś nie wierzy w żadnego boga?

Rick Warren zapewne uznałby jednak, że bohaterowie naszych przykładów tak naprawdę *nie znaleźli* sobie celu w życiu. Pisze o tym wprost:

Poszukiwanie sensu życia jest dla ludzi problemem od tysięcy lat. To dlatego, że zwykle zaczynamy od złego miejsca — od siebie samego. Zadajemy sobie pytania: Kim chcę być?; Co powinienem zrobić ze swoim życiem? Jakie mam plany? Ambicje? Ale takie koncentrowanie się na sobie nigdy nie pozwoli odkryć prawdziwego sensu życia. (2002, 17)

W takich miejscach wielebny Warren jednoznacznie stwierdza, że prawdziwy „cel życia” musi być nadany z zewnątrz — przez boga — a nie przez tego, czyje życie ma definiować. Dlaczego jednak mamy się zgodzić na to ograniczenie? Zwykle, kiedy zastanawiamy się, w jakim celu człowiek podejmuje określone działania, przynajmniej dopuszczamy możliwość, że sam go sobie wybrał. Ba — nawet ją zakładamy. Gdybyśmy udali się razem na spacer i okazałoby się, że zabrałem ze sobą hantle i podnoszę je oraz opuszczam przy każdym kroku, a na pytanie: „Po co to robisz?”, odpowiedziałbym: „Żeby ćwiczyć mięśnie”, nie uznałabyś przecież, że to zła odpowiedź, argumentując, iż nie może to być *prawdziwy* cel moich działań, bo sam go wybrałem. Oczywiście doskonale wiemy, że to naiwny przykład, ale argumentacja pana Warrena jest równie naiwna — każdy może sam decydować o tym, dlaczego coś robi (jaki jest jej/jego *cel*). Ta sama reguła dotyczy również kategorii tak ogólnej jak cel życia. Warren ma oczywiście rację, że każdy może też żyć tak, jakby to bóg wyznaczył mu cel w życiu, ale to tylko *jedna z dróg*. Przynajmniej jeśli określenia „cel życia” używamy w powszechnie przyjętym znaczeniu, wtedy bowiem nie musi być on nadany z zewnątrz — człowiek też może wybrać go sam.

Możemy zresztą porównać ze sobą takie dwie drogi do posiadania celu w życiu, a wówczas pojawia się w naturalny sposób pytanie, która z nich jest lepsza. Inaczej — czy to rzeczywiście dobrze, jeśli o tym, po co żyjesz, zdecydował ktoś inny. Nawet jeśli tym kimś jest bóg. Czym bowiem tak naprawdę jest cel? To w pewnym przynajmniej sensie funkcja. Jaki jest cel młotka — to wbijanie gwoździ. A zmywarki i pralki — tu już sama nazwa zdradza zastosowanie. To jednak przedmioty stworzone przez człowieka, przejdźmy zatem do żywych stworzeń. Pomyślmy choćby o „celu” krowy. Krowa, każdy powie, powinna dawać mleko, a potem skończyć w garnku lub na patelni. Czy jesteśmy jednak pewni, że dla krowy takie życie — realizowanie celów wyznaczonych jej przez człowieka — jest dobre? Czy jej dzikim przodkom, niehodowanym przez człowieka, a żyjącym na swobodzie, powodziło się gorzej?

Przejdźmy teraz jeszcze krok dalej — do człowieka, który realizuje nie swoje plany, a zadanie, które zostało mu przydzielone. Gdybym na przykład podszedł do ciebie na przyjęciu, na którym przypadkiem się spotkaliśmy, i spytał: „Czym się tu zajmujesz?”, pytanie mogłoby się wydać niestosowne, a ty mogłabyś poczuć się obruszona. Tak jakbym zakładał, że nie znalazłaś się w tym miejscu z własnej woli i dla własnej przyjemności, ale bo musiałaś — na przykład pracujesz jako kelnerka albo sprzątaczką. Tymczasem jako gość nie masz przypisanego celu ani funkcji. Nie jesteś dla nikogo *narzędziem*. Takie porównanie człowieka do narzędzia może zabrzmieć dziwnie, ale to właśnie jest poziom argumentacji Ricka Warrena. Posłuchajmy zresztą:

Nie stworzyłeś sam siebie, więc po prostu nie możesz mieć pojęcia, po co zostałeś stworzony. Gdybym wręczył ci teraz jakieś urządzenie, którego nigdy wcześniej nie miałeś w ręku, też nie wiedziałbyś, do czego ono służy, a ono samo nie mogłoby ci tego powiedzieć. Tylko twórca — albo przygotowana przezeń instrukcja użytkownika — mogą odpowiedzieć na pytanie, do czego to urządzenie służy. Jaki jest jego cel. (2002, 22)

Wróćmy na chwilę do naszego przykładu z przyjęciem. Jak mówiliśmy, zapewne mogłabyś poczuć się skonsternowana, gdybym spytał: „Po co tu jesteś?”, ale pewnie wręcz byś się obraziła, gdybym dodał do tego jeszcze: „A po co w ogóle żyjesz?”, a w końcu taki naprawdę jest sens pytania o cel życia. Jest zresztą specjalne słowo — panu Warrenowi pewnie by się ono nie spodobało — które odnosi się

dokładnie do osoby, której „celem życia” jest realizacja celów wyznaczonych przez innych. To niewolnik. Moja pralka czy kosiarka należą do mnie, więc mogę używać ich tak, jak chcę. Właściciele niewolników uważali, że do nich należą istoty ludzkie, czyli też mogą używać ich tak, jak chcą. Przed wojną secesyjną gospodarka południa Stanów Zjednoczonych oparta była głównie o pracę niewolniczą i właściciele plantacji przeprowadzali szczegółowe kalkulacje, jak długo niewolnik może przeżyć w jakich warunkach. Tam, gdzie dominowała uprawa bawełny (w dorzeczu Missisipi), oszacowano, że niewolnik ma szansę przeżyć jakieś dwa lata, nim umrze z wycieńczenia albo z powodu chorób. Oczywiście gdyby traktowano tych ludzi lepiej i nie obciążano pracą ponad siły, oczekiwany czas życia mógłby być dłuższy, ale w tej sytuacji niewolnik nie wykonałby w ciągu jednego roku tyle pracy, ile od niego wymagano, a poza tym, gdyby żył dłużej, trzeba byłoby go dłużej karmić, co też kosztuje. Taka analiza kosztów może brzmieć okrutnie, ale jest czymś zupełnie naturalnym w ustroju opartym na niewolnictwie, gdzie jedni ludzie posiadają na własność innych i mają prawo wyznaczać im cel życia.

Oczywiście tacy ludzie jak Rick Warren, którzy wierzą, że człowiek celowe i dobre życie może zawdzięczać wyłącznie bogu, będą gorąco protestować przeciw porównywaniu boga do właściciela niewolników, ale jeśli ktoś odrzuca założenie istnienia wszechdobrego stwórcy, analogie stają się oczywiste. W końcu, jak pisze sam Warren, człowiek nie należy do siebie — wszyscy ludzie należą do boga (tak jak niewolnicy do swojego właściciela). Sami chrześcijanie zresztą posługują się dokładnie tym uzasadnieniem, wyjaśniając na przykład, dlaczego nie wolno popełnić samobójstwa — człowiek jest dziełem boga, mówią, i jego życie oraz ciało należą do boga, nie do niego. Ktoś, kto odbiera sobie życie, gwałci boże prawa. Prawo własności...

Zostawmy już może jednak spór z Rickiem Warrenem i podobnie doń myślącymi. Z ich argumentacją po prostu nie da się dyskutować, bowiem jest ona do przyjęcia wyłącznie dla kogoś, kto już wierzy, że istnieje nieskończenie dobry, wszechmocny i wszechwiedzący bóg, który stworzył człowieka i świat. Gdy ktoś to założenie odrzuca, dyskusja staje się niemożliwa — ateista czy agnostyk nie może posłuchać rady pana Warrena i przyjąć, że „prawdziwym” celem życia każdego człowieka jest oddawanie czci bogu i bycie mu posłusznym, bo po prostu przestałby być ateistą. Może natomiast — i większość niewierzących tak właśnie czyni — samemu znaleźć cel życia.

Nie udało nam się znaleźć badań, które mierzyłyby, czy ateści — i w jakim stopniu — uznają swoje życie za celowe. Trudno byłoby jednak raczej przyjąć, że miliard ludzi na świecie — a co najmniej tyłu jest ludzi niewierzących w żadnego boga — egzystuje, godząc się na to, że ich życie nie ma celu ani sensu. Łatwo zresztą wskazać przykłady choćby sławnych uczonych o niekwestionowanym wkładzie w rozwój światowej nauki, którzy od teizmu się bardzo mocno dystansowali. Karol Darwin, Maria Curie czy Albert Einstein to ludzie, bez których dorobku trudno wyobrazić sobie współczesną naukę — czy ktoś odważy się powiedzieć, że wiedli oni jałowe, bezcelowe życie? A to w końcu tylko trzy nazwiska z listy, którą można by ciągnąć przez kolejnych kilkadziesiąt stron.

Z celem życia związanym z boskim, a nie ziemskim porządkiem jest zresztą jeszcze parę innych problemów. Wielu etyków i filozofów zwracało uwagę choćby na to, że wiara w przyszłe życie i koncentracja na nagrodzie „w niebie” może mieć negatywne konsekwencje dla życia doczesnego. Na przykład Samuel Scheffler, filozof z New York University, w wydanej niedawno książce *Death and the Afterlife* stara się pokazać, że znacznie lepiej jest czerpać sens życia nie z tego, że czeka nas życie wieczne, lecz ze świadomości, że nasze życie kiedyś się skończy, natomiast inni — w tym nasi bliscy — będą żyli dłużej. Tymczasem ci, zwraca uwagę Scheffler, którzy wierzą w życie wieczne, często uznają, że to, które wiodą na ziemi, tak naprawdę nie ma znaczenia. Sens ma zatem dokładnie przeciwne podejście — jeśli człowiek akceptuje własną śmiertelność, ale pamięta też, że gdy jego już nie będzie, nadal będą żyli jego bliscy i przyjaciele, może odkryć dla siebie cel życia chociażby w tym, by

pozostawić im ten świat lepszym, niż go zastał.

ATEIZM JEST TAK SAMO WIARĄ JAK RELIGIA

Ateizm jest w każdym calu postawą o równie religijnym charakterze, jak chrześcijaństwo. To po prostu najnowszy wariant ludzkiej próby zabicia boga, wyrastający z resentymentów i nieumiejętności przyznania, że w istocie to nie człowiek rządzi światem i że bóg wzywa nas, byśmy podporządkowali mu swoje życie. Ateizm to nowe bałwochwalstwo, gdy człowiek cześć oddaje samemu sobie.

Arcybiskup Peter Jensen

Gdy zaczyna się dyskusja o ateizmie, często można usłyszeć argumenty, że to oczywiście prawda, iż nie można udowodnić, że bóg istnieje, ale przecież nie można też dowieść, że *nie istnieje*. A skoro tak — teiści i ateiści myślą podobnie. Jedni i drudzy uznają pogląd, którego nie można udowodnić, a przecież tym właśnie jest wiara.

Niektórzy przedstawiciele obozu teistycznego rozbudowują tę argumentację, przekonując, że wiara w Boga jest lepszym wyborem niż jego odrzucenie, bo przecież łatwo wskazać dowody na jego istnienie — choćby ewidentne zaprojektowanie otaczającego nas świata — trudno natomiast dowieść nieistnienia czegokolwiek. Zwłaszcza niewidzialnego i niematerialnego boga. Czasem ta argumentacja przyjmuje wręcz kuriozalne formy. Na przykład Norman Geisler i Frank Turek, autorzy książki *I Don't Have Enough Faith to Be an Atheist*, piszą tak oto:

[...] twierdzenia takie jak „Bóg istnieje” czy „Biblia mówi prawdę” są bez wątpienia oczywiste. Dlatego trzeba mieć znacznie więcej „wiary”, by NIE BYĆ chrześcijaninem, niż by nim być.

Phillip Johnson, autor notki na IV stronie okładki książki Geislera i Turka, tak ją rekomenduje: „Ateizm wymaga całych pokładów ślepej wiary, podczas gdy rozum i logika prowadzą nas prostą drogą do Ewangelii Jezusa Chrystusa”. Takich cytatów można by znaleźć jeszcze tysiące, poprzestańmy więc może na poniższym, zaczerpniętym z ewangelikalnej witryny Let Us Reason:

Niezależnie od tego, jak żarliwie sami zainteresowani będą temu przeczyć, ateizm jest li tylko opartym na wierze systemem przekonań. Wymaga nawet silniejszej wiary w to, że bóg nie istnieje, niż potrzebna jest chrześcijanom, by w niego wierzyć. Różnica polega na tym, że ateizm stworzył sobie świecki system przekonań (religię/filozofię), którego rdzeniem jest dogmat o nieistnieniu boga, a centralnym pojęciem natura. To, co Bóg stworzył, dla ateistów zastąpiło samego boga. Bez żadnych racjonalnych podstaw ateiści zmuszeni są przyjąć, że obdarzone indywidualnością, złożone organizmy same wyłoniły się z bezosobowego chaosu [...] Bycie ateistą wymaga wszechwiedzy — człowiek musiałby wiedzieć wszystko o wszystkim, by stwierdzić z całą pewnością, że nie ma boga. Musiałby osobiście zbadać wszystkie miejsca i wszystkie czasy w całym znanym i nieznanym, widzialnym i niewidzialnym Wszechświecie.

Argumentacja taka jak powyższa (o ile można ją tak nazwać) ma jedną zasadniczą wadę. Otóż autor (autorzy?) powyższych słów myślą nieprzyjmowanie założenia o istnieniu boga z przyjmowaniem założenia o jego nieistnieniu. Oczywiście są i tacy ateiści, którzy uznają za pewnik, że „bóg nie istnieje”. Tyle że inni — chyba większość — takiej pewności nie potrzebują. Im wystarczy, że *nie wierzą* w boga. To nie oparta na wierze pewność — i w pełni wystarcza, by być ateistą. Carl Sagan ładnie pokazał tę różnicę w powieści *Kontakt*, gdzie jedna z bohaterek, dr Ellie Arroway, stwierdza:

Pytanie: „Czy wierzysz w boga?” ma osobliwą strukturę. Jeśli odpowiem: „Nie”, czy mam na myśli, że nie jestem przekonana, że jakiś bóg istnieje, czy raczej, że jestem przekonana, że nie istnieje. Tak więc w istocie są to dwa odrębne pytania.

Wyobraźmy sobie zresztą jakieś żyjące w izolacji plemię, które nie czci żadnych bogów (antropologia zna takie przypadki). Nigdy o żadnych nie słyszało — również o bogu Biblii. Ci ludzie nie wierzą w boga (ani bogów), bo po prostu takich pojęć nie ma w ich języku. Ale też nikt z nich nie mógłby powiedzieć, że „wierzy/wie, że boga/bogów nie ma”. Czy oni są ateistami? Oczywiście we

współczesnym świecie praktycznie wszyscy dorośli słyszeli o bogu (i bogach). Bóg Abrahama, Jakuba i Izaaka ma miliardy wyznawców, Śiwa i Wisznu setki milionów, wikański bóg może setki tysięcy. Ale są też na świecie setki milionów ludzi, którzy w bogów nie wierzą. Według sondażu przeprowadzonego przez BBC w Wielkiej Brytanii już dziesięć lat temu deklarujących „nie wierzę w Boga” było prawie czterdzieści procent. Trudno powiedzieć ilu z tych ludzi zgodziłoby się też z twierdzeniem: „Nie ma boga”, niemniej już samo to, że „nie wierzą”, wystarczy, by uznać ich za ateistów. Pewnie część z nich przestała wierzyć w jakimś momencie życia, inni zostali wychowani przez niereligijnych rodziców i nawet, gdy później dowiedzieli się o bogu Biblii (bogach greckich, hinduskich i innych...), nic nie sprawiło, by uznali, że takie byty istnieją. Taki brak wiary, wypada powtórzyć, w to, że coś istnieje, nie jest jednak równoznaczny z wiarą, że coś istnieje. Inaczej mówiąc — ateista nie musi zgadzać się z twierdzeniem: „Ja wiem, że bóg nie istnieje”, ani nawet: „Wierzę, że bóg nie istnieje”. Choć oczywiście warto zauważyć, że w pewnym sensie oba te twierdzenia akceptują wszyscy żyjący na świecie ludzie. Do naszych czasów istniały już pewnie setki tysięcy religii. Dziś, jak podaje *Christian Science Encyclopedia*, jest ich około dziesięciu tysięcy (chrześcijaństwo ze swoimi czterdziestoma tysiącami denominacji jest jedną z nich). Jedną z odmian hinduizmu, jak już pisaliśmy wcześniej, uznaje, że bogów jest 330 milionów — wobec tych bogów wszyscy (poza tą jedną tradycją hinduizmu) są „ateistami”. Zresztą i chrześcijanie tak zaczęli. Jeden z pierwszych męczenników chrześcijaństwa, niejaki Polikarp, został skazany właśnie za „ateizm”, odmówił bowiem oddawania czci państwowym bogom Rzymu: Jupiterowi, Junonie i całej reszcie, bo w nich nie wierzył. Dziś z punktu widzenia rzymskiego panteonu cały świat to ateści.

Nikt nie wierzy też w Thora, najważniejszego z bogów w dawnych religiach Europy Północnej. Jesteśmy „a-Thorystami”. Czy jednak komukolwiek przyszłoby do głowy, by żądać od nas *dowodu*, że Thor nie istnieje? Nie! Dla większości ateistów ich niewiara jest takim właśnie „a-Thoryzmem” — brakiem wiary, że coś istnieje (i często brakiem zainteresowania), a nie nieuzasadnioną nawet na gruncie logicznym *wiarą w nieistnienie*.

ATEIZM ODPOWIADA ZA NAJWIĘKSZE ZBRODNIĘ W HISTORII LUDZKOŚCI

Ubiegłe stulecie próbowało bezbożności na wielką skalę i wiemy, jak tragiczne przyniosło to efekty: nazizm, stalinizm, pol-potyizm, masowe morderstwa, aborcja.

arcybiskup Peter Jensen

Ten mit jest logicznym (?) rozwinięciem mitu omawianego przez nas w Rozdziale 2., zgodnie z którym brak wiary oznacza automatycznie brak moralności. Istotnie, jeśli człowiek niereligijny nie ma i mieć nie może żadnego „kompasu moralnego”, to po ateistach można spodziewać się najgorszego. W takim kontekście zwykle najpierw pojawiają się nazwiska Hitlera i Stalina, a potem już do wyboru — Mao, Pol Pot, aborcja, *in vitro*...

W zrównywaniu ateizmu ze zbrodniczą niemoralnością lubują się zwłaszcza hierarchowie Kościołów chrześcijańskich. Zacytujmy może na dowód fragment wielkopiątkowego kazania anglikańskiego arcybiskupa Sydney, Petera Jensena:

Ubiegłe stulecie próbowało bezbożności na wielką skalę i wiemy, jak tragiczne przyniosło to efekty: nazim, stalinizm, pol-potyizm, masowe morderstwa, aborcja, zanik więzi międzyludzkich — to wszystko skutek narzuconego przez państwa ateizmu [...] Ateizm to najnowsza wersja ludzkiej próby zabicia boga. U jego źródeł tkwi resentment tych, którzy nie potrafią pogodzić się z faktem, że nie człowiek rządzi światem, a bóg, który wzywa nas, by podporządkować mu swoje życie. Ateizm to po prostu forma bałwochwalstwa uprawiana przez tych, którzy chcą czcić siebie, nie boga.

Przyjrzyjmy się jednak temu mitowi bliżej, a warto choćby i z tego powodu, że — paradoksalnie — jego

prawdziwość uznają często obie strony sporu. Wierzący mówią: „Spójrz, co uczynili ateści-zbrodniarze”, niewierzący — „Wprawdzie byli ateści-zbrodniarze...”. A najdziwniejsze, że ani jednym, ani drugim nie chce się zerknąć do naprawdę łatwo dostępnych źródeł i sprawdzić. Zajmijmy się może zatem Adolfem Hitlerem. Moglibyśmy oczywiście najpierw przypomnieć, że wychował się on w katolickiej rodzinie, został ochrzczony w katolickim kościele i nigdy z Kościoła nie wystąpił. Co ciekawe zresztą, wśród przywódców partii nazistowskiej była wyraźna nadreprezentacja katolików i żaden z nich nigdy nie został ekskomunikowany. Z jednym wyjątkiem — Goebbelsa, który został obłożony ekskomuniką za ślub z protestantką. Można by też dodać, że ani jedno dzieło hitlerowskiej propagandy, od *Mein Kampf* poczynając, nigdy nie trafiło na kościelny Indeks Ksiąg Zakazanych. I to wcale nie dlatego, by ten nie działał już w XX wieku. Przeciwnie — działał całkiem prężnie, a odpowiedzialne za jego rozwój Święte Oficjum (następca inkwizycji) zostało przez papieża rozwiązane dopiero w roku 1965, pod sam koniec Soboru Watykańskiego II. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku, czyli wtedy, gdy człowiek szykował się już do lotu na Księżyc, poza licznymi pracami teologicznymi kardynałowie ze Świętego Oficjum za dzieła dla katolika szkodliwe, a zatem zakazane, uznali między innymi cały dorobek Alberto Moravii i kolejne wydanie encyklopedii Larousse’a.

To jednak byłyby argumenty dość żałosne i zniżałobyśmy się w ten sposób do poziomu oponentów.

Zacznijmy zatem od przyznania oczywistości — żaden rozsądny historyk nie twierdzi, że Hitler był katolikiem. Większość jego wypowiedzi wskazuje, że przynajmniej od lat trzydziestych nie uważał się już nawet za chrześcijanina.

Tę ewolucję widać wyraźnie w jego deklaracjach. W roku 1923 w więzieniu pisał:

Moje uczucia jako chrześcijanina wiodą mnie do mojego Pana i Zbawcy, w którym dostrzegam wielkiego wojownika. Wiodą mnie ku człowiekowi, który — choć samotny i otoczony kilkoma zaledwie uczniami — rozpoznał, czym są Żydzi i wezwał ludzi do walki z nimi. Człowieka, który — na Boga — wielkość swą okazał nie cierpiąc, ale walcząc. Z bezgraniczną miłością jako człowiek i chrześcijanin czytam te słowa Pisma, które ukazują Pana w całej Jego potędze, gdy wreszcie powstał i biczem wygnał ze świątyni całe to plemię zmijowe. Jakże wspaniała była Jego walka o świat wolny od żydowskiej trucizny.

Dziś, po dwóch tysiącach lat, w najgłębszych porывach mego serca z niezgłębioną pewnością wiem, iż właśnie po to On przelał swą krew na Krzyżu. Jako chrześcijanin nie mogę pozwolić się oszukiwać. Jako chrześcijanin mam obowiązek walczyć o prawdę i sprawiedliwość [...] A jeśli trzeba czegoś jeszcze, by wykazać słuszność naszych działań, to spójrzcie na to, ile wokół nas cierpienia. Jako chrześcijanin mam obowiązki wobec własnego narodu.

Osiemnaście lat później (to cytat ze słynnych *Rozmów przy stole*) mówił już coś zupełnie innego:

Najgorszy cios, jaki spotkał dotąd ludzkość, to chrześcijaństwo. Bolszewizm to dziecko chrześcijaństwa z nieprawego łoża. Jedno i drugie to żydowski wynalazek. To chrześcijaństwo właśnie wprowadziło kłamstwo do religii [...] Świat antyczny był tak czysty, jasny i pogodny, bo oszczędzone mu zostały dwie największe plagi — syfilis i chrześcijaństwo.

W tym świetle nie mamy powodów, aby pragnąć, by Włosi czy Hiszpanie uwolnili się od narkotyku chrześcijaństwa. Bądźmy lepiej jedynym narodem, który jest uodporniony na tę chorobę.

Niemniej — i tu musimy wystąpić w obronie dobrego imienia Adolfa Hitlera (dlaczego nie w obronie dobrego imienia ateistów, o tym za chwilę) — ateistą ten pan bez wątpienia nie był, a przynajmniej, to już można stwierdzić z całą pewnością, nie zachowała się żadna jego prywatna ani publiczna wypowiedź, która taki zarzut pozwalałaby wysunąć. Przeciwnie — jest mnóstwo świadectw, i to z całej jego kilkudziesięcioletniej kariery politycznej, dowodzących, że wierzył głęboko w istnienie jakiejś siły wyższej (Boga, Istoty Najwyższej, Opatrzności) i sam uważał się za jej wysłannika. Mówił o tym i prywatnie, i publicznie. I tak w mowie triumfalnej, którą wygłosił po przyłączeniu do III Rzeszy Austrii, oświadczył:

Wierzę, że to sam Bóg wysłał stąd młodego chłopca do Niemiec, tam pozwolił mu dorosnąć i stać się przywódcą narodu po to, aby

mógł powrócić do swej ojczyzny i przyłączyć ją z powrotem do Rzeszy.

A oto, jak skomentował jeden z nieudanych zamachów na swoje życie:

Moje wcześniejsze niż zwykle wyjście z Bürgerbräukeller to nieomylny znak, że Opatrzność pragnie, bym zrealizował swój plan.

W *Rozmowach przy stole* jest zresztą wiele miejsc jasno, jeśli można tak powiedzieć, precyzujących światopogląd Hitlera. Choćby taka oto wypowiedź:

W czym człowiek przewyższa zwierzęta — i co zapewne jest najwspanialszym z dowodów jego wyższości — to zrozumienie, że musi istnieć jakaś Stwórcza Siła.

Takiej deklaracji w żadnym wypadku nie można uznać za deklarację ateisty. Tyle może o samym Hitlerze.

A co z polityką III Rzeszy? Czy było to państwo ateistyczne i zbrodnie, jakie jego funkcjonariusze popełniali wynikały z programowego ateizmu? W tej kwestii wątpliwości jest jeszcze mniej niż przy samym Führerze. III Rzesza była państwem totalitarnym, co oczywiście oznacza, że usiłowała kontrolować wszelkie sfery życia, ale akurat z Kościołami, w tym z katolickim, zwłaszcza na własnym terenie, stosunki ułożyła sobie dość szybko i na tyle poprawnie, na ile można oczekiwać od totalitarnej dyktatury. Może wystarczy przypomnienie, iż pierwszą międzynarodową umową, jaką zawarł rząd kanclerza Adolfa Hitlera, był... konkordat z Watykanem. Kardynałowie niemieccy nie wahali się zresztą chełpić tym faktem aż do upadku Hitlera. 20 sierpnia 1935 roku konferencja biskupów katolickich w Fuldzie przypomniała Hitlerowi, że

Pius XI wymienił z panem na znak zaufania uścisk dłoni za pośrednictwem konkordatu — pierwszy zagraniczny monarcha, który to zrobił [...] Papież Pius bardzo pana chwalił [...] Miliony za granicą, zarówno katolików, jak i niekatolików, przewyciężyły początkową nieufność dzięki temu wyrazowi papieskiego zaufania i obdarzyły zaufaniem pańskie rządy.

W kazaniu wygłoszonym w Monachium w dwa lata później kardynał Faulhaber też nawiązał do umowy z Watykanem:

W czasie, gdy przywódcy największych krajów świata odnosili się wobec nowych Niemiec z rezerwą i dużą podejrzliwością, Kościół katolicki, największa moralna siła na ziemi, za pośrednictwem konkordatu wyraził swoją wiarę w nowy niemiecki rząd. Był to czyn o niezmiernym znaczeniu dla reputacji nowego rządu za granicą.

Kardynał Faulhaber i podległa mu diecezja miały zresztą szczególną estymę do Hitlera. Po nieudanym zamachu w 1939 roku kardynał zarządził odprawienie uroczystych mszy dziękczynnych, a w kościele katedralnym odśpiewano *Te Deum* i odprawiono modły, „by w imieniu całej diecezji podziękować Boskiej Opatrzności za cudowne ocalenie Führera”. Dodajmy, że pan von Faulhaber był arcybiskupem Monachium i Fryzycji do śmierci w roku 1952. To on udzielił święceń kapłańskich Józefowi Ratzingerowi, przyszłemu papieżowi Benedyktowi XVI.

Oczywiście można to wszystko doskonale zrozumieć i wyjaśnić w kategoriach polityki, jaką Kościół musi uprawiać jako instytucja doczesna. Całkiem możliwe, jak tłumaczył po latach kardynał Pacelli (czyli późniejszy papież Pius XII, główny architekt konkordatu po stronie watykańskiej), że pomógł on uniknąć większego zła. Niemniej faktem pozostaje, że wynegocjowany konkordat musiał satysfakcjonować obie strony (inna sprawa, że Hitler dość szybko zaczął go łamać — na przykład w 1939 roku podporządkował bezpośrednio państwu wszystkie przekazane wcześniej katolikom szkoły), czego najlepszym dowodem jest to, że obowiązuje do dzisiaj. Bez zmian. Raczej nie był więc ateistycznym dyktatem.

Tak więc naziści temperowali apetyty Kościołów, w tym katolickiego, w tych sferach, które uważali dla siebie za istotne, ale jeśli Kościół — i poszczególni duchowni — nie występował bezpośrednio

przeciwko nim, zostawiali go w spokoju. Na opornych duchownych spadały oczywiście identyczne represje, jak na wszystkich innych „niepokornych”. Ale nie dlatego, że byli ludźmi któregoś z Kościołów, lecz ponieważ zostali uznani za wrogów państwa, rasy i narodu. Nawet próby budowy państwowego Kościoła czy odbudowy dawnych „germańskich” kultów (za czym optowało kilku prominentnych nazistów, przede wszystkim Himmler) nigdy nie miały pełnego wsparcia aparatu państwowego. Zresztą o ezoterycznych i „pogańskich” korzeniach oraz ciągotkach nazizmu można by długo opowiadać. Naziści naprawdę poszukiwali Świętego Graala i Arki Przymierza, to nie jest hollywoodzka bajka. W praktyce jednak raczej wyglądało to tak, że stanowili oni wierny przekrój niemieckiego społeczeństwa, a według statystyk w latach trzydziestych ponad 99% Niemców identyfikowało się z którymś z Kościołów chrześcijańskich. W zasadzie nawet trudno zrozumieć, po co Himmler wydał specjalną instrukcję zakazującą przyjmowania ateistów do SS. W tej formacji również (choć SS w odróżnieniu od Wehrmachtu nie miało na pasach inskrypcji „Gott mit uns”) absolutnie dominowali chrześcijanie. Choć istotnie było to dziwne chrześcijaństwo. Richard Dawkins zwrócił na przykład uwagę na przemówienie, które na kongresie związków zawodowych w roku 1939 wygłosił na powitanie kanclerza Rzeszy i przywódcy NSDAP przewodniczący krajowej federacji. Oto jego najciekawszy fragment:

Adolfie Hitlerze! Z Tobą tylko się jednoczymy i w tej godzinie chcemy śluby nasze odnowić. Na tej Ziemi tylko w Ciebie wierzymy. I wierzymy, że narodowy socjalizm jest jedyną drogą do zbawienia naszego ludu. Wierzymy w Pana Boga w niebiesiech, który stworzył nas, prowadzi nas i obdarza nas swym błogosławieństwem. I wierzymy też, że to On zesłał nam Adolfa Hitlera, aby Niemcy stały się podstawą całej wieczności.

Nawet jednak jeśli nie jest to ortodoksyjne wyznanie wiary (a zapewne nawiązania do *credo* nie są przypadkowe), nie jest to również bez wątplenia deklaracja ateistyczna.

Wracając zaś do samego Hitlera. Może najważniejsze w tym wszystkim nie jest to, że tak wysoko ceniony przez teistów (a niestety uznawany również przez niewierzących) argument „z Hitlera” jest błędny, dlatego że jest fałszywy. Znacznie istotniejsze, że jest on błędny, bo jest niemerytoryczny. Nawet gdyby Adolf Hitler istotnie był ateistą, a jego deklaracje wiary byłyby gestami czysto politycznymi, co oczywiście nie jest wykluczone, nie powinno mieć to żadnego znaczenia dla jednoznacznie negatywnej oceny ideologii narodowosocjalistycznej, którą stworzył i do której zdołał przekonać miliony swoich rodaków, bowiem to nie stosunek do kwestii istnienia Pana Boga (lub pań i panów bogów) zadecydował o jej zbrodniczości.

Łatwo też wskazać sporo argumentów na rzecz tezy, w sumie skądinąd mało oryginalnej, że i w przypadku komunistycznych dyktatorów — Lenina czy Stalina, których odejście od Kościoła (Stalin był w swoim uczniem prawosławnego seminarium. Miał bardzo przyzwoite oceny) jest raczej bezdyskusyjne — i komunistycznych reżimów, dla których przynajmniej na określonych historycznych etapach religia faktycznie była ideologicznym wrogiem i w których przypadku krwawe represje wymierzone w pełni świadomie w duchowieństwo oraz konkretne Kościoły są niekwestionowanym historycznym faktem, uznawanie tego akurat elementu ideologii za kluczowy jest co najmniej intelektualnym nadużyciem. Totalitaryzm, a zwłaszcza totalitaryzm komunistyczny w wydaniu stalinowskim czy choćby w wersji Czerwonych Khmerów, jest formą ustrojową, która z definicji niszczy wszystko, co jej nie podlega. Sowieccy komuniści na przykład rozpoczęli na wielką skalę walkę z Kościołem dopiero po roku 1929, czyli gdy zniszczyli i/lub podporządkowali sobie już całe społeczeństwo i wszystkie inne instytucje społeczne, od skautów i filatelistów po związki zawodowe i rady robotnicze. Cerkiew i Kościoły zachowały jeszcze resztki niezależności, a tego logika ustroju totalitarnego nie toleruje. Natomiast logika ta absolutnie też nie zakazuje, by wtedy, gdy okaże się, że

pan bóg jednak może się przydać, sięgnąć po jego pomoc. Tak też uczynił Stalin, gdy po ataku Hitlera przywrócił Cerkiew do łask, przynajmniej częściowo. Katolikom zaś można w tym momencie przypomnieć, że w wielu kwestiach polityka stalinowska powinna być im bliska — choćby w tym, że we wszystkich krajach bloku wschodniego do roku 1956 aborcja była zakazana.

Warto może jeszcze zasygnalizować kolejny element, każący z dystansem podchodzić do zrzucania winy za stalinowskie (komunistyczne) zbrodnie na ateizm, a zwłaszcza „nowy ateizm”, który jednoznacznie odwołuje się do filozoficznego naturalizmu. Otóż rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że Stalin utracił wiarę w Boga na jakimś etapie swego życia (i srogo się na nim za to zemścił, można powiedzieć — a raczej na ludziach), ale na pewno nie utracił wiary w to, że „coś” istnieje. Jak bowiem inaczej wyjaśnić fakt, że przez całe życie korzystał z usług mediów i jasnowidzów, a jednego z nich nawet — niejakiego Wolfa Messinga — na jego osobiste polecenie przyjęto do sowieckiej Akademii Nauk.

Reasumując — to nie „ateizm” nazistowskich i komunistycznych przywódców (oraz nazistowskich i komunistycznych mas) był przyczyną ich zbrodni. To totalitarna ideologia i fanatyczna wiara oraz realizacja czysto politycznych i ideologicznych celów doprowadziły do śmierci milionów ludzi. Wierzących i niewierzących. Ateizm zaś nie jest wiarą. Jest negacją — w różnym stopniu żywionym przekonaniem o nieistnieniu boga (bogów). A w każdym razie nie jest ideologią, która nakazuje ludziom zabijanie innych.

BIBLIOGRAFIA

- Ackerman, H.W. Gauthier, J. (1991) *The ways and nature of the zombie*, „Journal of American Folklore”, 104, 466–494.
- Adams, C. (1850) *The Works of John Adams, Second President of the United States: With a Life of the Author, Notes, and Illustrations*, vol. 2, s. 4, Charles C. Little and James Brown, Boston.
- Adams, D.W. Lester, R.W. (red.) (1983) *Jefferson's Extracts from the Gospels: „The Philosophy of Jesus” and „The Life and Morals of Jesus”*, Princeton University Press, Princeton, 408–410.
- AFA (online) *Who Is AFA?* www.afa.net/Detail.aspx?id=31 (dostęp: 8.01.2014).
- Afsaruddin, A. (2013) *Striving in the Path of God: Jihad and Martyrdom in Islamic Thought*, Oxford University Press, New York.
- Afsaruddin, A. (2013) *Striving in the Path of God: Jihad and Martyrdom in Islamic Thought*, Oxford University Press, New York.
- Ahmed, Leila. (1993). *Women and Gender in Islam: Historical Roots of a Modern Debate.*: Yale University Press. New Haven, CT.
- Ali, A.H. (2013) *Infidel*, Atria, New York.
- al-Qaradawi, Y. (2001) *Sheikh Yusuf Al-Qaradawi Condemns Attacks against Civilians: Forbidden in Islam*, Press Release, Jeddah, Saudi Arabia, September, 12.
- al-Qaradawi, Y., al-Bishri, T., al-Awa, M.S., al-Khayyat, H., Houaydi, F., al-Alwani, T. (2001) *Fatwa on Muslims in the Military*, 27 września. <http://www.unc.edu/~kurzman/terror.htm> (dostęp: 10.01.2014).
- Anchor Bible Dictionary* (1995) Tom 5, Bantam, New York.
- Anselm of Canterbury (2013) *Cur Deus Homo: To Which Is Added a Selection of His Letters*, Hard Press Editions, Stockbridge, MA.
- Armstrong, K. (2005) *A Short History of Myth*, Canongate, Edinburgh.
- Augustine of Hippo (1982) *The literal meaning of Genesis*, przekł. John Taylor [w:] *Ancient Christian Writers: The Works of the Fathers in Translation*, vol. 41–42 (red. Johannes Quaesten et al.), Newman, New York.
- Avalon Project (online) *The Barbary Treaties 1786–1816: Treaty of Peace and Friendship*, podpisany w Trypolisie 4 listopada 1796, http://avalon.law.yale.edu/18th_century/bar1796t.asp (dostęp: 11.01.2014).
- Baptist Church (online) *The Baptist Confession of Faith of 1689 with Scripture Proofs*, Center for Reformed Theology and Apologetics (CRTA), www.reformed.org/documents/index.html?mainframe — http://www.reformed.org/documents/baptist_1689.html (dostęp: 8.01.2014).
- Baptist World Alliance (2013) *BWA Leaders Laud Pope Benedict XVI*, <http://christianchurchestogether.org/baptist-world-alliance-leaders-laud-popebenedict-xvi> (dostęp: 8.01.2014).
- Barrett, D., Kurian, G. Johnson, T. (red.) (2001) *World Christian Encyclopedia*, wyd. II, Oxford University Press, New York.
- Barrett, L.E. (1997) *The Rastafarians: Twentieth Anniversary Edition*, Beacon Press, Boston.
- Bauckham, R. (2006) *Jesus and the Eyewitnesses: The Gospels as Eyewitness Testimony*, Wm. B. Eerdmans, Grand Rapids, MI.

- BBC News (2004) *UK Among Most Secular Nations*, 26 lutego.
- Belkeziz, A. (2001) *Secretary-General of Organization of the Islamic Conference*, Press Release, Jeddah, Saudi Arabia, September 12, 2001.
- Benedykt XVI (2011) *Jesus of Nazareth*, Doubleday, New York.
- Benware, P.N. (1993) *Survey of the Old Testament*, Moody Press, Chicago.
- Berkovits, E. (1973) *Faith after the Holocaust*, KTAV, Jersey City NJ and Brooklyn NY.
- Bernhardt, A. (2013) *Rastas to Snoop Lion: Smoking Weed Does Not a Rasta Make*, „Newswire”, 23 stycznia, www.avclub.com/articles/rastas-to-snoop-lion-smokingweed-does-not-a-rasta,91507 (dostęp: 9.01.2014).
- Bettenson, H. (red) (1943) *Codex Theodosianus. Documents of the Christian Church*, Oxford University Press, Oxford.
- Biale, D. (2007) *Blood and Belief: The Circulation of a Symbol between Jews and Christians*, University of California Press, Berkeley.
- Bible Institute of Los Angeles (1910–1915) *The Fundamentals* (12 tomów), Bible Institute of Los Angeles, Los Angeles.
- biography.com (online) *Jesus Christ Biography*, www.biography.com/people/jesus-christ-9354382 (dostęp: 8.01.2014).
- Bisahara, F. (2007) *Interview with George Bush*, Al Arabiya Television, 4 października, www.alarabiya.net/articles/2007/10/05/39989.html (dostęp: 10.01.2014).
- Boller, P. (1963) *George Washington and Religion*, Southern Methodist University Press, Dallas.
- Boorstin, D. (1983) *The Discoverers: A History of Man's Search to Know His World and Himself*, Random House, New York.
- Borofsky, S. (1923) *Picasso Speaks, The Arts, May 1923* [w:] *Picasso: Fifty Years of His Art*, A.H. Barr Jr. red., The Museum of Modern Art by Arno Press, New York, 1980, www.gallerywalk.org/PM_Picasso.html (dostęp: 10.01.2014).
- Bowker, J. (2006) *World Religions: The Great Faiths Explored and Explained*, DK, London.
- Boyarin, D. (1999) *Dying for God*, Stanford University Press, Palo Alto CA.
- Boyce, M. (1975–1982) *A History of Zoroastrianism*, vol. II, Brill, Leiden/Köln.
- Brock, R.N., Parker, R.A. (2008) *Saving Paradise: How Christianity Traded Love of This World for Crucifixion and Empire*, Beacon Press, Boston.
- Brown, H. (red.) (2010) *Justin Martyr's Dialogue with Trypho the Jew*, Gale ECCO, Farmington Hills MI.
- Burkett, C. (red.) (2013) *50 Core American Documents*, Ashbrook Press, Ashland OH, s. 9.
- Callahan, A.D. (1998) *What Are the Gospels?* PBS Frontline, www.pbs.org/wgbh/pages/frontline/shows/religion/story/gospels.html (dostęp: 8.01.2014).
- Campbell, J. (1969) *Bios and Mythos*, Scriptor Press, Portland, OR.
- Castelli, E.A. (2004) *Martyrdom and Memory: Early Christian Culture Making*, Columbia University Press, New York.
- CatholicCulture.org., *Who Burned the Witches?* <http://www.catholicculture.org/culture/library/view.cfm?recnum=4005> (dostęp: 12.01.2014).
- Cavanaugh, W. (2009) *The Myth of Religious Violence*, Oxford University Press, Oxford.
- Chase, F.H. (red.) (1958) *The Fathers of the Church: St. John of Damascus, Writings*, Catholic University of America Press, Washington.
- Chrysostom, J. (1979) *Discourses against Judaizing Christians*, translated by Paul Harkins. [w:] *The Fathers of the Church* Vol. 68, Catholic University of America Press, Washington.
- Church of England (2005) *Catechism of Creation: Creation and Science*,

<http://episcopalscience.org/creation-science> (dostęp: 7.01.2014).

CNN Belief Blog (2010) *Don't know much about religion? You're not alone, study finds*, 28 września.

<http://religion.blogs.cnn.com/2010/09/28/dont-know-muchabout-religion-youre-not-alone-study-finds/> (dostęp: 12.01.2014).

Cohn, N. (1996) *Warrant for Genocide*, wyd. II, Serif, London.

Conze, E. (1959) *Buddhist Scriptures*, Penguin Books, New York.

Coogan, M. (1987) *Canaanite origins and lineage: reflections on the lineage of ancient Israel* [w:] *Ancient Israelite Religion: Essays in Honor of Frank Moore Cross* (red. P.D. Miller, P.D. Hanson, S.D. McBride), Fortress, Philadelphia, s. 115–126.

Coogan, M.D., Brettler, M.Z., Newsom, C.A., Perkins, P. (red.) (2010) *The New Oxford Annotated Bible with Apocrypha: New Revised Standard Version*. Oxford University Press, Oxford.

Coote, R., Coote, M. (1990) *Power, Politics and the Making of the Bible*, Fortress Press, Minneapolis.

Council of Europe (2007) *Resolution 1580: The Dangers of Creationism in Education*,
<http://assembly.coe.int/main.asp?link=/documents/adoptedtext/ta07/eres1580.htm> (dostęp: 6.01.2014).

Cox, H. (1965) *The Secular City*, Collier, New York.

Crabtree, V. (2007) *Religion in the United Kingdom: Diversity, Trends and Decline*,
http://www.stanwell.org/downloads/religious_education/religion_and_community/Religion_in_the_United_Kingdom.pdf (dostęp: 12.01.2014).

Crossan, J.D. (2004) *Jesus: A Revolutionary Biography*, HarperSanFrancisco, San Francisco.

Crossan, J.D. (2010) *The Historical Jesus: The Life of a Mediterranean Jewish Peasant*, HarperCollins, New York.

Crossman, A. (online) *Sociology of Religion*, About.com,
<http://sociology.about.com/od/Disciplines/a/Sociology-Of-Religion.htm> (dostęp: 6.01.2013).

Cullman, O. (1965) *Immortality and Resurrection: Death in the Western World: Two Conflicting Currents of Thought*, Macmillan, London.

Dalai Lama (2002) *How to Practice: The Way to a Meaningful Life*, Simon and Schuster, New York.

Dante (2002) *Inferno*, Anchor, New York.

Dauids, T.W. Rhys, J.E. Carpenter (1995) *Digha Nikaya*, Pali Text Society, Melksham, U.K.

Dawkins, R. (2006) *The God Delusion*, Mariner Books, Boston.

Dennett, D. (2007) *Breaking the Spell: Religion as a Natural Phenomenon*, Penguin, New York.

Dinet, A.É., ben Ibrahim, S. (1937) *La Vie de Mohammed, Prophète d'Allah*, G.-P. Maisonneuve, Paris.

Dobson, J.C. (online) *Focus on the Family*, www.focusonthefamily.com/about_us.aspx (dostęp: 8.01.2014).

Donadio, R. (2009) *Offer Raises Idea of Marriage for Catholic Priests*, „New York Times”, 21 października,
www.nytimes.com/2009/10/22/world/22church.html?_r=0 (dostęp: 10.01.2014).

Doniger, W. (1998) *The Implied Spider: Politics and Theology in Myth*, Columbia University Press, New York.

Douglas, M. (2002) *Purity and Danger: An Analysis of Concepts of Pollution and Taboo*, Taylor and Francis, London.

Draper, J.W. (1874) *History of the Conflict between Religion and Science*, D. Appleton and Co, New York.

Dundes, A. (red.) (1991) *The Blood Libel Legend: A Casebook in Anti-Semitic Folklore*, University of Wisconsin Press, Madison.

Durkheim, É. (1995) *The Elementary Forms of Religious Life*, translated by Karen Fields, Free Press, New York.

- Eckholm, E. (2012) *Catholic Church Unveils a New Home for Former Episcopalians in US*, „New York Times”, 2 stycznia, <http://query.nytimes.com/gst/fullpage.html?res=9A05E4DB143FF931A35752CoA9649D8B63> (dostęp: 10.01.2014).
- Eisen, R. (2011) *The Peace and Violence of Judaism: From the Bible to Modern Zionism*, Oxford University Press, Oxford and New York.
- Ellwood, R., McGraw, B. (2013) *Many Peoples, Many Faiths*, Pearson, New York.
- Epstein, G. (2009) *Good Without God: What a Billion Nonreligious People Do Believe*, William Morrow, New York.
- Esposito J., Mogahed, D. (2008) *Who Speaks for Islam? What A Billion Muslims Really Think*, Gallup Press, New York.
- Esposito, J., Voll, J. (2012) *Islam and Democracy*, Oxford University Press, New York.
- Esposito, J.L. (2003) *Unholy War: Terror in the Name of Islam*, Oxford University Press, New York.
- faithdefenders.com (online) *Ten Reasons Why Christians and Catholics Do Not Agree*, www.fithdefenders.com/articles/worldreligions/Ten_reasons_why_Christ_Catho.html (dostęp: 8.01.2014).
- Fernandez Olmos, M. Paravisini-Gebert, L. (2011) *Creole Religions of the Caribbean: An Introduction [w:] Vodou and Santeria to Obeah and Espiritismo*, wyd. II, New York University Press, New York.
- Fiqh Council of North America (2005) „*Fatwa by U.S. Muslims against Religious Extremism*, Plainfield, Indiana, July 25.
- Fisher Anthony, A. (2010) *Atheists hit back at clergy criticism of non-belief*, 2 kwiecień, <http://www.smh.com.au/national/atheists-hit-back-at-clergy-criticism-ofnonbelief-20100402-rjmr.html#ixzz2qCxfTh> (dostęp: 12.01.2014).
- Arab League (1998) *The Arab Convention on the Suppression of Terrorism*, www.unodc.org/tldb/pdf/conv_arab_terrorism.en.pdf (dostęp: 10.01.2014).
- Flood, G. (2005) *The Blackwell Companion to Hinduism*, John Wiley & Sons, Ltd, Chichester.
- Ford, H. (1920–1922) *The International Jew. The World's Foremost Problem. Being a Reprint of a Series of Articles Appearing in The Dearborn Independent from May 22, 1920 [to January 14, 1922]*, Dearborn Publishing Co., Dearborn, Michigan.
- Ford, P. (red.) (1904–1905) *Works of Thomas Jefferson*, Vol. 4. New York: G.P. Putnam's Sons.
- Frankl, V., Winsslade, W., Kushner, H. (2006) *Man's Search for Meaning*, Beacon Press, Boston.
- Franklin, B. (1728) *Articles of Belief and Acts of Religion*.
- Franklin, B. (1996) *Autobiography of Benjamin Franklin*, Dover, New York.
- Frazer, J. (2005) *The Golden Bough: A Study in Magic and Religion*, Cosimo, New York.
- Freedman, S.G. (2010) *Myths obscure Voodoo, source of comfort in Haiti*, „International New York Times”, 19 lutego, www.nytimes.com/2010/02/20/world/americas/2oreligion.html?_r=0 (dostęp: 9.01.2014).
- Freeman, C. (2003) *The Closing of the Western Mind: The Rise of Faith and the Fall of Reason*, Knopf, New York.
- Freeman, C.W. (2009) *Baptists and Catholics together? Making up is hard to do*, Commonweal, 16 stycznia.
- Galambush, J. (2005) *The Reluctant Parting: How the New Testament's Jewish Writers Created a Christian Book*, HarperSanFrancisco, San Francisco.
- Gallup (2012) *In U.S., 3 in 10 Say They Take the Bible Literally*, July 8, www.gallup.com/poll/148427/say-bible-literally.aspx (dostęp: 10.01.2014).
- Gardner, G. (2004) *The Meaning of Witchcraft*, Wheeler/Weiser, Boston.
- Gardner, G. (2004) *Witchcraft Today*, Citadel, New York.
- Geisler, N. and Turek, F. (2004) *I Don't Have Enough Faith to Be an Atheist*, Crossway, Wheaton, IL.
- Geller, P. (2009) *72 Virgins... Myth or Truth?* Atlas Shrugs, 19 stycznia,

http://atlasshrugs2000.typepad.com/atlas_shrugs/2009/01/72-virgins-myth-ortruth.html (dostęp: 8.01.14).

- Ghannouchi, R. (1994) *Islam and Civil Society in Tunisia*. Referat na konferencji „Islam and Civil Society in South Africa: Prospects for Tolerance and Conflict Resolution” zorganizowanej przez University of South Africa, Johannesburg, 6 sierpnia.
- Gilgoff, D. (2007) *John McCain: Constitution Established a „Christian Nation”*, www.beliefnet.com/News/Politics/2007/06/John-Mccain-Constitution-Established-A-Christian-Nation.aspx (dostęp: 8 stycznia 2014).
- Glassman, D. (1975) *Anti-Semitic Stereotypes without Jews: Images of the Jews in England 1290–1700*, Wayne State University Press, Detroit.
- Goldhagen, D. (1997) *Hitler's Willing Executioners*, Vintage, New York.
- Goodnough, A. (2012) *Student Faces Town's Wrath in Protest Against a Prayer*, „New York Times”, 26 stycznia.
- Grant, E. (1984) *Science in the medieval university, in Rebirth, Reform, and Resilience: Universities in Transition, 1300–1700* (red. J. Kittleson and P. Transue), s. 68–102, Ohio State University Press, Columbus OH.
- Graves, P. (1921) „*Jewish World Plot. An Exposure. The Source of the Protocols. Truth at Last*”, „The Times of London”, 16–18 sierpnia.
- Great Myths About Religions*, Gallagher, E., Ashcraft, W.M. (red.) (2006) *Introduction to New and Alternative Religions in America*.
- Greenwood, A., Harris, M.W. (2011) *An Introduction to the Unitarian and Universalist Traditions*, Cambridge University Press, Cambridge.
- Grey, K.S. (Mambo Racine Sans Bout) (2000) *Morality, Power, and the Vodou Tradition in Haiti*, www2.webster.edu/~corbetre/haiti/voodoo/morality.htm (dostęp: 9.01.2014).
- Hadley, J. (2000) *The Cult of Asherah in Ancient Israel and Judah*, Cambridge University Press, Cambridge.
- Hardiman, C. (2001) *Bible literacy slipping, experts say*, „Newhouse News Service”, 28 marca.
- Harris, S. (2004) *The End of Faith: Religion, Terror, and the Future of Reason*, Norton, New York.
- Harris, S. (2005) *The Politics of Ignorance*, „Huffington Post”, 2 sierpnia, www.samharris.org/site/full_text/the-huffington-post-aug-2-2005 (dostęp: 6.01.2013).
- Harris, S. (2008) *Letter to a Christian Nation*, Vintage, New York.
- Harris, S. (2010) *The Moral Landscape: How Science Can Determine Human Values*, Simon & Schuster, New York.
- Hausman, G. (2013) *Rastafarian Children of Solomon: The Legacy of the Kebrea Nagast and the Path to Peace and Understanding*, Bear & Company, Rochester, VT.
- Hausmann, J. (2013) „*Don't Die a Virgin*” *Gas Station Sign Stops Traffic*, www.heavy.com/news/2013/03/dont-die-a-virgin-gas-station-sign (dostęp: 8.01.14).
- Heilbron, J. (1999) *The Sun in the Church: Cathedrals as Solar Observatories*, Harvard University Press, Cambridge MA.
- Helfstein, S., Abdullah, N. and al-Obaidi, M. (2009) *Deadly Vanguard: A Study of al-Qa'ida's Violence against Muslims*, Combating Terrorism Center at West Point Occasional Papers Series, West Point NY.
- Helms, R. (1988) *Gospel Fictions*, Prometheus Books, Amherst NY.
- Hitchens, C. (2007) *God Is Not Great: How Religion Poisons Everything*, Twelve, New York.
- Hitchens, C. (2007a) „*Poison or Cure? Religious Belief in the Modern World*”, *Debate with theologian Alister McGrath*, Georgetown University, October 11, www.youtube.com/watch?v=xq-KiDdYvsY&t=54m47s (dostęp: 7.01.2014).

- Howard, M. (2010) *Modern Wicca: A History from Gerald Gardner to the Present*, Llewellyn Publications, Woodbury, MN.
- Huffington Post (2013) *Archbishop Pietro Parolin: Priest Celibacy Is Open To Discussion*, 9 października, www.huffingtonpost.com/2013/09/10/pietroparolin-priestly-celibacy-not-dogma_n_3901271.html (dostęp: 10.01.2014).
- Huntington, S. (1996) *Clash of Civilizations*, Simon and Schuster, New York.
- Hyamson, A. (1908) *History of the Jews in England*, Jewish Historical Society of England, London.
- Islam Watch (online) *Why Allah Is Not God*, www.islam-watch.org/Larry/Why-Allah-is-not-God.htm (dostęp: 10.01.2014).
- Islamic Council of Spain (2005) „*Fatwa against Osama bin Laden by the Islamic Council of Spain*”, 10 marca.
- James, W. (2008) *The Varieties of Religious Experience*, Arc Manor, Rockville, MD.
- Jefferson, T. (1787) August 19, www.let.rug.nl/usa/presidents/thomas-jefferson/letters-of-thomas-jefferson/jefl61.php (dostęp: 10.01.2014).
- Jefferson, T. (1800) *Pisma prywatne*, Luty [w:] *The Works*, Vol. 4 (Thomas Jefferson, 1904–1905), G.P. Putnam's Sons, New York, s. 572.
- Jefferson, T. (2009) *The Jefferson Bible: The Life and Morals of Jesus of Nazareth*, Wilder Publications, Radford VA.
- Jerryson, M. and Juergensmeyer, M. (2010) *Buddhist Warfare*, Oxford University Press, Oxford.
- jesus-is-lord (online) *Alert!!!! The Roman Catholic „Church” is Not Christian*, www.jesus-is-lord.com/cath.htm (dostęp: 8.01.2014).
- www.jesus-is-savior.com (online) *All Witchcraft is Satanic!* www.jesus-is-savior.com/False Religions/Wicca & Witchcraft/witchcraft_is_satanic.htm (dostęp: 12.01.2014).
- John Paul II (1981) *Sacred Congregation for the Doctrine of the Faith: Declaration*, 31 marca, www.vatican.va/roman_curia/congregations/cfaith/documents/rc_con_cfaith_doc_19810401_chiesa-episcopaliana_en.html (dostęp: 10.01.2014).
- John Paul II (1996) *Message to the Pontifical Academy of Sciences: On evolution*, 22 października, www.ewtn.com/library/papaldoc/jp961022.htm (dostęp: 7.01.2014).
- josh.org (website) *Did Moses Write the First Five Books?* Josh McDowell Ministry, www.josh.org/resources/study-research/answers-to-skeptics-questions/did-moseswrite-the-first-five-books (dostęp: 7.01.2014).
- Juergensmeyer, M. (2000) *Terror in the Mind of God: The Global Rise of Religious Violence*, University of California Press, Berkeley.
- Keel, O., Uehlinger, C. (1998) *Gods, Goddesses, and Images of God in Ancient Israel*, Fortress, Minneapolis.
- Kennedy, J.F. (1960) *Speech to the Greater Houston Ministerial Association*, 12 września.
- Keown, D. (2013) *Buddhism: A Very Short Introduction*, Oxford University Press, New York.
- Khamene'i, A. (2001) „*Leader Condemns Massacre of Defenseless People*”. Islamic Republic News Agency, Jeddah, Saudi Arabia, 16 września.
- Khatami, M. (1997) *Hope and Challenge: The Iranian President Speaks*, Institute of Global Cultural Studies, Binghamton University, Binghamton, NY.
- Kimball, C. (2002) *When Religion Becomes Evil*, HarperSanFrancisco, San Francisco.
- Kofsky, A.S. (1988) *Narrative analysis of women's property rights in Jewish and Anglo-American law*, „*Journal of Law and Religion*” 6: 317, 342.
- KOSANBA, *A Scholarly Association for the Study of Haitian Voodoo*, <http://www.research.ucsb.edu/cbs/projects/haiti/kosanba/> (dostęp: 12.01.2014).
- Kramer, H., Springer, J. (2007) *Malleus Maleficarum*, przekł. Montague Summers, Cosimo Classics, New

York, s. 121.

- Kurzman, C. (online) *Islamic Statements against Terrorism*, <http://kurzman.unc.edu/islamic-statements-against-terrorism> (dostęp: 10.01.2014).
- Kushner, H. (2013) *Letter*, „New York Times” (Jul 29).
- Landscape Survey, <http://religions.pewforum.org/pdf/report2religious-landscapestudykey-findings.pdf> (dostęp: 10.01.2014).
- Lang, B. (1981) *Die Jahwe-allein-bewegung*, cyt. za: O. Keel, C. Uehlinger (1998) *Gods, Goddesses, and Images of God in Ancient Israel*, Fortress, Minneapolis, s. 2.
- Laqueur, W. (2006) *The Changing Face of Antisemitism: From Ancient Times to the Present Day*, Oxford University Press, Oxford.
- Lawrence Principe (2009) *That Catholics did not contribute to the scientific revolution [w:] Galileo Goes to Jail and Other Myths about Science and Religion* (red. R.L. Numbers), Harvard University Press, Cambridge, MA.
- Lawrence, B. (1998) *Shattering the Myth: Islam Beyond Violence*, Princeton University Press, Princeton NJ.
- Let Us Reason Ministries (online) *There are No Atheists*, www.letusreason.org/Apolo7.htm (dostęp: 12.01.2014).
- Lilienfeld, S.O., Lynn, S.J., Ruscio, J. Beyerstein, B. (2010) *50 Great Myths of Popular Psychology: Shattering Widespread Misconceptions about Human Behavior*, John Wiley & Sons, Ltd, Chichester.
- Lincoln, B. (2000) *Theorizing Myth: Narrative, Ideology, and Scholarship*, University of Chicago Press, Chicago.
- Lockshin, M.I. (online) *Who Killed Jesus? A History of the Idea that the Jews Killed Jesus*, www.myjewishlearning.com/beliefs/Issues/Jews_and_Non-Jews/Attitudes_Toward_Non-Jews/Christianity/who-killed-jesus.shtml (dostęp: 7.01.2014).
- Luther, M. (1543) *On the Jews and Their Lies*. Translated by Martin Bermann [w:] *Luther's Works* (1971), Fortress Press, Philadelphia.
- Madison, J. (1786) *Madison Letter to Jefferson on the Bill Concerning Religious Freedom*, 22 stycznia, www.churchstatelaw.com/historicalmaterials/8_7_7.asp (dostęp: 11 stycznia 2014).
- Marsden, G. (2006) *Fundamentalism and American Culture*, Oxford University Press, Oxford.
- Marty, M., Moore, J. (2000) *Politics, Religion, and the Common Good*, Jossey-Bass, San Francisco.
- Masuzawa, T. (2005) *The Invention of World Religions: Or, How European Universalism Was Preserved in the Language of Pluralism*, University of Chicago Press, Chicago.
- Mather, C. (1693) *The Wonders of the Invisible World. Observations as Well Historical as Theological, upon the Nature, the Number, and the Operations of the Devils*, Boston.
- Mather, I. (1687) *A Testimony against Several Prophan and Superstitious Customs, Now Practiced by Some in New England*, London.
- Mayes, A. (1989) *Sociology and the Old Testament [w:] The World of Ancient Israel: Sociological, Anthropological and Political Perspectives* (red. R.E. Clements), Cambridge University Press, Cambridge, s. 39–63.
- Meacham, J. (2006) *Pilgrim's Progress*, „Newsweek”, 13 sierpnia.
- Mediterranean Kingdoms (online) *The Ancient Israelites: Under One God*, <https://sites.google.com/site/mediterranean12345/articles-to-read/the-ancient-israelitesunder-one-god> (dostęp: 7.01.2014).
- Michael, R. (2006) *Holy Hatred: Christianity, Antisemitism, and the Holocaust*, Palgrave Macmillan, New York.
- Morales, P. (2012) *The Unitarian Universalist Pocket Guide*, Skinner House Books, Boston.
- Morey, R. (2011) *The Islamic Invasion: Confronting the World's Fastest Growing Religion*, Xulon, Maitland FL.

- Morreall, J. Sonn, T. (2011) *The Religion Toolkit: A Complete Guide to Religious Studies*, John Wiley & Sons, Ltd, Chichester.
- Moss, C. (2013) *The Myth of Persecution: How Early Christians Invented the Story of Martyrdom*, HarperCollins, New York.
- MSANews (2001) *A Clear Criterion (Bayan) ... Forty-six Leading Muslim Scholars and Intellectuals Condemn Attacks in New York and Washington*. September 14.
- Myers, S.L. (2011) *Tumult of Arab Spring Prompts Worries in Washington*, „New York Times”, 17 września.
- Najjar, A. (2008) *Kahlil Gibran: a Biography*, Saqi, Beirut.
- National Counterterrorism Center (2012) *Country reports on terrorism 2011*, Report 31.07.2012, Annex of Statistical Information, www.state.gov/j/ct/rls/crt/2011/195555.htm (dostęp: 10.01. 2014).
- Naurath, N. (2001) *Most Muslim Americans See No Justification for Violence*, 2 sierpnia, www.gallup.com/poll/148763/muslim-americans-no-justification-violence.aspx (dostęp: 10.01.2014).
- „New York Times” (1922) *Berlin hears Ford is backing Hitler*, 20 grudnia, s. 2, kol. 8.
- Newport, F. (2012) *In U.S., 46% Hold Creationist View of Human Origins*, GALLUPPolitics, 1 czerwca, www.gallup.com/poll/55003/Hold-Creationist-View-Human-Origins.aspx (dostęp: 7.01. 2014).
- Niebuhr, G. (1999) *Witches Cast as the Neo-Pagans Next Door*, „New York Times”, 31 października.
- Nissenbaum, S. (1997) *The Battle for Christmas: A Cultural History of America's Most Cherished Holiday*, Vintage Books, New York.
- Numbers, R. (2006) *The Creationists: From Scientific Creationism to Intelligent Design*, Harvard University Press, Cambridge MA.
- Numbers, R.L. (red.) (2009) *Galileo Goes to Jail and Other Myths about Science and Religion*, Harvard University Press, Cambridge MA.
- Nuremberg Trial Proceedings*, Vol. 14, 137, 23.05.1946.
- O'Connell, J. (1973) *The word 'Hindu' in Gaudiya Vaisnava texts*, „Journal of the American Oriental Society” 93(3) 340–344.
- Ofsted (2007) *US Religious Knowledge Survey: Making Sense of Religion*, Ofsted, Manchester, UK, www.ofsted.gov.uk/resources/making-sense-of-religion-o (dostęp: 12.01.2014).
- Ong, W. (1982) *Orality and Literacy*, Routledge, New York.
- Osborne, M.P. (1996) *One World, Many Religions: The Ways We Worship*, Random House, New York.
- Oshri, A. (2005) *Where was Jesus Born?*, „Archaeology” 58 (6), 42–45.
- Osteen, J. (online) *Joel Osteen Teaches Christians Clean Unclean Foods! No Pork*, YouTube Video uploaded February 27, 2012, www.youtube.com/watch?v=7dYheb6OwVQ (dostęp: 10.01.2014).
- Oxford English Dictionary* (1989) Oxford University Press, Oxford.
- Padover, S. (red.) (1943) *The Complete Jefferson*, Tudor, New York.
- Pagels, E. (1979) *The Gnostic Gospels*, Vintage Books, New York.
- Paine, T. (1794, 1795, 1807) *The Age of Reason: Being an Investigation of True and Fabulous Theology. Common Sense and Other Writings* (T. Thomas, 2005), Barnes and Noble Classics, New York.
- Paine, T. (2005) *Common Sense and Other Writings*, Barnes and Noble Classics, New York.
- Parsley, R. (2006) *Silent No More: Bringing Moral Clarity to America ... While Freedom Still Rings*, Charisma House, Lake Mary, FL.
- Pasha, K. (2009) *The big lie about Muslim silence on terrorism*, Huffington Post, 20 kwietnia, www.huffingtonpost.com/kamran-pasha/the-big-lie-about-muslim_b_188991.html (dostęp: 10.01. 2014).
- Paul VI (1965) *Declaration on the Relation of the Church to Non-Christian Religions: Nostra Aetate (In Our Time)*, 28 października, www.vatican.va/archive/hist_councils/ii_vatican_council/documents/vat-

[ii_decl_19651028_nostra-aetate_en.html](#) (dostęp: 7.01.2014).

Peden, W. (red.) (1954) *Notes on the State of Virginia*, Chapel Hill: University of North Carolina Press for the Institute of Early American History and Culture, Williamsburg, Virginia, Query 17.

Perkins, J. (1995) *The Suffering Self: Pain and narrative Representation in the Early Christian Era*, Routledge, New York.

Petridis, A. (2013) *Is Snoop Dogg Taking His Rastafarianism Seriously?* „Guardian”, 24 stycznia, www.theguardian.com/lifeandstyle/lostinshowbiz/2013/jan/24/snoop-dogg-rastafarianism-seriously (dostęp: 9. 01.2014).

Pew Forum on Religion and Public Life (2012) *Summary of key findings, US Religious*.

Pew Research Center (2012) *Most Muslims Want Democracy, Personal Freedoms and Islam in Political Life*, 10 lipca, www.pewglobal.org/2012/07/10/mostmuslims-want-democracy-personal-freedoms-and-islam-in-political-life (dostęp: 10.01.2014).

Pew Research Center (2013) *A Portrait of Jewish Americans: Findings from a Pew Research Center Survey of US Jews*, Pew Research Center, Washington DC.

Pew Research Center's Forum on Religion & Public Life (2010) *Who Knows What About Religion?* www.pewforum.org/2010/09/28/u-s-religious-knowledgesurvey-who-knows-what-about-religion (dostęp: 12.01.2014).

Pinker, S. (2008) *The Moral Instinct*, „New York Times”, 13 stycznia.

Pipes, D. (2002) *What is jihad?*, „New York Post”, 31.12.2002, www.danielpipes.org/990/what-is-jihad (dostęp: 8.01.2014).

Pius XII (1950) *Humani Generis* i 36, www.vatican.va/holy_father/pius_xii/encyclicals/documents/hf_p-xii_enc_12081950_humani-generis_en.html (dostęp: 7.01.2014).

Popham, P. (2008) *Rastas Can Use Cannabis, Italian Court Rules*, „The Independent”, 12 lipca, www.independent.co.uk/news/world/europe/rastas-can-use-cannabisitalian-court-rules-865829.html (dostęp: 9.01.2014).

Presbyterian Church USA (1969) *Evolution and the Bible*, www.presbyterianmission.org/ministries/theologyandworship/evolution (dostęp: 7.01.2014).

Prothero, S. (2007) *Religious Literacy: What Every American Needs to Know — And Doesn't*, HarperCollins, New York.

Prothero, S. (2010) *God is Not One: The Eight Rival Religions that Run the World and Why Their Differences Matter*, HarperCollins, New York.

R.E.A.L. Organisation (2010) *Hizb ut-Tahrir Attacks Democracy, Freedom in Australia*, 6 lipca, www.realcourage.org/2010/07/hizb-ut-tahrir-attacks-democracy-inaustralia (dostęp: 10.01.2014).

Rashid, Q. (2013) *Do You Even Hear Muslims When We Condemn Violence?*, 22 kwietnia, www.huffingtonpost.com/qasim-rashid/do-you-even-hear-muslims-whenwecondemn-violence_b_3125564.html (dostęp: 10.01.2014).

Reeves, M. (2003) *Muhammad in Europe: A Thousand Years of Western Myth Making*, New York University Press, New York.

Remsberg, J. (1906) *Six Historic Americans*, The Truth Seeker, New York.

Ricciotti, G. (2009) *The Age of the Martyrs: Christianity From Diocletian (284) to Constantine (337)*, TAN Books, Charlotte, NC.

Rich, M. (2013) *Creationists on Texas panel for biology textbooks*, „The New York Times” (28 września), www.nytimes.com/2013/09/29/education/creationists-on-texaspanel-for-biology-textbooks.html?_r=0 (dostęp: 6.01.2014).

Robertson, P. (2003) *Why Evangelical Christians Support Israel*,

www.patroberson.com/Speeches/IsraelLauder.asp (dostęp: 10.01.2014).

Robinson, J. (1963) *Honest to God*, Westminster John Knox, Philadelphia.

Rolenz, K. (online) *Sources of Our Living Tradition*, <http://www.uua.org/beliefs/principles/index.shtml> (dostęp: 16.01.2014).

Rubenstein, R. (1992) *After Auschwitz: History, Theology, and Contemporary Judaism*, Johns Hopkins University Press, Baltimore and London.

Rubenstein, W.D. (1996) *A History of the Jews in the English-Speaking World: Great Britain*, Macmillan, New York.

Sacerdotus (2013) *Atheism is Stupid*, January 23, www.sacerdotus.com/2013/01/atheism-is-stupid.html (dostęp: 12.01.2014).

Sagan, C. (1985) *Contact*, Pocket Books, New York.

Sallustius (1996) *Concerning the Gods and the Universe*, Ars Pub.

Schaff, P. (1885) *Ante-Nicene Fathers, Volume 1: The Apostolic Fathers with Justin Martyr and Irenaeus*, Christian Classic Ethereal Library, www.ccel.org/ccel/schaff/anfo1.viii.iv.cx.html (dostęp: 10.01.2014).

Scheffler, S. (2013) *Death and the Afterlife*, Oxford University Press, New York.

Schroeder, G. (1991) *Genesis and the Big Bang: The Discovery of Harmony Between Modern Science and the Bible*, Bantam, New York.

Schwab, M. (2005) *How Did We Get Here?*, 4 listopada, Jewish Virtual Library, www.jewishvirtuallibrary.org/jsource/Judaism/jewsevolution.html (dostęp: 7.01.2014).

Segal, A.F. (1986) *Rebecca's Children: Judaism and Christianity in the Roman World*, Harvard University Press, Cambridge MA.

Segel, B. (1996) *A Lie and a Libel: The History of the Protocols of the Elders of Zion*, translated and edited by Richard Levy, University of Nebraska Press, Lincoln, NE.

Seldes, G. (ed.) (1983) *The Great Quotations*, Citadel Press, Secaucus, New Jersey, s. 726.

Shank, M. (2009) *That the medieval Christian Church suppressed the growth of science [w:] Galileo Goes to Jail and Other Myths about Science and Religion* (red. R.L. Numbers) s. 19–27, Harvard University Press, Cambridge MA.

Shear, M.D. (2008) *McCain Moves to Soften the Tone at Rallies, if Not in Ads*, „Washington Post”, 11 października.

Sheehan, T. (1986) *The First Coming: How the Kingdom of God Became Christianity*, Random House, New York.

Silberman, N.A. Finkelstein, I. (2011) *The Bible Unearthed: Archaeology's New Vision of Ancient Israel and the Origin of Its Sacred Texts*, Touchstone, New York.

Slack, G. (2007) *Inside the Creation Museum*, Salon.com, 31 maja, www.salon.com/2007/05/31/creation_museum (dostęp: 7.01.2014).

Slick, M. (2009) *The Failure of Atheism to Account for Morality*, Christian Apologetics and Research Ministry (CARM), 18 czerwca, <http://carm.org/failure-of-atheism-to-account-for-morality> (dostęp: 9.01.2014).

Smart, N. (1999) *Worldviews: Crosscultural Explorations of Human Beliefs*, Scribner, New York.

Smith, W.C. (1962) *The Meaning and End of Religion*, Fortress, Minneapolis MN.

Smith, W.C. (1998) *Believing — An Historical Perspective*, Oneworld, Oxford.

Smith, W.C. (1998) *Faith and Belief: The Difference between Them*, wyd. II, Oneworld, Oxford. Snopes.com (dostęp: 6.01.2014).

Sonn, T. (2010) *Islam: A Brief History*, wyd. II, John Wiley & Sons, Ltd, Chichester.

Southern Baptist Convention (1994) *Resolution on Southern Baptists and Roman Catholics*,

www.sbc.net/resolutions/amResolution.asp?ID=964 (dostęp: 8.01.2014).

Sparrow-Simpson, W.J. (red.) (2012) *The Letters of St. Augustine*, Hard Press Editions, Stockbridge MA.

Spencer, R. (2013) *Does the Qur'an Teach Hate?* www.jihadwatch.org/2013/09/robert-spencer-in-frontpage-magazine-does-the-quran-teach-hate.html (dostęp: 8.01.2014).

Spinoza, B. (1670) *Tractatus Theologico-Politicus*.

Spong, J.S. (2002) *A New Christianity for a New World: Why Traditional Faith Is Dying and How a New Faith Is Being Born*, HarperOne, San Francisco.

Spring, D. (2011) *Advertising in the Age of Persuasion: Building Brand America, 1941–1961*, Palgrave Macmillan, New York.

Stewart, D.J. (2011) *Buddha Devil Worship*, www.jesus-is-savior.com/FalseReligions/Buddhism/satanic.htm (dostęp: 9.01.2014).

Stewart, D.J. (online) *Unitarian Universalism EXPOSED!* www.jesus-is-savior.com/FalseReligions/Unitarianism/uu.htm (dostęp: 9.01.2014).

Sultan, W. (2009) *A God Who Hates: The Courageous Woman Who Inflamed the Muslim World Speaks Out Against the Evils of Islam*, St. Martin's, New York.

Süss, R. (2006) *Luthers Theologisch Testament*, VU University Press, Amsterdam.

Teiser, S. (1996) *The spirits of Chinese religion*, in *Religions of China in Practice* (red.: D. Lopez), Princeton University Press, Princeton.

Tertullian (2010) *Ad Nationes* Book II, Kessinger, Whitefish MT.

Tertullian (2012) *On the Testimony of the Soul and on the „Prescription of Heretics”*, Hard Press Editions, Stockbridge MA.

The Jewish Theological Seminary of America (1988) *God's Covenant: The Election of Israel* [w:] *Emet Ve-Emunah: Statement of Principles of Conservative Judaism*, s. 28,

www.icsresources.org/content/primarysourcesdocs/ConservativeJudaismPrinciples.pdf (dostęp: 7.01.2014).

The Sacred Fire, September 13, 2012, <http://archive.is/hbR4> (dostęp: 12.01.2014).

TheReligionofPeace.com (online) *What does the Religion of Peace Teach About Violence*, www.thereligionofpeace.com/quran/023-violence.htm (dostęp: 8.10.2014).

Thomas, C. (2007) *The Same God?*, 8 października, www.calthomas.com/index.php?news=2062 (dostęp: 10.01.2014).

Tolan, J. (2002) *The Saracens: Islam in the Medieval European Imagination*, Columbia University Press, New York.

Tripp, P.D. (2002) *Instruments in the Redeemer's Hands: People in Need of Change Helping People in Need of Change*, P&R Publishing, Phillipsburg NJ.

Tutu, D. (2011) *God Is Not a Christian*, Harper Collins, New York.

United Methodist Church (2012) *Science and technology*, in *The Book of Discipline of the United Methodist Church*, United Methodist Publishing House, 160 F.

Vermaseren, M.J. (1963) *Mithras the Secret God*, Barnes & Noble, New York.

Veylanswami, S.B. (2013) *Hinduism: Religion or Way of Life?*, „Hinduism Today”, kwiecień/maj, www.hinduismtoday.com/modules/smartsection/item.php?itemid=5359 (dostęp: 9.01.2014).

View from the Right (online) *Muhammad in Hell*, www.amnation.com/vfr/archives/018507.html (dostęp: 8.01.2014).

Wadud, Amina (1999) *Qur'an and Woman: Rereading the Sacred Text from a Woman's Perspective*, Oxford University Press, New York.

Warren, R. (2002) *The Purpose-Driven Life: What on Earth Am I Here for?* Zondervan, Grand Rapids, MI.

- Webster, D.R. (1913) *William of Norwich* [w:] *Catholic Encyclopedia*, Volume 15, [http://en.wikisource.org/wiki/Catholic_Encyclopedia_\(1913\)/St._William_of_Norwich](http://en.wikisource.org/wiki/Catholic_Encyclopedia_(1913)/St._William_of_Norwich) (dostęp: 7.01.2014).
- Webster's Revised Unabridged Dictionary* (1913) G. and C. Merriam, New York.
- Weightman, S. (1998) *Hinduism* [w:] *A new handbook of living religions* (red. J.R. Hinnells), Penguin, New York, s. 261–309.
- Wentz, R. (1993) *Why People Do Bad Things in the Name of Religion*, Mercer University Press, Macon GA.
- White, A.D. (1896) *A History of the Warfare of Science with Theology in Christendom*, D. Appleton and Co., New York.
- Whitehouse, H. (2004) *Modes of Religiosity: A Cognitive Theory of Religious Transmission*, AltaMira Press, Walnut Creek, CA.
- Yaccino, S. and Teng, P.S (2013) *Using billboards to stake claim over jihad*, „International New York Times”, 6 marca, www.nytimes.com/2013/03/07/us/adcampaigns-fight-it-out-over-meaning-of-jihad.html?pagewanted=all&_r=0 (dostęp: 8.01.2014).
- Yousafzai, M. (2013) wystąpienie przed Z.O. ONZ, July 12, <https://secure.aworldatschool.org/page/content/the-text-of-malala-yousafzais-speech-atthe-united-nations>.
- Zuckerman, P. (2008) *Society Without God: What the Least Religious Nations Can Tell Us About Contentment*, New York University Press, New York.
- Zuckerman, P. (2009) *Atheism, secularity, and well-being: How the findings of social science counter negative stereotypes and assumptions*, „Sociology Compass”, 3 (6), 94–971.

-
- ¹ Polska nie różni się pod tym względem zbyt od Stanów Zjednoczonych. W badaniach BBVA Foundation International Study on Scientific Culture Understanding Science, przeprowadzonych w roku 2012 w Europie, tylko 42 procent respondentów z Polski uznało, że stwierdzenie: „Wcześni ludzie żyli w tych samych czasach co dinozaury” jest błędne.
 - ² W roku 2008 papież Benedykt XVI napisał nową modlitwę wielkopiątkową. Zmiany wprowadzone w tej nowej „Modlitwie o nawrócenie żydów” zostały bardzo źle przyjęte przez środowiska żydowskie, które oceniły je jako „znaczący krok w tył” (przyp. tłum.).
 - ³ Używane w Polsce określenie „mord rytualny”, odpowiednik angielskiego „blood libel”, dalece nie jest tak jednoznaczne (przyp. tłum.).
 - ⁴ Co ciekawe, powyższe słowa, jak również wszystkie wzmianki o katolicyzmie jako żydowskiej „piątej kolumnie”, zostały usunięte z polskich wydań *Protokołów mędrców Syjonu* (również tłumaczonych z angielskiego), a przynajmniej z tych trzech edycji, do których udało mi się dotrzeć. A sądząc z dostępności, pozycja ta nadal cieszy się w Polsce znacznym powodzeniem (przyp. tłum.).

====LUIgTCVLLIAstAm9PFEh4TH9fKFgsRyZmFnkaYBR1Wz1Q